



Proseppuku i S-ku

Casey Hill

TABU

# Hill Casey

## Reilly Steel 01

### Tabu

**Dla tego seryjnego mordercy nie istnieje żadne tabu...**

**Reilly Steel, urodzona i wychowana w Kalifornii, jest absolwentką Akademii FBI w Quantico, z zawodu śledczym sądowym. Opuszcza gwarne San Francisco i przenosi się na drugi koniec świata, do sennego Dublinu, by jako doskonały fachowiec w swojej dziedzinie wprowadzić irlandzkie laboratorium kryminalistyczne w XXI wiek, mieć oko na ojca, który po rodzinnej tragedii szuka pocieszenia w kieliszku, a przy tym spróbować się odciąć od fatalnych wydarzeń z przeszłości i zacząć nowe życie... Jej plany niweczy seryjny morderca. Pierwsza zbrodnia to dwa trupy, para młodych ludzi w luksusowym apartamencie. I choć rany postrzałowe na nagich ciałach zdają się wskazywać na samobójstwo, intuicja podpowiada Reilly, że sprawa jest bardziej skomplikowana.**

**Wkrótce pojawiają się nowe ofiary, a ekipa śledcza zaczyna podejrzewać, że oprawca jest gotów złamać wszystkie społeczne normy... po kolei...**

## PROLOG

### **W POBLIŻU ZATOKI SAN FRANCISCO W KALIFORNII**

- Reilly, rzucam ci wyzwanie.

- Jess, słońce moje, nic z tego, dotarło?

Wracały ze szkoły. Młodsza siostra podskakiwała. Blond warkoczyki frunęły w górę przy każdym kroku. Reilly nienawidziła odbierania jej ze szkoły. Przyjaciółki poszły do centrum handlowego, tymczasem ona musiała zaprowadzić Jess do domu, dać jej coś do jedzenia i przypilnować, żeby odrobiła lekcje.

- Przecież wiesz, co każe tata. Mamy się do niego nie zbliżać.

Dwadzieścia metrów dalej stary człowiek w zniszczonej flanelowej koszuli i brudnych ogrodniczkach, zgięty wpół, grabił liście na podwórzu. Włosy miał rzadkie i siwe, a dłonie wielkie i sękaty. Nadeszła już jesień, drzewa gubiły liście i słońce z każdym dniem wędrowało po niebie coraz niżej.

Jess zaczepnie zerknęła na siostrę. Oczy miała błękitne i błyszczące.

- Ej, no, prooszę cię, powiedz mu coś.

- Ogłuchłaś czy jak? Nie wolno nam rozmawiać z tym panem.

- A dlaczego?

Reilly sapnęła zirytowana.

- Co: dlaczego?

- Dlaczego nie wolno nam rozmawiać z panem Reynoldsem?

Reilly popatrzyła na staruszkę i zadrżała. Randy Reynolds podobno gustował w małych dziewczynkach. Jess gapiała się na niego szeroko otwartymi oczami, wyraźnie zafascynowana, jakby знаła prawdę, jakby się jej domyślała.

- To zły człowiek - oznajmiła Reilly w końcu. - On... krzywdzi dziewczynki. - Szturchnęła siostrę w bok. - Idziemy.

Jess ani drgnęła.

- Jak on krzywdzi dziewczynki?

Reilly westchnęła z głębi serca. Znała siostrę dość dobrze, by rozpoznać u niej ten stan. Jess dopóty nie ruszy się z miejsca, dopóki nie otrzyma satysfakcjonującej odpowiedzi.

- No... lubi je dotykać.

- Jak to: dotykać?

- W te miejsca... W intymne - dokończyła kulawo. W oczach Jess nagle rozbłysło zrozumienie.

- Blee! A po co?

Jak wytłumaczyć dziesięciolatce coś, czego sama nie pojmowała?

- Nie wiem - mruknęła bez przekonania. - Niektórzy tak mają.

Jess namyślała się przez chwilę.

- Nie powinien tego robić, co nie?

- Nie powinien. Pamiętasz, tata zawsze powtarza: „Nikt nie ma prawa dotykać twoich intymnych części ciała bez twojego pozwolenia”. - Ponownie szturchnęła siostrę. - No chodź. Mamy co zrobić w domu. A tata będzie zły, jeśli nie skończymy, zanim wróci z pracy.

Mało tego, Reilly musiała jeszcze przygotować obiad i posprzątać dom, czyli zrobić to, co normalnie by zrobiła mama.

Z tym że nie ich mama.

Wreszcie Jess się ruszyła. Gdy przechodziły obok domu Reynoldsa, staruszek przerwał grabienie. Wyprostował się i oczy mu rozbłysły na widok dwóch dziewczynek.

- Cześć - zagaił je schrypniętym głosem.

Reilly w milczeniu spuściła głowę, natomiast Jess obejrzała się, rzucając mężczyźnie zuchwałe spojrzenie.

- Przestań - wymamrotała Reilly pod nosem.

- Ślicznotka z ciebie - powiedział Reynolds i rozciągnął usta w uśmiechu.

Jess ponownie się obróciła, a Reilly chwyciła ją za rękę, próbując przyśpieszyć kroku. Mała jednak się wyrwała.

- Słyszałam, że pan lubi dziewczynki - rzuciła wyzywająco, robiąc krok w stronę płotu. - Chce pan dotykać moich intymnych części ciała? No to już! - Zadarła spódnicę, pokazując różowe majtki z rysunkiem Snoopy'ego.

- Jess! - krzyknęła Reilly zaskoczona.

Reynolds skamieniał, rozdarty między oszołomieniem, zdziwieniem, pożądaniem i wstydem. Wtedy Jess zdecydowanym ruchem opuściła spódnicę, schyliła się gwałtownie po kamień i cisnęła nim z całej siły. Mężczyzna zachwiał się i upadł na stertę liści.

Jess złapała siostrę za rękę i ruszyła biegiem.

- W nogi!

Zatrzymały się dopiero za rogiem.

- Odbiło ci czy co?! - krzyknęła Reilly, łapiąc oddech. - Tak się nie robi... Żebyś mi w życiu więcej nie powtórzyła takiego numeru!

- Dlaczego? - spytała Jess zdziwiona.

- Bo... bo tak się nie robi. - Reilly zabrakło słów. - Miałyśmy się trzymać od niego z daleka. Nie pakuj się w kłopoty.

- Pokręciła głową niebotycznie zdumiona brawurą siostry.

- W głowie mi się nie mieści...

- Bo co? - Jess obdarzyła ją spojrzeniem czystej niewinności. - Powiedziałaś, że to zły człowiek. A złych ludzi trzeba karać, tak?

## **JEDEN**

### **DUBLIN, IRLANDIA**

Reilly poderwała się z poduszki i gorączkowo rozejrzała dookoła. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Głęboko zaczerpnęła powietrza w płuca i powoli je wypuściła, próbując uspokoić galopujące serce. Oczy stopniowo przywykły do mroku spowijającego pokój.

Położyła się na wznak, wbiła spojrzenie w sufit. Światła samochodów przejeżdżających moką od deszczu jezdnią rysowały na nim abstrakcyjne wzory. Myśli Reilly, na wpół senne, zawiodły ją do Jess.

Dawno nie śniła o siostrze. Pewnie z rok, a może i dłużej. Bardzo dobrze. Doktor Kyle, jej dawny psychiatra, byłby z niej dumny. Ponieważ im rzadziej Reilly śniła o Jess, im mniej o niej myślała, tym lepiej. Bo myślenie o siostrze, rozpamiętywanie tamtych zdarzeń nic nie dawało. Choć doktor Kyle prawdopodobnie uznałby, że tak. Że myślenie o Jess ma zasadniczy wpływ na Reilly pod każdym względem. Psychiatra stale podkreślał, że gdyby nie sytuacja z Jess, życie starszej siostry ułożyłoby się zupełnie inaczej. Ale twierdził tak zapewne dlatego, że był psychiatrą i powinien właśnie tak mówić.

Myśli zatoczyły koło, Reilly wróciła do terażniejszości. Tkwiła w Dublinie, w ciasnym i niezbyt pięknym mieszkaniu. Chociaż mogła jeszcze przytulić się do poduszki, o spaniu nie było już mowy. Odsunęła więc kołdrę, wstała i poszła do łazienki.

Włączyła światło i aż wstrzymała oddech, spojrzawszy w lustro. Pidżama rozchełstana, cera sinoblada, a na policzku jasnoczerwona krecha - odgniecenie od poduszki. Potarła ją energicznie, mając nadzieję, że dzięki temu się jej pozbędzie. Oczy wyglądały jak szklane i podpuchnięte z braku snu, skołtunione włosy rozpaczliwie domagały się cięcia. Na razie jednak będzie musiało wystarczyć im mycie. Westchnęła ciężko i weszła pod prysznic.

Kilka minut później, owinięta ręcznikiem, na bosaka przeszła do kuchni. A w każdym razie w miejsce, które radosny agent nieruchomości tak nazwał. Jej zdaniem bowiem był to schowek na szczotki. Najwyraźniej w Dublinie za lwią część zarobku wynoszącego tysiąc baksów miesięcznie można było dostać właśnie schowek na szczotki w funkcji kuchni. W komplecie Reilly zyskała „nowoczesny otwarty salon” oraz „przytulną sypialnię”. Pod warunkiem że lubi się sypiać w trumnie.

Choć i tak mieszkanie to było w lepszym stanie od innych, jakie oglądała, a na znalezienie sobie jakiegoś lokum nie miała zbyt dużo czasu. Rachunki hotelowe rosły w kosmicznym tempie, a pracodawca coraz mniej chętnie je pokrywał.

Dublin ją zaskoczył... Nie, mało powiedziane, cała Irlandia ją zaskoczyła. Jako dziecko uwielbiała barwne opowieści ojca o jego rodzinnym kraju, które w Kalifornii brzmiały jak baśnie. Ziemia kipiąca zielenią, otwarte przestrzenie, gościnni, przyjaźni mieszkańcy... Mogła bez końca ich słuchać.

Tymczasem cztery miesiące temu, zaraz po przyjeździe do ojczyzny przodków Mike'a Steela, Reilly przekonała się, że obraz Irlandii, w której żyje się jak u Pana Boga za piecem, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Zamiast bogatej krainy zamieszkaney przez ludzi wolnych od wszelkich trosk i żyjących dniem dzisiejszym Reilly zobaczyła kraj, podobnie jak cały świat, doświadczony niedawno problemami finansowymi i bezrobociem oraz mocno stojących po ziemi, doskonale wykształconych i ambitnych dublińczyków.

Nie miała złudzeń, nie oczekiwała, że praca w Dublinie będzie przypominała wakacje, mimo to zdumiała ją statystyki przestępstw popełnianych w Irlandii - państwie o tak niedużej liczbie ludności.

Zaparzyła kawę i pomyślała o nadchodzącym dniu. Chociaż wybiła już siódma trzydzieści, za oknem panowały ciemności. W takich chwilach najbardziej brakowało jej słońca nad Zatoką San Francisco... Nie, po prostu brakowało jej słońca. Koniec, kropka.

Zamknawszy oczy, przywołała wspomnienie widoku roztaczającego się z przylądka, gdzie zwykle parkowała. Rozległe wody zatoki, fale napływające z lewej strony, morze w różnych odcieniach jej ukochanej głębokiej zieleni, grzywacze wzywające ją do siebie, zachęcające, by włożyć piankę i jak najszybciej odpiąć z dachu deskę surfingową.

Irlandzkie zimy były straszliwie posępne. Reilly nie pojmowała, jakim cudem w te szarobure dni ludzie znajdowali w sobie siłę, by zwlec się z łóżka, nie mówiąc już o wykrzesaniu z siebie energii do ciężkiej pracy. Tak czy inaczej, teraz mieszkała tutaj. I po czterech miesiącach spędzonych w Irlandii zaczynała przywykać do panujących w niej warunków.

Chociaż na zewnątrz nie spędzała wiele czasu. Była praktycznie uwiązana w laboratorium i wcale jej to nie przeszkadzało. Laboratoria na całym świecie są do siebie podobne, naszpikowane znajomym sprzętem i instrumentami, które zawsze spełniają pokładane w nich nadzieje. W takim miejscu czuła się bezpiecznie.

Zadygotała. Wylała resztkę kawy do zlewu, wróciła do grobowej sypialni i zaczęła się szykować do pracy.

Spartańsko urządzone wnętrza rozjaśniały dwa rzędy jarzeniówek rzucających ostre światło na długi stół. Reilly rozłożyła na blacie torebki z dowodami rzeczowymi i czekała, aż członkowie jej zespołu, każdy z kawą i notatnikiem w ręku,



usiadą. Zachowywali się jak dzieci, przepychając się do pierwszego rzędu, do najlepszych miejsc. Wreszcie zapanował spokój i wszyscy spojrzeli na nią wyczekująco.

- Kto mi powie, co tu mamy? - zapytała, obejmując wzrokiem przedmioty zapakowane w torebki i oznaczone przy-wieszkami.

Znajdowały się wśród nich: zakrwawiona koszulka, wyszczerbiony kufel do piwa, do połowy zjedzony cheeseburger oraz garść frytek opisanych jako „cząstki ziemniaka”.

Jeden z laborantów, Gary, odchrząknął, lecz zanim się odezwał, jeszcze raz zerknął do raportu. Dobiegał trzydziestki, miał gęste ciemne włosy, nosił okulary w drucianych oprawkach i był najśmielszy w zespole.

- Według raportu są to przedmioty powiązane z napaścią, do jakiej doszło w Temple Bar.

A ten znajdował się w okolicy pełnej rozmaitych knajpek, chętnie odwiedzanych przez turystów.

- W weekendy bywa tam gorąco - powiedziała cicho Lucy, jedyna poza Reilly kobieta w tym gronie, więc lgnęła do niej jak muchy do miodu. - Nie dość, że przychodzą tam duże grupy turystów, to jeszcze wszystkie te jelenie i ptaszyny...

- Co za jelenie? - zdumiała się Reilly.

Lucy odrzuciła włosy z twarzy i Reilly natychmiast poczuła pchnięty blond pasmem zapach. Któryś z lansowanych przez celebrytów, może *Lovely* albo *Amazing*?

- No, chłopcy, którzy świętują ostatnią noc wolności. I dziewczęta.

- Chodzi ci o wieczór kawalerski. I panieński.

- Tak. Zwykle nieźle sobie pozwalają.

- Szkoda, że tak się tam pozmieniało - westchnął Julius. - Kiedyś to była całkiem sympatyczna okolica. Bruk, stare kamienice...

Wszyscy zebrani podnieśli na niego wzrok. Jako jedyny był starszy od Reilly. Nie pamiętała wszystkich szczegółów z akt

osobowych, ale na pewno miał czterdzieści dwa lata, był stanu wolnego i zaczynał karierę jako laborant w szpitalu. Życia prywatnego nie miał chyba wcale. W laboratorium kryminalistycznym pracował od piętnastu lat. Proszę, jaki nietypowy profil technika laboratoryjnego, pomyślała kpiąco.

Spotkania takie jak dzisiejsze pozwalały jej lepiej poznać zespół, charakter poszczególnych osób, ich predyspozycje i ograniczenia, ponieważ praca laborantów nie polegała tylko na zbieraniu dowodów i analizowaniu ich aż do znudzenia, lecz także na wyszukiwaniu drobiazgów, pozornie nic nie-znaczących szczegółów, które mogły niespodzianie skierować śledztwo we właściwą stronę.

Właśnie owo wspaniałe doznanie, ten dreszcz emocji towarzyszący poszukiwaniom, a zwłaszcza odnalezieniu rozstrzygającego dowodu dawał Reilly siłę w trakcie studiów w Akademii FBI w Quantico i potem, podczas pracy w kalifornijskim Biurze Śledczym.

Jej podejście do ludzi okazało się najważniejszym powodem, dla którego irlandzki komendant policji zaproponował jej tę pracę. Chciał, żeby „wprowadziła tutejsze biuro techniczne w dwudziesty pierwszy wiek”. I tak Reilly musiała sprawić, by nowo utworzony zespół policyjnego laboratorium kryminalistycznego działał jak dobrze naoliwiona maszyna i był zainteresowany materiałem dowodowym na głębszym poziomie niż tylko bezmyślna analiza w doskonale wyposażonych pracowniach. Stąd dzisiejsze poranne zebranie.

- Jest kilku świadków - odezwał się w końcu Gary - ale najwyraźniej wszystko działo się bardzo szybko. Poza tym większość gości była wstawiona, więc nikt nie umiał stwierdzić, kto go załatwił. Gliniarze będą potrzebowali bardzo solidnego opisu, żeby kogoś oskarżyć.

Reilly nie znała Tempie Bar, dlatego postanowiła tam zajrzeć. W ogóle sporą część swojego cennego wolnego czasu poświęcała na spacerowanie po różnych częściach Dublina, by zaznajomić się z otoczeniem. Potrafiła już bez trudu odróżnić kocie łby na

dziedzińcu zamku od bruku wokół Trinity College, a wiedza ta była w jej zawodzie nie do przecenienia.

- No dobra. - Lucy wyjęła raport Gary'emu z ręki. - Gliny twierdzą, że dwóch facetów się pokłóciło, a potem dali sobie po razie. Teraz jeden gość leży nieprzytomny w James's Street Hospital, bo oberwał szklanym kuflem do piwa. Napastnik dał w długą, zanim zjawili się stróże prawa...

Reilly pokiwała głową, tłumacząc w myślach slang na bliższy jej język.

- Dobrze, co jeszcze? Monitoring?

-Moment... - Lucy przebiegła raport wzrokiem. - Nic z tego. Kamerki wiszą, ale nie udało się wyłowić faceta. Foty zamazane, za dużo na nich narodu.

- Jasne. - Reilly odwróciła się do pozostałych. - Jakież pomysły?

- Możemy przeprowadzić badania krwi z koszulki - zaproponował Gary.

- Co nam to da?

- Przede wszystkim dowiemy się, do kogo należy.

- Przecież wiemy, do kogo - sprzeciwił się Julius. - Do faceta, który został zraniony.

- Niby tak, ale w bójce brały udział dwie osoby, nie? - Rory jak zwykle nie śpieszył się z zabranieniem głosu. - Może napastnik także krwawił. Wtedy będziemy mieli na koszulce dwie próbki krwi. A gdy wyeliminujemy krew ofiary, poznamy krew napastnika.

Rory grał w rugby, był potężnie zbudowany i miał ciemne oczy o intensywnym spojrzeniu. Wielkie dłonie oraz krzywy nos mogły świadczyć o tym, że z autopsji wiedział to i owo o bójkach.

- Ale w ten sposób i tak nie znajdziemy napastnika - oceniła Lucy, zwracając się w stronę Reilly, lecz agentka milczała, czekając, by członkowie zespołu sami doszli do odpowiednich wniosków.

- Na tym etapie nie - zgodził się z nią Rory. - Ale będziemy mieli informacje na później.

- Słusznie - wsparła go Reilly. - Czy mamy w tej chwili coś innego, co pomogłoby w identyfikacji napastnika? Coś, co moglibyśmy podsunąć policji? Co możemy o nim powiedzieć na pewno?

Zapadła cisza. Zebrani pogrążyli się w myślach.

- Odciski palców na kuflu - podsunął w końcu Gary. - Chociaż one też będą przydatne tylko wtedy, gdy będzie je można z czymś porównać...

- A cheeseburger? - zastanowiła się Lucy. - Wiemy, że napastnik jadł kanapkę tuż przed awanturą. Można by zbadać ślinę pod kątem DNA.

- To na nic - stwierdził Julius. - Człowiek musiałby już być w systemie, żebyśmy go znaleźli.

Wszyscy spojrzeli na Reilly.

- Rzeczywiście. Czyli mówimy o materiale porównawczym. Wszystkie wasze sugestie zasługują na uwagę i z pewnością okażą się pomocne, kiedy sprawca zostanie schwytyany. Tymczasem zastanówmy się, jak pomóc go złapać. Śmiało, słucham.

Ludzie siedzący przed nią przeglądali fotografie z miejsca zdarzenia i przypatrywali się dowodom rzeczowym, ale na ich twarzach próżno by szukać śladu pomysłu. Reilly postanowiła wybawić ich z kłopotu. Wzięła do ręki dobrze napoczętego cheeseburgera.

- Lucy, szłaś w dobrą stronę - oznajmiła, unosząc go nad głowę. - Oto najważniejszy dowód w tej sprawie. Tyle że nie ze względu na DNA, chociaż ono, rzecz jasna, również jest istotne, ale dlatego, że ta niewinnie wyglądająca kanapka może nam dostarczyć wielu informacji na temat sprawcy: poczynając od tego, jakiego był wzrostu i jak wyglądał, a skończywszy na tym, czy chrapie przez sen i wydmuchuje nos zaraz po przebudzeniu.

Patrzyli na nią oszołomieni.

- Na pierwszy rzut oka mogę powiedzieć - ciągnęła Reilly - że nasz delikwent ma pociągłą twarz, najprawdopodobniej dość wąską, i brakuje mu dwóch zębów mądrości...

Pierwszy oprzytomniał Julius.

- Ślad po ugryzieniu.

- Jak najbardziej. Stomatolog podałby więcej szczegółów, ale kiedy liczy się czas, a policja ma pewność, że to właśnie napastnik jadł cheeseburgera, możemy przynajmniej podpowiedzieć, że należy szukać faceta o długiej, wąskiej twarzy.

Rory pokręcił głową z niedowierzaniem.

- W życiu bym tego nie wymyślił - przyznał.

- Gdy z wami skończę - oznajmiła z uśmiechem nowo przyjeta specjalistka od badań kryminalistycznych - nie będzie dla was rzeczy niemożliwych.

## **DWA**

Chris Delaney siedział przy swoim biurku w budynku komendy na Harcourt Street i kończył raport, gdy nagle znów się zaczęło.

Z początku starał się nie zwracać uwagi na nieznaczące, lecz dobrze znane mrowienie w kciuku i palcu wskazującym, zrzucając je na karb życia w ciągłym napięciu lub najzwyczajszego zmęczenia. Nie spał od dwudziestu ośmiu godzin, więc trudno się dziwić wyczerpaniu. Potrząsnął ręką, żeby pozbyć się bólu, a potem powoli odwrócił stronicę raportu, odłożył ją na stertę poprawionych i znów wziął do ręki długopis.

W tej samej chwili, jakby po to, by mu dowieść, że robi źle, bolesne pulsowanie przesunęło się z palców na całe lewe przedramię i zaraz potem tułów. Niewiele brakowało, a byłby się wzdrygnął. Upuścił długopis i skrzywił się z bólu. Na widok Pete'a Kennedy'ego natychmiast zebrał się w sobie i przybrał kamienny wyraz twarzy.

- Co z tobą? - spytał przyjaciel.

- Nic, skurcz mnie złapał - zbył go. - Od tego nieszczęsnego pisania - dorzucił przez zaciśnięte zęby.

- Od pisania? - Kennedy prychnął nie do końca przekonany. - Jakby mnie kto pytał, to raczej od tego całego machania hantlami. Nie rozumiem, po co ci ta zabawa.

Kennedy mierzył dobre metr osiemdziesiąt i miał nieco za dużo ciała, zwłaszcza na brzuchu, ale nie zamierzał z tym

nic robić. Chris zaś lubił regularne wizyty w siłowni. Poza tym dzięki nim utrzymywał formę przydatną w pracy. Jako członkowie Wydziału Kryminalnego obaj zajmowali się głównie przypadkami zabójstw. I choć jeszcze do niedawna zdarzało się im zaledwie jedno morderstwo na kilka miesięcy, to teraz mieli wrażenie, że zamożni i zdecydowanie bardziej żądni krwi Irlandczycy postanowili nadrobić zaległości. A ponieważ środków nie przybywało, sytuacja stale się pogarszała. Najnowsza sprawa okazała się wyjątkowo tajemnicza.

Tydzień temu przypadkowy mężczyzna spacerujący z psem wzdłuż Kanału Królewskiego dostrzegł w wodzie męski korpus pozbawiony głowy. I choć policja natychmiast zaangażowała grupę nurków, która przez wiele godzin szukała w mętnej, ciemnej wodzie brakujących części ciała i innych dowodów przydatnych w sprawie, nie przyniosło to żadnych rezultatów. Na tym etapie identyfikacja ciała była niemożliwa.

A ponieważ podobne zdarzenia dotyczyły zwykle coraz większych w Irlandii społeczności etnicznych, władze stanęły przed pokusą, by uznać ten przypadek za kolejne zabójstwo rytualne. Chris jednak miał wątpliwości.

Niektóre media goniące za sensacją natychmiast powiązały ten incydent z imigrantami, ale on nie znajdował w materiale dowodowym niczego, co by jednoznacznie wskazywało na którąkolwiek z grup etnicznych. Trzeba było poczekać na znalezienie głowy.

Obrócił się na krześle i spojrzał na zegarek.

- Skoro na razie mamy spokój - powiedział, podnosząc wzrok na Kennedy'ego - skoczę do domu i spróbuję się zdrzemnąć.

Ułożył kartki w równą stertę, a długopis wrzucił do szuflady. Myśl o kilku godzinach snu była kusząca, chociaż i tak niewiele to zmieni - ostatnio był stale przemęczony. Może powinien kupić w drodze do domu jakąś multiwitaminę? Od dłuższego czasu nie odżywiał się właściwie. Zmierzył włosy w rozpaczliwej próbie wykrzesania z siebie odrobiny energii. Przydałoby się zajrzeć do fryzjera. Już od dawna.

- Panowie! - usłyszeli podekscytowany głos.

Chris właśnie wkładał marynarkę, gdy w drzwiach stanął jeden z mundurowych.

- Co tam? - burknął niewyraźnie Kennedy z ustami pełnymi kanapki z bekonem.

- O'Brien chce widzieć was obu - poinformował funkcjonariusz. - Natychmiast. Jest wkurzony.

Chris i Kennedy wymienili znaczące spojrzenia. To by było tyle, jeśli chodzi o sen.

- O co mu chodzi? - zapytał Kennedy, gdy w trójkę szli w stronę biura inspektora.

- Nie mam bladego pojęcia. - Mundurowy wzruszył ramionami.

Kennedy mrugnął do Chrisa.

- Niech zgadnę... pewnie wreszcie znaleźli flecik tamtego biedaka...

W biurze O'Briena jak zwykle panował bałagan. Wszędzie wałały się papierzyska, pod ścianami stały pudła z aktami, a biurko ginęło pod stertami teczek.

- Chciałbym, żeby chodziło o naszego pływaka - burknął ponuro inspektor o wiecznie rozczochranych siwych włosach, okrągłej czerwonej twarzy i bystrym spojrzeniu - ale niestety mamy coś zupełnie nowego. Dwie ofiary postrzału, prawdopodobnie zabójstwo i samobójstwo. Kobieta i mężczyzna, oboje zmarli na miejscu zdarzenia. Pojedźcie do Dalkey, pół godziny drogi.

- Awantura rodzinna?

- Raczej nie. Ofiary to dzieciaki, studenci college'u. Dziewczyna, zdaje się, ledwo skończyła dwadzieścia lat. -

Przeorał palcami włosy, tworząc na głowie jeszcze większy chaos.

- Cholera... - pokręcił głową Kennedy.

- Właśnie - zgodził się z nim inspektor i ciężko odchylił się na oparcie krzesła jak człowiek dźwigający na barkach brzemień całego świata.

- Mówi pan, że w Dalkey? - upewnił się Chris.



Zdziwił go wiek i status ofiar. Położone na południe od Dublina Dalkey było zamożną okolicą, a w takich raczej rzadko dochodziło do strzelaniny.

- Może natknęli się na strzelbę tatusia? - podrzucił Kennedy, najwyraźniej wyciągnąwszy podobne wnioski.

- Kto wie? Na razie nie wiem, jakiej broni użyto... Właściwie w ogóle mało wiem - stwierdził O'Brien. - Jest tam już ekipa z Blackrock, dotarła na miejsce zdarzenia pierwsza, i jeśli się nie mylę, Biuro Tech... - urwał w pół słowa i przewrócił oczami. - Przepraszam, chciałem powiedzieć zespół Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego też już powinien tam być. Jeszcze trochę potrwa, zanim się przyzwyczaję do tej nowej nazwy, chociaż przyznaję, że PLK wymawia się łatwo. Tak czy inaczej, pojedziecie tam, rozejrzycie się i zorientujecie, co i jak. - Pokręcił głową.

- Najpierw gangi, potem przyjezdni, a teraz już bogate dzieciaki też do siebie strzelają. Mówię wam, ten kraj schodzi na psy.

Chris podjechał nieoznaczonym fordem na wolne miejsce parkingowe i podniósł wzrok na nowoczesny apartamentowiec. Jasne ściany, aluminiowe balkony, doskonale utrzymana zieleń, widok na morze... Tutejsi lokatorzy nie narzekali na brak pieniędzy.

- Niezła panorama - stwierdził.

Nawet zimą widziana stąd Zatoka Dublińska robiła ogromne wrażenie. Szare bałwany piętrzyły się jeden za drugim, niecierpliwie biegnąc w stronę brzegu.

- I niezły bajzel - dodał Kennedy, wskazując na pojazdy zaparkowane przed budynkiem. - Ciekawe, czy byłoby tylu zainteresowanych, gdyby zdarzyło się to na Sheriff Street.

- Raczej nie. Tutaj mieszka kilka naprawdę ważnych osób. Muszą mieć pewność, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli - stwierdził Chris, patrząc znacząco w stronę Killiney, dublińskiego Beverly Hills.

- Ciekawe, w jakim nastroju jest dzisiaj nasza Miss Ameryki - mruknął Kennedy, wskazując głową wana należącego do PLK i używanego przez Reilly Steel. Zapalił papierosa, oparł się o maskę samochodu. Z niekłamanym zachwytem powiódł wzrokiem po okolicy.

Chris wygramolił się z wozu i z trudem stanął na obolałych nogach, zaciskając zęby, żeby nie jęknąć.

- Nie ma co się śpieszyć, skoro ona tam siedzi - dodał Kennedy. - Co o niej myślisz?

Chris wzruszył ramionami.

- Mało ją znam.

- Nie, no, człowieku, nie ślij mi takich tekstów. Duma FBI przyjeżdża do europejskiego zadupia, żeby nas, miejscowe buraki, uczyć, jak działa współczesna kryminalistyka, a ty nie masz zdania na jej temat?

Rzeczywiście, na spotkaniu poświęconym przyjazdowi Amerykanki, w czasie którego między zebranymi krążyło zdjęcie niebieskookiej blondynki, pojawiły się sceptyczne komentarze. Tymczasem Steel praktykowała w bazie szkoleniowej FBI w Quantico, dysponowała rozległą wiedzą teoretyczną oraz bogatym doświadczeniem, a także cennymi umiejętnościami w zakresie organizacji funkcjonowania instytucji przeprowadzających wszelkiego rodzaju badania materiałów dowodowych. Nie miała nic wspólnego z przysłowiową blondynką. Co więcej, świetnie sobie radziła w kontaktach z najlepszymi śledczymi na świecie i cieszyła się niekłamanym szacunkiem współpracowników. Jakim cudem trafiła do Dublina, Chris nie miał pojęcia. Cieszył się tylko, że zyskał towarzystwo i pomoc osoby o takich kwalifikacjach.

Dłonią rozgonił chmurę dymu z papierosa Kennedy'ego.

- Zakładam, że góra wiedziała, co robi, ściągając ją tutaj. Biuro Techniczne wlecze się sto lat za cywilizacją.

Potrzebna jest nam każda pomoc.

Do tej pory rzadko mieli okazję spotkać się z Amerykanką w terenie. Większość czasu spędzała w laboratorium,

najwyraźniej przedkładając pracę przy dowodach nad działania na miejscu zdarzenia. Akurat pod tym Chris podpisywał się obydwoma rękami. Dzisiaj jednak nie miała wyboru - Jack Gorman, oficer śledczy, który normalnie pracował z ich wydziałem, uczcił z żoną jakąś okrągłą rocznicę rejsem na Karaiby.

- Komu w drogę, temu czas - powiedział Chris, ruszając w stronę budynku.

Kennedy rzucił niedopałek na ziemię, przydepnął go i dźwignął się z maski wozu.

Weszli do holu apartamentowca, po czym schodami wdrapali się na trzecie piętro. Kennedy cały czas sapał i dyszał.

Gliniarz w cywilu, który pilnował wejścia do mieszkania, skierował ich do sypialni - tam doszło do strzelaniny.

- Oż, cholera - wyrwało się Kennedy'emu.

Znaleźli się w pięknym wnętrzu, utrzymanym w neutralnych barwach: kremowe ściany, beżowy dywan, jasna pościel i wysokie balkonowe okna na jednej stronie ukazujące zachwycający widok na zatokę. Idylliczny obraz, gdyby nie purpurowe rozbryzgi krwi na łóżku i ścianie.

W pościeli leżały dwa trupy, oba nagie. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Jej ciemne włosy rozłożyły się na poduszce gęstym wachlarzem - mogłaby drzemać, zmęczona seksem, gdyby nie wielka dziura w klatce piersiowej i smugi z połowy mózgu partnera na policzku.

Ofiary były przerażająco młode, na pewno przed trzydziestką.

Chrisowi żołądek podszedł do gardła. Szef miał rację. Kraj schodzi na psy, skoro dzieciaki mają dostęp do broni. I to dzieciaki z zamożnej, szanowanej rodziny. Sądząc po lekko opalonej skórze chłopaka i muskulaturze, jakiej nie powstydziliby się gracz w rugby, on także nie wypadł sroce spod ogona. Należało więc odrzucić wersję, że dziewczyna zadawała się z jakimś śmieciem, żeby wkurzyć szacownych staruszków. W dodatku chłopak miał na prawym ramieniu tatuaż stylizowany na wzór orientalny, a nie jakiś tam zwykły krzyż celtycki cieszący się dużym uznaniem wśród przedstawicieli klasy pracującej.

Chris przebiegł wzrokiem po wnętrzu. Narzędzie zbrodni leżało na prześcieradle - kaliber dziewięć milimetrów. Najwyraźniej wypadło z dłoni strzelającego.

Kiwnął głową patolog zajętej wstępными oględzinami zwłok. Zadrżał bezwiednie. Czasami Karen Thompson przyprawiała go o większe ciarki niż trupy. Była to poważna kobieta o zbyt dużych ciemnych oczach, orlim nosie i wyjątkowo długiej szyi. Według Chrisa doskonale nadawała się do roli patologa pracującego w ciszy i skupieniu, przy braku żywej relacji z pacjentem.

Krótko przywitała policjantów i wróciła do badania.

Po mieszkaniu kręciło się kilku mundurowych. Ze dwóch robiło notatki, pozostali tylko się przyglądali i pomagali zabezpieczać miejsce zdarzenia. Takie historie zawsze ściągają tłumy ciekawskich. Członkowie PLK, odziani w białe kombinezony okrywające ich od stóp do głów, zdejmowali odciski palców, a zebrany materiał dowodowy wkładali do foliowych torebek. Jeden ze śledczych przykucnął obok łóżka, wycelował obiektyw w ofiary i zrobił zdjęcie.

Chris nie dostrzegł jeszcze Reilly Steel, ale wiedział, że musi gdzieś tu być.

- Rany boskie - mruknął Kennedy. - Ile oni mają lat? Piętnaście?

- O'Brien mówił, że to uczniowie college'u, więc raczej koło dwudziestu.

- Dzieciaki. Cholera jasna.

Chociaż regularnie miewali do czynienia z młodymi ofiarami zabójstw, zwykle były to jakieś wyrzutki albo członkowie gangów wywodzący się z rodzin tak patologicznych, że trudno było sobie wyobrazić dla nich inny koniec. Tymczasem tych dwoje mogłoby być dziećmi Kennedy'ego. Z trudnego do uchwycenia powodu zmieniało to ogład sprawy.

- Co on sobie myślał?!

- Ja chciałbym wiedzieć, skąd wytrzasnął tę broń - powiedział Chris.

Nielegalną broń wprowadzali na ulice członkowie organizacji paramilitarnych i nie było nic zaskakującego w tym, że każdy szanujący się kryminalista wiedział, jak ją zdobyć. Jeśli jednak chodziło o dzieciaki z klasy średniej, uczniów college'u, nie było to takie proste.

- Kto pierwszy zjawiał się na miejscu zdarzenia? - spytał Chris mundurowego stojącego w progu sypialni.  
- Jednostka z Blackrock - odpowiedział mężczyzna, wskazując grupę policjantów zebranych w salonie. Jeden z nich był wyraźnie roztrzęsiony. - Fitzgerald ledwo skończył szkołę - dodał, kręcąc głową. - Wpadł chłopak od razu na głęboką wodę...

Chris zaklął w duchu. Fitzgerald, którego zauważył zaraz po wejściu do salonu, był równie młody jak ofiary. Pewnie ledwo co zaczął się golić. Rozejrzał się dookoła. W salonie, podobnie jak w sypialni, wzrok przyciągały okna balkonowe ukazujące widok na morze. Jedną ścianę zajmował ogromny telewizor plazmowy, na drugiej królował głęboki kominek. Czuć było ciężką kasę. Dlatego był ciekaw, czy doszło do kradzieży. Sądząc po cennych przedmiotach rzucających się w oczy w całym mieszkaniu, jeśli byli tu złodzieje, niewiele zabrali.

Przywołał żółtodzioba, który poprawił mundur, służbistym krokiem podszedł do detektywów i strzelił obcasami.

- Proszę nam opowiedzieć - odezwał się Kennedy - wszystko, co pan pamięta. Ze szczegółami.

Młody policjant zadziwiająco spokojnie zdał drobiazgowo sprawozdanie.

- Numer alarmowy został wybrany o godzinie szóstej trzy. Dzwoniono z tego budynku. Podobno była to osoba, która usłyszała strzały.

-Mhm...

- Nasza jednostka zareagowała natychmiast i zjawiała się na miejscu o godzinie szóstej osiemnaście.

- Dokładnie o szóstej osiemnaście? - spytał Chris, lekko rozbawiony dokładnością młodego człowieka.

- Tak - odparł Fitzgerald ze śmiertelną powagą. - Celowo spojrzałem na zegarek.

Detektywi wymienili ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia.

- W porządku. I co dalej?

- Z początku otrzymaliśmy rozkaz, by nie wchodzić do budynku na wypadek, gdyby sprawca nadal znajdował się w pobliżu.

Ku własnemu zdziwieniu Chris z przyjemnością słuchał raportu naszpikowanego terminologią, jaką z lubością wpajano rekrutom. Osobiście nie był zwolennikiem żargonu właściwego Robocopowi i jeżeli składał oświadczenie dla radia czy telewizji, celowo używał języka zrozumiałego dla osób spoza kręgów policyjnych, by zakorzenić w nich przekonanie, że jeśli zwrócą się do sił porządkowych z jakąś informacją, znajdzie się ktoś, kto ich rzeczywiście wysłucha.

- Następnie o godzinie szóstej czterdzieści pięć otrzymaliśmy informację, że możemy wejść do budynku - podjął Fitzgerald. - Wtedy weszliśmy.

- Mam nadzieję, że nie wsiedliście do windy? - rzucił Kennedy.

Fitzgerald, wyraźnie zraniony, pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. Z windy mógł korzystać sprawca, dlatego weszliśmy schodami, by uniknąć ewentualnego zatarcia śladów. - Przerwał na moment. - Jestem nowy - dorzucił - ale to nie znaczy, że brakuje mi rozumu.

Chris właśnie doszedł do tego samego wniosku.

- Ofiary znalazł pan w sypialni.

- Tak jest. Nie było wątpliwości, że oboje są martwi, wobec czego zameldowaliśmy przypuszczalne zabójstwo i samobójstwo a następnie wycofaliśmy się, zabezpieczając miejsce zdarzenia aż do przybycia ekipy kryminalistycznej. - Ostatnie zdanie powiedział, nie odrywając oczu od Kennedy'ego.

Chris był pod wrażeniem. Młodziak nie dał sobie w kaszę dmuchać.

- Czy wiemy już, kto konkretnie dzwonił pod numer alarmowy? - spytał.

Fitzgerald jedną ręką otworzył czarny notes.

- Sąsiadka mieszkająca obok, pani Maura McKenna. Niestety, nie pamięta dokładnie wszystkich szczegółów. - Chłopak wyglądał na rozczarowanego: jedyny świadek zawiódł jego oczekiwania. - Zeznała, że spała jak kamień, kiedy usłyszała dźwięk, przez który, cytuję, „mało nie wyskoczyła ze skóry”. Niedługo potem rozległ się drugi wystrzał, niestety świadek nie potrafi określić, ile czasu upłynęło między jednym strzałem a drugim. Szacuje, że mogło to być jakieś pięć minut. Wtedy pani McKenna zadzwoniła pod numer alarmowy.

- Wszystko jasne.

- Pomogła nam także zidentyfikować jedną z ofiar. Właścicielką mieszkania jest... a raczej była, Clare Ryan. Studentka University College Dublin. Sąsiadka twierdzi, że rodzice nabyli je dla córki przed dwoma laty, gdy rozpoczęła tu naukę. Świadek nie wie nic o jej partnerze.

- Coś jeszcze?

- To wszystko - stwierdził młody człowiek.

- Dzięki - powiedział Chris. - Z sąsiadką pogadamy później.

Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że zmarła to rzeczywiście Clare Ryan, ponieważ na białej komodzie dosuniętej do ściany w salonie stały oprawione w ramki fotografie uśmiechniętej brunetki. Chris wziął w rękę jedno ze zdjęć zrobione gdzieś na plaży, może w Tajlandii? Piasek biały, morze lazurowe... Podobizna dziewczyny o szerokim uśmiechu i błyszczących oczach budziła smutek przez kontrast z pozbawionym życia ciałem leżącym w sypialni.

- Są jakieś zdjęcia chłopaka? - spytał Kennedy'ego, który mu się uważnie przyglądał.

Detektyw powiódł wzrokiem po fotografiach.

- A bo ja wiem?

Trudno było dopasować któregoś z mężczyzn z fotografii do ciała w pokoju obok, skoro większa część głowy została odstrzelona.

- Jak już potwierdzą jej tożsamość, łatwiej będzie zidentyfikować chłopaka. Pewnie też studiował. - Podeszedł do okna, popatrzył na zatokę. - Kto kupuje dzieciakowi z college'u taką wystrzałową chatę?

- Rodzice mogą to traktować jako inwestycję, a przy tym wiedzą, że dziecko mieszka w bezpiecznej okolicy. Przynajmniej taką mają nadzieję.

Trzeba będzie porozmawiać ze znajomymi Clare Ryan ze szkoły. Oby potrafili rzucić trochę światła na sprawę albo wyjaśnili, kim był partner dziewczyny i dlaczego zrobił to, co zrobił. Najbardziej oczywista teoria podsuwała wątek zazdrości. Clare była śliczną dziewczyną, o czym świadczyły fotografie. Szczupła, o dużych piwnych oczach i ujmującym uśmiechu. Na pewno niejednemu zawróciła w głowie, a to mogło się nie spodobać księciu z bajki. Albo mieli do czynienia z dawnym księciem z bajki, który źle zniósł rozstanie. Na tym etapie rysowało się kilka scenariuszy, ale snucie przypuszczeń nie miało sensu. Przynajmniej do czasu, aż dowiedzą się czegoś więcej na temat Clare Ryan i jej przyjaciela.

Razem z Kennedym Chris chciał wejść do sypialni, ale zatrzymał ich mundurowy.

- Przepraszam, teraz nie mogę panów wpuścić. Na razie nikomu nie wolno wchodzić.

- Co takiego? - Kennedy ściągnął brwi. - Co za bzdura. Wchodzimy i tyle.

Mundurowy przestąpił z nogi na nogę.

- W tej chwili nie mogę na to pozwolić - stwierdził, zerkając przez ramię. - Zabiłaby mnie.

- Kto? - zdziwił się Chris. - Doktor Thompson? Myślałem, że zrobiła, co miała zrobić. Kilka minut temu skończyła pracę.

- Nie ona. Ta nowa z laboratorium kryminalistycznego.



Ta Amerykanka. Wyprosiła wszystkich z sypialni i powiedziała, żebym nikogo nie wpuszczał dopóty, dopóki nie zezwoli.

- A co robi? - spytał Kennedy, zerkając do pomieszczenia. Oczy mu się rozszerzyły. - Co to ma być?!

Reilly Steel stała na środku pokoju z zamkniętymi oczami i szeroko rozłożonymi rękami.

- Jakaś joga czy inne medytacje... - prychnął Kennedy.

- Niezupełnie - odezwała się stojąca nieopodal pracownica z dawnego Biura Technicznego. - Zawsze tak robi - dodała szeptem. - Słucha zmysłów, wykorzystuje intuicję, stara się odtworzyć scenę zbrodni w umyśle - wyjaśniła z niekłamanym podziwem.

- Czary-mary! - Kennedy wywrócił oczami. - Diabła warte.

- Niekoniecznie - sprzeciwiła się kobieta. - W Stanach rozwiązywała osiemdziesiąt procent spraw.

Chris też gdzieś o tym czytał. Reilly Steel rzeczywiście stosowała metody nieortodoksyjne, ale wyniki jej pracy mówiły same za siebie. W Irlandii jednak takie postępowanie musiało budzić rezerwę i najwyraźniej niespecjalnie przypadło do gustu Kennedy'emu.

- Jasne, jasne - skrzywił się detektyw. - Ale jeżeli jej się wydaje, że wszyscy będziemy kierowali się węchem, to się grubo myli.

- Proszę się nie obawiać - zabrzmiał za jego plecami damski głos. - Zresztą z takim ciekącym nochalem i tak pan niewiele wyniucha.

Kennedy spłonął żywym ogniem.

- Nie mogliśmy wejść... - zaczął się tłumaczyć.

- Bardzo mi przykro. - Podała mu rękę. - Reilly Steel z PLK. Zakładam, że to panowie będą się zajmowali tą sprawą.

- Obaj - potwierdził Chris. - To jest Pete Kennedy, ja nazywam się Chris Delaney. Miło mi panią poznać.

- Mnie także - odwdzińczyła się szerokim uśmiechem. Chris widział jej zdjęcia, słyszał też opowiadane w jej kontekście dowcipy o blondynkach, ale to, co zobaczył...

Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę to nieszczęśliwie efektowne zajęcie... Wyglądała rewelacyjnie. Miała wielkie błyszczące i błękitne jak morze oczy, a do kompletu lekko opaloną skórę kontrastującą z białym czepkiem skrywającym burzę blond włosów w odcieniu miodu. Lecz mimo jej urody, a może właśnie dzięki niej, Chris natychmiast się zorientował, że ma do czynienia z osobą bystrą i stanowczą.

- Skończyłam... czary-mary - oznajmiła z błyskiem rozbawienia w oku. - Medyk sądowa też już zwolniła miejsce zdarzenia. - Cofnęła się do sypialni. - Zapraszam, panowie. Ale ponieważ zostało nam tu jeszcze trochę do zrobienia, postarajcie się nie wchodzić mi w drogę - przestrzegła, patrząc z ukosa na Kennedy'ego.

- Nie ma sprawy.

Aż dziwne, że starszy detektyw tak długo milczał.

- Natrafiła pani na coś szczególnego? - spytał Chris. Steel podeszła do łóżka.

- Pewność zyskamy dopiero po autopsji, ale sądząc po ranie wlotowej... - wskazała Clare Ryan, której ciało starannie zapakowano w plastikowy worek - ...dziewczyna została postrzelona w klatkę piersiową z odległości mniej więcej pół metra. - Przesunęła się, ilustrując słowa gestem. - Zabójca stał w nogach łóżka, potem położył się obok niej i skończył z sobą. Możliwe, że ona wtedy jeszcze żyła.

Chris zgadzał się z tą teorią. Ilość krwi, jaka zebrała się pod ciałem dziewczyny, sugerowała, że ofiara nie zmarła natychmiast.

- Z sobą poradził sobie lepiej - stwierdził ponuro. Przyjrzał się dokładnie temu, co pozostało z głowy młodego człowieka. - Trudno by ich uznać za Romea i Julię.

- Trudno - zgodziła się Reilly. Podniosła z ziemi swoją skrzynkę z przyrządami. - Zrobimy toksykologię krwi. Sprawdzimy, czy to nie skutek jakiegoś nadużycia.

- Wielkie dzięki - powiedział Chris. - Będziemy wdzięczni za wszelkie sugestie - dodał, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie partnera.

Kennedy jak większość pracowników dochodzeniówki sceptycznie odnosił się do osiągnięć techników, bardziej niż w mikroskop wierząc w dobrą starą robotę detektywistyczną. Uważał, że to personel laboratoryjny powinien korzystać z odkryć detektywów, a nie odwrotnie.

- Jest spora szansa, że znajdą narkotyki - mruknął. - Gdzie ich nie ma w dzisiejszych czasach?

- Lepiej się wstrzymać z wnioskami do momentu, gdy będziemy wiedzieć więcej - stwierdziła Reilly. - Przyjrę się zebranemu materiałowi, chociaż nie spodziewam się wielkich odkryć. Oczywiście mamy dwie łuski, no i broń. A skoro o tym mowa... - Włożyła parę nowych lateksowych rękawiczek. - Bardzo panów przepraszam, potrzebuję trochę miejsca - oznajmiła niecierpliwie, bo w pokoju stale przybywało policjantów zadowolonych, że mogą się otrzeć o niecodzienne wydarzenia.

Fitzgerald, domyśliwszy się, co zamierza zrobić Steel, zaczął gwałtownie szperać po kieszeniach - teraz, po wyniesieniu ciała, można było podnieść broń.

- Proszę bardzo. - Z dumą podał agentce ołówek.

- A to po co? - zaśmiał się Kennedy. - Będzie rysować spluwę?

Młodszy kolega popatrzył na niego nieco zbity z tropu.

- Powinna unieść broń, nie dotykając jej - wyjaśnił niepewnie. - Więc żeby... nie zatrzeć... odcisków palców...

- Za często ogląda pan telewizję - stwierdziła Reilly pobłaźliwie. - Gdybym podniosła broń za pomocą ołówka, mogłabym naruszyć pozostałości prochu albo innych zanieczyszczeń zalegających w lufie. W ten sposób wpłynęłabym na odczytanie powstałych wyżłobień w czasie testów balistycznych. A tego przecież nie chcemy, prawda? - dokończyła takim tonem, jakby się zwracała do pięciolatka.

- Nie, oczywiście, że nie. - Fitzgerald najwyraźniej gorzko żałował, że się wyrwał.

- Ale ma pan rację - podjęła Reilly. - Rzeczywiście musimy uważać, by nie zatrzeć odcisków palców. - Skinieniem zaprosiła go, by nieco się przysunął.

Inni ustąpili mu miejsca. Reilly uklękła przy łóżku i gestem nakazała Fitzgeraldowi, żeby zrobił to samo.

- Jeżeli ujmę broń w tym miejscu... - wycelowała palcem w podstawę kolby. - Widzi pan tę część w szachownicy?

Żółtodziób pokiwał głową, skupiony całkowicie na broni.

- Ta część ma tak nierówną powierzchnię - podjęła Reilly - że na pewno nie zostały na niej żadne wartościowe ślady.

Dlatego można tutaj złapać. Nie mówiąc już o tym, że to najbezpieczniejszy sposób przenoszenia broni. Stanowczo sobie nie życzę zostać przypadkowo postrzelona.

Powoli i ostrożnie podniosła broń z łóżka. Lekcja skończona.

Poprosiła któregoś z pozostałych policjantów o pomoc w przygotowaniu broni do badania.

Fitzgerald patrzył na nią z nieskrywanym podziwem. Chris musiał się uśmiechnąć. Niezależnie od tego, co sądzili starsi koledzy, najnowszy nabytek PLK najwyraźniej miał fanów wśród młodszego pokolenia służb policyjnych.

## TRZY

Reilly siedziała przy biurku, ze skupieniem na twarzy przyglądając się spisowi sporządzonemu na miejscu zbrodni, od której minęło kilka dni, a dotyczącemu sprawy Clare Ryan.

O tej porze w laboratorium panował już spokój. Większość pracowników dawno poszła do domu.

Zwykle ludzie uznają szpitalnie wyglądające pomieszczenia

i panującą w nich ciszę, zakłócaną jedynie przez cichy szum urządzeń, za przytłaczające. Tymczasem Reilly najbardziej lubiła pracować właśnie wieczorem, w całkowitym spokoju. Nikt jej wtedy nie rozpraszał, nie musiała zwracać uwagi na żadnego z laborantów. Mogła się zupełnie poświęcić myśleniu i analizie. Dziś miała nadzieję ustalić, jaki to szczegół związany ze strzelaniną od dwóch dni nie dawał jej spokoju.

Od początku miała wrażenie, że coś tu nie pasuje, ale nie znalazła jeszcze w materiale dowodowym nic nadzwyczajnego, co by potwierdzało to przeczucie. Zawsze w trakcie dochodzenia skupiała się na dwóch poniekąd przeciwstawnych aspektach: materiale dowodowym i intuicji. A jej intuicja od kilku dni wrzeszczała, że coś się stanowczo nie zgadza.

Gorman skwitowałby jej przeczucia śmiechem. Pracował w wydziale długie lata, był szefem starego departamentu sądowego i nie skakał z radości na wieść o nowej pracownicy ani o utworzeniu nowej jednostki. Szczerze powiedziawszy, było jej na rękę, że staruszek akurat wybrał się na wakacje. Dzięki

temu zyskała sposobność poprowadzenia sprawy w taki sposób, jaki uznała za stosowny, tak jak ją nauczono w ojczyźnie.

Od pierwszej chwili, gdy pojawiła się w PLK, Gorman starał się ją osadzić. Pokazywał, gdzie jej miejsce, twierdził, że jej zadaniem jest wyłącznie nadzorowanie pracy w laboratorium i że nie powinno jej interesować, co on ma do zrobienia albo co już zdążył zrobić. I chociaż do pewnego stopnia była to prawda, Reilly szybko stwierdziła, że starszy pracował bez zapału, mało skrupulatnie i stosował przestarzałe metody, a na dodatek nie miał najmniejszej ochoty uczyć się nowych sztuczek.

Do tego wszystkiego - o czym na szczęście ją uprzedzono, zanim przyjechała do Dublinu - jak wielu tradycjonalistów był przekonany, że jego słowo to wyrocznia, miał nieprawdopodobnie rozdęte ego i wygłaszał szowinistyczne poglądy. Łatwiej by to zniosła, gdyby się trochę bardziej przykładał do pracy, ale nawet wtedy nie podobałoby się jej jego zachowanie wobec współpracujących z nim kobiet, a zwłaszcza wobec Lucy, przemilej dziewczyny, którą wyraźnie bolało takie lekceważące traktowanie.

Jakby tego było mało, Reilly musiała dać sobie jeszcze radę z normalną w tych warunkach rezerwą wobec niej - nie tylko osoby spoza, ale także blondynki.

Pokręciła głową, przypominając sobie, jak pierwszego dnia po porannej odprawie znalazła na swoim biurku czerwony kostium kąpielowy w stylu *Słonecznego patrolu*. Najwyraźniej ktoś uznał to za wyśmienity żart, ale na niej nie zrobił żadnego wrażenia - za czasów nauki w FBI musiała sobie radzić ze znacznie cięższymi dowcipami.

Przyjrzała się jeszcze raz dowodom w sprawie zabójstwa Ryan. Wreszcie mogła samodzielnie koordynować postępowanie. Gdy nie czuła oddechu Gormana na karku, mogła poświęcić tyle czasu, ile chciała, na wyobrażanie sobie sceny z najdrobniejszymi szczegółami. A także na swoje czary-mary.

Uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie, jaką reakcję wywołało jej zachowanie w mieszkaniu Clare Ryan. Nauczyła się tego w Quantico i doprowadziła tę technikę do perfekcji. Jej wykładowca Rob Crichto wpajał swoim uczniom przekonanie o ogromnej wadze trójwymiarowego postrzegania sceny zbrodni. Ten jeden z najlepszych śledczych na świecie i najbardziej wartościowych ludzi, z jakimi miała szczęście pracować, zginął w trakcie pewnego dochodzenia, gdy na terenie należącym do podejrzanego nadepnął na minę przeciwpiechotną. Z pewnością dostrzegłby ironię losu w tym, że on, który tak wiele czasu spędził na zbieraniu dowodów, sam stał się materiałem dowodowym. „Ludzie, nie bez powodu zostaliście wyposażeni w zmysły” - mawiał. „Nie wolno ich ignorować. Nigdy”.

Reilly z początku podchodziła do tej kwestii sceptycznie, ale wkrótce, stosując metody zalecane przez Roba, odkryła, że dysponuje wyjątkowo czułym węchem, co okazało się bardzo przydatne niemal przy każdej sprawie, nad jaką pracowała. Szczególnie wyczulona była na zapachy kosmetyków. Z łatwością dopasowywała wonie do informacji zawartych w przechowywanej przez mózg kartotece perfum i balsamów do ciała. Wiedziała na przykład, że Karen Thompson lubi *Red Door* Elizabeth Arden, a Carol, recepcjonistka w PLK, zwykle używa *One* CK. Zdziwiła się, gdy zorientowała się, że *Chanel No 5*, ulubiona woda Amerykanek, wcale nie cieszy się wielkim powodzeniem po drugiej stronie Atlantyku.

Do tej pory zmysły doskonale jej służyły, toteż nie zamierzała rezygnować z korzystania z nich jedynie dlatego, że zdaniem irlandzkiego gliniarza w średnim wieku z czerwonym nochalem było to głupie. Dużo gadania, sensu jak na lekarstwo. Takich jak Kennedy Reilly gasiła jednym spojrzeniem. Jeżeli musiała. Choć w sumie Kennedy wyglądał na niezłego glinę, tylko potwornie staroświeckiego. Za to jego partner Chris Delaney, który cieszył się dobrą opinią, wydawał się dobrze nastawiony do PLK. Domyślała się, że śródziemnomorski typ urody

pomagał mu w uzyskiwaniu informacji, przynajmniej od żeńskiej części populacji, chociaż nie miał zwyczaju świadomie wykorzystywać tego atutu. I w odróżnieniu od Kennedy'ego potraktował ją całkiem sympatycznie, a nawet sprawiał wrażenie zainteresowanego wszelkimi wskazówkami, jakie mógłby uzyskać w laboratorium. Tyle że w tej chwili niewiele dla niego miała.

Próbki krwi zostały wysłane do badania toksykologicznego. Jeżeli dadzą wynik pozytywny, będzie można wytłumaczyć przynajmniej zachowanie strzelającego. Niestety, przy standardowym trybie pracy laboratoriów trudno było powiedzieć, kiedy to nastąpi.

Zrobili wszystko, co zwykle: zebrali odciski palców, ślady stóp, włókna - cały materiał dowodowy był aktualnie analizowany. Spece od balistyki dostali broń i łuski i Reilly chciała zajrzeć do nich następnego ranka, by sprawdzić, czy znaleźli coś interesującego.

Tymczasem robiła to, co potrafiła najlepiej: przyglądała się w myślach scenie zbrodni, próbując odtworzyć całe zdarzenie przy uwzględnieniu zebranego materiału i mając nadzieję, że odkryje coś, cokolwiek, co pchnie sprawę naprzód.

Na razie jednak jedynie wzmocniła swoje przekonanie, że coś było nie w porządku.

Siedziała przy biurku i po raz setny przekładała zdjęcia ofiar. Przyglądała się kałużom krwi i rozbryzgom mózgu na wezłowie łóżka. Znaczna część substancji szarej znalazła się na twarzy dziewczyny i jej włosach, część doleciała nawet do książek na stoliku nocnym. Krople krwi na zagłówku i ścianie nad łóżkiem nie budziły zdziwienia - rozprysnęły się w stronę przeciwną do kierunku, z którego nadleciał pocisk. Reilly przyjrzała się broni leżącej na łóżku, która wypadła z dłoni strzelającego.

Coś tu nie pasuje... - zastanawiała się, uciskając skronie w złudnej nadziei, że dzięki temu łatwiej znajdzie odpowiedź. Co takiego nie dawało jej spokoju?



Jeśli wzięło się pod uwagę kaliber broni, trajektorię pocisku i odległość, jaką miał do pokonania, a także pozostałości prochu na dłoni chłopaka, wyniki badań wydawały się zgodne z logiką. Mimo to miała wrażenie, że coś przegapiła. Że ciągle nie dostrzega istotnego szczegółu. Jakiego?

Znów pochyliła się nad dowodami, szukając odpowiedzi... Czasami miała wrażenie, że nigdy w życiu nie robiła nic innego.

Z jakiegoś powodu Chris podczas rozmowy z patolog stanową zawsze czuł się jak uczeń wezwany na dywanik. Karen Thompson zazwyczaj traktowała go obcesowo, a on czuł się małego i niewiele wart.

Gdy wszedł do jej biura, właśnie kończyła rozmowę telefoniczną. Gestem wskazała mu krzesło. Przysiadł na brzeжку, rozglądając się dookoła. Wszystko tu było nieskazitelne i doskonale zorganizowane. Mógł dać w zakład własną głowę, że książki są ustawione alfabetycznie.

Zamordowana dziewczyna, jak się okazało, rzeczywiście nazywała się Clare Ryan. Miała dwadzieścia dwa lata, studiowała na ostatnim roku psychologii na UCD i zdaniem pograżonych w rozpacz rodziców była zbyt zajęta nauką, żeby znaleźć czas na chłopaka. Usłyszeli to obaj z Kennedy dzień wcześniej, gdy ich przesłuchiwali.

- Zbyt zajęta nauką - mruknął Kennedy po wyjściu z domu Ryanów. - Jakim trzeba być bałwanem, żeby uznać, że przy takiej dziewczynie nie kręcił się żaden chłopak?

- Jak widać, nie mieli wielkiego pojęcia o życiu córki - stwierdził Chris. - Nic takiego znowu nadzwyczajnego. Nie każdy ma takie podejście do wychowania dzieci jak ty.

Kennedy - na ile Chris mógł się zorientować - trzymał dwie nastoletnie córki krótko.

- Na razie ustaliliśmy tylko, że zdaniem rodziców Clare nie miała chłopaka. Jeżeli jednak miała, to jej przyjaciółki z college'u na pewno będą wiedziały, z kim się widywała.

Tego ranka mieli obaj odwiedzić uczelnię, lecz po telefonie od Karen Thompson Chris pojechał najpierw do wydziału medycyny sądowej na drugim końcu miasta.

- U obu ofiar znaleziono dowody aktywności seksualnej - usłyszał i natychmiast wrócił do teraźniejszości.

- Tak? - Jeszcze nie do końca pojął, że skończyła rozmowę telefoniczną. Jak zwykle przeszła od razu do rzeczy. - Więc jeśli był jej chłopakiem, możemy odrzucić wersję rabunku i napaści na tle seksualnym.

- Niekoniecznie. Powiedziałam, że znaleziono dowody aktywności seksualnej. Dokładnie wydzielinę z pochwy Clare na naszym tajemniczym młodym człowieku, ale nie odkryto nasienia. Nie ma śladów przemocy, uszkodzeń waginy, dowodów użycia siły.

Chris zaczerpnął powietrza, ale patolog nie dała mu dojść do głosu:

- Oboje wiemy, że to o niczym nie świadczy.

Tak, miała rację. I był zawiedziony. Wolałby usłyszeć, że doszło do użycia przemocy, bo wtedy mieliby bezdyskusyjny przypadek gwałtu, a dzięki temu może łatwiej dałoby się wyjaśnić morderstwo i samobójstwo. No i do tego jeszcze ta kwestia tożsamości mężczyzny.

- Innymi słowy: nastąpiło zbliżenie, najprawdopodobniej nie doszło do gwałtu i nie ma żadnych powodów, by sądzić, że byli stałymi partnerami.

- Tak. - Karen odchyliła się na krześle.

- Jasne. Wiele bym dał za jednoznaczny przypadek - mruknął.

Pozostawała nadzieja, że przyjaciółki Clare rzucą na sprawę nieco światła.

- No w zasadzie to Clare właściwie tak jakby... lubiła chłopaków, ale w sumie to się z nikim nie widywała... To znaczy nie miała stałego chłopaka. - Jenny, najlepsza przyjaciółka denatki,

składała zeznania gęsto przerywane szlochem. - Normalnie w głowie mi się nie mieści, że ona nie żyje - dodała i zalała się łzami. - To regularnie... mogła.

Chris, widząc minę Kennedy'ego, zyskał pewność, że ich myśli podążają jednym torem. Jakim cudem bełkotliwy amerykański żargon zakorzenił się w języku irlandzkich studentów college'u?

- Jenny, wiem, że jest ci trudno wziąć się w garść, ale chciałbym, żebyś mi jedno wyjaśniła: skoro Clare nie miała chłopaka, to widywała się z różnymi chłopcami?

- Nie, no pewnie, że nie. Ona wcale nie była taka. Pan myśli, że była puszczalska? Absolutnie!

- Nic takiego nie powiedziałem - zaproponował Kennedy. - Staramy się dowiedzieć, kto ją zabił, a ty jako jej najlepsza przyjaciółka masz chyba największe szanse nam pomóc.

- Niech pan mnie posłucha. Ja to wiem tylko tyle, że chodzenie z różnymi chłopakami to nie w jej stylu. Jasne, startowali do niej różni, pewnie, ale ona to wołała singlować.

Detektywi spojrzeli po sobie.

- Singlować?

Jenny przewróciła oczami.

- Wołała być singielką. Sama. Bez chłopaka.

Od tej rozmowy minął jakiś czas, a Kennedy nadal ją przeżywał:

- Rany boskie - mrucał pod nosem. - Jeśli moje córki zaczną kiedyś tak mówić, załatwię im korepetycje z języka ojczystego.

- Kolo, ale z ciebie drewniak - rzucił Chris, tłumiąc chichot.

Tak czy inaczej, Jenny utrzymywała, że Clare nie miała chłopaka od czasu, gdy zerwała z Pauliem, kolegą ze studiów. Paul okazał się do głębi wstrząśnięty wiadomością o śmierci byłej dziewczyny i ze wszystkich sił starał się pomóc w śledztwie.

- Byliśmy razem dwa miesiące - wyjaśniał cierpliwie - ale potem Clare zaczęła się uczyć do egzaminów i w sumie przestaliśmy mieć dla siebie czas.

Po kilku dniach śledztwa detektywi nadal poruszali się po omacku. Każdy pytany opisywał Clare Ryan jako zwyczajną, zadowoloną z życia dziewczynę, pozostającą w bliskich stosunkach z rodzicami, otoczoną przyjaciółmi, a przy tym zdolną i pilną. Przesłuchali wszystkich jej znajomych, a nadal nie mieli pojęcia, kim był jej partner ani dlaczego miałby zabić najpierw ją, a potem siebie.

Pogrzeb Clare powinien się odbyć zaraz po wydaniu zwłok z kostnicy, ale rodzice dziewczyny zwlekali, ponieważ mieli kłopoty z zawiadomieniem bliskiej rodziny znajdującej się poza granicami. Chris był pewien, że kiedy wreszcie pochówek zostanie zorganizowany, przyciągnie tłumy.

Z powodu pochodzenia Clare media dostały białej gorączki. Nikt się nie dziwił, gdy strzelały do siebie jakieś szumowiny z przedmieścia, ale gwałtowna śmierć w tak zwanych normalnych sferach była trudna do zaakceptowania, więc żądania wyjaśnień pojawiły się równie szybko jak histeryczne nagłówki. A to oznaczało naciski ze strony O'Briena na szybki przełom w śledztwie. Przełom, na który wcale się nie zanosilo.

Na razie nikt nie powiedział o Clare Ryan złego słowa, nie wypłynął na powierzchnię nawet najślabszy motyw jej zabójstwa. Przez co okoliczności jej śmierci wyglądały jeszcze bardziej złowieszczo.

## CZTERY

- Reilly, znalazłabyś chwilkę?

Przed biurkiem stała wyraźnie zmartwiona Lucy.

- Jasne. Co się stało?

Lucy przygryzła dolną wargę.

- Natrafiłam na coś dziwnego.

- Słucham cię.

Reilly wróciła do pisania. Miała sporo pracy i raczej nie bawiły

jej teraz zgadywanki. Najwyższy czas, by Lucy-która trochę przypominała ją samą z początków pracy w sądownictwie śledczym - zyskała więcej wiary w siebie i nauczyła się polegać na intuicji.

- Moim zdaniem powinnaś na to rzucić okiem.

Tym razem jakiś szczególny ton w głosie Lucy przyciągnął uwagę Reilly. Odłożyła długopis.

- O co chodzi?

- Chodź ze mną, dobrze?

Poszła za Lucy do laboratorium i po chwili obie stanęły przy mikroskopie optycznym.

- Spójrz i powiedz mi, co widzisz - poprosiła Lucy. Reilly schyliła się, zajrzała w okular. Ustawiła czterystukrotne powiększenie.

- Dziwne... - uznała, przyglądając się próbce. Wyprostowała się. To nie miało sensu.

- Właśnie - zgodziła się Lucy. - Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy o tym wspominać...

- Dobrze zrobiłaś. To istotny szczegół. Istotny. Ale dziwny
  - dodała ciszej, jakby mówiła do siebie.
  - Jak myślisz, co to jest?
  - Wygląda na sierść - odpowiedziała Reilly. - Ludzkie włosy są znacznie cieńsze, łuski mają luźniej ułożone wokół rdzenia.
  - Odsunęła się od mikroskopu. - Niestety, trudno stwierdzić, jakie to zwierzę, przynajmniej dopóty, dopóki nie zyskamy próbki porównawczej.
  - W pewnym sensie mamy ją - odezwała się Lucy niepewnie.
- Reilly westchnęła głęboko.
- Choć nie do końca o takie porównanie by nam chodziło... Zerknęłabym jeszcze na próbkę farby, dobrze?
  - Jasne.

Lucy przygotowała drugi preparat, tym razem korzystając z innego materiału dowodowego. Reilly przyjrzała mu się w niewielkim powiększeniu.

- Obie próbki farby trzeba będzie jeszcze przebadać mikro-spektem - stwierdziła, używając ogólnie przyjętego skrótu na mikrospektroskop, który pozwalał na elektroniczną analizę długości fali energii absorbowanej i oddawanej przez konkretny materiał. - Przekonamy się, czy rzeczywiście są identyczne. Gdybym miała żyłkę do hazardu, założyłabym się, że właśnie tak jest.
- Też mi się tak wydaje - stwierdziła Lucy. - A skoro i włos, i farba pochodzą z miejsca zabójstwa Ryan...
- ...rozumie się samo przez się, że tak czy inaczej mamy spory kłopot - dokończyła Reilly ponuro.

Włos i próbka farby, które właśnie obejrzały, nie pochodziły z mieszkania Ryan. Zostały zebrane później, w domu mężczyzny uznanego za samobójcę.

Reilly wróciła do biura. Nie chciała wyciągać pochopnych wniosków, dlatego postanowiła skontaktować się z prowadzącym tę sprawę wydziałem. Chwyciła płaszcz, ruszyła do drzwi. Posterunek znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej, a ona

potrzebowała świeżego powietrza, by zebrać myśli. Poza tym wiedziała z własnego doświadczenia, że z glinami należało w miarę możliwości rozmawiać twarzą w twarz.

W komendzie na Harcourt Street zawsze panował rejwach, który tym razem zdawał się przekraczać wszelkie granice. Od jakiejś zabieganej policjantki otrzymała informację, jak trafić do odpowiedniego pokoju, i dalej musiała sobie radzić sama. Stanąwszy w progu właściwego pomieszczenia, zobaczyła stłoczone stare biurka, przestarzałe komputery i zapracowanych funkcjonariuszy. Jeden z nich, nieco starszy, siedzący niedaleko wejścia, zauważył jej wahanie.

- Kogo szukasz, kochanieńka?

- Jonesa - odparła niepewnie. Wskazał drugą stronę pokoju.

- Tam, pod ścianą. Widzisz chłopaka w niebieskim swetrze?

Odszukała wzrokiem właściwą osobę. Jones okazał się mężczyzną po trzydziestce, miał ciemne włosy i gęste brwi. Pracowicie wystukiwał coś na komputerze.

- Widzę, wielkie dzięki. - Ruszyła krętym szlakiem między biurkami. - Pan się nazywa Jones? - zapytała, gdy dotarła do celu.

Wolno podniósł głowę.

- A kto pyta?

Reilly wyciągnęła rękę.

- Reilly Steel, PLK.

Wyglądał na zdziwionego, więc tym bardziej od razu przeszła do rzeczy:

-Badamy materiał dowodowy zebrany na miejscu samobójstwa, którym zajmuje się pana zespół. Chciałabym zadać panu kilka pytań na temat tego śledztwa, jeśli można. - Wczorajsza kolacyjka obficie doprawiona czosnkiem musiała być smakowita, stwierdziła w myślach, cofając się nieco. W takich sytuacjach jak ta czuły nos okazywał się przekleństwem.

Ponieważ większość policjantów z niechęcią odnosiła się do jakichkolwiek ingerencji PLK, Reilly miała świadomość, że będzie musiała pokonać opór Jonesa.

- Jest jakiś problem? - zapytał.

- Właściwie nie. Jak wspomniałam, chciałabym po prostu wyjaśnić kilka szczegółów. Potrzebne mi są do raportu. Pan prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Jima Redmonda zamieszkałego w Donnybrook?

Jones pokiwał głową z rezerwą.

- Czy potwierdzono, że to było samobójstwo?

Westchnął ciężko i wskazał gościowi krzesło, a Reilly natychmiast się zorientowała, że jego zdaniem PLK wtykające nos w sprawę samobójstwa było dopustem bożym.

- Czekamy na opinię patologa, czy facetowi ktoś nie pomógł, ale ofiara wisiała na belce we własnej jadalni. Gołym okiem było widać, że to samobójstwo.

Reilly z całego serca nie znosiła takiego sposobu myślenia. Nigdy nie przypisywała większej wartości faktom ustalonym w śledztwie.

- Czy był żonaty? - spytała.

Jones kiwnął głową i znacząco spojrział na zegarek, ale Reilly potrafiła zachować się jak terier, który zapędził szczura do kąta. Nie zamierzała odpuścić zdobyczy dopóty, dopóki nie dostanie tego, czego chciała.

- Co mówi żona na ten temat?

- Zwyczajnie. - Machnął dłonią, odbierając zeznaniom żony wszelkie znaczenie. - Pani Redmond twierdzi, że jej mążnek nie miał najmniejszego powodu do samobójstwa - mruknął - i że to musiał być jakiś wypadek. Ale czego się po niej spodziewać.

Reilly uniosła brew.

- Ma jakieś konkretne powody, by tak sądzić?

- Nie. Powody są takie jak zawsze: mąż był w świetnej formie, byli szczęśliwi, kochali się i żyli jak w bajce. Nic nowego.



- Czyli żona twierdzi, że byli szczęśliwi, mimo to on...
- otworzyła skoroszyt, zajrzała do raportu - ...powiesił się na prześcieradle płóciennym...
- Dawniej robiło się solidne rzeczy. Aha, żona twierdzi, że nie umiałby zrobić odpowiedniego węzła. Miał do tego dwie lewe ręce. Sam nie wiem. Szkoda kobity, jasne, ale... Cóż, czasami po prostu trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Zwłaszcza jeśli znalazło się list pożegnalny.

Reilly nastawiła uszu.

- Zostawił list?

Z jej punktu widzenia była to doskonała wiadomość, gdyż potwierdzała wstępną diagnozę. Tyle że jeśli faktycznie było to samobójstwo, tym trudniej byłoby wyjaśnić zebranie identycznego materiału dowodowego w dwóch miejscach zbrodni.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i napomniała siebie, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków. Najpierw powinna się przekonać, do czego doprowadzi badanie dowodów. We wspomnieniach pojawiła jej się inna mantra dawnego mistrza: „Szalenie ważnym narzędziem waszej pracy jest intuicja, ale wolno z niej korzystać jedynie wtedy, gdy odwołuje się do dowodów”.

- Tak, zostawił. W jadalni, na stole, żeby go nikt nie przegapił. Dziwaczny ten list - zauważył Jones. - Nie taki jak zwykle, prosto z mostu: „Przepraszam, dłużej nie wytrzymam”, i tak dalej.

- Dziwaczny... - powtórzyła Reilly. - To znaczy?

-Nie zacytuję go z pamięci... Proszę chwilę poczekać.

- Objął spojrzeniem piętrzące się na biurku papierzyska.

- Gdzieś tu mam ten raport.

Reilly patrzyła, jak Jones szuka akt, i zastanawiała się, jakim cudem ludzie w ogóle mogą pracować w takim bałaganie. Niespecjalnie ją w tym wszystkim interesowała treść listu pożegnalnego, bardziej martwił ją fakt, że on w ogóle istnieje.

- O, jest. - Jones wyciągnął odpowiedni papier i odchrząknął jak uczeń przed recytacją wiersza. - „Nigdy nie jesteśmy tak bezbronni wobec cierpienia jak wtedy, gdy kochamy, nigdy tak nieszczęśliwi jak wtedy, gdy utracimy obiekt miłości”. To tyle. Dziwaczne, prawda?

- Raczej smutne - zastanowiła się Reilly. - Brzmi trochę jak cytat.

Jones wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, co to mogłoby być. Żona zmarłego też nie wie i nie rozumie, co chciał przez to powiedzieć. Bez wątplenia jednak jest to pożegnanie.

- Możliwe. - Przyszła jej do głowy zaskakująca myśl. - Może mi pan zrobić kopię?

- Czego? Listu? Po co? - Jones znowu nabrał rezerwy. - I w ogóle, dlaczego panią interesuje ta sprawa?

Reilly westchnęła dramatycznie, jakby się zgadzała z policjantem, że jej obecność na posterunku to kompletna strata czasu.

- PLK przechodzi gruntowną transformację. Mamy obowiązek dwa razy sprawdzić każde badanie związane z najnowszymi przypadkami. - Przewróciła oczami. - Sam pan wie, jak to jest.

Nie zamierzała ani słowem wspominać o zbieżności materiału dowodowego, przynajmniej dopóki czegoś na tym polu nie osiągnie. Na szczęście odwołanie się do wspólnych doświadczeń okazało się dobrą linią postępowania.

- Wiem, wiem. No dobrze, najlepiej skserować od razu, skoro już trzymam go w ręku.

Wstał, podszedł do kopiarki. Reilly nie odstępowała go na krok.

- Mam jeszcze jedno pytanie przy okazji. Czy Redmondowie mieli jakieś zwierzę?

- Nie wiem, ale mocno wątpię. - Jones wsunął notatkę do maszyny i wdusił przycisk „start”. - Nie mieli dzieci, a on, zdaje się, w związku z pracą podróżował po całym świecie. Był

deweloperem, a tacy ludzie nie pojawiają się w domu na tyle często, żeby opiekować się zwierzętami. Ale zapytam.  
- Podał Reilly kopię listu. - Proszę, słonko - powiedział tonem zarezerwowanym dla niezbyt rozbawionego dziecka. -  
Idź i baw się.

Tym razem nie tylko zapach czosnku doprowadził Reilly do irytacji.

Wróciwszy do laboratorium, usiadła za biurkiem i zapatrzyła się w słowa listu pożegnalnego: „Nigdy nie jesteśmy tak bezbronni wobec cierpienia jak wtedy, gdy kochamy, nigdy tak nieszczęśliwi jak wtedy, gdy utracimy obiekt miłości”.

Był smutny, przygnębiający, przywodził na myśl cierpienie i utraconą miłość... Ale przecież żona twierdziła, że dobrze im się układało. Wobec tego kto był tą miłością? Choć jak na biznesmena Redmond miałby zadziwiająco poetycką duszę.

Przeczytała list jeszcze raz. Wieloznaczne słowa, skryte sentymenty... W swojej prostocie doskonałe prawie jak u Szekspira. Może to faktycznie z Szekspira? W kontekście zdarzeń nie miało to większego znaczenia, ale ciekawość wzięła górę. Reilly włączyła Google'a i wpisała w wyszukiwarce całe zdanie. Natychmiast uzyskała listę rezultatów. Aha! To jednak był cytat. Co prawda nie z Szekspira, ale cytat. Z Zygmunta Freuda. Interesujące. Jak większość ludzi wykształconych, Reilly zetknęła się z dziełami słynnego psychoanalityka, ale dawno, w czasie studiów, i miała jako takie pojęcie o wpływie jego prac na rozwój behawioryzmu. Ale akurat tego zdania nie pamiętała. „Nigdy nie jesteśmy tak bezbronni wobec cierpienia jak wtedy, gdy kochamy, nigdy tali nieszczęśliwi jak wtedy, gdy utracimy obiekt miłości”.

Naszła ją kolejna refleksja. A może zwrot „obekt miłości” nie dotyczy człowieka? Przecież Freud uznawał, że człowiek wszystko uprzedmiotawia. Tak czy siak to zastanawiające, że deweloper był aż tak bardzo zainteresowany Freudem, by jego słowami żegnać się ze światem.

W końcu odsunęła kopię listu na bok i sięgnęła po telefon, żeby zawiadomić o swoim odkryciu Jonesa. Może Redmond studiował psychologię w czasach college'u? A może istnieje jakieś inne, proste wyjaśnienie? Raptem wyprostowała się jak struna. Lodowaty dreszcz przeszedł jej po plecach. Cholera, jakim cudem to przeoczyłam?

Gorączkowo przerzuciła kilka teczek i chwyciła właściwą. Nie miała racji, sądząc, że dawno nie zetknęła się z Freudem. Spotkała się z jego dziełem kilka dni temu. I to w okolicznościach raczej wykluczających przypadek. Przerzuciła fotografie z miejsca zbrodni. Znalazła tę, której szukała. Owszem, jak najbardziej.

## **PIEC**

Policjant czekał na nią przed mieszkaniem Clare Ryan. Stał wyprężony jak struna, jak gdyby w zasięgu wzroku pojawił się srogi sierżant.

-Trochę niezwykła prośba, jeśli wolno mi zauważyć - powiedział. - Zwłaszcza o tej porze.

Reilly uśmiechnęła się rozbijając.

- Przepraszam, że tak późno. Muszę coś sprawdzić. Gliniarz wybrał odpowiedni klucz i otworzył drzwi.

- Szczerze powiedziawszy, pani prośba jest mi na rękę. Lepiej się tu przejść, niż nudzić na posterunku, czekając na wezwanie do następnej pijackiej rozróby.

Reilly weszła do mieszkania, mundurowy deptał jej po piętach. Wnętrze spowijała ciemność, tylko przez wysokie okna do środka wpadały delikatne smugi światła i kładąc się na podłodze, dziwacznie zniekształcały perspektywę. Przystanąła w progu. Dlaczego dopiero teraz ciarki chodziły jej po plecach, skoro dawno zabrano stąd ciała i nie powinna już tu panować atmosfera jak z horroru? Oczywiście miejsca zbrodni zawsze wydawały się mniej złowieszcze za dnia, lecz Reilly podejrzewała, że ciemność nie ma tu nic do rzeczy. Dopiero teraz, gdy zrozumiała, że przy poprzedniej wizycie umknęło jej coś istotnego, jej zmysły były bardziej wyostrzone i nieomal odczuwała obecność kogoś trzeciego - zabójcy, może ofiary? - osoby, która dopingowała ją do działania.

Albo prześladowała ją.

Policjant włączył światło i atmosfera momentalnie się zmieniła. Agentka ruszyła do sypialni. Musiała wziąć się w garść. Jej towarzysz podążył za nią, utrzymując świadczący o szacunku dystans przyzwoitych dwóch kroków.

W sypialni to ona zapaliła światło.

Miejsce zbrodni wyglądało teraz w zasadzie równie ponuro jak wówczas, gdy je zobaczyła po raz pierwszy. Ciała zniknęły, ale krew na ścianie, pociemniała już i zaschnięta, robiła jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. I ten zapach... Ledwo uchwytna woń krwi, mózgu i śmierci nadal wisiała w powietrzu, drażniąc wrażliwe zmysły Reilly. Chwilę stała bez ruchu, wchłaniając panujący tu nastrój i próbując wyobrazić sobie leżącą na łóżku Clare, niezidentyfikowanego mężczyznę i jeszcze kogoś... trzeciego. Natychmiast poczuła się nieswojo.

Skup się, zganiała siebie w myślach.

Odsuwając na bok wszelkie obawy, zaczerpnęła głęboko powietrza i zamknęła oczy. Chciała oswobodzić wszystkie zmysły, odmalować sobie miejsce zbrodni całkiem na nowo, tym razem z tą trzecią osobą.

Najpierw zabójca strzela Clare w pierś. A co w tym czasie robi chłopak? Spokojnie leży? Jak morderca zdołał ich sterroryzować? Trudne do wyobrażenia. Potem Clare umiera, z trudem łapie kilka ostatnich haustów powietrza. W jej klatce piersiowej ziejie ogromna dziura, a sprawca kieruje broń na chłopaka - strzela. Mózg rozbryzguje się na ścianie.

Stopniowo oswobodziła się z myśli i wyobrażeń, podeszła do nocnego stolika. Właśnie z jego powodu tutaj wróciła. Przykłęka, bacznie przyjrzała się książkom równo ustawionym na blacie. Przysunęła się bliżej. Trudno uwierzyć, że poprzednim razem przeoczyła tak istotny szczegół. Dopiero teraz, gdy już o nim wiedziała, rzucał się w oczy. Wśród książek znajdujących się na stoliku nocnym jedna była czysta - niepokryta plamami krwi ani mózgu. Co oznaczało,

że znalazła się na miejscu po śmierci Clare i jej chłopaka. Właśnie.

- Znalazła pani to, czego szukała? - zapytał mundurowy. Reilly drgnęła. Zapomniała o jego obecności.

- Tak, znalazłam - odparła, próbując opanować drżenie głosu.

Trudno jej było oderwać wzrok od tytułu wypisanego wzdłuż nieskazitelnie czystego grzbietu. *Objaśnianie marzeń sennych*. Autorstwa Zygmunta Freuda.

- Kennedy, słucham - odezwał się w słuchawce burkliwy głos.

Reilly zakłęła w duchu. Wolałaby rozmawiać z Chrisem Delaneyem - co do reakcji jego cynicznego partnera nie miała złudzeń.

- Mówi Reilly Steel z laboratorium kryminalistycznego. Znaleźliśmy coś istotnego w sprawie Ryan.

- Słucham - powtórzył Kennedy, nawet nie próbując ukryć podejrzliwości wobec wszystkiego, co łączyło się z PLK.

- Przede wszystkim w innym miejscu zbrodni zebraliśmy materiał dowodowy identyczny z waszym.

-Aha...

- Pracujemy bowiem także nad odrębną sprawą, domniemanym samobójstwem Jima Redmonda. Wszystko pasowało do momentu, gdy znaleźliśmy farbę i zwierzęcą sierść. Obie próbki okazały się identyczne z tymi, które pobraliśmy w mieszkaniu Clare Ryan.

Kennedy natychmiast zmienił się w zawołanego sceptyka.

- Co my mamy wspólnego z samobójstwem? Może to ktoś z was przeniósł materiał dowodowy. Wdepnął albo co...

Reilly była przygotowana na takie argumenty.

- Jestem całkowicie pewna, że do niczego takiego nie doszło. Przez kilka miesięcy wpajałam swoim ludziom nawyki dotyczące zabezpieczenia miejsca zdarzenia i wiem, że do każdego

wejścia są przygotowani bez zarzutu. Sam pan widział, jak jesteście ubrani. Przez kombinezony nie przedostanie się nic. A przed każdym kolejnym badaniem w terenie wkładamy nowe.

Kennedy nie wydawał się przekonany. Z pewnością nie miał ochoty na większe komplikacje w sprawie, która i tak nie należała do prostych.

-Wobec tego pewnie któryś z naszych chłopaków się nie popisał - stwierdził. - Było u Ryan kilku mundurowych. Widziała pani ten cyrk.

- Tę możliwość również wzięłam pod uwagę - odparła Reilly. - Sprawdziłam, żaden z policjantów wezwanych do zabójstwa Ryan nie miał do czynienia z tą drugą sprawą. I obie wydarzyły się w różnych częściach miasta. -

Odchrząknęła. Jeżeli kwestia farby wzbudzała w nim taki opór, to co będzie przy Freudzie? - Oba dochodzenia łączy jeszcze jedno.

Jakiś czas trwała cisza.

- Co takiego? - zapytał Kennedy wreszcie.

- Jim Redmond zostawił list pożegnalny. Właśnie odkryłam, że to cytat z Freuda. - Zawiesiła głos, ale ponieważ Kennedy się nie odzywał, podjęła wątek: - Zygmunta Freuda, ojca nowoczesnej psychologii.

- Droga pani, udało mi się skończyć college - burknął. - I co z tym Freudem?

- Mamy kolejny wątek łączący oba przypadki: egzemplarz *Objaśniania marzeń sennych* znajdował się na nocnym stoliku Clare Ryan w dniu jej śmierci.

- Tak? A co w tym dziwnego? Przecież studiowała psychologię.

- Na książce nie znalazłam śladów krwi, co oznacza, że została tam umieszczona po śmierci Clare i jej chłopaka.

Kennedy westchnął ciężko. Nie miał najmniejszej ochoty ustąpić i przyznać jej racji. Reilly miała świadomość, że rozmowa za chwilę się skończy.

- Nie uważa pan, że takie same włókna i zbieżność w kwestii



Freuda to trochę za dużo jak na zwykły przypadek? - podjęła pośpiesznie. - Jeżeli istnieje prawdopodobieństwo, nawet niewielkie, że te dwie sprawy są powiązane, trzeba wziąć pod uwagę udział osoby trzeciej i...

- Proszę pani - przerwał jej Kennedy znużonym głosem. - Zdaję sobie sprawę, że w pani ojczyźnie teorie spiskowe są na porządku dziennym, ale u nas zwykle sprawy nie są aż tak skomplikowane...

Właśnie miała się sprzeciwić, gdy na drugim końcu usłyszała jakieś szumy, a potem przekleństwo.

- Dzień dobry! - odezwał się inny głos. - Mówi Chris Delaney. Proszę wybaczyć mojemu partnerowi, ma dzisiaj kiepski dzień. Co pani dla nas znalazła?

Reilly po cichu odetchnęła z ulgą.

- Właśnie mówiłam, że pojawiły się interesujące dowody w sprawie morderstwa Clare Ryan.

- To znaczy?

Z niekłamana przyjemnością zrelacjonowała najnowsze odkrycia chyba jedynej osobie w policji gotowej jej wysłuchać.

## **SZESC**

Chris wrócił do domu wieczorem. Stawy mu skrzypiały, trzeszczały i rwały, czuł się, jakby miał sto lat z okładem. Przekręcił klucz w zamku, przestąpił próg i natychmiast poczuł się lepiej. Niewielkie mieszkanie z dwiema sypialniami, usytuowane na nadbrzeżu, pochłaniało co miesiąc pokaźną część wypłaty, ale było swojej ceny, choćby ze względu na widok na Wielki Kanał. Prywatny raj, ukojenie dla znużonego ciała i umysłu.

Huczę i kurtkę rzucił niedbale w przedpokoju i od razu przeszedł do salonu. Światła miasta odbite w ciemnej wodzie... Imponująca panorama. Od razu poczuł się lepiej. Stał kilka chwil bez ruchu, napawając się bajecznym obrazem.

Musiał przyznać, że natłok zdarzeń z ostatnich dni zaczynał mu się dawać we znaki. Pracowali z Kennedym nad morderstwem Ryan, ale równocześnie prowadzili dochodzenie w sprawie niezidentyfikowanego torsu - i oba śledztwa stały w miejscu. Owszem, Reilly Steel utrzymywała, że w materiale dowodowym z mieszkania Ryan istnieją elementy zastanawiające, ale jej domysły nie posunęły dochodzenia choćby o krok.

Rozważał raz jeszcze tę rozmowę. „Przykro mi, ale naprawdę nie mam pojęcia, jak wykorzystać te informacje”, powiedział. „Jedno wiemy na pewno: nie widzimy wszystkiego”, stwierdziła. „Skoro dysponujemy identycznymi próbkami

materiału dowodowego pochodzącymi z dwóch miejsc, powinniście przynajmniej wziąć pod uwagę możliwość udziału osoby trzeciej".

Zapytał Ryanów, czy oni albo córka mieli jakieś zwierzęta. Nie mieli, córka była astmatyczką. Wypytywał również o jakiegokolwiek powiązania z Redmondami. Nic. Do tego Kennedy uparcie twierdził, że trudno przywiązywać wagę do kwestii Freuda, skoro dziewczyna studiowała psychologię. Na dodatek wciąż nie mieli pojęcia, kim był jej martwy towarzysz, a brak sensownych tropów irytował ich i przygnębiał.

Chris poczuł głód. Poszedł do kuchni sprawdzić, czy uda się wykombinować jakąś kolację. Nie był wprawnym kucharzem, ale niekiedy lubił poeksperymentować.

Otworzył lodówkę. Znalazł w niej głównie białą pustkę, zakłócaną jedynie na wpół opróżnionym kartonem mleka i dwoma przejrzałymi pomidorami. Cholera. Z tego kolacji zrobić nie da rady.

Na wszelki wypadek zajrzał jeszcze do zamrażalnika w nadziei, że skryła się w nim jakaś zapomniana lasagne.

Niestety, szczęście nie chciało się do niego uśmiechnąć. Diabła tam, wobec tego trzeba będzie zamówić.

Niedaleko, przy tej samej ulicy, znajdowała się chińska restauracyjka, która przez ostatnie trzy lata utrzymywała się zapewne głównie dzięki niemu. Wziął to, co zwykle. Pozostało jedynie odczekać na dostawę obowiązkowe pół godziny, wobec czego włączył telewizor. Chciał przestać myśleć o pracy, przynajmniej na kilka chwil, więc szukał czegokolwiek poza informacjami. Media stale wałkowały kwestię braku postępów w sprawie morderstwa Ryan, a jemu stanowczo nie trzeba było o tym przypominać. W końcu trafił na jakiś nudnawy kwiz, na który można się było bezmyślnie pogapić.

Niestety, gdy zdołał się uwolnić od spraw zawodowych, wróciły pytania dotyczące stanu zdrowia. Niepokojące drganie mięśni na komendzie, ciągle rwanie w stawach... Dolegliwości, które przed kilkoma tygodniami powodowały jedynie drobny

dyskomfort, najwyraźniej przekształcały się w coś poważniejszego Rozważał w myślach różne możliwości.

Artretyzm. Wyjaśniałby bóle stawów, owszem, ale nie ciągle zmęczenie.

Oczywiście jego praca była fizycznie wyczerpująca, i to z każdym rokiem coraz bardziej, mimo wszystko ostatnie badania dowodziły, że utrzymywał szczupłą sylwetkę dbał o kondycję i cieszył się ogólnie dobrym stanem zdrowia Dzięki regularnym ćwiczeniom nie obawiał się nadwagi, a do kompletu, jeśli nie liczyć chińszczyzny, na ogół odżywiał się całkiem

przyzwoicie. . Westchnął z rezygnacją. Artretyzm nie pasował. Am do wieku, ani do rodzaju pracy.

W zasadzie nie miał życia osobistego - całym jego światem była praca. I czuł się dobrze w swojej roli. Jako stróż prawa walczył o sprawiedliwość w swoim ukochanym kraju i dzięki temu wiedział, że żyje. I nawet jeśli ostatnio z każdą kolejną teczką kryjącą akta potwornej zbrodni coraz trudniej mu było wskrzesić w sobie dumę z ojczyzny, to kłopoty ze zdrowiem nie wróżyły niczego dobrego.

Przeciagnał ręką po włosach i usiadł wygodniej na sofae Nie mógł iść do lekarza firmowego. Za nic w świecie.

Gdyby wypłynęło cokolwiek podejrzanego albo chociaż odbiegającego od normy, informacja o tym natychmiast trafiłaby do jego teczki personalnej i przyczyniła się do kwestionowania jego formy przy następnym sprawdzanie fizycznym. Może by nawet utknął za biurkiem na dobre. Nie, nie. Musiał pójść do lekarza, którego nie znał, a co istotniejsze, który nie znał jego zawodu.

Przypomniał mu się artykuł przeczytany nie tak dawno w Independent". Autor pisał o pewnej klinice mieszczącej się gdzieś w Southside, w której można było zrobić kompletne badania - trochę jak przegląd techniczny pojazdu. Trzeba się będzie szarpnąć na taki luksus. Przynajmniej, jeżeli faktycznie coś odkryją, dowie się o tym tylko on. Nie będzie raportu ani zaleceń skierowanych do przełożonych, żadnego wysyłania sprawozdań.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Zerknął na wyświetlacz.

- Cześć, Matt, jak leci? - spytał z uśmiechem.

Matt Sheridan był jego starym przyjacielem. Ostatnio ich kontakty nieco się rozluźniły, bo jeden harował jak wół przy śledztwach, a drugi robił karierę adwokacką i na dodatek pół roku temu został ojcem. Chris uświadomił sobie z niejakim zaskoczeniem, że małą Rachel ostatni raz widział przed kilkoma tygodniami, kiedy podawał ją do chrztu.

- Dzwonię sprawdzić, czy jeszcze żyjesz - powiedział Matt.

Owszem, Chris czuł się winny zaniedbania kontaktów z przyjacielem, ale był pewien, że Matt nie dzwoniłby tylko z takiego powodu.

- Wybacz, stary, ostatnio nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

- Wiecznie to samo. Przynajmniej dzisiaj wróciłeś do domu o przyzwoitej godzinie. Spokojniejszy dzień?

- Marzę o spokojniejszym dniu... - Przerwał na moment. - A co u was? Emma dobrze się czuje? Rachel na pewno coraz tłuściejsza...

- Jasne. Coraz tłuściejsza. Z dnia na dzień robi się coraz bardziej podobna do matki. Au! - jęknął. - Em, to był komplement!

Chris wydedukował bez trudu, że przyjaciel dostał od żony serdecznego szturchańca. Co nie oznaczało, że Emma Sheridan miała się czym martwić, jeśli chodzi o wymiary. Była niewysoka, smukła, o psotnej twarzyczce i wielkich oczach.

i w żaden sposób nie dało się jej nazwać tłąstą.

- Pozdrów ją ode mnie i przekaż, że jak tylko będę mógł, to do was zajrzę.

- Słuchaj, no właśnie... Czekał, Emma chce z tobą porozmawiać. - Matt konspiracyjnie zniżył głos. - Jeszcze dam ci dobrą radę, kolego. Na twoim miejscu wiałbym, gdzie pieprz...

Chris, nawykły do życzliwych kpin zaprzyjaźnionego małżeństwa, uśmiechnął się lekko.

- Witam pana! - Słuchawkę przejęła Emma. - Co robisz w niedzielę? Zaprośmy kilka osób na kolację. Nic wielkiego, tylko paru miłych znajomych i przy okazji...

- Nie litości, tylko nie to - jęknął Chris, domyślając się dalszego ciągu. - Mówiłem ci sto razy, że nie mam teraz czasu na takie sprawy.

- Kochany ty mój. „Te sprawy”, jak to ładnie ująłeś, nie mogą czekać, aż na nie znajdziesz czas. Musisz trochę odetchnąć. Należy ci się odrobina przyjemności od życia, a moja przyjaciółka Annmarie jest prześliczna. W dodatku pochłonięta robieniem kariery zawodowej, dokładnie jak ty. Macie z sobą mnóstwo wspólnego.

- Emmo, naprawdę nie potrzebuję swatki. Świetnie daję sobie radę sam. . .

- Tak? A ja wiem, że od rozstania z Melanie minęły ponad dwa lata. - W jej głosie zabrzmiała troska.

Chris zacisnął usta. Nie miał ochoty rozmawiać o swojej byłej.

- Posłuchaj dobrej rady - podjęła Emma szybko. - Naprawdę powinieneś zacząć bywać między ludźmi, rozerwać się trochę odpocząć. Wiem, że praca jest dla ciebie ważna, i szanuję cię za to, ale jeśli tak dalej pójdzie, któregoś dnia uświadomisz sobie, że jesteś staruszką, a życie nie wiadomo kiedy przeszło ci koło nosa.

- Wielkie dzięki - uśmiechnął się kpiąco. - Takich słów było mi trzeba na koniec znojnego dnia pracy.

Oczywiście nie miała pojęcia, że już czuł się jak starzec. Czy powinien opowiedzieć przyjaciołom o swoich kłopotach ze zdrowiem? Emma chętnie mu matkowała, zwłaszcza po tym jak pochował rodziców. Nie, jednak nie. Nie dałaby mu chwili spokoju, póki by czegoś nie zrobił. Postanowił na razie milczeć. Ujawni się, jeżeli sytuacja rzeczywiście się pogorszy.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Bez przerwy pracujesz. W ogóle nie korzystasz z życia. Musisz odpocząć, musisz od czasu do czasu wygospodarować chwilę dla siebie. Czekamy na ciebie w niedzielę.

- Emmo, nawet gdybym nie wiem jak bardzo chciał poznawać nowych ludzi, to w niedzielę i tak przyjść nie mogę - skłamał. - Jestem zajęty. - Usłyszał dzwonek do drzwi i rozpromienił się z wdzięczności. - Wybacz, muszę kończyć. Kolacja dotarła.

- Znowu jesz byle co? - spytała Emma wyraźnie zmartwiona. Obiecał odezwać się niebawem, a potem pożegnał się szybko, żeby uniknąć kolejnego wykładu.

Doceniał szczere chęci przyjaciół, ale rzeczywiście nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany zawieraniem nowych znajomości. Swoją drogą, faktycznie brakowało mu czasu na takie zabawy. No i przynajmniej nie pił, jak większość chłopaków w dochodzeniówce, chociaż był samotnikiem i pra-coholikiem. Alkohol stanowił dla niego element życia towarzyskiego, a jak słusznie zauważyła Emma, od jakiegoś czasu nieszczególnie udzielał się towarzysko.

Skrzywił się, wstając, by otworzyć drzwi. Przy odrobinie szczęścia upora się z kłopotami na tyle szybko, że nikt się o niczym nie dowie. Pewnie wystarczą pigułki, może zalecą mu zmianę diety, jakąś najzwyczajszą pod słońcem kurację, która nie przeszkodzi mu w pracy. Tak czy inaczej trzeba będzie się tym zająć, pomyślał, płacąc dostawcy za wołowinę chow mein.

## SIEDEM

Wąski mroczny korytarz do połowy blokowały rower i wózek inwalidzki. Reilly przecisnęła się bokiem i zatrzymała przed drzwiami oznaczonymi numerem dwadzieścia trzy. Nie miała najmniejszej ochoty zrobić następnego kroku. Czuła się bardzo nie na miejscu w tym obskurnym budynku, a jeszcze miała na sobie elegancki spodnium. Język ciała zdradzał całkiem inną postawę, niż można by się spodziewać po pewnej sobie pracownicy FBI czy laboratorium kryminalistycznego.

Wolno pchnęła drzwi. Nikt ich nie zamknął, więc bez trudu dostała się do mieszkania. Ostrożnie weszła w ciemność. W krótkim przedpokoju znajdowały się mikroskopijny stolik, dwa wieszaki na palta i para znoszonych butów. Z najwyższą ostrożnością zrobiła kilka kroków i stanęła w progu. Rozejrzała się dookoła. Włączony telewizor ledwo było słychać, zaciągnięte zasłony broniły dostępu światłu. W powietrzu unosił się cierpki zapach alkoholu i resztek zepsutych dań na wynos.

Weszła dalej.

Nieruchoma postać leżała na kanapie na wznak. Jedno ramię zwisało poza krawędź siedziska, dotykając podłogi.

Usta były otwarte.

Reilly obeszła kanapę i spojrzała na mężczyznę z góry. Zobaczyła szarawą skórę, zarośniętą twarz i rzadkie kręcone włosy. Dotknęła ramienia leżącego.

- Obudź się.



Żadnej reakcji. Potoczyła wzrokiem dookoła. Wcale jej nie zaskoczył widok opróżnionej butelki whisky.

- Tato, obudź się.

Mike Steel wymamrotał coś nieprzytomnie i potoczył głową po brudnej tkaninie. Reilly westchnęła ciężko. Chociaż niczego innego się nie spodziewała, zawsze miała odrobinę nadziei, dosłownie okruszynę, że któregoś dnia zostanie ojca jeśli nie zadowolonego z życia, to przynajmniej trzeźwego i ogolonego. Ale najwyraźniej oczekiwała zbyt wiele. Nawet teraz, kiedy przyjęła pracę w Dublinie, żeby być bliżej niego i w razie potrzeby mu pomagać.

Podeszła do okna, stanowczym ruchem rozsunęła zasłony. Ranek był słoneczny, więc do pokoju natychmiast wpadło jaskrawe światło, zalewając blaskiem twarz Mike'a. Jęknął, poruszył się, zakrył oczy przedramieniem.

- Co jest, cholera...

- Cześć, tato.

Reilly sprawdziła, czy na fotelu nie ma jakichś przykrych niespodzianek, i nie odkrywszy żadnego niebezpieczeństwa, przysiadła na brzeżku. Mike dźwignął się z trudem, oparł na łokciu i łypnął na córkę spod oka.

- Jak weszłaś?

- Znowu nie zamknąłeś drzwi. Tyle razy ci mówiłam, żebyś był ostrożny...

Mike'owi udało się usiąść.

- Będiesz mi suszyć głowę?

- Nie. Po prostu chciałam się z tobą zobaczyć. Wreszcie spojrzał przekrwionymi oczami prosto na córkę w eleganckim ciemnoniebieskim spodniemie i czarnych markowych pantoflach na niewielkim obcasie.

- Nie jesteś w pracy? - wycharczał.

- Właśnie jadę do laboratorium.

- I jak tam, już ci się udało uratować świat? - Zarechotał chrypliwie z kiepskiego dowcipu, po czym rozejrzał się za butelką. Gdy stwierdził, że jest pusta, na jego twarzy

pojawiło się gorzkie rozczarowanie. Oblizął wargi, podniósł wzrok na córkę. - Pożyczysz dwudziestaka? Zignorowała pytanie. Znała ten schemat na pamięć. On ją prosił o pieniądze, a ona odmawiała, wiedząc, że wyda je wyłącznie na gorzałę. Nie rozumiała, jakim cudem udawało mu się bez przerwy pić, skoro żył na zasiłku, ale stanowczo nie miała zamiaru ułatwiać mu sprawy.

-Może byśmy w weekend wybrali się na wycieczkę po budynkach starego Bank of Ireland? - zaproponowała.

- Podobno jest zachwycająca. Dotrzymasz mi towarzystwa?

Ojciec zmierzył ją wzrokiem.

- Po jaką cholere?

- Dublin ma do zaoferowania nie tylko tanią wódkę. Mike pochylił się do przodu, próbując wstać. Nie udało mu się, opadł z powrotem na kanapę. Najwyraźniej kręciło mu się w głowie.

- Oszczędź mi kazania.

- Możemy pojechać gdzieś indziej - podsunęła. - Chciałabym, żebyśmy gdzieś wyszli razem, zaczerpnęli świeżego powietrza...

Ojciec podjął drugą nieudolną próbę i tym razem zdołał się dźwignąć na nogi.

- Muszę się wysikać.

Powlókł się do łazienki, skąd po chwili dobiegi ją głośny plusk. Pokręciła głową.

- Gdybyś chciała mnie zabrać do browaru Guinnessa, pewnie bym się zastanowił! - zawołał.

Reilly wstała. Z jednej strony chciała zostać, z drugiej

- uciekać jak najszybciej. Spojrzała na plecy ojca kiwającego się nad miską klozetową.

- Jeżeli się namyślisz, propozycja jest aktualna - powiedziała.

- Pewnie.

Ostatni raz ogarnęła wzrokiem ciasne wnętrze budzące w niej litość i odrazę. Nie poznawała własnego ojca. Kiedyś

był silny, miał poczucie humoru, nie istniały dla niego rzeczy niemożliwe. Ale wiele się zdarzyło. Nawet bardzo silny człowiek miał prawo szukać po tym wszystkim ucieczki w alkohol. I chociaż Reilly z całych sił starała się mu pomóc, choć miała nadzieję, że powrót do ojczyzny pozwoli mu pokonać ból i zyskać zapomnienie, to potworny los Jess nadal prześladował ich oboje.

Nareszcie dotarła do laboratorium. Do swojego ukochanego sanktuarium, w którym panowały ład i porządek i wszystko miało sens. Chociaż teraz akurat nie do końca.

Przyjrzała się raz jeszcze wydrukowi, który trzymała w dłoni. To pomyłka. Na pewno pomyłka. W przeciwnym razie...

Miała ochotę ostentacyjnie przetrzeć oczy jak bohater kreskówki. Może wtedy wyniki zaczęłyby wyglądać normalnie? Niestety nic się nie zmieniło, a ponieważ badała próbki osobiście...

Mocno zaniepokojona raz jeszcze przyjrzała się spisowi dowodów. Nie, nie popełniła błędu. Jak wół stało: próbka A i próbka B - pierwsza pobrana z ciała kobiety zidentyfikowanej jako Clare Ryan, druga z jej partnera.

Chociaż nie ma ludzi nieomylnych, to w kwestii materiału dowodowego Reilly zawsze była bardzo skrupulatna, więc mogła ręczyć głową, że nie zaważyła sprawy. Nie zdarzyło jej się popełnić takiego błędu nigdy w życiu. Stawka zawsze była bardzo wysoka.

Znów przywołała w pamięci nauki swoich wykładowców z Quantico: obojętne, jak dziwaczne wydaje się rozwiązanie albo jak bardzo jest nieprawdopodobne, wyniki badań są zawsze wynikami badań, a materiał dowodowy nigdy nie kłamie. Zwłaszcza jeśli przeprowadzi się testy dwukrotnie.

Kolejny raz przyjrzała się obu próbkom. Nie wiedzieć jak przypomniała sobie słowa Daniela Forresta, psychologa kryminalnego, który wbijał studentom do głów zasadę brzytwy

Ockhama. „Pamiętajcie!” - napominał grupkę przyszłych śledczych. „Szalenie ważnym narzędziem waszej pracy jest intuicja, ale wolno z niej korzystać jedynie wtedy, gdy odwołuje się do dowodów”.

Doskonale pamiętała dzień, gdy koncepcja ekonomii myślenia została im przedstawiona po raz pierwszy. Większość studentów nigdy o niej nie słyszała, lecz jeden, którego imienia Reilly nie mogła sobie przypomnieć, zawsze wszystko wiedział najlepiej. „Czy któreś z was słyszało o brzytwie Ockhama?” - zapytał wykładowca. „Ja, proszę pana”, wyrwał się mądraliński. „Mówi ona, że właściwa jest zawsze teoria najprostsza”. „Źle”, zgasił go Daniel.

Mądraliński był zdruzgotany. „Sądziłem...”. „Takie przeinaczenie znaczenia jest dość powszechne”, stwierdził kryminolog. Światła spod sufitu odbijały mu się w szklach okularów. „W rzeczywistości zasada ta ma nieco bardziej finyzyjny charakter. I doskonale służy śledczym”. Podszedł do dowodów, które badali i które mogły prowadzić do dwóch konkluzji. „Zasada ekonomii myślenia przyjmuje, że jeśli mamy do czynienia z dwiema lub więcej teoriami i nie sposób rozstrzygnąć o ich słuszności za pomocą uzyskanych informacji, powinniśmy dogłębnie zbadać tę, która wymaga najmniejszej liczby założeń”. Przez dłuższą chwilę milczał, obserwując, jak studentom rozjaśnia się w głowach. „Nie mamy gwarancji, że najmniej skomplikowana spośród rozważanych teorii okaże się właściwa, ale zyskujemy wskazówkę co do ustalania priorytetów”;

Ustalanie priorytetów. Tego właśnie było jej teraz trzeba. Jeśli wziąć pod uwagę uzyskane wyniki badań, istniały dwa wyjaśnienia: że badania próbek zostały przeprowadzone w sposób niewłaściwy, jej metody zawiodły albo przygotowanie materiału dowodowego wzięło w łeb. Lub... Cóż, drugie wyjaśnienie było równie trudne do przyjęcia.

Reilly zorientowała się, że z próbkami krwi jest coś nie tak, kiedy wróciły z badań toksykologicznych. W żadnej nie wykryto podejrzanых substancji chemicznych, lecz wyszło

na jaw coś, co można by określić jako kwestię co najmniej zaskakującą. By zyskać pewność, wykonała test ponownie, tym razem własnoręcznie, korzystając z oddzielnych próbek z obu ciał. Oczywiście efekty były takie same.

Nie chcąc wyciągać pochopnych wniosków, postanowiła rozwiązać problem za pomocą skanowania genotypu. I właśnie te wyniki trzymała teraz w ręku. Nawet dla niej, osoby, która spotkała się już w tej robocie z niejednym dziwnym zjawiskiem, były, co tu dużo mówić, szokujące.

- Brzytwa Ockhama - mruknęła, wpatrując się w kartkę. Podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer komórki Chrisa Delaneya.

- Słucham? - odezwał się niewyraźnie.

- Dzień dobry, to znowu ja, Reilly Steel. - Ponieważ nie odpowiedział od razu, uznała, że przyda się uściślić. - Reilly Steel z PLK.

- Dzień dobry. Co się wydarzyło takiego niesłychanego?

- Skąd pan wie...? - spytała lekko zdziwiona.

- Bo jest środek nocy. - Ziewnęła szeroko. - Konkretnie druga piętnaście.

- Naprawdę? - zerknęła na zegarek.

Rano była u ojca, a od niego pojechała prosto do laboratorium. Miała wrażenie, że pracowała zaledwie kilka godzin. Czyżby aż tak się pomyliła?

- O rany - jęknęła. - Bardzo przepraszam, jakoś mi umknęło...

- Czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu? - Gdzieś w tle rozległo się pstryknięcie przełącznika. Zapewne lampki nocnej. - Strasznie oficjalne to całe „panowanie”. Zwłaszcza o tej porze. - W jego głosie pobrzmiwała wesoła nutka.

- Dobrze, jasne, chętnie. Wybacz, że cię obudziłam. Kompletnie straciłam poczucie czasu.

- Nie ma sprawy. I tak kiepsko sypiam. Jeszcze siedzisz w laboratorium?

- Tak. Odkryłam pewien szczegół, który mi się nie zgadza...

- uznała, że może przejść od razu do sedna. - Znalazłam coś dziwnego w materiale dowodowym ze sprawy Ryan. - Ponownie zerknęła na kartkę, którą cały czas trzymała w ręku. - Rzecz jest naprawdę istotna.

- Co to takiego? - Nie krył zainteresowania.

- Testy toksykologiczne niczego nie wykazały. Ale kiedy dostałam próbki z powrotem, zwróciłam uwagę na coś innego. Bardzo niecodziennego.

- Rozumiem.

Wydawał się ostrożny, ale chyba traktował ją poważniej niż inni.

- Zrobiłam kilka dodatkowych badań... badań o innym charakterze.

- Mów, co znalazłaś.

- Obie ofiary mają ten sam typ krwi - powiedziała, a potem odchrząknęła. - Samo w sobie nie jest to wyjątkowe, ale w tym wypadku mamy do czynienia z grupą AB Rh minus.

- O czym to świadczy?

- Zaledwie sześć dziesiątych procent całej ziemskiej populacji ma taką grupę. Wobec tego natrafienie na taką osobę już jest wydarzeniem szczególnym, natomiast dwie osoby z taką grupą w jednym miejscu... zdarzenia to właściwie abstrakcja.

- Oboje mieli krew z grupy AB Rh minus - powtórzył Chris.

- To sytuacja niezwykła. Stanowczo niespotykana. Ale do sprawy nie wnosi nic nowego?

Owszem, wnosi, pomyślała Reilly.

- Na wszelki wypadek - powiedziała do słuchawki - przeprowadziłam inne badanie. Zrobiłam skan genotypu.

- Co to takiego?

- Porównanie DNA.

Chris w milczeniu czekał na ciąg dalszy. Reilly zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Clare Ryan i ten młody mężczyzna, przypuszczam, że także ofiara zabójstwa... według próbek łowi byli nie tylko parą. - Przełknęła ślinę. - Byli rodzeństwem.

## OSIEM

- Co??? - zdumiał się Kennedy. - Komuś tu chyba...

- Bo ja wiem? - zastanowił się Chris. - Może nie mieli o tym pojęcia? Tego mamy się dowiedzieć.

Był ranek następnego dnia i dwaj detektywi ponownie zdążali do domu państwa Ryanów, mając nadzieję uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. Najnowsze odkrycie Reilly należało uznać za szokujące, zwłaszcza w świetle raportu patologa potwierdzającego zbliżenie płciowe. Chrisowi nie przyszło wcześniej do głowy, że zabójcą Clare Ryan mógł być jej bliski krewny. Bo i niby dlaczego? Bliscy krewni zazwyczaj nie kończą razem w łóżku, rozebrani do rosołu. Jeśli zaś okaże się, że martwa para rzeczywiście była rodzeństwem i - co więcej - oboje mieli tego świadomość, wówczas śledztwo zmieni kierunek.

- Może to i okropne, ale gdyby okazało się prawdą, konkluzja byłaby prosta - stwierdził Kennedy.

Wysiedli z auta przed domem Ryanów.

- Nie do końca rozumiem. - Chris wolał nie posuwać się zbyt daleko w spekulacjach, tymczasem Kennedy stale go do tego nakłaniał. - Twoim zdaniem ogarnął ich tak ogromny wstyd z powodu kazirodczego związku, że zawarli jakiś palet samobójczy?

- Kto wie? - Kennedy głęboko zaciągnął się papierosem

i po chwili obłok dymu skrył jego twarz. - Albo brat postanowił zakończyć sprawę, a siostra jest ofiarą. W każdym razie - zgasił papierosa obcasem i rzucił niedopałek na wypieszczony klomb

- musimy koniecznie dowiedzieć się, co jest grane w tej rodzinie.

Ścieżką dotarli do wejścia i zadzwonili. Miękkie tony gongu rozniosły się echem po przestronnym domu.

Drzwi otworzyła matka Clare Ryan. Oczy miała wielkie i pełne ufności.

- Witam panów. - Zaprosiła ich do środka i poprowadziła od razu do salonu.

Jej mąż siedział sztywno wyprostowany na sofie, a na jego twarzy malowały się skrywany lęk i nadzieja.

- Czy wiadomo coś nowego? - zapytał. - Zdobyliście jakieś informacje? Dowiedzieliście się, kto... kto zabił Clare?

Obaj policjanci zatnęli w luksusowej skórzanej kanapie. Spojrzeli po sobie krótko.

- Śledztwo trwa - oznajmił w końcu Kennedy, wyjmując notes.

- Musimy państwu zadać jeszcze kilka pytań - wyjaśnił Chris.

- Oczywiście. Zrobimy, co w naszej mocy...

- Już powiedzieliśmy wam wszystko, co było do powiedzenia - odparł Bernard Ryan zirytowanym tonem. - Jeżeli nie pojawiły się żadne nowe informacje, to po co właściwie panowie przyszli? Nie jest nam w tej chwili lekko... Nawet jeszcze nie pochowaliśmy córki.

- Dlaczego? - zapytał Chris, zadowolony, że wypłynął akurat ten temat.

Od telefonu Reilly zastanawiał się nad tym niemal bez ustanku. Morderstwo zdarzyło się tydzień temu, a Clare wciąż nie została pogrzebana. Ryanowie wspomnieli podczas ostatniego spotkania, że zwlekają z tym, gdyż nie udało im się jeszcze zawiadomić jednego członka rodziny. Czyżby nie mogli go znaleźć, bo leżał w kostnicy?

- Na kogo państwo czekają? Bernard Ryan spojrzał na żonę.

- Na syna - burknął. - Starszego brata Clare. Ma na imię



Justin. Wyjechał za granicę, wiecznie podróżuje. Jak zwykle nie wiemy, gdzie go szukać, nie mówiąc już o tym, że nie mamy pojęcia, jak się z nim skontaktować.

Mężczyzna był wyraźnie zdegustowany zwyczajami syna, lecz nie takiej dezaprobaty spodziewał się Delaney.

Najwyraźniej Ryanowie nic nie wiedzieli o niezwykle bliskiej relacji swoich dzieci. A jeśli nawet, to albo woleli to wyprzeć ze świadomości, albo doskonale się z tym maskowali.

Kennedy zerknął na Chrisa, po czym zadał następne pytanie:

- Proszę pana, czy Clare była w bliskich stosunkach z bratem? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Przecież byli rodzeństwem. - Popatrzył na żonę, szukając potwierdzenia.

Kobieta wolno skinęła głową.

- Niestety, nie możemy go znaleźć, chociaż robimy co w ludzkiej mocy. - Otarła oczy chusteczką. - Będzie zdruzgotany, kiedy dowie się o jej śmierci.

- Mają państwo więcej dzieci?

- Nie. Tylko Clare i Justina. Syn jest pięć lat starszy.

- Kiedy ostatnio państwo z nim rozmawiali? Pani Ryan spojrzała lękliwie na męża.

- Dwa miesiące temu - odparł. - Zanim wyjechał do Tajlandii, Wietnamu czy gdzie go tam tym razem zaniósł. - Pokręcił głową. - Pokłóciliśmy się wtedy o ten wyjazd i od tamtego czasu się nie odezwał.

Chris pochwycił znaczące spojrzenie Kennedy'ego.

- Czy istnieje możliwość, że wrócił do kraju, nie zawiadamiając państwa? - zapytał. - Czy mogliby państwo nie wiedzieć o jego powrocie?

Bernard Ryan prychnął, wyraźnie rozdrażniony.

- Wszystko jest możliwe. - Przeniósł wzrok z jednego detektywa na drugiego. - Nie byłbym tym szczególnie zaskoczony. Justin ma zwyczaj stawiać na pierwszym miejscu przede wszystkim własne potrzeby.

Kennedy pochylił się do przodu.

- Odnoszę wrażenie, że nie akceptuje pan podróży syna.

- Chłopak ma dwadzieścia siedem lat. Do tej pory nie skalał rąk żadną pracą. Brakuje mu poczucia odpowiedzialności i szczerze mówiąc... - posmutniał wyraźnie - wywiera bardzo zły wpływ na Clare.

Bez wątplenia, pomyślał Chris.

- Mimo wszystko nie możemy bez niego pochować córki. Tak się po prostu nie robi. Uwielbiał Clare i ona za nim przepadała, chociaż nieczęsto się widywali.

Detektywi wymienili ukradkowe spojrzenia.

- Czy Justinowi zdarzało się przemieszkiwać u Clare? - zapytał Chris. - Może państwo nie wiedzieli o wszystkich jego powrotach do kraju? W końcu mieszkanie córki leży znacznie bliżej miasta i lotniska niż państwa dom.

- Niby tak. Nie, raczej nie. Nie wiem. Naprawdę trudno mi odpowiedzieć... - Bernard Ryan był rozdarty między gniewem na syna a żalem po stracie córki. - Przypuszczam, że to możliwe... kto go tam wie... Może faktycznie wolał zatrzymać się tam, niż jechać aż tutaj. Jak pan się zapewne już domyślił, nie jesteśmy z nim szczególnie zaprzyjaźnieni.

Czy w związku z tym ojciec powinien być brany pod uwagę jako podejrzany? - zastanowił się Chris. Może dowiedział się, że Justin ma na siostrę znacznie gorszy wpływ, niż przypuszczał, i wstydząc się za dzieci, postanowił wziąć sprawy we własne ręce? Reilly od początku przekonywała, że zarówno w sprawę Clare Ryan, jak i Jima Redmonda zamieszany jest ktoś jeszcze. Ale Kennedy nie akceptował tej teorii. Zawsze jednak warto spróbować szczęścia i pospekulować.

- Czy znają państwo niejakiego Jima Redmonda? - zapytał. Udał, że nie widzi zaskoczonego spojrzenia Kennedy'ego.

Bernard Ryan odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- Ma pan na myśli Johnny'ego Redmonda? Grywamy niekiedy w brydża.

- Mężczyzna, o którego pytam, jest biznesmenem, mieszka w Donnybrook.

- W takim razie mówimy o różnych osobach. Johnny mieszka niedaleko, przy naszej ulicy.

Pan domu wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. Chris uznał, że jeśli faktycznie istnieje jakiś związek między śmiercią Clare Ryan i Redmonda, ojciec zmarłej nie ma z nim nic wspólnego. Jim Redmond najwyraźniej był mu kompletnie obcy.

Bernard Ryan spojrział na żonę.

- Może ty znasz tego człowieka? - zapytał, a potem znowu przeniósł wzrok na detektywów. - Co on ma wspólnego z morderstwem naszej córki?

- Sądzymy, że nic - stwierdził Kennedy gładko. - Prowadząc śledztwo, musimy zadawać różne pytania. Chcielibyśmy pomóc w odszukaniu państwa syna. Czy zostało zgłoszone zaginięcie?

- Zaginięcie? - Bernard Ryan machnął dłonią. - On nie zaginął. Po prostu od jakiegoś czasu nie daje znaku życia.

Proszę mi wierzyć, że w jego przypadku to nic nowego.

- Mają państwo jakieś aktualne zdjęcie syna? - zapytał Chris. Gillian Ryan podeszła do komody stojącej w drugim końcu

salonu, gdzie urządzono wystawkę fotografii rodzinnych. Chris zerknął na te zdjęcia przelotnie przy pierwszej wizycie tutaj, ale żadnemu nie przyjrzał się dokładnie. Wtedy nie spodziewał się, że mogą być pomocne w zidentyfikowaniu partnera Clare Ryan.

- Proszę. - Kobieta podała im fotografię. - Ta jest chyba najnowsza. Została zrobiona w zeszłym roku, na przyjęciu urodzinowym Clare.

Jubilatka, beztroska i szczęśliwa, siedziała na sofie razem z młodym człowiekiem grającym na gitarze.

- To jest nasz syn - wyjaśniła Gillian. W zasadzie niepotrzebnie. Wystarczyło spojrzeć na zdjęcie, by zorientować się, że gitarzysta i mężczyzna znaleziony w łóżku z Clare Ryan to ta sama osoba. Na prawym ramieniu Justina widniał charakterystyczny tatuaż w stylu orientalnym. Chris przyjrzał się fotografii dokładnie i dostrzegł coś, co niemal zważyło go z nóg. Natychmiast pojawiła się całkiem sensowna konkluzja. A w następnej chwili miał w głowie kompletny zamęt.

## DZIEWIĘĆ

- Miałaś rację - powiedział Chris, podając Reilly fotografię zabraną z domu Ryanów.

Gdy tylko skończyli z Kennedym rozmowę z rodzicami ofiar, zadzwonił do Reilly i poprosił, żeby przysłała na posterunek. Jeżeli zdoła potwierdzić to, co właśnie odkryli, będą musieli przedstawić CBrienowi całkiem nowe fakty. A wtedy szef chyba sfiksuje.

Śledztwo od początku nastęczało trudności, ale teraz przybrało wręcz złowieszczy obrót. Morderstwo z podtekstem kazirodczym wystarczyło, żeby media dostały białej gorączki, a na dodatek szef gardził tak zwanymi sprawami wielkiej wagi.

W drodze powrotnej do Dublinu Kennedy prawie cały czas milczał, jakby cisza pozwalała na uniknięcie stwierdzenia, że dochodzenie cały czas podążało w niewłaściwym kierunku. Chociaż zaraz po wyjściu od Ryanów usiłował protestować:

- Takie zdjęcie jeszcze niczego nie dowodzi - stwierdził, gdy Chris wyłożył mu swoją koncepcję.

- Dowodzi, że dreptaliśmy w kółko, podczas gdy PLK robiło, co mogło, żeby nas skierować na konkretną... na właściwą drogę. Reilly miała rację. Ofiary były spokrewnione, więc moim zdaniem wie, co mówi i teraz, kiedy twierdzi, że w tej sprawie pozory mylą.

- Dajże spokój. Niczego nie wiemy na pewno.

- Pete, człowieku, spójrz na fotografię. Doskonale wiesz, co widzisz. Równie dobrze jak ja. Nawet jeżeli faktycznie chłopak zastrzelił siostrę, to nie mógł zabić siebie. A już na pewno nie z własnej woli.

- Jakie widzisz inne wytłumaczenie?

- To, które nam Reilly podała na tacy dawno temu. - Na moment zacisnął usta w ponurym grymasie. - W sprawę uwikłany jest ktoś trzeci.

- Jakim cudem? - Kennedy miał ogromne problemy z zaakceptowaniem tej ewentualności. - Przecież brak śladów włamania, motywu, nie ma nic, co by za tym przemawiało, poza kilkoma odpryskami farby i kłakiem psiej sierści, a jedno i drugie mogło się wziąć skądkolwiek.

- Zwierzęcej sierści - poprawił go Chris. - W domu Ryanów nie było zwierząt, Clare także żadnego nie trzymała, ani Jim Redmond, żeby już wyczerpać listę.

- Chcesz powiedzieć, że poważnie bierzesz pod uwagę połączenie tych dwóch spraw? - oburzył się Kennedy. - Steel rzuciła na ciebie urok czy jak?

Chris przydepnął gaz i pokonał skrzyżowanie na pomarańczowym. Śpieszyło mu się na komendę, chciał porozmawiać z Reilly. Nie był już skłonny lekceważyć jej intuicji, zwłaszcza że od pierwszego dnia utrzymywała, iż sprawa w rzeczywistości wygląda inaczej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Otworzyła mi oczy.

Siedzieli przy biurku we troje. Na blacie leżały wyjęte z teczki fotografie z miejsca zbrodni. Chris podał Reilly zdjęcie Justina Ryana.

- Zobacz.

Reilly spojrzała na odbitkę.

- To jest brat Clare Ryan? Wobec tego bez niespodzianek. Pasuje do profilu, a tatuaż mówi sam za siebie...

- Przyjrzyj się uważnie - przerwał jej Chris niecierpliwie.
- Popatrz, co on robi, a przede wszystkim, jak to robi.
- Reilly przyjrzała się zdjęciu i zaraz pojęła, o czym mowa.
- Pięknie! - stwierdziła, przenosząc wzrok z jednego detektywa na drugiego. - Gitara... Chłopak był praworęczny, prawda?
- Tak sądzimy. Co oznacza...
- Co oznacza, że nie strzelił sam do siebie, a przynajmniej nie z własnej woli. - Reilly usiłowała okiełznać radosne nuty w głosie, ale nie bardzo jej się to udało. - Pocisk leciał od lewej do prawej. Wiedziała. Wiedziała, że był tam ktoś trzeci.
- Ale na razie nie będziemy otwierali szampana, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię - mruknął Kennedy. - Doprowadźmy najpierw tę sprawę do końca.
- Oczywiście - zgodziła się Reilly gładko, bez śladu triumfu.
- Cieszę się, że mogę pomóc.
- Kennedy poprawił się na krześle.
- I tak byśmy do tego doszli - oznajmił. - Choć może nieco później.
- O, ho, ho! Czyżbym usłyszała podziękowanie?
- Droga pani, niczego bardziej przypominającego podziękowania w tym budynku pani nie usłyszy - odpalił Kennedy. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.
- A tak poważnie - odezwał się Chris - dzięki za podpowiedzi. Gdyby nie ty, moglibyśmy nigdy tego nie odkryć.
- Po to tu jestem - rzuciła lekko.
- Dobrze, dobrze, wystarczy już tego kadzenia - burknął Kennedy i upił łyk zimnej kawy. - Przejdźmy do rzeczy. - Nagle zorientował się, co pije. - Rany boskie, ile ona tu stoi?
- Jeśli się nie mylę, nalałeś ją rano, zanim ruszyliśmy do Ryanów - powiedział Chris z szatańskim uśmieszkiem.
- Chcesz podgrzać?
- Wolne żarty. - Kennedy podciągnął spodnie na brzuchu.
- Kto chce kawy?
- Skoro stawiasz...

Kennedy podszedł do automatu.

- Jaką dla pani? - zapytał przez ramię.

- Czarną, bez cukru.

- Następna zwariowana na punkcie zdrowia - burknął Kennedy, czekając na napełnienie kubków.

Reilly zerknęła pytająco na Chrisa, a ten odpowiedział jej rozbawionym spojrzeniem. Najwyraźniej Kennedy był z gatunku tych, co głośno krzyczą, ale krzywdy nie robią, a w rzeczywistości to dusza człowiek.

Detektyw wrócił z trzema kubkami skrytymi w wielkich dłoniach i postawił je na biurku.

- Najpierw, zanim popsujemy humor szefowi oraz dostarczymy tabloidom powodów do orgazmu, powinniśmy sami wszystko poukładać. - Usiadł, siorbnął kawę. - Ach, lepiej, znacznie lepiej. Szczerze powiedziawszy - zwrócił się do Reilly - jakiś czas nie miałem styczności z balistyką, więc nie mam pewności, jak można stwierdzić, czy tamtą parę zastrzelił ktoś trzeci?

- Chce pan dowodów, że morderca strzelił do Clare, a potem ułożył Justina w taki sposób, by upozorować samobójstwo?

- Pokręciła głową. - Przyjrę się jeszcze raz materiałowi dowodowemu, ale raczej nie znajdę niczego nowego. Ślady prochu na ciele brata od początku wydawały mi się podejrzane. Na razie nie mamy powodów, by sądzić, że zabił siostrę.

-Ciekaw jestem, czy ta trzecia osoba wiedziała, że ma do czynienia z rodzeństwem - zastanowił się Chris.

- Czy to był motyw...

Ustalili, że przy Clare nie kręcił się żaden zazdrosny były czy aktualny chłopak, lecz nie zbadali tej kwestii od strony Justina. Piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona... Wiadomo. I nic dziwnego. Która kobieta byłaby skłonna zaakceptować fakt, że mężczyzna jej życia sypia z własną siostrą?

- Oczywiście - poparła go Reilly. - Moim zdaniem należy potraktować... bliskie relacje Clare i Justina jako najistotniejszy motyw morderstwa. Zabójca przypadkiem zastał ich w łóżku albo celowo doprowadził do takiej sytuacji i...

- Innymi słowy, rodziców wykluczyć nie możemy - sapnął Kennedy. - Chociaż gdyby mnie dzieciaki wywinęły taki numer, to raczej wolałbym sobie strzelić w łeb, niż je mordować. -Zadrżał, wyraźnie poruszony wyobrażoną sceną.

- A co z samobójstwem Redmonda?

- Nadal nie widzę związku ze sprawą Ryanów - przyznał Chris. - Pamiętam o farbie i o sierści, mimo wszystko...

- Jestem skłonna dać głowę w zakład, że nie doszło do zanieczyszczenia materiału dowodowego - podkreśliła Reilly stanowczo. - Do tego jeszcze dochodzi kwestia Freuda, która na pewno nie jest tu bez znaczenia.

Chris nie był przekonany, ale postanowił się nie sprzeczać. Powstrzymał go błysk w oczach agentki. Naprawdę w to wierzyła.

- No dobrze, załóżmy wobec tego, że te dwie sprawy faktycznie są powiązane. Dokąd nas to prowadzi?

- Na razie donikąd - przyznała Reilly i kilkakrotnie obróciła kubek z kawą.

Chris zwrócił uwagę na jej obgryzione paznokcie. I przyjął tę rysę na wzorce doskonałości z niekłamaną ulgą.

- Musimy jednak - podjęła - połączyć „samobójstwo” Redmonda ze sprawą Ryanów i rozglądać się za innymi szczegółami, które powiążą oba te przypadki.

- Fanta kurna stycznie - skrzywił się Kennedy. - Tylko tego nam trzeba. Kolejnej sprawy. O'Brien będzie zachwycony.

Reilly dokończyła kawę i wstała.

- Dzisiaj wieczorem będę przy autopsji Redmonda - powiedziała. - Może Karen Thompson podsunie mi jakiś nowy wątek.

- Dzisiaj?

Chris wiedział, że medycy sądowi zawsze mieli pełne ręce roboty, a przypadki samobójstw zwykle łądowały na końcu kolejki.

- Wieczorem. O ósmej.

- My też zajrzemy - oznajmił. Kątem oka dostrzegł zdziwione spojrzenie partnera. - Wiem, oficjalnie to nie jest nasze



śledztwo, ale skoro Reilly uważa, że możemy się dowiedzieć czegoś interesującego...

- Proszę uprzejmie - burknął Kennedy. - Możesz iść. Obiecałem, że nie będę protestował, ale dzisiaj wieczorem nie możesz na mnie liczyć. - Zadrżał wyraźnie. - Schodzę do lochów jedynie wtedy, gdy nie mam innego wyjścia - dodał, mając na myśli nową kostnicę miejską. - Nawet jeśli kafelki w nich jeszcze błyszczą, dostają tam gęziej skórki. Koniec, kropka.

- Dobrze, dobrze. Pójdę sam. Skoro istnieje możliwość, że to samobójstwo jest powiązane z naszą sprawą, nie zaszkodzi sprawdzić. Jeśli to bzdura, tym lepiej, ale w przeciwnym razie zyskamy mnóstwo czasu.

- Powtórzę głośno i wyraźnie: na mnie nie licz.

- Słyszałem, zrozumiałem. Mam propozycję: ja pójdę do lochów, a ty do jaskini lwa. Pasuje?

Kennedy zaczął zbierać fotografie i dokumenty.

- Świetnie. Będziemy mieli kupę szczęścia, jeśli obaj nie wylądujemy w kazamatach, zanim skończę przedstawiać O'Brienowi najnowsze złe wieści. - Spojrzał na zdjęcie uśmiechniętego Justina grającego na gitarze. - Nie ma to jak rodzinka... Najlepiej człowiek wychodzi z nią na zdjęciu.

## DZIESIĘĆ

Chris zaproponował Reilly, żeby przed wizytą w kostnicy razem coś zjedli. Ponieważ PLK znajdowało się na obrzeżach Dublina, a kostnica po jego drugiej stronie, umówili się w połowie drogi, w niewielkim bistro przy Grafton Street, gdzie dobrze karmiono, a co ważniejsze, nie trzeba było długo czekać na obsługę.

Chris chciał, oczywiście, dowiedzieć się, co Reilly ma do powiedzenia w interesującej ich sprawie, ale też nie mógł zaprzeczyć, że ciekaw był jej samej. Na razie wiedział, że jest mądra, spostrzegawcza i oddana pracy, a co za tym idzie: ogromnie pomocna w śledztwie.

- Kennedy ma rację - uznał, przesuwając spaghetti po talerzu. - Dziwnie jest jeść przed autopsją.

-Tak?

Reilly, lekko pochylona nad okrągłym blatem, zjadała z apetytem cheeseburgera wielkości ludzkiej głowy. Miała na sobie dżinsy i bawełnianą koszulkę z długimi rękawami. Do tej pory Chris widywał ją wyłącznie w karnym końskim ogonie, a teraz włosy spływały jej luźno na ramiona - i ta przemiana była niesłychana. Reilly wyglądała na jakieś osiemnaście lat, nie więcej.

- Przepraszam - przełknęła spory kęs. - Nie powinnam mówić z pełnymi ustami, ale konam z głodu.

- Kostnica więc nie odbiera ci apetytu? - zaśmiał się Chris.

- Jeśli chodzi ci o to, co normalnemu człowiekowi kojarzy się z tym słowem, to nie - przyznała, ocierając z kącika ust kroplę keczupu. - Mnie drażni co innego, że ci ludzie zmarli śmiercią nagłą, często gwałtowną. Chcę wiedzieć, jak to się stało, kto ich zabił i dlaczego.

Chris sięgnął po wodę.

- Pewnie dlatego zajęłaś się medycyną sądową?

Nie odpowiedziała od razu. Wydało mu się, że przez jej twarz przeleciał jakiś cień, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- W zasadzie tak - przyznała. I natychmiast zmieniła temat: - A jak było z tobą? Jak to się stało, że tak szybko zostałeś detektywem?

- Szybko?

- Aha. Ile masz lat? Ze trzydzieści? Trzydzieści trzy?

- Trzydzieści dziewięć - przyznał się Chris.

- O rany. Dbasz o formę.

Lekceważąco wzruszył ramionami, ale uwaga ta sprawiła mu przyjemność.

- Ćwiczę trochę w wolnym czasie. Ostatnio mniej. - Nie zamierzał jej opowiadać, że coraz częściej trudno mu znaleźć energię, by nalać wody do czajnika, a co dopiero machać sztan-gą ważącą sto kilogramów. Też wolał zmienić temat: - Jak ci się żyje w Irlandii?

- W sumie nieźle. - Upiła łyk napoju. - Mój tata jest Irlandczykiem, jego rodzina wyemigrowała do Stanów, kiedy miał trzynaście lat.

- Jasne. Jak tylko usłyszałem twoje imię, pomyślałem, że musisz mieć irlandzkie korzenie.

- Tak brzmiało nazwisko panięńskie mojej babci od strony taty. Dostałam je w spadku.

- Czyli tata wrócił do ojczyzny... Reilly spuściła oczy.

- Dwa lata temu... Jesteśmy tutaj we dwoje. Innej rodziny nie mamy.

- Przykro mi to słyszeć. - Zorientował się, że lepiej nie ciągnąć tego tematu. I tak wiedział już, dlaczego porzuciła słoneczne Zachodnie Wybrzeże i przyjechała do pracy w ponurym Dublinie. - Spora zmiana po życiu w Kalifornii - rzucił niezobowiązująco i podniósł do ust szklankę z wodą. - Skąd właściwie pochodzisz?
- Urodziłam się w hrabstwie Marin, nad Zatoką San Francisco.
- Nigdy tam nie byłem. Ale słyszałem, że jest świetnie. Tutaj pewnie wszystko wygląda inaczej. Choćby pogoda.
- Rzeczywiście, akurat do niej trudno przywyknąć - przyznała. -1 brakuje mi owoców morza. Wasze krewetki to mrożonki, na dodatek drogie. U nas w porcie można dostać co dusza zapragnie, prosto z łodzi.
- Przy stoliku zjawił się kelner, więc zamilkli. Kiedy zabrał talerze i odszedł, Reilly odezwała się ponownie.
- Najbardziej brakuje mi fal - powiedziała w rozmarzeniu.
- Jak to? To ty jeszcze surfujesz?
- W Kalifornii wszyscy surfują - stwierdziła z uśmiechem. - Najpierw uczymy się pływać na desce, dopiero potem chodzić. Ze mną tak było.
- Ja w życiu nie próbowałem.
- Wszystko przed tobą. To niesamowite wrażenie. - Głos jej zmiękł, a wzrok utkwiała gdzieś w dali. - I jazda na fali, i to uczucie, kiedy się pod tobą załamuje... Jesteś tylko ty i woda, reszta świata znika... Mówię ci, rewelacja.
- Kochała surfować, bez wątpienia.
- Wierzę.
- Wiem, że gdzieś na północ od Dublina macie dobre miejsce, ale na razie jakoś nie miałam czasu tam zajrzeć.
- Może dasz radę, kiedy się trochę opędzimy z robotą.
- Czy to w ogóle możliwe? Przyznaję, sądziłam, że Dublin okaże się trochę nudnawy, nie oczekiwałam takiego siedliska zbrodni.

- Znak czasów - uznał Chris. - Jeśli mam być szczery, przyznam, że cieszy mnie twój przyjazd.

Reilly uniosła brew.

- Chyba ciebie jedyne.

- Nieprawda. Po prostu część policjantów, choćby Kennedy, przywykła do pewnych procedur i dawnego sposobu postępowania. A w ciągu ostatnich dziesięciu lat tyle się zmieniło w naszym kraju, że aż trudno uwierzyć. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o nawyki.

- Pocieszyłeś mnie.

- Mówię szczerze. Daj im trochę czasu, a na pewno cię zaakceptują.

- Oby. Bo mam powyżej uszu kretyńskich dowcipów o blondynkach - stwierdziła, dobroduszenie wywracając oczami.

- Trudno cię za to winić. Świetnie sobie poradziłaś z czerwonym kostiumem kąpielowym.

- Oho, plotki się rozchodzą...

- Mhm. Czasami odnoszę wrażenie, że znowu jestem w szkole. Na szczęście nie zrobiłaś awantury. Tylko na to czekali.

- Przynajmniej rozmiar pasował. Ze strojem cheerleaderki nie trafili.

Chris mało się nie zakrztusił wodą.

- Co? Kiedy?

- W drugim tygodniu pracy.

- Durnie. - Pokręcił głową. - Tak mi przykro. Ale nie wszyscy są tacy.

- Spokojnie! - W oczach Reilly zatańczyły wesołe iskierki. - Czasami miałam wrażenie, że jak tak dalej pójdzie, dostanę kompletną garderobę za friko. Zresztą, nie ma o czym mówić. Tego rodzaju głupie pomysły to i tak pestka w porównaniu z tym, przez co musieliśmy przejść w Quantico - dodała, po czym opowiedziała, jak któregoś razu koledzy podrzucili jej do pokoju w akademiku trupa.

Jakiś czas rozmawiali o pracy i Chris nabrał przekonania, że Reilly przemilczała istotne szczegóły, pomocne w osiągnięciu

wysokiej pozycji w zawodzie. Gdy ponownie spytał ją o powód przyjęcia posady w mieście, które w najlepszym razie można było określić jako dziurę zabitą dechami w porównaniu z jej poprzednim miejscem zatrudnienia, zamilkła, podobnie jak za pierwszym razem.

- Potrzebowałam odmiany - powiedziała w końcu. I znów natychmiast zmieniła temat: - Jak długo pracujesz z Kennedym?

Tutaj przebiegała granica niezobowiązującej pogawędki, uznał. I może właśnie dlatego zaciekała go.

- W Wydziale Kryminalnym jestem od trzech lat. Poprosił o rachunek.

- Ja zapłacę - stwierdziła Reilly.

- Nie ma mowy. Ja cię zaprosiłem... To znaczy... zaproponowałem spotkanie... - Pięknie, pięknie. Zakłopotany wyobraził sobie reakcję Emmy. Nie byłaby zachwycona.

- Daj spokój, stawiam - oznajmiła Reilly, kładąc na stoliku dwie dwudziestki.

Chris uległ. Nie chciał się dłużej ośmieszać.

- Następnym razem będzie moja kolej - wymamrotał niepewnie.

Czy mu się zdawało, czy na ustach Reilly naprawdę pojawił się cień psotnego uśmiechu?

- Weźmiemy taksówkę - zapytał - czy wolisz się przejść? Do kostnicy nie jest daleko.

- Wobec tego chodźmy piechotą - zdecydowała. - Rzadko miewam okazję spacerować po mieście, więc chętnie skorzystam.

Chris przytrzymał drzwi bistra.

- Muszę ci powiedzieć - podjęła Reilly - że nie mogę się doczekać wizyty w kostnicy. Pierwszy raz będę tam oficjalnie. Normalnie to rola Gormana. - Zaśmiała się krótko. - Woli, żebym siedziała w laboratorium. Chce mnie mieć na oku.

Szli razem Grafton Street, a Chris myślał o tym, że kobieta, która nie może się doczekać wizyty w kostnicy, jest jednak szalenie rzadkim zjawiskiem.

- Bardziej przygnębiającego nastroju chyba nie dałoby się uzyskać - stwierdził Chris, gdy w zimnym blasku jarzeniówek podpisywali wejściówki.

Powiódł wzrokiem po szarych ścianach, szarej podłodze, standardowym biurku i krzesłach. Sekcja autopsji, chociaż mieściła się w nowiuteńkim budynku, robiła wrażenie mrocznej i wilgotnej.

Ruszyli ku podwójnym drzwiom prowadzącym do sali obserwacyjnej. Reilly zaśmiała się swobodnie.

- Twoim zdaniem byłoby lepiej, gdyby ściany pomalowano na pastelowe kolory, a w tle puszczano muzykę klasyczną? - Pokręciła głową. - Wierz mi, kostnice na całym świecie wyglądają tak samo.

Okazało się, że tego wieczoru byli jedynymi obserwatorami sekcji. Oprócz nich w sali pojawiła się tylko patolog z zespołem, co nie dziwiło, jeśli wzięło się pod uwagę fakt, iż mieli do czynienia z domniemanym samobójstwem.

Chris nie mógł opanować dreszczy. Choć widok trupa nie stanowił dla niego żadnej nowości, to do woni charakterystycznych dla kostnicy - które mimo stroju ochronnego przenikały wszystko: ubranie, włosy, skórę - nie zdołał przywyknąć. W dodatku za sprawą niezbyt rozsądnej decyzji o zjedzeniu obiadu żołądek podchodził mu do gardła; z trudem powstrzymywał mdłości.

Karen Thompson, spowita w chirurgiczną zieleń i w kaloszach, powitała ich oszczędnym skinieniem głowy i od razu przeszła do stołu znajdującego się w drugim końcu sali.

- Możemy zaczynać? - spytała asystentów, stając od strony głowy.

Mężczyźni, ubrani w kombinezony i chirurgiczne rękawiczki, ostrożnie rozpięli zamek błyskawiczny zabezpieczający worek polietylenowy, następnie z wprawą ułożyli sztywne ciało na marmurowym blacie.

Stół do autopsji przypominał Chrisowi wakacje z byłą dziewczyną. Melanie zabrała go do Kairu, gdzie zobaczył jedną

z płyt marmurowych, na których starożytni Egipcjanie przygotowywali ciała zmarłych do mumifikacji. Choć od tamtego momentu minęło kilka lat, nadal pamiętał objaśnienia przewodnika. Słowo w słowo: „Najpierw wyciągano mózg przez nos, potem wyjmowano z ciała wnętrzności, następnie spuszczano krew, która spływała ze stołu...”.

Teraz w podobny sposób potraktują biednego Jima.

Jeden z pomocników umieścił na ekranach zdjęcia rentgenowskie i włączył podświetlenie. Karen włożyła lateksowe rękawiczki, po czym uruchomiła dyktafon. Fotograf sądowy stał nieopodal, gotów dokumentować przebieg autopsji dla potomności.

- Przypadek numer tysiąc trzysta osiemdziesiąt sześć, sekcja zwłok Jamesa Redmonda - zaczęła patolog rzeczowym tonem. - Badany jest dobrze odżywnym mężczyzną rasy białej, po pięćdziesiątce. Niebieskie oczy, lekko przeredzone ciemne włosy, waga około osiemdziesięciu ośmiu kilogramów. Wzrost sto siedemdziesiąt dwa centymetry. Czas zgonu oszacowany na dziewiątą dwadzieścia pięć w piątek, dwudziestego piątego lutego.

Przyczyna śmierci: brak tlenu. - Uważnie przyjrzała się szyi Redmonda. - Zaczerwienienie i wgniecenie w kształcie litery V wskazuje na śmierć przez powieszenie. Cechy charakterystyczne tych znaków zdają się potwierdzać diagnozę postawioną przez lekarza badającego ciało na miejscu zdarzenia, czyli samobójstwo.

Reilly zacisnęła usta. Była rozczarowana stanowczym orzeczeniem patolog. Chris, przeciwnie, poczuł ulgę. Może jednak intuicja zawiodła Reilly tym razem. Oględziny potwierdzały teorię samobójstwa. Nic prócz zapewne fałszywie zinterpretowanych próbek nie łączyło tej sprawy ze śmiercią Ryanów. Nareszcie dobra wiadomość.

Naprawdę ani on, ani Kennedy nie tęsknili za kolejnym przypadkiem na wydłużającej się liście zabójstw.

Gdy tak stali i przyglądali się działaniom patolog, Chris zaczął odczuwać zmęczenie. Przygarbił się i starał skupić na poczynaniach doktor, ale trudno mu było zebrać myśli.



Miał za sobą długi dzień, długi i męczący, a śledztwo nieodmiennie wymagało energii. Nic zatem nadzwyczajnego, że padał z nóg. Każdy na jego miejscu byłby wykończony. Zwykle codzienne zmęczenie nie miało nic wspólnego z niepokojącymi nawrotami znużenia i odrętwienia, z którymi borykał się od kilku tygodni, ani z ciągłym bólem stawów.

Raptem zapomniał o zmęczeniu. Zorientował się, że Reilly w napięciu łowi każde słowo Karen Thompson, więc i on się skoncentrował.

- Niewielkie urazy odbytu, nieliczne siniaki, drobne skaleczenia.

- Przepraszam - odezwała się Reilly.

- Tak? - patolog podniosła na nią wzrok. Jeśli zirytowało ją, że ktoś jej przerwał, nie dała po sobie tego znać.

- Widać urazy odbytu?

- Sugerują niedawną aktywność seksualną. Są też ślady... jeszcze muszę potwierdzić, ale chyba lateksu. Nie ma jednak żadnych większych obrażeń, nic, co by sugerowało użycie siły, jeśli o to pani chodzi.

- Wydawało mi się... przepraszam... Przepraszam, że przerwałam - powiedziała Reilly, zerkając z ukosa na Chrisa. Ten postanowił później ją spytać, o co właściwie jej chodziło.

Kilka minut później Karen Thompson zakończyła oględziny, zasłoniła twarz maską i wzięła w rękę skalpel. Równym cięciem w kształcie litery Y otworzyła klatkę piersiową Redmonda.

Chrisowi zawsze imponowały jej płynne, zręczne ruchy. Teraz w milczeniu obserwował, jak z wprawą wyjmuje organy wewnętrzne, waży je i nagrywa uwagi, przez cały czas nieodmiennie skupiona.

Karen Thompson pobrała próbki, ułożyła organy z powrotem w ciele i zaszyła cięcia. W końcu zdjęła rękawiczki i wyrzuciła je do kontenera z odpadami biologicznymi.

Gdy po kilku chwilach Reilly i Chris znaleźli się w korytarzu, czekając na patolog, zagaił:

- I jak? Słyszałaś na własne uszy, że to samobójstwo.
- Owszem. A co powiesz na temat urazów? - spytała zaczepnym tonem. - Redmond był żonaty. Jego żona zidentyfikowała ciało. Podobno jest pogrążona w rozpacz. I nie zgadza się z teorią samobójstwa.
- Oczywiście, że się nie zgadza. Zawsze tak jest. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że mógł być skrytym homoseksualistą, teoria ta jednak nabiera sensu, prawda?
- Chyba tak. - Reilly przygryzła wargę, wyraźnie rozczarowana. Miała ogromną nadzieję, że patolog znajdzie jakiś ślad niepasujący do całości. - Sama nie wiem... - Zamilkła, ważąc słowa. - Jeżeli myślę o tym odkryciu w kontekście innych drobiazków związanych z tą sprawą, mam nieodparte wrażenie, że coś nam umyka. - Podniosła wzrok na policjanta. - Możesz to nazwać tylko intuicją - powiedziała niemal przeprasającym tonem - ale jestem gotowa założyć się o niemałą sumę, że to nie jest zwykłe samobójstwo.
- Intuicja nie jest wiele warta w tym biznesie - podkreślił Chris.
- Tak wiem, tyle że trop...
- Posłuchaj - Chris wszedł jej w słowo. - Musisz przyznać, że w śmierci tego człowieka nie ma niczego podejrzanego. Pamiętam o identycznym materiale dowodowym zebrany na miejscu tego zdarzenia i w mieszkaniu Ryan, ale zapewne można to bez trudu wyjaśnić. - Starał się okazać współczucie. - Ustaliliśmy, że na razie będziemy przyglądali się obu dochodzeniom, ale w końcu będziemy musieli znaleźć coś bardziej konkretnego niż farba i sierść.
- Możesz mieć rację - stwierdziła Karen, ale wcale nie wyglądała na przekonaną. - Muszę jeszcze coś sprawdzić u patolog.
- C-co? - zająknął się zaskoczony Chris. Czy ona nigdy się nie poddaje?
- Pamiętasz, jak pobierała wymaz z penisa? Chcę zbadać te próbki.
- A co spodziewasz się znaleźć? - Zdumienie Chrisa nie

miało granic. - Przecież już wyjaśniliśmy, że mógł być homoseksualistą.

- Mimo wszystko chciałabym sprawdzić. Przecież od tego nikomu nie stanie się krzywda.

- Niby tak, ale... - Reszta zdania zamarała mu na ustach, bo otworzyły się drzwi i na korytarz wyszła Karen Thompson ubrana w swoje prywatne rzeczy.

- Wszystko w porządku? - zapytała, patrząc na nich wielkimi jak spodki oczami.

- Jak najbardziej. Chciałam tylko prosić panią o przysługę. Czy mogę zabrać do laboratorium wymaz z penisa i zbadać go jeszcze dzisiaj?

- Jeszcze dzisiaj? - zdziwiła się patolog. - Oczywiście, nie widzę przeszkód, ale... pamięta pani, że wszystkie te preparaty wysyłamy jutro do PLK? - W odpowiedzi uzyskała jedynie kiwnięcie głową. - Skoro to takie pilne, wypiszę pani dokument przejęcia próbek.

- Będę ogromnie wdzięczna.

W drodze do biura Karen Thompson obrzuciła dwoje przybyszów badawczym spojrzeniem.

- Nieczęsto miewamy gości z Wydziału Kryminalnego przy procedurach w sprawie o samobójstwo, a tu jeszcze pani z PLK

- zagadnęła ostrożnie.

- Przyznam, że w dużym stopniu poruszamy się po omacku

- stwierdziła Reilly wymijająco. - Odkryliśmy pewne anomalie w materiale dowodowym w sprawie Redmonda, drobiazgi, które mogłyby łączyć to dochodzenie z innym, dotyczącym morderstwa.

- Mówi pani o Ryanach.

Karen Thompson bez wątpienia należała do osób bystrych.

- W tej chwili naprawdę nie mogę zdradzić nic więcej.

- Rozumiem.

Patolog usiadła przy biurku, wyciągnęła formularz przekazania preparatów i szybko go wypełniła. Podpisała zamasyście, po czym podała kartkę Reilly.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję.

Oboje z Chrisem ruszyli do drzwi.

- Jeszcze jedno - odezwała się raptem Karen Thompson. Stanęli w progu.

- Czy ja coś przeoczyłam? - zapytała patolog.

- Mam nieodparte wrażenie, że wszystkim nam umyka coś istotnego - odparła Reilly i zacisnęła usta. - Bardzo chcę się dowiedzieć, co to takiego.

## JEDENASCIE

Gerry Watson, lat dwadzieścia sześć, lubił prostotę, przez co tracił wiele z uroków młodości. Podczas gdy większość jego rówieśników czuła się jak ryba w wodzie w barach i nocnych klubach, on wolał chodzić po wzgórzach, taszcząc z sobą namiot i inny sprzęt turystyczny. Najlepiej czuł się w dziczy. Tam odżywał. Nie irytowały go ustronia, w których sieci telefoniczne traciły zasięg. Nie przeszkadzało mu, że nie może wysłać SMS-a i świetnie sobie radził bez dostępu do portali społecznościowych. Uwielbiał otwarte przestrzenie i kontakt z naturą. Im więcej czasu mógł spędzić w takiej okolicy, tym dalej odpływały wszelkie troski i zmartwienia.

Miejsce, w którym leżał teraz, okazało się bezkonkurencyjne. Niełatwo było mu to przyznać, bo choć słusznie uważał się za lokalnego eksperta, nie on je odkrył. Wokół roztaczał się olśniewający widok, ziemia obiecana, prawdziwy raj. Rzeki, wodospady, powleczone słonecznym blaskiem górskie stoki.

Gerry leżał w namiocie; obok stała kuchenka, a na niej patelnia. Jedzenie wystygło, choć popołudniowe słońce grzało, jak mogło. Wszystko jedno, ziemskie troski go nie dotyczyły, i to było najważniejsze.

Oczywiście życie na łonie przyrody miewa cienie, nawet zimą. Na przykład owady. W ten niezwykle ciepły dzień ściągnęły tu chyba z promienia dziesięciu kilometrów. W którymś momencie zza kamienia wyskoczył szczur, wszedł do namiotu

i ciekawie obwąchał leżącego tuż pod uchem. Gerry niczego nie zauważył.

Gdy ostre zęby gryzonia wbiły mu się w ciało, jedyną reakcją było drganie naskórka, spowodowane ruchem żyjących pod nim larw muszyc. Na twarzy chłopaka malowało się przerażenie, tyle że pojawiło się na niej kilka dni temu, gdy bez pośpiechu odbierano mu życie.

Reilly wiedziała, że będzie paskudnie, zanim dotarła do obozowiska. Ponure twarze policjantów zdradziły jej wszystko,

co musiała wiedzieć na tym etapie.

Takiś mundurowy powitał ją skinieniem głowy.

- Chce pani włożyć maskę? Cuchnie tam jak nieszczęście.

Podziękowała kiwnięciem głowy i weszła pod wielki biały namiot rozstawiony nad miejscem zdarzenia i czteroosobowym namiotem firmy North Face. Ponieważ węch stanowił najbardziej przydatne narzędzie w jej pracy, nie miała zamiaru przesłaniać nosa maską, ale fala smrodu unieruchomiona pod wielkim dachem o mało nie wypchnęła jej na zewnątrz.

Przystanąła, zamknęła oczy. Najpierw musiała poradzić sobie z mdłościami, potem spróbować wyodrębnić w tym chaosie odoru poszczególne zapachy.

Najsilniejszy był fetor śmierci, trudny do pomylenia z czymkolwiek smród gnijącego ciała. Ale znalazło się coś jeszcze. Mniej intensywne nuty, które także trzeba będzie zbadać.

Spokojnie, po kolei. Wymiociny, najwyraźniej świeże, a więc osoby, która znalazła trupa.

Reilly otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą Karen Thompson Patolog właśnie odsunęła się od ciała zalanego jaskrawym światłem. Rozejrzawszy się, Reilly spostrzegła również, że miejsce zbrodni zostało dosłownie zdeptane. Niech to licho! Patolog rozjaśniła się na widok agentki. - Witam. Przykro mi, że widzimy się tak szybko. Reilly pokiwała głową.

- Koszmarna noc. - Spojrzała na ciało. - Co mamy?

- Mężczyzna, jeden strzał w klatkę piersiową - oznajmiła Karen Thompson ponuro. - Namiot był otwarty, więc ciało zostało wystawione na działanie czynników zewnętrznych. A to oznacza, że dokładne określenie czasu zgonu nie jest obecnie możliwe. W tej chwili nie potrafię powiedzieć nic więcej.

Mijając Reilly, na moment położyła jej rękę na ramieniu. Ekspert PLK stała bez ruchu, przypatrując się scenie. Starła się wchłonąć w siebie obraz całości, przyswoić istotne szczegóły, dopiero potem skoncentrować się na zwłokach, ale trudno było nie zwracać na nie uwagi.

Skup się, kochana, detale są najważniejsze.

Wzrok przyciągał emblemat North Face na namiocie. Znała to logo, korzystała z ekwipunku tej firmy. Miała nawet podobny namiot, z którym swego czasu wędrowała po Parku Narodowym Yosemite.

Wreszcie pozwoliła sobie przenieść spojrzenie na ofiarę. Podobnie jak Ryanowie chłopak był młody, na pewno przed trzydziestką, w typie pospolitym, za którym nikt by się nie obejrzał na ulicy. Leżał w dziwnej pozycji, z pewnością upozowany po śmierci. Głowę miał opartą na plecaku, jedną rękę wyciągniętą swobodnie wzdłuż boku. Drugą ułożono na ranie w taki sposób, że palec wskazujący celował w otwarte wejście namiotu.

Reilly zadrżała i odwróciła wzrok. Wyprostowany palec zdawał się ją oskarżać. Przepędziła przykre wrażenie i znów skupiła się na miejscu zdarzenia. Zamknęła oczy, starając się wyobrazić sobie, co zaszło. Oraz dlaczego.

Dziwna ta scena, złowieszcza. Co oznaczała? I ten palec. Co wskazywał? Policję? Kogoś obcego? Rozwiązanie zagadki? Trudno powiedzieć.

Wyrzuciła z głowy pytania bez odpowiedzi i zabrała się do badania miejsca zbrodni. Wyjęła z torby latarkę, podeszła do ciała. Obejrzała je dokładnie, zwracając uwagę na detale, które zwykle umykały przy pierwszym rzucie oka.

Po bliższych oględzinach uznała, że mężczyzna był jednak przystojny. Miał gęste ciemne włosy, atletyczną budowę, zdrowe białe zęby. Zwykle przy pierwszym sprawdzaniu nie zwracało się szczególnej uwagi na zęby, lecz w tym przypadku twarz chłopaka zastygła w grymasie, odsłaniając nawet dziąsła.

Agentka uważnie przyjrzała się skórze: żadnych urazów, żadnych interesujących śladów, tylko ugryzienia szczurów na szyi. I ta twarz: zaciśnięte oczy i zęby, mięśnie stężałe w grymasie przerażenia. Na koszulce podłużna ścieżka wymiocin opanowanych przez czerwie.

Reilly wyłączyła latarkę, kucnęła. Kto mógł dokonać takiej zbrodni? Strzał w klatkę piersiową, szczególne ułożenie ciała, grymas na twarzy ofiary i palec wskazujący zdawały się świadczyć o jakimś makabrycznym przekazie. Tylko jakim? Czy zabójstwo było powiązane z narkotykami? Okoliczne wzgórza od dawna stanowiły ulubione przez bossów narkotykowych miejsce do porzucania trupów... Ale nie, raczej nie. To ciało nie zostało porzucone. Ono był wręcz starannie wyeksponowane. Dlaczego?

- Reilly... - usłyszała cichy głos i nie całkiem przytomna podniosła wzrok.

Przed namiotem stał Chris Delaney.

- O, cześć.

Detektyw przyjrzał się zwłokom. Zadrżał. -Ale twarz... Dziwaczny grymas. O co tu chodzi, u diabła?

- Nie mam pojęcia.

- Biedak. Jeszcze szczury się do niego dobrały.

- Poleżał kilka dni.

- Kennedy na pewno uzna, że to kolejna ofiara porachunków gangsterskich. Ale wcale nie jestem tego pewien. Oni nie mają zwyczaju rozstawiać namiotu i sprzętu turystycznego. Najczęściej po prostu porzucają ciało i znikają.

- Też tak to widzę.

- Jedno jest pewne: w życiu czegoś takiego nie widziałem. Znalazłaś coś istotnego?



- Na razie nie. Dopiero co przyjechałam. Reszta moich ludzi jeszcze jest w drodze.

Chris zajrzał przez wejście.

- Mamy turystów, którzy odkryli zwłoki. Trzeba ich przesłuchać. - Przerzucił kartki notatnika. - Małżeństwo po trzydziestce. Natrafili na ciało, spacerując z psem.

I kompletnie zdeptali ślady na miejscu zbrodni, uzupełniła w myślach zirytowana Reilly, ale szybko się opanowała.

- Idź sam. Ja zaczekam na zespół. Zaczniemy zbierać materiał dowodowy, a później porównamy notatki. Może być?

- Może. Jeśli dowiemy się czegoś interesującego, damy wam znać.

Odszedł, a Reilly ponownie rozejrzała się po namiocie. Szukała czegoś dziwnego, zastanawiającego. I w pewnej chwili dostrzegła cygaro marki Corona leżące na stoliku turystycznym.

W tej chwili przyjechał jej zespół, a każdy z pracowników zaopatrzony był we własną skrzynkę z niezbędnymi przyrządami.

- O, jasna cholera! - wyrwało się Gary'emu. Lucy milczała, lecz twarz miała bladą jak ściana.

- Witajcie - odezwała się Reilly i wtedy uświadomiła sobie, że jej podwładni są jeszcze bardzo niedoświadczeni i nie mają odpowiedniego przygotowania, by stawić czoło rzeczywistości pod postacią gnijącego ciała. Zrobiło się jej ich żal. - Gary, ty mi pomożesz przy ciele - powiedziała szybko. - A ty, Lucy, zaczniesz...

Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od kłębiących się larw.

- Lucy!

Popatrzyła na nią, ale mało przytomnie. Zetknięcie z potworną niegodziwością nigdy nie przechodzi bez echa.

- Zaczniesz zbierać materiał dowodowy wokół namiotu. - Reilly objęła gestem kosztowny sprzęt turystyczny. -

Wygląda na to, że ktoś szykował posiłek. Kuchenka jest nadal włączona,

tylko gaz się skończył. Chciałabym wiedzieć, co było przygotowywane.

Lucy w końcu wzięła się w garść.

- Tak. Oczywiście. Jasne.

Kucnęła przy kuchence, odłożyła torbę i wyjęła rękawiczki. Dopiero kiedy je naciągnęła, zapaliła latarkę. Będą z niej ludzie, szybko się uczy, pomyślała Reilly.

Gary robił wrażenie znacznie bardziej opanowanego. Już rozglądał się po miejscu zdarzenia.

- Znaleźliśmy dwa śpiwory - powiedziała Reilly. - Kilku policjantów przeczesuje okolicę w poszukiwaniu drugiej ofiary, ale musimy też wziąć pod uwagę możliwość, że chłopak... sypiał z wrogiem, że się tak wyrażę. Więc i sam namiot trzeba dokładnie przeczesać, i to gęstym grzebieniem.

- Nie ma sprawy.

- Musimy pracować szybko. Ofiara jest martwa już od jakiegoś czasu i nie muszę ci tłumaczyć, że warunki pogarszają się w zawrotnym tempie.

Małżeństwem, które odkryło zwłoki, zaopiekowało się dwóch mundurowych. Państwo Rebecca i Mark Wardowie siedzieli w tylnej części auta terenowego, zdolnego pokonywać leśne trakty. Ich pupilek, yorkshire terier imieniem Banjo, zajął miejsce między nimi. Mark Ward zahaczył palcami o jego obrozę, dzięki czemu drapał go po karku i jednocześnie przytrzymywał.

Chris nie krył zadowolenia, że ma sposobność porozmawiać ze świadkami stosunkowo niedługo po odkryciu zwłok, ponieważ upływ czasu zacierał w pamięci szczegóły, a ludzie, którzy zdążyli oswoić się z potwornością zdarzenia, tracili na wiarygodności, gdyż stawali się coraz bardziej podatni na wpływ otoczenia.

- Witajcie. Rebecca i Mark Wardowie, jeśli się nie mylę? - Usiadł na przednim siedzeniu dżipa i odwrócił się tak,

by widzieć małżonków między zagłówkami. - Nazywam się Delaney, jestem detektywem z Wydziału Kryminalnego. A to detektyw Kennedy. Chcielibyśmy zadać państwu kilka pytań.

Świadkowie byli bladzi, wyglądali na zmęczonych. Kobieta dygotała i bezustannie naciągała na siebie koc, jakby jej stan był spowodowany chłodem, a nie widokiem cuchnącego, rozkładającego się ciała Gerry'ego Watsona.

Mężczyzna podniósł wzrok i kiwnął głową.

Kennedy, stojący przy otwartych drzwiach pasażera, wyjął notes.

- Najlepiej będzie, jeśli państwo opowiedzą nam, co się wydarzyło, od początku do końca. Wszystko, co państwo pamiętają.

Chris położył rękę na przedramieniu pani Ward.

- Proszę mówić, śmiało, lepiej się pani poczuje. Pierwszy jednak odezwał się mężczyzna:

- Często tu przychodzimy z Banjo na spacer. Lubi poszaleć w lesie, a poza tym można go spuścić ze smyczy.

Terier wyraźnie się ożywił na dźwięk słów „spacer” i „smycz”. Różowym języczkiem oblizał czarny wilgotny nosek.

Chris uświadomił sobie, że gdyby nie ten nos, ciało najprawdopodobniej w dalszym ciągu leżałoby tu sobie spokojnie.

- Zwykle idziemy traktem, bo na mniejszych ścieżkach można o tej porze roku utonąć w błocie - powiedział pan Ward.

Jego żona podrapała psa między uszami.

- Już wracaliśmy na polanę piknikową - włączyła się

- bo tam zostawiliśmy samochód, kiedy Banjo zniknął. Mark zawrócił, wołał go głośno...

- Zwykle przybiega na wołanie - wyjaśnił mężczyzna.

- W pewnej chwili go usłyszałem i zobaczyłem jakiś ruch w paprociach. Pomyślałem, że poluje na jakieś zwierzę albo rozkopuje szczyrzą norę... Tyle tutaj różnych zapachów, że czasem wariuje, jakby się szaleju najadł.

- Żartowaliśmy sobie z niego - uzupełniła Rebecca Ward.
- Ganiał w tę i z powrotem jak opętany. Dopiero po wyjściu na szczyt wzgórza, tam, gdzie robi się bardziej płasko, zobaczyliśmy namiot. - Wskazała wylot przecinki, jakieś dwieście metrów od miejsca, do którego dotarły dżipy ratownictwa górskiego.
- Z początku wcale nie mieliśmy zamiaru podchodzić
- stwierdził pan Ward.
- Dlaczego?
- Było bardzo wcześnie, nie chcieliśmy przeszkadzać. Zawołałem Banjo jeszcze raz, ale wtedy obwąchiwał ściankę namiotu i zaraz potem ją podlał.
- Dosłownie wrosłam w ziemię - wyznała kobieta. Na jej ziemistych policzkach wykwitł rumieniec. - Nie przypuszczałam... Skąd mogłam wiedzieć...?
- Proszę mówić dalej - zachęcił ją Chris.
- Zawołałam go znowu, tym razem bardzo stanowczo, i poszłam po niego ze smyczą, bo wcale się nie słuchał. Wtedy zobaczyłam... - Utkwiła spojrzenie w przednim fotelu, a jej oczy zaszyły łzami. - Zobaczyłam nogi w wejściu do namiotu. Myślałam, że ten człowiek śpi... - Pokręciła głową.
- Mąż pogładził ją po dłoni.
- Kiedy podszedłem bliżej - podjął - zobaczyłem, że Banjo obwąchuje buty leżącego, i wydało mi się to dosyć zabawne. Ale zaraz Becky zaczęła krzyczeć. - Przerwał, zapatrzył się w przestrzeń, odświeżając wspomnienia. - Podbiegłem do niej i wtedy zobaczyłem szczury przy jego szyi... te wijące się larwy... no i smród... - Mark Ward przetarł twarz, jakby mógł się dzięki temu pozbyć resztek nasyconego śmiercią powietrza, którym jakiś czas oddychał. - Potem wymiotowałem - przyznał niechętnie.
- Zawsze wymiotuje mężczyzna, pomyślał Chris z goryczą.
- Co mu się stało? - zapytała pani Ward, cicho łkając. - Miał taki straszny wyraz twarzy... I pokazywał na wyjście...

- Na obecnym etapie nie możemy się pokusić o wyciąganie wniosków - powiedział Chris. Skrzywił się przy tym, bo doskonale wiedział, że mówi jak rzecznik prasowy: dużo słów, mało treści. Byle uniknąć odpowiedzi na pytanie. Ale w końcu rzeczywiście na razie nie mieli prawa wyciągać żadnych wniosków.

Kennedy przejrzał notatki.

- Czy możemy wyjaśnić jedną rzecz, zanim przejdziemy dalej? Powiedzieli państwo, cytuję: „Nie chcieliśmy przeszkadzać”. Sądzi państwo, że w namiocie jest więcej niż jedna osoba?

- Tak, naturalnie - potwierdził Mark Ward. - Namiot jest duży, przy nim sporo sprzętu turystycznego.

- Czy widzieli państwo kogoś jeszcze w okolicy obozowiska? Czy spotkali państwo kogoś w drodze?

- Nie. Nikogo. Przez cały spacer nie napotkaliśmy żywej duszy. Czasami ktoś się tu napatoczy, ale było bardzo wcześnie, a poza tym to naprawdę odludna okolica. Większość spacerowiczów woli bardziej znane trasy, na przykład doliną Glendalough.

- Jak państwo wszczęli alarm? - zapytał Chris.

- Na górze nie było zasięgu, więc jak najszybciej zeszliśmy do samochodu i potem jechaliśmy, aż znaleźliśmy się w jakiejś sieci.

- Kiedy już zawiadomiliśmy policję - powiedziała Rebecca Ward - wróciliśmy na parking, tak jak prosiła ta pani, która przyjęła zgłoszenie. A potem Mark zaprowadził policjantów na górę.

- Sam nie byłem pewien, czy znajdę ścieżkę, więc wziąłem z sobą Banjo. W razie czego może by pomógł.

- Rośnie nam pies policyjny - zażartował Kennedy i wyciągnął rękę, chcąc poklepać teriera po łebku.

Banjo kłapnął zębami, o włos od dłoni policjanta.

- O, cholera!

Kennedy odruchowo pomasował rękę, choć nic mu się nie stało.

- Banjo! - krzyknęła Rebecca. - Tak mi przykro...

- Nie ma o czym mówić - rzucił Chris kpiącym tonem.

- Detektyw Kennedy przywykł do takich reakcji. Bardzo często wywiera podobny wpływ również na ludzi. - Miał nadzieję rozładować napięcie. - Ogromnie państwu dziękujemy. Okazali się państwo bardzo pomocni. Na razie mamy chyba wszystko, ale gdyby sobie państwo o czymś przypomnieli, proszę o telefon.

- Podał wizytówkę.

Świadkom wyraźnie spadł kamień z serca. Po kolei uścisnęli dłoń detektywom, uważając, by robić to poza zasięgiem zębów pupila.

- Poproszę, żeby ktoś z ratownictwa podrzucił państwa do auta - obiecał Chris.

Niestety, wbrew temu, co przed chwilą powiedział, doskonale wiedział, że zeznania tych dwojga nic nie wniosą do sprawy. Szykowało się kolejne skomplikowane dochodzenie.

A dopóki nie znajdą rozwiązania, dopóty ten pechowy turysta pozostanie kolejnym niewyjaśnionym przypadkiem w puchnącej statystyce zbrodni.

## DWANASCIE

Dopiero po zmroku Mike Steel mógł sobie pozwolić na zasłużone zimne piwo. Właśnie miał zacząć się nim raczyć, gdy usłyszał krzyk.

- O rany... - jęknął.

Dźwignął się z kanapy i powlókł korytarzem w stronę źródła hałasu.

- Co się dzieje? - spytał, zapalając górne światło.

- Pootwój w szafie - załkała Jessica.

Spod kołdry wystawały puszyste blond włosy i wielkie od strachu niebieskie oczy. Trzylatka pulchym paluszkiem wskazała kąt pokoju. Mike westchnął.

- Jess, króliczku, rozmawialiśmy o tym, prawda? - Podeszedł do szafy, otworzył drzwi. - Nie ma tu żadnych potworów. Zobacz sama, tylko ubrania i zabawki, nic więcej.

Mała pokręciła głową.

- Ona też widziała!

Tym razem wycelowała palcem w siostrę leżącą na sąsiednim łóżku.

- Taaak? - Mike przyszpilił wzrokiem starszą córkę. - Reilly, masz coś do powiedzenia?

- Przepraszam... - Dziewczynka spuściła wzrok, ale jednocześnie wzruszyła ramionami. - Spać mi się chce, a ona gada i gada... No to jej powiedziałam, że jak się w końcu nie zamknie, to z szafy przyjdą po nią potwory...

Mike zacisnął zęby.

- Rany boskie, tylko tego mi brakowało.

Usiadł na łóżku młodszej córki, objął ją i przytulił. Pogładził niesforne loki.

- Ja chcę do mamy - miauknęła Jessica. Ja też, poparła ją w myślach Reilly.

- Nie chcę, żeby mnie potwojy zabjały - dodała trzylatka.

- Nikt cię nie zabierze. Musiałyby najpierw pokonać mnie, a zobacz, jaki jestem wielki i silny.

Na twarzy Jessiki pojawiła się zapowiedź uśmiechu.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - ciągnął Mike. - Nie ma w szafie potworów. Reilly z ciebie żartowała. A mama niedługo wróci.

- Żartowałam - poparła go Reilly. - Sorki, mała.

- Wybaczam. - Jessica ziewnęła szeroko.

- Śpij, kochanie. - Mike przytulił ją mocniej. - Reilly wstaje rano do szkoły, też musi być wyspana.

- Tatusiu... posiedzisz ze mną? Prośbę wsparło wilgotne spojrzenie.

- Jasne, posiedzę. - Pogładził córkę po plecach. Oby zasnęła jak najprędzej. - Zostanę, jak długo zechcesz.

Jakiś czas w sypialni trwała cisza.

- Słonko, nie strasz jej więcej - szepnął Mike, gdy uznał, że mała zasnęła. - Ostatni potwór mieszkał w szafie prawie pół roku. Nie mogę sobie teraz pozwolić na walkę z następnym. Mam sporo zajęć.

Reilly schowała głowę w ramiona.

- Wiem. Przepraszam.

Żałowała szczerze, choć Jess naprawdę grała jej na nerwach. Bez przerwy śpiewała, tańczyła i na dodatek bez końca paplała o niczym. Reilly bardzo chciała mieć własny pokój. Niestety, dom był na to za mały, no i na dodatek wiedziała, choć teoretycznie nie powinna mieć o tym pojęcia, że z pieniędzmi jest krucho.

- Tato... mówiłeś, że mama niedługo wróci.



Mike spuścił wzrok, a Reilly straciła wszelką nadzieję. Już wiedziała: powiedział to tylko po to, by pocieszyć Jess. Mama czasami wyjeżdżała i nikt wtedy nie wiedział, gdzie się podzie-wa ani kiedy wróci. Tata mówił, że kiedy bywa smutna, musi trochę pobyć sama.

- Cały czas na nią czekam, kochanie. Zapadła cisza.

- Słonko, wiem, że Jess bywa trudna do zniesienia - odezwał się Mike. - Mimo wszystko musisz pamiętać, że ma dopiero trzy lata. Nie robi ci przykrości celowo. - Ostrożnie ułożył młodszą córkę na poduszce i troskliwie przykrył.

- Wiem.

Przesiadł się na łóżko Reilly.

- Obiecuj mi coś. Pomożesz mi przekonać ją, że potwory nie istnieją i nie ma się czego bać, zgoda?

- Zgoda.

Kilka minut później, gdy Mike wyszedł z sypialni córek, a Reilly właśnie zasypiała, rozległ się dobrze jej znany cienki głosik:

- Jeilly... nie śpisz?

- Co znowu? - burknęła, odwracając się do siostry plecami. Kiedy ta smarkata wreszcie zaśnie? Przecież wydawało się, że śpi jak zabita.

- Naprawdę nie ma potwojów? W ogóle nigdzie na świecie?

Reilly przewróciła oczami. Niech ona się wreszcie zamknie i śpi. Przypomniała sobie jednak o danej tacie obietnicy.

- Nie ma - odpowiedziała cicho. - Tata wie, co mówi. - Podciągnęła kołdrę pod brodę. - Naprawdę nie ma potworów.

W ogóle nigdzie na świecie.

Naprawdę nie ma potworów...

Na dźwięk budzika Reilly zerwała się z pościeli. Myśli miała jeszcze zmacone. Odruchowo zerknęła na szafę w nogach łóżka.

Wszystko w porządku.

Osiem lat skończyła już dawno, od lat nie mieszkała z młodszą siostrą w jednym pokoju w domku w hrabstwie Marin. Była dorosła i dysponowała własną sypialnią, a przynajmniej pomieszczeniem noszącym tę szumną nazwę i stanowiącym część mieszkania wynajmowanego za astronomiczną kwotę.

I naprawdę nie ma potworów. Przynajmniej w szafie.

Dawno już nie wracał do niej ten sen. Później następowała w nim scena, którą rozpamiętywała ciągle na nowo, w snach i na jawie. Powiedziała wtedy siostrze, że nie ma potworów, nie ma złych ludzi i nikt jej nie skrzywdzi.

Przygryzła wargę. Gdyby człowiek wiedział...

Wstała, poszła do kuchni.

Niedobrze, że sny zaczęły wracać. I to coraz częściej. Może jednak powinna posłuchać rady doktora Kyle'a i znaleźć tu sobie jakiegoś lekarza? Chociaż wszystko było w najlepszym porządku. Nie miała też najmniejszej ochoty tłumaczyć całej historii od zarania dziejów obcemu dublińczykowi, który nie wiedział nic o jej rodzinie i nie zrozumiałby jej lęków. W zasadzie sama ledwo je pojmowała.

Zabrała się do mielenia kawy. Nie zamierzała pogrążyć się w przeszłości. Odmierzyła łyżkę brązowych ziaren, zmieliła je i z rozkoszą wciągnęła w nozdrza gęsty aromat. Niektórzy wolą mleć kawę wieczorem, by zyskać nieco czasu przed wyjściem z domu, ona jednak wiedziała, że najsmaczniejsza jest kawa ze świeżo przygotowanych ziaren, które nie utraciły kuszącego zapachu. Jaki jest sens zostawiać ją zmieloną na całą noc? Żeby zwietrzała?

Włączyła ekspres i cierpliwie czekała.

Pijała kawę czarną i bez cukru nie dlatego, że - jak myślał Kennedy - była zwariowana na punkcie zdrowia, ale ze względu

na smak. Według niej słodzenie jej i dolewanie mleka służyło tylko zamaskowaniu kiepskiej jakości ziaren.

Już pierwszy łyk postawił ją na nogi i napełnił energią. Mogła iść na spotkanie.

Wczoraj wróciła z laboratorium późną nocą, a dziś chciała się znaleźć w nim jak najwcześniej, żeby przejrzeć materiał dowodowy oraz raporty z patologii dotyczące zamordowanego turysty. Chociaż z powodu braku ostrożności świadków nie spodziewała się rewelacji.

Gdy znalazła się w laboratorium, zdążyła tylko rzucić okiem na najnowsze dokumenty, a już po chwili zadzwoniła Karen Thompson.

- Miło mi panią słyszeć - powitała ją Reilly. - Nie chodzi o żadne opóźnienie, mam nadzieję? - starała się powiedzieć to lekkim tonem, by nie sprawić patolog przykrości.

- Nie chcę pani zawracać głowy - powiedziała Thompson z wahaniem - i normalnie bym nie dzwoniła...

- O co chodzi? - Reilly natychmiast wyczuła nadciągające kłopoty. Niech to licho, naprawdę miała nadzieję, że nie będzie opóźnień.

- Dzwonię w sprawie badania turysty.

- Rozumiem. Swoją drogą świetne wycucie czasu. Akurat zidentyfikowaliśmy ofiarę. To Gerry Watson, lat dwadzieścia sześć. Mieszkał na przedmieściach Dundrum - zacytowała z dokumentów. - Nienotowany, ale panowie Delaney i Kennedy jeszcze go sprawdzają. Przefaksuję pani wszystkie szczegóły, jak tylko je dostanę. A co pani ma dla mnie?

- Chcę prosić, żeby się pani bliżej przyjrzała pewnej próbce. Domyślam się, co to takiego, ale żeby zamknąć sprawozdanie, muszę mieć pewność.

Reilly uniosła brwi w zdziwieniu. Karen Thompson zwykle była pewna swego. Ciekawe, co ją tak zbiło z tropu.

- Wiem, że jest pani bardzo zajęta - ciągnęła patolog - gdyby jednak pani zechciała dać temu preparatowi pierwszeństwo, byłabym ogromnie wdzięczna.

- Oczywiście. Mam rozumieć, że odkryła pani coś wyjątkowo interesującego?

- Można to tak ująć - zgodziła się Thompson. - Za oficjalną przyczynę śmierci uznano, rzecz jasna, ranę postrzałową w klatkę piersiową... - zamilkła. - Chciałabym jednak uzyskać pani opinię na temat wymiocin i zawartości żołądka. Nie została strawiona... Cóż, nie chcę niczego sugerować. Najlepiej będzie, jeśli pani sama ją oceni.

- Dobrze. Spodziewałam się dzisiaj przesyłki związanej z tą sprawą, ale jeśli pani sobie życzy, proszę mi tę próbkę podesłać osobno. Zbadam ją jak najszybciej i porównamy spostrzeżenia. Już się zajęliśmy patelnią. Teraz mój zespół ocenia, co zostało na niej przyrządzone. Podsunę im do zbadania również preparat od pani. Dowiemy się, co jadł denat.

- Szczerze powiedziawszy - Karen Thompson głośno przełknęła ślinę - ja już wiem.

- Nie wierzę! - krzyknął Kennedy. - Po prostu nie wierzę! To się nie mieści w głowie! - Krążył po biurze jak lew w klatce, twarz mu spurpurowiała z obrzydzenia. W ręku trzymał raport PLK odebrany faksem. - Wariactwo jakieś, zboczenie!

Chris siedział przy biurku, równie oszołomiony. W dłoni ścisnął słuchawkę telefonu.

- Reilly, jesteś całkowicie pewna? - zapytał.

Znał ją na tyle, by wiedzieć, że zadaje pytanie retoryczne, bo gdy chodziło o analizy kryminalistyczne, Reilly Steel nie popełniała błędów. Mimo wszystko miał nadzieję na jakąś pomyłkę albo niedopatrzenie.

- Jestem całkowicie pewna - powtórzyła Reilly. - Karen Thompson także. Podejrzewała taki obrót spraw, dlatego dziś z samego rana poprosiła nas o sprawdzenie badań. Tak wygląda prawda. Materiał dowodowy nie kłamie.

Chris zobaczył oczyma wyobraźni ciało Gerry'ego Watsona, a przed namiotem patelnię na kuchence.

- Jakim cudem? - wydukał. Rozpaczliwie szukał okruchów sensu. -1 dlaczego?
  - O to musimy zapytać mordercę - stwierdziła Reilly. - Patolog jeszcze domyka sprawozdanie, niedługo dowiecie się więcej. My przeprowadzimy dalsze testy preparatu. Powinniśmy uzyskać dokładne informacje na temat menu. Skąd u niej takie opanowanie? Mówiła jak o pierwszym z brzegu fragmencie materiału dowodowego, czymś najzwyczajszym pod słońcem, może jedynie trochę interesującym, jak niezidentyfikowana próbka farby i sierść z poprzednich spraw. Całkiem inaczej niż on i Kennedy. Im po przeczytaniu raportu z obrzydzenia na jakiś czas odebrało mowę.
  - Reilly... - Musiał zadać jeszcze jedno pytanie. - Czy kiedykolwiek wcześniej... Czy zdarzyło ci się... - Odchrząknął.
  - Czy spotkałaś się już z czymś takim?
- Nieomal zobaczył, jak wzruszyła ramionami.
- Kilka razy w Quantico i raz już w normalnej pracy. Parę lat temu FBI nawiązało współpracę z rządem niemieckim w sprawie Armina Meiwesa. Słyszałaś o tym przypadku?
- Samo nazwisko nic Chrisowi nie mówiło.
- Zamieścił w sieci ogłoszenie, że poszukuje ofiary. Znalazł się chętny, podobno rzeczywiście zainteresowany propozycją, chociaż do dzisiaj nie ma pewności, czy potraktował słowa Meiwesa poważnie. Proces Niemca trwał chyba ze sto lat, a śledztwo, z tego, co słyszałam, wywarło na niektórych policjantów taki wpływ, że do dziś są pod opieką psychologa.
- Teraz sobie przypomniał.
- Jezu Chryste... - wymamrotał. - Obyśmy nie mieli tutaj czegoś podobnego. - Nie chciał nawet myśleć o reakcji mediów i odbiorze społecznym takiej sprawy.
  - Kanibalizm nie jest taki znowu niespotykany, jak nam się wydaje, panie detektywie - dodała Reilly lekkim tonem.
  - A w naszej pracy człowiek prędzej czy później otrze się o każdą niegodziwość.

## TRZYNASCIE

Sala wykładowa pękała w szwach, mimo to panowała w niej cisza jak makiem zasiał. Wszyscy utkwili wzrok w człowieku przed tablicą.

Daniel Forrest był drobnej budowy, miał gęste ciemne włosy posiwiałe na skroniach i żywe oczy, patrzące na świat zza okularów. Przez cały wykład krążył po podium.

- Seryjni mordercy wyróżniają się wśród zabójców szczególną beztroską. Potrzeba zabijania w znacznym stopniu dominuje u nich nad sprytem czy dyskrecją. Działanie umożliwia im najczęściej niekompetencja i lekkomyślność śledczych oraz wszelkich ekspertów.

Po sali przetoczyła się fala tłumionego śmiechu. Forrest potoczył wzrokiem po zebranych.

- Nie wierzycie? - zapytał. - Przedstawię wam historię Henry'ego Louisa Wallace'a. Obyście z niej wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Rozpoczął opowieść, ilustrując ją slajdami.

- Henry Louis Wallace został aresztowany czwartego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku w Charlotte, w Karolinie Północnej. Do tego czasu miał na sumieniu zgwałcenie i uduszenie pięciu czarnoskórych kobiet. Każda z nich pracowała w zawodzie związanym z fast foodami, co więcej, wszystkie były przyjaciółkami jego dziewczyny, a jego nazwisko powtarzało się w notesach ofiar. - Powiódł

spojrzeniem po morzu zaaferowanych twarzy. - Nie koniec na tym. W chwili pierwszego aresztowania był już notowany za włamanie i za gwałt pod groźbą użycia broni! Pamiętajmy, że znał wszystkie pięć ofiar, o których mówiliśmy wcześniej. Zastanawiające, prawda? - Zaczekał, aż ucichną potakiwania. - Na nieszczęście dla kolejnych czterech ofiar Walla-ce'a wszystkie te fakty nie miały najmniejszego znaczenia dla policji z Charlotte-Mecklenburga oraz dla biura prokuratora. Przesłany został zwolniony z aresztu jeszcze tego samego dnia, ponieważ nie zatrzymano go pod zarzutem morderstwa, lecz jedynie drobnej kradzieży w centrum handlowym. Po sali przebiegł kolejny pomruk.

- Zapytacie, jak to możliwe? Otóż w tym czasie, gdy Wal-lace'a zatrzymano, policja nie brała pod uwagę możliwości, że morderstwa młodych czarnoskórych kobiet są powiązane

- oznajmił Forrest. - Nie dostrzegła, że coś je łączy. A Wallace po wypuszczeniu z aresztu nabrał śmiałości i szesnaście dni później zabił ponownie. A potem zabijał dalej, aż do chwili, gdy aresztowano go... dwa lata po poprzednim zatrzymaniu. Wtedy przyznał się do jedenastu morderstw. - Wrócił na podium i lekko wsparł się o blat. Nie musiał zaglądać do notatek.

- Dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku Henry Louis Wallace został uznany za winnego dziewięciu mordów. Aktualnie przebywa w celi śmierci w Raleigh. Za jedną z istotnych przyczyn swojej nieudolności w walce z tym kryminalistą policja uznała brak doświadczenia w prowadzeniu dochodzenia w sprawie seryjnych morderstw. - Powiódł wzrokiem po słuchaczach. - A teraz jeszcze jedna interesująca rzecz. Na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, gdy liczba zabójstw na terenie stanu okazała się wyjątkowo duża, miejscowa policja zwróciła się o pomoc do FBI, a biuro stwierdziło, że zbrodnie te nie są skutkiem działania seryjnego mordercy. Dlaczego? Otóż Wallace nie pasował do profilu. Był czarnoskóry, podczas gdy większość zabójców tego typu wywodzi

się z rasy białej. Poza tym seryjni mordercy powinni zabijać obcych, tymczasem Wallace mordował osoby znajome i współpracownicy. - Uśmiechnął się do studentów. - Nie muszę w tej sytuacji zaznaczać, że ja wówczas nie pracowałem w FBI. W odpowiedzi rozległ się chóralny śmiech.

- Po co wam opowiedziałem tę historię? - spytał i zamilkł, czekając na sugestie.

W końcu ktoś podniósł rękę.

- Żebyśmy nie wyciągali zbyt pochopnych wniosków? Forrest się rozpromienił.

- Właśnie tak. Jeśli chodzi o seryjnych morderców, nie ma żadnych reguł, zasad ani ewidentnych odpowiedzi. Mając do czynienia z ludźmi tego rodzaju, nie należy niczego zakładać z góry. Oczywiście jesteśmy zmuszeni do pewnego stopnia pracować w określonych ramach, z narzuconymi wzorcami, dlatego nazywamy się kryminologami psychologami i czasami rzeczywiście kryminalista pasuje do profilu psychologicznego.

- Przeszedł przed mównicę. - W większości przypadków jednak seryjni mordercy są lekkomyślni, działają nierozważnie, czerpią radość z zabijania. Choć zdarzają się wśród nich osoby wyjątkowo przebiegłe, umiejące wdrożyć w życie skomplikowany plan, mające konkretne cele. Nie sposób przewidzieć, z kim się ma do czynienia. Dlatego należy koniecznie pamiętać o tym, co ich łączy: wszyscy popełniają błędy. A my mamy je dostrzec.

- Wskazał na ekran za swoimi plecami, na którym widniała fotografia zbrodniarza z akt więziennych. - Nie powtarzajcie błędów policji z Charlotte-Mecklenburga. Zwracajcie uwagę na szczegóły, drobne potknięcia, bo to one w końcu pozwolą wam schwytać sprawcę. - Wyłączył projektor, złożył notatki.

- Na dzisiaj to wszystko. Do zobaczenia za tydzień.

Gdy studenci, żywo dyskutując, zbierali się do wyjścia, zniknął dyskretnie w bocznych drzwiach. W korytarzu złapała go jedna z sekretarek.

- Jest do pana osiem wiadomości - powiedziała, wkładając mu w ręce karteczki. - Wszystkie pilne.



- Bywają inne? - westchnął Forrest.

Upił łyk kawy z papierowego kubka, podziękował kobiecie uśmiechem i poszedł dalej.

Pchnąwszy drzwi do swojego biura, wrzucił do kosza pusty już kubek i usiadł za wielkim dębowym biurkiem. Pokój robił wrażenie. Przede wszystkim w oczy rzucały się regały z książkami i teczkami zawierającymi dokumenty poszczególnych spraw, następnie kilka słoików z preparatami, wreszcie półeczka ze zdjęciami rodzinnymi.

Agent przecesał włosy palcami i zaczął przeglądać wiadomości. Czwarta zatrzymała go na dłużej. Na jego twarzy pojawił się wyraz miłego zaskoczenia. Zerknął na zegarek, podniósł słuchawkę i, spoglądając na kartkę, wybrał numer.

- PLK, Reilly Steel.

- Witaj, Reilly - odezwał się ciepło. - Co tam u ciebie? Właśnie dostałem twoją wiadomość. Jak sobie radzisz w Dublinie?

- O, cześć, miło cię słyszeć. Dziękuję, że oddzwoniłeś od razu.

- Proszę uprzejmie. Czym mogę służyć?

- Chciałam z tobą porozmawiać na temat konkretnego dochodzenia, jeśli znalazłbyś kilka chwil...

Drzwi w biurze Forresta uchyliły się. Do środka zajrzała sekretarka.

- Proszę pana, jest już doktor Williams...

Podniósł dłoń, rozcapierzył palce, prosząc o pięć minut zwłoki. Kiwnęła głową i zniknęła.

- Nie ma sprawy, słucham.

- Co byś powiedział na pozornie przypadkowe zbieżności typu freudowskiego między dwoma miejscami zbrodni?

Do tego w trzecim znaleźliśmy cygaro.

Daniel Forrest potarł czoło zaintrygowany.

- Czasami cygaro jest tylko cygarem i niczym więcej - zacytował cicho.

- Pamiętam o tym. Ale już trudno to uznać za przypadkową zbieżność, prawda?

Forrest jakiś czas milczał. Zastanawiał się, czy Irlandczycy mają pojęcie, jakie szczęście ich spotkało, że Reilly Steel z nimi współpracuje. Zawsze była nieprawdopodobnie bystra. Potrafiła znaleźć punkt wspólny w kwestiach z pozoru całkowicie od siebie oddalonych. A znając go, oczywiście złapała go na haczyk psychologii.

- Zmyślne... i subtelne - ocenił w końcu.

Ale ani nazbyt zmyślne, ani szczególnie subtelne dla kogoś takiego jak on. Czasami cygaro jest tylko cygarem i niczym więcej. Jeden z najsłynniejszych cytatów z Zygmunta Freuda, a równocześnie szydercze podsumowanie obsesji na temat przedmiotów fallicznych, do której Forrest szczerze się przyznawał. Doskonale znał dzieła i dorobek słynnego psychologa - taki miał zawód. Tym bardziej podziwiał Reilly, która bez trudu odgadła prawdziwe znaczenie cygara. W końcu jednak dziewczyna zawsze miała niesamowitą intuicję.

- Jak się tego domyśliłaś?

- W dwóch niezwiązanych miejscach zbrodni znaleźliśmy identyczny materiał dowodowy. W ten sposób odkryliśmy pierwszą zbieżność. Poza tym w jednym znajdował się egzemplarz *Objaśniania marzeń sennych*, a w drugim domniemany samobójca zostawił w liście pożegnalnym wyjątek z Freuda.

- Przypadek? - rzucił Daniel Forrest zaczepnie, chociaż wiedział, że Reilly jest za mądra, żeby dać się nabrać na takie plewy.

- Pracuję tu ze świetnymi ludźmi - stwierdziła z uśmiechem. - Też byś ich polubił. A wracając do sprawy. Wyobraź sobie, że kilka dni temu znaleźliśmy podobne ślady w trzecim miejscu zbrodni. Od razu wiedziałam, że wszystkie są z sobą powiązane, ale musiałam zyskać całkowitą pewność, więc jeszcze raz przejrzałam materiał dowodowy z najnowszego zdarzenia, szukając czegoś związanego z Freudem. Cygaro pasuje jak ulał.

- Nie wiedziałem, że znasz się na teoriach Freuda.

- Wcale się nie znam - zaprotestowała. - Ale cygaro jest

klasycznym symbolem fallicznym, prawda? A za sprawą Billa i Moniki...

Forrest uśmiechnął się mimowolnie. Proszę bardzo. Oto jak potężny bywa niekiedy wpływ wydarzeń społecznych.

- Poszperałam trochę - podjęła Reilly - i wtedy trafiłam na cytaty z Freuda, wobec czego uznałam, że mamy wizytówkę mordercy: powiązania freudowskie. Czasami cygaro jest tylko cygarem i niczym więcej, natomiast tym razem ma jeszcze inne znaczenie.

- Dobra robota - przyznał Forrest.

- Wielkie dzięki, ale niestety na tym utknęłam - przyznała Reilly. - Mamy naprawdę przyzwoity zespół badawczy i wiem, że w końcu złapiemy faceta, ale nie mam pewności, czy bez pomocy dobrego specjalisty zdążymy go dopaść, zanim zabije kolejnego.

- Jest jakiś wzorzec czasowy?

- Trzy, a może i cztery morderstwa, w tym jedno podwójne, w ciągu dziesięciu dni. Jedno ciało zostało odkryte dopiero po jakimś czasie, więc na razie trudno dokładnie określić moment zgonu. Tak czy inaczej w Dublinie to już prawdziwy kataklizm. Władze zaczynają się denerwować, media kręcą się koło tych spraw bez ustanku i choć jeszcze nie zauważyły zbieżności, to tylko kwestia czasu.

Daniel Forrest odchylił się na oparcie fotela. Słuchał uważnie.

- Sam wiesz, jak to jest - ciągnęła Reilly. - Skoro morderca zostawia wizytówkę, to znaczy, że się z nami droczy, że nas sprawdza. Może wkrótce zacząć sobie pozwalać na coraz więcej, a wtedy... - Nie dokończyła zdania. - Widzisz, zawracam ci głowę, bo potrzebujemy pomocy, i to szybko. Jak już wspomniałam, atmosfera robi się nerwowa, a tutejsze służby mają niewielkie doświadczenie w tego typu sprawach. Zwykle pracują z behaviorystami z Wielkiej Brytanii, ale tym razem moim zdaniem najlepszym człowiekiem do tego zajęcia jesteś ty. A dokładnie mówiąc, jedynym odpowiednim. - Zamilkła.

- Zostaniesz naszym konsultantem? - poprosiła. - Tutaj nie ma nikogo z takim doświadczeniem i kwalifikacjami. Szczerze mówiąc, uważam, że tylko ty dasz sobie radę z tak złożoną sprawą.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości - zażartował Forrest i natychmiast spoważniał. - Sam nie wiem. U nas akurat sporo się dzieje... Nie wiem, czy był już taki precedens? Czy ktoś od nas wnikał w takie sprawy w innym kraju...

- Chodzi tylko o konsultacje. Nikt nie oczekuje, że przylecisz do Europy - zapewniła go Reilly pośpiesznie. - Nie obraż się, ale już przedstawiłam tutaj sprawę odpowiednim ludziom. Właśnie teraz załatwiają, co należy, żebyś mógł oficjalnie zostać naszym konsultantem. Grube ryby naciskają, żebyśmy jak najszybciej powstrzymali mordercę, zwłaszcza zanim informacje o nim staną się powszechnie dostępne. - W jej głosie nie było wielkiej nadziei. - Oczywiście wszystkie te działania nie mają sensu, jeśli się nie zgodzisz. A poza tym... czas ucieka.

Daniel Forrest ciągle nie był przekonany. Na jego twarzy malowała się rozterka.

- Może przyślij mi to, co już macie, i wtedy zdecydujemy, czy rzeczywiście będę pomocny?

- Na pewno.

Ciekawość wzięła górę. Był wprawdzie zawalony robotą dla agencji rządowej i regularnie wykładał w akademii, ale z przypadek z Dublina wyjątkowo go zainteresował. Nie mówiąc już o tym, że był coś winien Reilly. Po tym wszystkim, co przeszła, coś się jej należało.

Usiadł prosto.

- Dobrze, zobaczę, co da się zrobić - obiecał. - Zdobądź mi wszelkie dokumenty, coś wymyślimy.

- Bardzo ci dziękuję - odetchnęła Reilly z ulgą. - Bardzo ci dziękujemy. Zaraz postawię ludzi na baczność, dopieścimy szczegóły techniczne.

W drzwiach biura Forresta stanął potężny mężczyzna w długim niebieskim płaszczu i spojrzał pytająco na agenta.

Ten

gestem zaprosił go do środka i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

- Przyślij mi wszystko, co masz, proszę - powiedział do słuchawki. - Rozejrzę się w temacie, potem pogadamy.

Chociaż mało wiedział o sprawie, Reilly i tak już go złapała na przynętę ciekawości. Morderca wykorzystujący jako wizytówkę filozofię Zygmunta Freuda! Każdy szanujący się psycholog kryminalny musiał połknąć bakcyła.

## CZTERNASCIE

- Co zrobiła?! - Kennedy gwałtownie odstawił kubek z kawą.

- Tak powiedział O'Brien. Tamten facet to psycholog kryminalny z FBI. Wykłada w Quantico. Podobno jeden z najlepszych w całej Ameryce.

Chris nie był specjalnie poruszony, tymczasem Kennedy najwyraźniej ledwie panował nad nerwami.

- Po jaką cholere im tutaj całe FBI? A my co? Idziemy w odставку? Na zieloną trawkę? Czas na emeryturę? Jeszcze tylko brakuje, żeby nam się na głowę zwały CIA i jednostki specjalne!

Chris pokręcił głową.

- Przesadzasz.

- Ty wiesz lepiej! - wrzasnął Kennedy, gotów do konfrontacji.

Ale Chris nie miał ochoty na sprzeczkę. Zamknął teczkę z dokumentami, które usiłował czytać, i obrócił się z krzesłem twarzą do partnera.

- Owszem, wiem - odparł spokojnie. - Nigdy w życiu nie pracowałem nad taką sprawą i założę się o oszczędności całego życia, że ty również. - Posłał Kennedy'emu wyzywające spojrzenie. - Może się mylę? W takim razie bądź tak uprzejmy i podziel się ze mną swoim doświadczeniem w sprawach związanych z Freudem i kanibalizmem, proszę.

Kennedy wyglądał na nieszczęśliwego.

- Nie o to chodzi.

- W takim razie o co?

- Chodzi o to... - Kennedy dźgnął powietrze palcem żółtym od nikotyny. - Chodzi o to, że nie mam ochoty, żeby mi się tu zwał na głowę jakiś zadufany jankes i dyktował, jak mam wykonywać swoją pracę! - Zawsze się irytował, gdy coś wykraczało poza ramy jego postrzegania świata.

- Poprawię ci humor, jeśli powiem, że on tu nie przyjedzie? Będzie konsultantem, pomoże w naszkicowaniu profilu psychologicznego zabójcy. Szef powiedział, że tylko Reilly będzie się z nim kontaktowała.

- Aha - prychnął Kennedy. - No dobrze - dodał, nieco ułagodzony. - Tak... A ty pewnie uważasz to za wyśmienity pomysł. Twoim zdaniem Steel jest chodzącym ideałem.

Chris nie chwycił przynęty. Odkręcił się z powrotem do biurka i zajął pracą.

Kennedy jak zwykle wyolbrzymiał sprawę. I był mniej otwarty na nowatorskie metody Reilly Steel niż on. Ale po ostatnich spotkaniach Reilly rzeczywiście coraz bardziej go intrygowała, a zwłaszcza rezerwa, z jaką traktowała otoczenie. Był zwyczajnie ciekaw, co dzieje się w tej ciągle czymś zajętej głowie.

Poza tym wszyscy mieli już serdecznie dość myślenia. Ostatnie śledztwo na dobrą sprawę przerastało ich wszystkich. Wyścig z seryjnym mordercą zawsze spędza policji sen z powiek, nic zatem dziwnego, że O'Brien chciał zamknąć sprawę jak najprędzej.

Krążyły nawet plotki o pomyśle ściągnięcia Jacka Gormana z rocznicowego rejsu, co by mu się z pewnością nie spodobało. Choć Chris osobiście nie widział takiej potrzeby. Jego zdaniem Reilly i jej zespół spisywali się doskonale. Przecież gdyby nie ona, nawet nie dostrzegliby powiązań między morderstwami. A włączenie do śledztwa agenta FBI było doskonałym posunięciem, niezależnie od opinii Kennedy'ego.

Starszy policjant w dalszym ciągu mamrotał coś o wtykaniu nosa w nie swoje sprawy, ale Chris wiedział, że to głównie z przyzwyczajenia. Kennedy podobnie jak on już dawno musiał zauważyć, że nie mają doświadczenia w prowadzeniu tego typu dochodzenia. Stanowczo potrzebowali pomocy.

Reilly, nieświadoma zamieszania, jakie wywołała jej prośba o pomoc, siedziała w laboratorium. Trochę ją zaskoczyła natychmiastowa zgoda inspektora O'Briena na sugestię dołączenia do zespołu psychologa kryminalnego. Zwłaszcza takiego, z którym tutejsze służby jeszcze nie współpracowały.

Zdawała sobie sprawę, że zyskała kilka punktów za połączenie trzech pozornie z sobą niezwiązanych zbrodni. Poza tym miała po swojej stronie Chrisa Delaney'a i Karen Thompson. Dlatego nie sądziła, by szefostwo długo stawiało opór. Ale nie liczyła na aż tak szybką decyzję. O'Brien jednak był przede wszystkim zwierzęciem politycznym i zależało mu na jak najszybszym zamknięciu sprawy, koniecznie zanim prasa zacznie żądać głów (zwłaszcza głowy ministra sprawiedliwości).

Z pomocą Daniela na pewno dokonają jakiegoś przełomu, dostrzegą coś nowego, co pozwoli im wyprzedzić mordercę. Odkryją ten jeden jedyny błąd i wykorzystają go przeciwko kryminaliście.

Tego ranka w czasie porannej odprawy zespołu rozłożyła na stole akta wszystkich trzech przypadków. Nadszedł moment na poszerzenie horyzontów, może nawet uda im się znaleźć coś, co umknęło i jej.

- Kto odrobił pracę domową? - zapytała.

Pierwszy jak zwykle zgłosił się Gary. Palcem wskazującym poprawił okulary i wysunął się o krok.

- Zygmunt Freud, ojciec współczesnej psychoanalizy, urodził się szóstego maja tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku w niewielkim miasteczku...



- Dobrze jest znać biografię - wpadła mu w słowo Reilly - bo tło zawsze ma jakieś znaczenie, ale zastanówmy się, dlaczego ma znaczenie w wypadku naszej sprawy.

Gary, wyraźnie rozczarowany, umilkł na dobre.

- Bo powiedziałaś nam, że łączy trzy dochodzenia? - zaryzykowała Lucy.

- Masz rację. Właśnie o to chodzi. Wiemy, że sprawy łączy skojarzenia freudowskie: książka, cytat, cygaro...

Niestety, nie potrafimy ustalić, co mają one znaczyć. Na tym polega nasz kłopot.

- Innymi słowy morderca nam coś mówi, a my go nie rozumiemy - podrzuciła Lucy.

- Właśnie tak.

- Wobec tego bawimy się z nim w kotka i myszkę, a on chce zostać złapany? - zastanowił się Rory.

- Też gdzieś o tym czytałam - poparła go Lucy. Reilly wyduła wargi w zamyśleniu.

- Niekoniecznie. Seryjny morderca, chociaż cierpi na zaburzenia funkcjonowania osobowości, może być jednocześnie doskonale zorganizowany. Zazwyczaj ludzie tego pokroju odbiegają od normy, jeśli chodzi o przystosowanie społeczne, ale nie można ich nazwać chorymi umysłowo.

- Czyli to dziwak, a nie wariat?

- Tak, Lucy, można to tak ująć.

-- Skoro nie chce być złapany - odezwał się Rory jak zawsze poważnie - po co zostawia wskazówki? Przecież sensowniej byłoby zachowywać się jak najostrożniej i nie dawać nam żadnego punktu zaczepienia.

- Zwykle takie zachowanie ma korzenie w psychopatycznej potrzebie manifestacji. Przestępcy są zafascynowani własnymi czynami, ale przecież nie pójdą do pubu, żeby podzielić się z przyjaciółmi opowieścią o swoich najnowszych zbrodniach. Dlatego zostawiają wskazówki. Na tyle istotne, żeby zwrócić uwagę policji, lecz jednocześnie na tyle niewyraźne, by nie mogła dzięki nim ich złapać. W ten sposób zyskują

pewność, że ktoś o nich myśli, ktoś ich zauważa, czują się ważni.

Gary przyglądał się fotografiom przedstawiającym miejsca zbrodni. Poprzekładał je na blacie.

- Czego szukasz? - spytała Reilly.

- Wiem, że masz znacznie większe doświadczenie niż my, ale czytałem, że seryjni mordercy często mają konkretny *modus operandi*, który może dać pojęcie o ich sposobie myślenia.

- Rzeczywiście - przyznała Reilly. Nie sposób zaprzeczyć. Wiedziała o tym więcej, niżby chciała.

- Jaki jest *modus operandi* naszego mordercy?

- Doskonale pytanie. Kto ma jakiś pomysł?

- Myślałam, że Freud zajmował się głównie seksem - powiedziała Lucy. - Ale tu tylko morderstwo Clare Ryan jest bezpośrednio z nim związane.

Na dłuższy czas zapadła cisza.

- Tam wcale nie chodziło o seks. Wszyscy spojrzeli na Gary'ego.

- Chodziło o zmuszenie człowieka do zrobienia czegoś, czego nie chciał zrobić. - Ułożył zdjęcia w jednym rzędzie.

- Zobaczcie: brat i siostra... Wygląda na to, że morderca zmusił ich do stosunku, potem zmusił Justina, żeby zabił siostrę...

- Wziął do ręki zdjęcie Gerry'ego Watsona i przesunął je po blacie. - Jego zmusił do zjedzenia ludzkiego mięsa... - Przełożył fotografię Jima Redmonda. - Wydawało nam się, że to samobójstwo, ale chyba trzeba przyjąć, że jest w tej śmierci element związany z homoseksualizmem.

- Czekamy na wyniki, ale rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że Jim Redmond na krótko przed śmiercią odbył stosunek analny - przyznała Reilly.

- Wobec tego tu też mamy rodzaj przymusu. Może potem ofiara została zmuszona do popełnienia samobójstwa? Chłopak miał olej w głowie.

- Na razie brak nam pewności - odezwała się Reilly - czy do stosunku doszło bez zgody ofiary.

Jakiś czas wszyscy milczeli. Wreszcie odezwał się Julius:

- Co nam to wszystko mówi? Co on zrobi teraz? Bo przecież głównie o to chodzi, prawda?

- Prawda - przyznała Reilly. - Dzięki naszej pomocy śledztwo powinno przekształcić się z biernego w aktywne. Niestety, na razie mieli bardzo mało danych. Co można było z nich uzyskać? Jak odgadnąć plany mordercy?

## PIETNASCIE

W Dublinie wstał kolejny ponury zimowy dzień. Stalo-woszare chmurzyska wisały nisko nad miastem. Ciężkim, wilgotnym powietrzem ledwo dało się oddychać, a mżawka powlokła samochody i chodniki cienką warstwą wody. Zmordowany Chris wysiadł z auta, zastanawiając się dokładnie nad tym samym co Reilly: co będzie dalej? O'Brien suszy! im głowę o brak postępów w śledztwie, a teraz jeszcze media, które do tej pory wykazywały się całkiem sporą chęcią do współpracy, zmieniły nastawienie i podniosły lament z powodu braku podejrzanych zarówno w sprawie Clare Ryan, jak i Gerry'ego Watsona. Chris miał przeczucie, że właśnie tego popołudnia sprawy nabiorą tempa. Zatrzasnął drzwiczki i przeglądając się w bocznym lusterku, poprawił krawat, a potem zapiął marynarkę. W garniturze zawsze czuł się niepewnie, tu jednak inny strój nie wchodził w rachubę. Zadowolony z własnego, odpowiednio ponurego wyglądu wolno ruszył po mokrej trawie w stronę żałobników. Mżawka utworzyła lekką mgielkę. Samotny udział w pogrzebie niezbyt go cieszył, ale Kennedy wykręcił się górą papierów do obrobienia, a on jakoś nie potrafił zdobyć się na śmiałość i poprosić Reilly o towarzystwo. Zresztą prawdopodobnie i tak nie byłaby zainteresowana. Trudno było tu liczyć na jakieś wielkie rewelacje pomocne w dochodzeniu. Chociaż może był niesprawiedliwy. Myśląc

o niej w ten sposób, czynił z niej zimną i antypatyczną policjantkę, a w rzeczywistości była to raczej miła kobieta całkowicie skupiona na szukaniu odpowiedzi mogących doprowadzić do rozwiązania sprawy.

Zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów od grupy żałobników. Na razie nie zamierzał podchodzić bliżej.

Z przodu stali Bernard i Gillian Ryanowie, za nimi reszta członków rodziny. Dwie trumny czekały przy wykopanych grobach na opuszczenie do ziemi.

Chris trzymał się z boku i na wpół skrył za drzewem. Przyjechał tutaj, by obserwować scenę zdarzeń, a jednocześnie zapewnić godną obecność policji. Patrząc na rodziców Clare

i Justina, cieszył się, że to nie on musiał ich zawiadomić o śmierci syna. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jak czuł się Bernard Ryan, identyfikując zwłoki dziecka, którym brakowało pół głowy. Za radą O'Briena postanowili nie informować rodziców o seksualnym kontekście zbrodni. Ale Chris podejrzewał, że nie chodziło tu raczej o współczucie, ale próbę uniknięcia łatwej do przewidzenia reakcji mediów. Gdyby dziennikarze dowiedzieli się jeszcze o koszmarnych detalach związanych ze śmiercią Watsona... Lepiej było to wszystko jak najdłużej utrzymać w tajemnicy.

Kapłan ukończył modlitwy, pobłogosławił obie trumny i zrobił dwa kroki do tyłu. Wtedy do trumien podeszli żałobnicy, wszyscy poważni, skryci pod czarnymi grzybami parasoli.

Gillian Ryan płakała, aż dygotała od gwałtownego szlochu. Żadne słowa, żadne czyny nie mogły jednak przynieść ukojenia matce grzebiącej dwójkę dzieci. Bernard obejmował ją ramieniem, twarz miał nieprzeniknioną jak maska.

Chris przyglądał się im z daleka i próbował odgadnąć, skąd w takich momentach ludzie czerpią siłę, żeby nie zwariować.

Przestępował z nogi na nogę, bo niezależnie od tego, jak się ustawił, stale było mu niewygodnie. Stawy bolały go już teraz właściwie bez przerwy - zarówno pod koniec męczącego

dnia, jak i zaraz po wstaniu z łóżka. A że poprzedniej nocy spał niewiele, teraz czuł się jeszcze gorzej. Stale myślał o wiadomości, jaką zastał wczoraj na sekretarce, wróciwszy po pracy do domu: „Cześć, to ja, Melanie”, nagrała się jego była dziewczyna, jakby sądziła, że nie rozpozna jej po głosie. Chociaż trochę czasu minęło od ich ostatniej rozmowy. Usłyszawszy ją, stanął jak wryty. „Dzwonię, bo...” - podjęła niepewnie. „Właściwie sama nie wiem, dlaczego chcę cię o tym zawiadomić, ale raczej powinieneś wiedzieć. Peter poprosił mnie o rękę, wychodzę za męż. No i... jestem w ciąży”. Nastąpiła krótka pauza. Chris usiłował się pozbierać. „Nie dlatego się pobieramy, po prostu stało się...”. Odzyskał zdolność ruchu i podszedł do okna. Zapatrzył się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. „Po prostu uznałam, że powinieneś wiedzieć”, ciągnęła Melanie, wyraźnie skrepowana. „Może to głupie, ale chyba jednak lepiej, żebyś się dowiedział ode mnie, a nie od kogoś innego. To w zasadzie tyle. Będę kończyć. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku”.

Stał przy oknie bardzo długo. Potem podszedł do telefonu i wykasował wiadomość. Teraz, na cmentarzu, starał się nie myśleć o tamtym nagraniu, bo w końcu jakie miało znaczenie? W pewnym momencie oderwał wzrok od ciemnych postaci i natychmiast dostrzegł tych, których spodziewał się tutaj spotkać. Zbliżyli się jak stado hien do padliny. Przedstawiciele mediów.

Wyszedł zza drzewa i pośpieszył im na spotkanie.

- Detektyw Chris Delaney - przedstawił się, unosząc odznakę. - Czy możemy darować rodzinie pogrążonej w żałobie jeszcze kilka chwil prywatności? Dziękuję.

Natychmiast posypały się pytania:

- Pozabijali się nawzajem?

- Popełnili samobójstwo?

- Był tam ktoś trzeci?

Zachowywali się tak głośno i byli tak natarczywi, że kilka osób stojących nad grobami odwróciło się, by zobaczyć,

co to za zamieszanie. Chris przepchnął się między reporterami, by odciągnąć ich nieco od rodziny zmarłych.

- Zapraszam państwa tutaj. Postaram się odpowiedzieć na wszelkie pytania.

Poszli za nim niechętnie jak dzieci, które nie chcą porzucić ulubionej zabawy. Gdy znaleźli się w pewnej odległości od miejsca pochówku, Chris zatrzymał się i odwrócił do dziennikarzy.

- Po kolei, jeśli mogę prosić.

- Czy to prawda, że Justin zabił Clare, a potem siebie? - zaczął Morąg Doyle, doskonale ustosunkowany reporter kryminalny z „Irish News”.

- Dopóki trwa śledztwo, niczego nie wykluczamy. Rzeczywiście, istnieje takie podejrzenie.

Jakiś nieznany mu młody dziennikarz z gęstymi kręconymi włosami przepchnął się na front grupy i z żywą ciekawością wymalowaną na twarzy zapytał:

- Czy to prawda, że w sprawę może być zamieszany ktoś trzeci? Że ktoś zabił ich oboje?

Chris w duchu zazgrzytał zębami. Policja naprawdę miała nadzieję utrzymać tę teorię w tajemnicy.

- Nie ma na to dowodów, ale oczywiście bierzemy pod uwagę wszelkie możliwości.

- Czy jest jakiś związek między śmiercią Ryanów i morderstwem turysty?

Co, u diabła?! Skąd te informacje? Skąd takie pytania? Przecież nie było powodu, by łączyć te dwie zbrodnie. Chyba że...

Przeklął pod nosem jakiegoś idiotę z wydziału, który najwyraźniej trząsał dziobem na prawo i lewo. Zawsze się znalazł jakiś funkcjonariusz, który po kilku piwach w sobotni wieczór zapominał się i spowiadał w pubie każdemu, kto chciał słuchać.

-Nie ma żadnego związku między śmiercią Ryanów i Wat-sona - skłamał zadziwiająco gładko.

- Jak się pracuje z nowym nabytkiem PLK? Podobno niezła sztuka? - znowu ten miody.

Chris nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- A konkretnie kogo ma pan na myśli? - odparował.

- Reilly Steel. Słyszałem, że stosuje w pracy niesztampowe, delikatnie mówiąc, metody.

- Kim pan jest?

- Ronan Cassidy z „Clariona”.

- Proszę pana, chciałbym podkreślić, że wygląd pani Steel nie ma nic do rzeczy, natomiast jej spostrzeżenia oraz doświadczenie zdobyte w Stanach Zjednoczonych okazują się bardzo przydatne w dochodzeniu tego typu.

Zanim skończył zdanie, stracił publiczność. Pogrzeb dobiegł końca i przedstawiciele mediów pośpieszyli wypytać rodzinę, zanim się rozejdzie. Morąg Doyle zdążył jeszcze poklepać Chrisa po ramieniu.

- Niezły występ, Delaney, ale jeśli chce pan skupić naszą uwagę, musi pan mieć do przekazania coś więcej niż banały.

Doskonałe fale łamały się z lewej na prawą jakieś trzydzieści metrów od brzegu, równo przez całą zatokę. Reilly leżała na desce. Czekwała na następny rząd, kołysana łagodnie wzbierającym oceanem. Są. Coraz bliżej.

Zaczęła wiosłować rękami, czuła, jak woda pod nią się unosi, nabiera szybkości. Lada moment trzeba będzie wstać. Coś nie tak. Chociaż zagarniała wodę rękami z całej siły, wcale się nie przesuwała. Fala rosła i rosła, zaczęła się nad nią nachylać, a ona ciągle tkwiła na desce jak przyklejona, nie mogąc wstać, nie mogąc płynąć.

Mocniej. Rękami i nogami.

I nic. Podniosła wzrok. Ściana ciemnozielonego żywiołu wznosząca się nad nią sięgała aż nieba. Na jej szczycie wykwitły białe paski piany. Zaraz się zwali.



Połknęła ją. Uderzyła jak młotem, z hukiem zerwała z deski i potoczyła, obracając bez końca, dusząc, oślepiając grzmiącym nawałem soli i piachu.

Reilly gwałtownie usiadła na łóżku, łapczywie chwytając powietrze w płuca. Przerazona i zdezorientowana rozejrzała się po sypialni, ale nie poznawała wnętrza w ciemnościach. Otrzeźwił ją dopiero dzwonek telefonu.

Złapała za słuchawkę leżącą na nocnym stoliku.

- Reilly Steel, słucham.

- Pewnie cię obudziłem? - zapytał Chris Delaney.

- Och, cześć. Która godzina?

- Parę minut po trzeciej. Wybacz.

Odgarnęła włosy z oczu, zepchnęła koszmar na dno myśli i skupiła się na słuchaniu. Nie chciała teraz roztrząsać tego, że kolejny koszmar stanowił sygnał ostrzegawczy. Bardzo wyraźny.

- Nie ma sprawy, mamy remis - oznajmiła, usiłując nadać swemu głosowi jak najspokojniejszy ton. - Dowiedziałeś się czegoś istotnego?

- Niby nie, ale w pewnym sensie tak - stwierdził znużonym tonem. - Mamy kolejne morderstwo. Może jestem w gorącej wodzie kąpany, ale okoliczności są tak dziwaczne, że to chyba znowu nasz znajomy.

## SZESNASCIE

Reilly jechała ciemnymi ulicami, usiłując się skupić. Z jednej strony musiała pamiętać, by jechać właściwą stroną, a z drugiej roztrząsała w myślach informacje, jakie uzyskała na temat najnowszego przypadku. Układała sobie w głowie wszystkie szczegóły związane z poprzednimi morderstwami i usiłowała zlepić je w całość, próbując ustalić, jak rozumuje zabójca i co chce im przekazać. I czy rzeczywiście chce.

Wątek freudowski sugerował obecność kolejnych zaszyfrowanych wiadomości. Podobnie jak fakt, że każde morderstwo zostało dokonane w zastanawiający - by nie powiedzieć: dziwaczny - sposób. Ale skoro zabójca uderzył ponownie i na dodatek tak szybko, trzeba było przyjąć, że są za nim daleko w tyle i jedynie niezdarnie reagują na jego poczynania - zboczone kaprysy świra.

Do właściwego domu trafiła z łatwością. Stało przed nim pięć wozów policyjnych rozjaśniających noc błyskającymi światłami, które powlekały niebieską poświatą grupkę ciekawskich, jacy mimo późnej pory zjawili się w nadziei na udział w ponurym widowisku. Prasa bez wątpienia nadciągnie lada chwila.

Reilly zaparkowała za barierą utworzoną z samochodów policyjnych, chwyciła z tylnego siedzenia torebkę i wysiadła z auta. Ogarnęła wzrokiem okolicę.

Spokojna osiedlowa uliczka w starszej części miasta, zamieszkiwanej najprawdopodobniej głównie przez emerytów.

Ogrody kipiały krzewami róż, zadbane trawniki pyszniły się soczystą zielenią, a w oknach wisiały staromodne kwieciste zasłony. Dom numer czterdzieści siedem stał na końcu ślepej uliczki. Był to niewielki budynek z czerwonej cegły, z czarną bramą z kutego żelaza i wąską betonową ścieżką wiodącą między klombami do drzwi frontowych.

W progu stali mundurowi. Rozstąpili się na boki, by przepuścić Reilly. Chris czekał na nią w korytarzu.

- Cześć. Szybka jesteś. Przyjrzała mu się uważniej.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Pewnie. W końcu jest czwarta rano.

Zamknął drzwi wejściowe i poprowadził ją chłodnym korytarzem, gdzie otoczyła ich nieomal balsamiczna po harmidrze panującym na zewnątrz cisza.

- Mamy tutaj całkiem inną sytuację niż poprzednio - oznajmił. - Miejsce zdarzenia jest właściwie nietknięte.

Reilly pociągnęła nosem.

- Nie żyją już jakiś czas.

- Policjant z patrolu, który sprawdzał ślad w sprawie zgłoszenia zaginięcia, zajrzał przez skrzynkę pocztową i poczuł smród. Natychmiast zawiadomił kogo trzeba.

Zatrzymali się przed drzwiami do jakiegoś pokoju, strzeżonymi przez kolejnych dwóch mundurowych.

- Tylko zajrzeli do środka i już wiedzieli, że to nasza sprawa. Obaj policjanci zakryli nosy, po czym jeden pchnął drzwi. Potworny smród, który się rozpanoszył w całym domu, natychmiast oblepił ich gęstą falą. Reilly, walcząc z nudnościami, powoli weszła do pokoju, ale zatrzymała się tuż za drzwiami. Chętnie by zatkała nos.

Wnętrze spowijało czerwone światło z kominka elektrycznego nastawionego na maksymalną moc. Dlatego w pokoju było gorąco, a ciała szybciej się rozkładały. Oba były napuchnięte i sine. Ofiary siedziały przy stole i Reilly od razu stwierdziła, że jedna z nich to starsza kobieta, szczupła i krucha,

o rzadkich siwych włosach, a druga - także kobieta - ubrana była w biały uniform, dobrze zbudowana, na pierwszy rzut oka po czterdziestce.

Chris miał nieszczęśliwą minę.

- Według sąsiadów ofiary to... Reilly przerwała mu uniesieniem ręki.
- Daj mi kilka chwil - poprosiła. - Chciałabym się rozejrzeć, zanim przyjedzie ekipa.
- Zaczekać tam? - Wskazał drzwi.
- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, zostawiając agentkę samą z ofiarami zbrodni.

Reilly wolnym krokiem okrążyła pokój. Wyostrzonymi zmysłami chwyciła każdy, nawet najmniejszy detal. Jej cień tańczył na ścianie.

Żadnych oznak przemocy na ciele starszej kobiety, ran kłutych ani postrzałowych, porzuconej broni - nic, co by podpowiadało przyczynę śmierci. Nawet nie wydawała się przestraszona. Miała spokojny wyraz twarzy, jakby śmierć przyniosła jej ulgę. Ubrana była w kwiecistą sukienkę oraz granatową polarową bluzę i wyglądała jak setki innych kruchych staruszek, które codziennie widuje się w Dublinie. Młodsza kobieta opadła górną połowę ciała na stół, a ramiona zwisały jej wzdłuż boków. Ciemne włosy zasłaniały twarz. Biały strój po bliższym zbadaniu okazał się mundurkiem pielęgniarstwa, do którego pasowały praktyczne buty na gumowych podszewkach i brak biżuterii. W jej wypadku przyczyna śmierci była widoczna od razu - postrzał w głowę z niewielkiej odległości. Ale w odróżnieniu od Justina Ryana miała jeszcze jedną ranę postrzałową - w stopę.

O co tu chodzi?

Reilly cofnęła się, rozejrzała dookoła z szerszej perspektywy i westchnęła. Po raz kolejny ofiary nie były związane ze światem przestępczym, żadna nie miała nic wspólnego z szumowinami rozprowadzającymi narkotyki czy ludźmi,

którzy ze względu na swoje zajęcie zwykle nie dożywają późnej starości. Wyglądały na osoby całkiem zwykłe, prowadzące najnormalniejszy pod słońcem tryb życia i tylko wykorzystane do odegrania roli w przerażającym i tragicznym przedstawieniu. Chris miał rację: już choćby to nasuwało skojarzenie z zabójcą, którego szukali. Z tą myślą w głowie jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, co połączyłoby śmierć tych dwóch kobiet z poprzednimi morderstwami. Czegoś ewidentnie freudowskiego lub choćby luźno z nim powiązanego...

Po kilku minutach zatrzymała się przy kanapie zarzuconej fotografiami. Podeszła bliżej. Wszystkie wydawały się stare: czarno-białe sceny rodzinne sprzed wielu lat. Tu ojciec i dziewczynka na ulicy, dalej ta sama para wystrojona do rodzinnego portretu. Przyjrzawszy się bliżej, Reilly jednak dostrzegła, że niektóre fotografie zostały uszkodzone. Czyżby coś zostało z nich usunięte? A może ktoś? Jakaś konkretna osoba wycięta z życia starszej pani? Odsunęła się od zdjęć i jeszcze raz przyjrzała gospodyni, a potem całemu pokojowi. Rękę właścicielki widać tu było na każdym kroku: w koronkowych firankach, tradycyjnych ciemnych meblach, delikatnej chińskiej zastawie do herbaty i usadowionych na stoliku lalkach.

Na półce nad kominkiem urządziła wystawkę czarno-białych fotografii w ramach. Niektóre przedstawiały tę samą rodzinę co zdjęcia artystycznie rozrzucone na kanapie, wobec czego zapewne były to osoby z nią spokrewnione, towarzysze dzieciennych lat.

- Chris! - zawołała Reilly. Natychmiast się pokazał.

- Chyba coś mamy.

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Masz na myśli zdjęcia? Dlaczego?

- Przyjrzyj im się z bliska, tylko pamiętaj, by nie dotykać.

- Jasne, jasne. - Podeszedł do kanapy. - Czego szukać?

- A co widzisz? Wzruszył ramionami.
- Głównie stare fotografie rodzinne. Niektóre wręcz bardzo stare, kilka zniszczonych.
- Przez upływ czasu czy celowo? Pochylił się nad siedziskiem.
- Moim zdaniem celowo. Myślisz, że należały do gospodyni? - zapytał, przechodząc na środek pokoju. Wyraźnie walczył z sobą, by powstrzymać odruch wzięcia ich do ręki.
- Chyba z jej dzieciństwa.
- Domyślasz się, dlaczego zostały uszkodzone?

Reilly wskazała portret rodzinny ustawiony na półce nad kominkiem.

- Zobacz, tutaj mamy całą rodzinę. A tam - objęła gestem odbitki leżące na kanapie - jednej osoby brakuje...
- Z tamtych fotografii usunięto matkę - powiedział Chris.
- Ano właśnie. Znowu mamy wątek freudowski - stwierdziła Reilly. - Jednym z filarów psychologii psychodynamicznej jest założenie, że przeżycia z dzieciństwa leżą u podstaw wszystkich dalszych czynów człowieka i jego zachowań jako osoby dorosłej.
- Czy my aby nie posuwamy się zbyt daleko? To znaczy, czy rzeczywiście wszystko musi się nam kojarzyć z Freudem? Przecież w końcu występuje w życiu coś takiego jak przypadek.
- Racja. - Westchnęła ciężko.

Sama miała podobne wątpliwości. Może przesadzała? Przecież nawet Daniel przestrzegał ją przed tego rodzaju rozumowaniem, przed dopasowywaniem zbrodni do okoliczności. Zawsze napominał, żeby podchodzić do sprawy z otwartym umysłem. Jednym z podstawowych błędów było szukanie dowodów potwierdzających założoną teorię. Powinna o tym pamiętać.

- Weźmiemy tę możliwość pod uwagę - oznajmił Chris

wyraźnie zmartwiony. - Obejrzymy zdjęcia pod tym kątem, ale nie możemy automatycznie zakładać, że mamy do czynienia z tym samym człowiekiem.

- Jasne, masz rację. Po prostu... załazł mi za skórę, a ja nie lubię czuć się wykorzystywana.

- Ja też jestem wkurzony. A o Kennedym już nie wspomnę... Reilly uśmiechnęła się krzywo.

- Skoro już o nim mowa, to gdzie on się teraz podziewa?

- Jest u sąsiadów, zasięga języka. Aha, powinienem cię uprzedzić: nie jest uszczęśliwiony, że ten amerykański psycholog będzie nam siedział na karku.

- To nie tak - sprzeciwiła się Reilly. - Daniel nikomu nie będzie siedział na karku. A niezależnie od tego, co się wydaje Kennedy'emu czy komukolwiek innemu, na pewno okaże się pomocny w rozwiązaniu sprawy.

- Wiem, wiem. Ale znasz Kennedy'ego. Zawsze podejrzliwy w stosunku do metod, których nie zna. Na przykład do twojej pod tytułem „czary-mary” - zażartował.

Sam natomiast najwyraźniej nie miał podobnych wątpliwości i sprawił tym Reilly niekłamana przyjemność.

Zwłaszcza że i tak musieli pracować razem.

Ponownie przyjrzał się zdjęciom z kanapy.

- No a gdyby tak przyjąć, roboczo, że brak matki na fotografiach rzeczywiście oznacza powiązanie z Freudem, to co nam to daje? Do czego prowadzi?

- Niestety do niczego - przyznała Reilly przygnębiona.

Po jakimś czasie, gdy wyszli już na zewnątrz w chłodną rześką noc i z ulgą odetchnęli od dusznego smrodu, przed domek zajechała Karen Thompson.

- Nie będzie pani łatwo - ostrzegł ją Chris. Patolog obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

- Kominek był włączony. W środku jest jak w saunie. Trudno będzie określić czas zgonu.

- Każdy przypadek to zagadka - stwierdziła patolog. - Dzięki temu mam ciekawą pracę - dodała, zarzuciła torbę na ramię i poszła.

- Boże, miej w opiece jej męża - szepnął Chris.

- Dlaczego?

- Gdybym ja obudził się w środku nocy i zobaczył z bliska twarz Karen Thompson, bałbym się, że właśnie zamierza zważyć moje organy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- A więc masz szczęście! - zażartowała, ale zaraz spoważniała. - Co jeszcze wiemy o ofiarach? - Ciekawa była, na ile informacje uzyskane przez policję potwierdzą jej domysły i pierwsze wrażenie. Chris usiadł na masce samochodu i wyciągnął notes.

- Starsza pani, Vera Miles, miała osiemdziesiąt siedem lat. Dom był jej własnością. - Przerzucił kartkę. - Młodsza kobieta to jej siostrzenica Sarah Miles, lat czterdzieści pięć. - Schował notes do kieszeni kurtki. - Sarah była pielęgniarką. Jakiś tydzień temu zgłoszono jej zaginięcie. Któregoś dnia nie stawiała się na dyżur w szpitalu.

- Miała męża? Chłopaka?

- Samotna, bezdzietna, mieszkała sama. Idealny przykład koszmaru dla służb poszukujących osób zaginionych. Wczoraj wieczorem ktoś zawiadomił policję, że od tygodnia na ulicy stoi obcy samochód - wskazał kciukiem za siebie - więc patrol przyszedł to sprawdzić.

Reilly rozejrzała się. Spokojna, cicha okolica, w której każdy pilnuje własnego nosa.

- Ktoś może widział coś podejrzanego?

- Nikt nic nie wie - burknął Kennedy, który pojawił się znikąd.

Usiadł na masce obok Chrisa, aż skrzypnęło zawieszenie.

- Pani O'Shaughnessy - podjął - ta z domu naprzeciwko, mówi, że samochód stał na ulicy kilka ładnych dni. Z początku nie zwracała na to uwagi, bo Sarah już wcześniej go tu zostawiała, na przykład wyjeżdżając na urlop. Uliczka bowiem



znajduje się niedaleko lotniska. Wysłuchałem jak zwykle, że nic szczególnego nigdy się tutaj nie dzieje, trudno o miłą, bardziej szczodłą rodzinę wspierającą organizacje charytatywne, wszyscy je kochali i tak dalej. Ciekawe, że takie słowa można usłyszeć dopiero wtedy, gdy zaczyna się węszyć.

- Kiedy zniknęła Sarah? - zapytała Reilly.

- Koleżanka zgłosiła jej zaginięcie pięć dni temu - odpowiedział Kennedy.

- Czyli powinniśmy przyjąć, że to, co się tutaj stało, zdarzyło się jakiś tydzień temu. To z pewnością wyjaśniałoby stopień rozkładu ciała.

- Znalazła pani jakieś wskazówki? - spytał Kennedy.

- Zespół jeszcze nie dotarł, więc trudno mi oceniać, ale... - zerknęła na Chrisa, a ten kiwnął głową - uważam, że ta sprawa może być powiązana z poprzednimi.

- Wolne żarty. - Kennedy przeniósł wzrok z niej na partnera i z powrotem. - Naprawdę tak sądzicie?

- Na razie trudno o czymkolwiek przesądzać - podkreślił Chris.

Kennedy tylko pokręcił głową.

- Droga pani, może mnie pani nazwać człowiekiem staromodnym, ale z mojego doświadczenia wynika, że dowody zawsze górują nad teoriami. - Wyprostował się i spojrzał Reilly prosto w oczy. Uliczne lampy zabarwiły mu białka na pomarańczowo. Nie wierzył jej i tyle.

-Widzi pan...

- Niech mnie pani posłucha. Obawiam się, że dochodzenie może zostać niepotrzebnie zawężone. Dokąd nas zaprowadziły próbki farby i sierści? Czy wiemy o nich coś więcej?

- Mogę pana zapewnić, że mój zespół robi wszystko co w ludzkiej mocy i bada każdy trop - odparła. - Cały czas sprawdzamy materiał dowodowy z obozowiska, który jest najtrudniejszy, bo leżał na powietrzu. Najnowszego miejsca zdarzenia oczywiście jeszcze nie obejrzelśmy ani nie przeszukaliśmy pod kątem dowodów rzeczowych

i tylko dlatego na razie musiałam się oprzeć na pobieżnej ocenie.

Oczywiście rozumiała punkt widzenia Kennedy'ego, lecz jednocześnie była przekonana, że mają do czynienia z kolejną zbrodnią dokonaną przez tę samą osobę.

- Dobrze już, dobrze - westchnął policjant. - Co panią natchnęło tym razem?

Opowiedziała mu o fotografiach, o tym, jakie mogą mieć znaczenie.

- Wiem, to tylko domniemanie, nic pewnego. I trudno mieć pretensje o sceptycyzm. Zaczekajmy, aż mój zespół przetrząśnie ten dom od piwnic po dach. Przekonajmy się, co z tego wyniknie. Potem może uda się ustalić coś konkretniejszego. - Wcisnęła ręce w kieszenie. - Niezależnie od tego, czy ostatnie morderstwa są z sobą związane czy nie, bezsprzecznie mamy stanowczo za wiele trupów.

Przełom pojawił się kilka dni później za sprawą patolog. Rozległo się krótkie pukanie i w drzwiach biura Reilly stanęła Karen Thompson.

- Znajdzie pani dla mnie dwie minutki? - spytała.

- Tak, oczywiście, zapraszam.

Karen Thompson jak zwykle ubrana była w ciemnoszary garnitur i miała poważną minę. Jej rezerwa w zachowaniu znajdowała odbicie w strojach.

- Chciałam pani sama o tym powiedzieć. Badania toksykologiczne próbek pobranych od Very Miles pozwoliły określić przyczynę jej śmierci. Zmarła na skutek przedawkowania barbituranów.

- Przedawkowała leki?

- Można to tak ująć. - Patolog zamilkła na chwilę. - Co ciekawe, ten sam lek został swego czasu znaleziony w próbkach pobranych od Ryanów, Redmonda oraz Watsona.

- Co takiego? - Reilly z wrażenia straciła oddech.

- Szczerze powiedziawszy, jestem zła, że nie zwróciliśmy na to uwagi wcześniej. Usprawiedliwia nas jedynie to, że w poprzednich przypadkach dawki były znikome. Nie tego się człowiek spodziewa...

-Tak?

- Barbiturany wykorzystywane są w produkcji tabletek nasennych i antydepresantów, a ich ilość w poprzednich preparatach laboratoryjnych nie dawała powodu do podnoszenia alarmu. Ponieważ jednak dysponowaliśmy już pewnymi zbieżnościami, kazałam automatycznie przeprowadzać testy krzyżowe z każdą nową próbką. Stąd rezultaty.

- Czyli lek, który zabił Verę Miles, został wykryty również u pozostałych zamordowanych? Co to za specyfik?  
Patolog otworzyła teczkę i podsunęła ją Reilly. Wskazała palcem konkretny ustęp raportu.

- Pentobarbital.

Reilly popatrzyła na nią bez słowa. Myśli kłębiły jej się w głowie.

- Pani Vera Miles przyjęła wystarczającą ilość, by stracić życie - podjęła Karen Thompson - natomiast pozostałym było do tego bardzo daleko. Nie wiem, ile pani wie o tym środku, ale to wyjaśnia, w jaki sposób morderca zdołał podporządkować sobie ofiary na tyle...

Reilly nie musiała czytać raportu. Pentobarbital pasował idealnie.

## SIEDEMNASCIE

- Co za pento...? - Kennedy ściągnął brwi i z mozołem brnął przez raport zakładu patologii.

- Pentobarbital - odpowiedziała mu Reilly. - To barbituran, substancja psychoaktywna, używana również w celach nielecniczych. Podobno niewielkie dawki potrafią dać kopa... Najczęściej jednak jest wykorzystywany przez weterynarzy do usypiania zwierząt.

Chris odchylił się na oparcie krzesła.

- Czy to nam coś daje? Na przykład... możemy się ograniczyć do szukania mordercy wśród weterynarzy?

- Nie. Pentobarbital bywa używany w szpitalach jako środek znieczulający, a poza tym, podejrzewam, że jeśli ktoś naprawdę chce go zdobyć, może się po prostu włamać do najbliższej lecznicy dla zwierząt.

- Jak się go podaje?

- Dożylnie. Karen Thompson sprawdza wszystkie raporty z autopsji pod kątem śladów po ukłuciu. Jeżeli je znajdzie, a uważa to za bardzo prawdopodobne, wówczas zyskamy solidny dowód na połączenie wszystkich czterech przypadków.

Reilly zanotowała sobie w myślach, żeby po potwierdzeniu wyników koniecznie zadzwonić do Daniela i przekazać mu najnowsze informacje. Na pewno okażą się pomocne w tworzeniu profilu zabójcy. Domyślała się, że aspekt kontrolowania ofiar, chociażby za sprawą substancji chemicznej, Daniel uzna za znaczący.

- Czyli dzięki tej substancji - odezwał się Chris - morderca zdołał przekonać Clare i Justina Ryanów do... - Nie musiał kończyć zdania. - Czy wiedzieli, co robią?
  - Raczej tak - uznała Reilly. - Narzucanie woli wydaje się istotnym elementem *modus operandi* sprawcy. Z pewnością było tak w wypadku Watsona, a prawdopodobnie także przy domniemanym samobójstwie Redmonda.
  - Co w takim razie z paniami Miles? - spytał Kennedy. - Po co mu tutaj ten lek? Jakoś nie widzę skutków stosowania przymusu.
- Reilly upiła łyk kawy.
- Tak, też się nad tym zastanawiam. - Potoczyła wzrokiem po wnętrzu. - Macie tu jakieś spokojne miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał?
- Chris spojrział na nią zaintrygowany.
- Pokój przesłuchań. O tej porze powinien być pusty. Pasuje?
  - Pasuje. Jeżeli chcemy zrozumieć sposób jego działania, powinniśmy je odegrać.
  - Wolne żarty! - prychnął Kennedy.
  - A co? - Chris zmierzył go ciężkim spojrzeniem. - Tak dokładnie wszystko wiesz, że możesz opisać ze szczegółami, jak doszło do kolejnych morderstw?
  - Jest przecież...
- Chris nie dał mu dokończyć:
- Śmiało, czekam. Nawet gdy wiem o użyciu leku, nie potrafię powiedzieć, jak to się stało, że Gerry Watson, potężny facet, został zmuszony do zjedzenia ludzkiego mięsa. A jak morderca nakłonił Jima Redmonda do popełnienia samobójstwa? Albo Clare i Justina...
  - Dobrze, dobrze! Wystarczy. Rozumiem. - Naburmuszony Kennedy zwrócił się ku Reilly: - Co robimy?
- Kilka chwil później detektywi siedzieli przy końcu stołu w pokoju przesłuchań, a Reilly stała przed nimi.
- Pan będzie Gerrym Watsonem...
  - Ale nie każe mi pani jeść? - zażartował Kennedy, ale gdy

zobaczył wzrok Reilly, od razu się poddał. - Dobrze, dobrze. Zgoda. Jestem Gerrym Watsonem.

Reilly wyjęła z torebki telefon komórkowy.

- Przyjmijmy, że to jest broń...

- Amerykanie! Bez broni ani rusz! Reilly zamarła w bezruchu.

- Przyjęłam to za pewnik, bo jak inaczej wszedłby do namiotu bez walki?

- Droga pani, panią wpuściłbym do swojego namiotu w dowolnym momencie - uśmiechnął się Kennedy. -1 pistolet byłby pani całkowicie zbędny.

Chris zaśmiał się, lecz zaraz ucichł, bo spostrzegł, że Reilly jest całkiem poważna.

- O co chodzi? - spytał.

- No właśnie - mruknęła. - Że też ja o tym wcześniej nie pomyślałam...

- O czym? - spytali obaj detektywi unisono.

- Zakładaliśmy, że morderca działa sam, a chyba powinniśmy rozważyć istnienie współnika albo może partnera? Kogoś, kto mu pomaga zbliżyć się do ofiar, wybiera je, wskazuje, jak zwał, tak zwał. Skoro oszałamiają ludzi za pomocą pentobarbitalu, żadne z nich nie musi być bardzo silne.

W pokoju zapadła cisza. Chris i Kennedy powoli przyswajali słowa agentki.

- A jeśli jego partner jest kobietą, z pewnością łatwiej im podejść ofiarę - zauważył Chris. - Przynajmniej Watsona.

Czy można ten lek podać z drinkiem?

- Zakładasz, że ofiara została poderwana?

- Tak sobie teoretyzuję.

Na jakiś czas wszyscy troje zamilkli, każde pograżone we własnych myślach.

- A co z Ryanami i paniami Miles? - Kennedy odchrząknął. - Do czego by się w tej sytuacji przydała kobieta?

- Kobietom ufamy bardziej niż mężczyznom. Z pewnością prędzej by jej otwarto drzwi. A potem...

- Potem na scenę wkracza partner od zadań siłowych
  - dokończył Chris.
  - Tak właśnie to widzę - zgodziła się Reilly. - Oczywiście przynajmniej jedno z nich ma broń.
  - Zastraszenie?
  - Najskuteczniejsza metoda kontroli, jaką znam.
  - A jednocześnie zapewne jedyny sposób na zmuszenie Clare i Justina do zrobienia tego, co zrobili - dodał Chris cicho.
  - I wyjaśnia ranę postrzałową w stopie Sarah Miles. - Reilly tupnęła. - Może pielęgniarka nie chciała wykonywać poleceń mordercy?
  - A czego od niej chciał, pani zdaniem? - spytał Kennedy.
  - Przyjmujemy, że zmusił Ryanów do kazirodztwa, Redmonda do samobójstwa, Watsona do zjedzenia... no, wiadomo, a jaką torturę przewidział dla tych kobiet?
- Reilly zastanawiała się nad tym już od jakiegoś czasu. Przyszło jej do głowy to i owo, ale chciała się przekonać, czy w rozmowie nie wypłyną jakieś inne pomysły, więc postanowiła milczeć.
- Pentobarbital - przerwał ciszę Chris. - Mówiłaś, że weterynarze używają tego środka do usypiania zwierząt?
  - Tak. Potrzebna jest duża dawka.
  - Załóżmy wobec tego, że mordercy chcieli zmusić Sarah, by wstrzyknęła ciotce tę substancję. Pielęgniarka z pewnością wiedziała, jaki byłby skutek takiego zabiegu.
  - Po pierwsze: nie szkodzić - powiedziała Reilly. - Oczywiście. Morderca chciał, żeby Sarah odebrała ciotce życie.

## **OSIEMNASCIE**

Reilly nie okazała zespołowi, że jest zadowolona z postępów w śledztwie. Gdy otrzymała informacje o wykorzystaniu w zabójstwie Very Miles konkretnego leku, poprosiła Rory'ego, by przygotował dla pozostałych kilka słów na temat interesującej ich substancji. Wreszcie nadeszła ta chwila: Rory stanął przed zespołem - masywny, w ciemnym swetrze, niezdarnie ściskając w dłoniach notatki.

- W weterynarii jako środek znieczulający używany jest pentobarbital sodu, natomiast do eutanazji wykorzystuje się sam pentobarbital lub ze składnikami uzupełniającymi, jak fenytoina. Sprzedaje się go pod różnymi nazwami, na przykład Euthasol, Euthatal, Euthanal...

- Jest stosowany do usypiania zwierząt? - przerwała mu Lucy. - Na dobre?

- Tak. A także do eutanazji w krajach i stanach amerykańskich, w których procedura ta nie jest zabroniona. - Zajrzał do notatek. - W Chinach podaje się go w formie zastrzyku skazańcom, chociaż...

- Właśnie o to chodziło w morderstwie pań Miles - wpadł mu w słowo Julius. Tak rzadko odzywał się niepytany, że wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- O co? - zapytała Lucy.

- O eutanazję. - Przysunął do siebie teczkę z raportami. - Sarah Miles była pielęgniarką, a Vera miała mnóstwo



problemów zdrowotnych. - Przejrzał notatki. - Nadciśnienie, choroba niedokrwienna serca, rozedma płuc...

- Czyli morderca kazał siostrzenicy... pielęgniarce zamordować ciotkę?

- Przypomnijcie sobie przysięgę Hipokratesa - podsunęła Reilly zadowolona, że jej zespół szybko doszedł do właściwych wniosków. - Po pierwsze: nie szkodzić.

- W przypadku pań Miles - zauważył Gary - tak samo jak Ryanów i pozostałych ofiar zabójca kazał robić swoim ofiarom coś z gruntu sprzecznego z ich naturą.

- Masz rację - poparła go Reilly. - Ale to jeszcze nie wszystko. Tu dochodzimy do Freuda.

- Tabu - stwierdził Daniel. Reilly uśmiechnęła się szeroko.

- Pojęcia nie mam, jak to się dzieje, że zwykle mówisz to, co właśnie przychodzi mi do głowy.

Profiler zaśmiał się dźwięcznie.

- Nie od razu wpadłem na ten wątek. Najpierw morderstwo i samobójstwo połączone z kazirodztwem oraz dziwnym torem lotu pocisku, potem domniemane samobójstwo z podtekstem homoseksualnym i w końcu ten wasz turysta... jakże on się nazywał?

- Gerry Watson.

- Właśnie. Biedaczysko został zmuszony do wcielenia się w rolę Hannibala Lectera. - Zamilkł na moment. - Wszystko to ohydne. Podziwiam twoją zdolność kojarzenia. Większość ludzi nie doszukałaby się żadnych zbieżności.

- Dziękuję. - Reilly uśmiechnęła się. Po tylu latach komplement od dawnego wykładowcy nadal działał na nią jak na szczęśliwą studentkę. - Sprawca uderzył ponownie.

Daniel usiadł.

- Tak szybko? Cztery zbrodnie w ciągu dwóch tygodni? Nie traci czasu.

- Znowu mamy podwójne morderstwo. Pielęgniarka została zmuszona do zabicia własnej ciotki.

Na jakiś czas zapadła cisza - Daniel Forrest wyraźnie rozważał nowe informacje.

- Niech zgadnę - odezwał się wreszcie. - Ciotka była stara i schorowana?

- Jak najbardziej.

- Wobec tego mamy do czynienia z kolejnym tabu, tym razem z eutanazją.

- Też mi się tak wydaje.

- Coś mi się zdaje, że powinniśmy sobie zapewnić lekturę do poduszki. Znasz *Totem i tabu*?

- Oczywiście.

Było to jedno z bardziej znanych dzieł Freuda, opublikowane w roku tysiąc dziewięćset trzynastym, a traktujące o zastosowaniu psychoanalizy na polu archeologii, antropologii oraz studiów wiary. Autor omawia w nim zjawiska tabu kulturowych obowiązujących w różnych częściach świata, podważając ich znaczenie oraz wartość zarówno dla społeczeństwa, jak i poszczególnych osób.

Tabu. To krótkie słowo przyłgnęło do Reilly.

- Miałem ci dzisiaj przesłać e-mailem wstępne założenia do profilu. Ale teraz, mądrzejszy o najnowsze dowody i informacje, dochodzę do wniosku, że we wszystkie morderstwa, o których mówimy, jest zamieszana jedna osoba. Reilly z przyjemnością słuchała potwierdzenia własnych domysłów.

- I ma koszmarny *modus operandi* - dorzuciła. - Jakby mu nie wystarczało, że zabija ludzi, chce ich jeszcze torturować, zmuszać do czynów, których nie akceptują, które są nie do przyjęcia dla większości społeczeństwa.

- Pytanie, jak ich do tego nakłania - zastanowił się Daniel. - Normalnie przyjmujemy, że większość ludzi nie przekroczy pewnej granicy nawet pod ogromną presją.

- Na pewno pomagają mu barbiturany. - Reilly zdusiła

ziewnięcie, ale wiedziała, że i tak w jej głosie słycać zmęczenie. - Może oznajmia swoim ofiarom, że jeśli spełnią jego żądania, uratują życie i zostaną puszczone wolno.

- Zwykle ludzie gotowi są zrobić prawie wszystko, by przeżyć - przyznał Daniel cicho. - Biedacy.

- A on ich potem i tak zabija.

- Właśnie. Podsumowując, co mamy do tej pory? Kazirodztwo, samobójstwo, kanibalizm i eutanazję. - Zamyślił się.

- Do diabła... co dalej?

- Tego musimy się dowiedzieć, i to szybko - stwierdziła Reilly ponuro. - Dlatego bardzo nam potrzebna twoja pomoc.

Profiler milczał przez chwilę.

- Najistotniejsze tabu społeczne zabraniające najmroczniejszych zbrodni... - myślał na głos. - Czeka mnie długa noc z książką w ręku.

Po rozmowie z Danielem Reilly jakiś czas bez szczególnej potrzeby kręciła się po laboratorium. Nosiło ją z miejsca na miejsce.

Starła się pracować, ale jakoś jej nie szło. Bez przerwy wracała myślami do mordercy tabu. Tak go nazwała. Zespół unikał nadania serii morderstw konkretnej nazwy jakby z lęku, że stałyby się bardziej realne, ale cóż mogło być bardziej realnego niż te zbrodnie. Nie było sensu chować głowy w piasek.

W końcu stanęła przy biurku, zgarnęła swoją wielką torbę z ciemnoszarej skóry oraz klucze. Właśnie miała włożyć płaszcz, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła torbę z powrotem na blat, płaszcz zsunął się na krzesło.

- PLK, Reilly Steel, słucham.

- Cześć, tu Chris.

- O, cześć.

- Rozmawiałś z Forrestem?

-Tak, miałam cię zawiadomić... Daniel nie jest jeszcze

gotów do przesłania szkicu profilu, ale z grubsza biorąc, zgadza się z tym, do czego doszliśmy.

- On też uważa, że motywem mordercy są tabu?

- Tak - stwierdziła stanowczo.

Ciągle mieli nadzieję, że jej teoria jest wynikiem zbyt dramatycznej oceny sytuacji. Nie chcieli uwierzyć, że nie mają do czynienia ze zwykłymi zdarzeniami, ale efektami działań seryjnego mordercy, co w Dublinie zdarzało się nie-  
często, a już na pewno nie przy takim makabrycznym *modus operandi*.

- Rozumiem. - Oddychał głośno, z trudem. - Reilly, masz jakieś plany na dziś wieczór?

Zaskoczył ją. Wydawał się podenerwowany.

- Właśnie zamierzałam wyjść z biura, a co?

- A nic. Tak sobie tylko pomyślałam... Też będę się już zbierał i wpadło mi do głowy, że może byśmy razem coś przegryźli? A przy okazji pogadali.

- Jasne, nie ma sprawy. Znasz jakieś fajne miejsce?

- Emm... Jest taka chińska knajpka naprzeciwko stacji metra - zaproponował takim tonem, jakby mu to właśnie wpadło do głowy.

- Mówisz o tej, gdzie człowiek nie wie dokładnie, co je i gdzie żywią się wszyscy funkcjonariusze, z jakimi zdarzyło nam się pracować?

- Aaa... Słusznie. To może...

- Powiem ci, gdzie się spotkamy. Znam taką jedną tajską restauracyjkę niedaleko laboratorium. Nazywa się „Orchidea” czy jakoś tak.

Dawno nikt jej nie zaprosił na kolację. Ostatni raz chyba kilka lat temu. W Stanach zdarzało się jej zajrzeć na pizzę ze znajomymi od surfowania, ale całe wieki minęły od czasu, gdy się z kimś normalnie umówiła. Plusem obecnej sytuacji był fakt, że Chris był niezwykle sympatyczny. Choć bez wątpienia był świetny w swoim fachu, nigdy nie zadzierał nosa, wręcz przeciwnie, robił wrażenie

nieśmiałego w odróżnieniu od niektórych kolegów, chełpliwych i próżnych jak pawie.

- Znam ją.

- Za dwadzieścia minut?

Ucieszyło ją to spotkanie bardziej, niż mogłaby się spodziewać.

## **DZIEWIETNASCIE**

Czekała na niego tuż za drzwiami. Strącił krople z ramion.

- Świetna pogoda - uśmiechnęła się.

- Uważasz, że jest mokro? Zaczekaj do lata.

Kelner poprowadził ich do stolika. W restauracyjce było sporo gości, zarówno miejscowych, jak i turystów. Z głośników płynęła orientalna muzyka, a dekoracje składały się w dużej mierze ze złotych posążków Buddy.

Reilly szybko wybrała makaron ryżowy z tofu, natomiast Chris był kompletnie zagubiony.

- Zwykle jadam chińszczyznę - przyznał. - Zamawiam telefonicznie. Na pewno częściej, niż powinienem. Właściwie nie znam kuchni tajskiej.

Reilly przerzuciła menu.

- Lubisz wołowinę?

- Lubię.

Odwróciła się do kelnera.

- Dla pana będzie wołowina w czarnym sosie fasolowym, domowy ryż zapiekany i osobno warzywa mieszane.

Kelner zapisał zamówienie i zniknął.

Reilly podniosła wzrok na Chrisa. Uśmiechał się.

- Co jest?

- Pachniesz Ameryką na kilometr.

- To komplement czy obelga?

- Raczej komplement - zaśmiał się głośno. - Amerykanie

są swobodni i pewni siebie w każdej sytuacji. Chyba nic was nie peszy.

Gdybyś wiedział... - pomyślała smutno.

- Szkoda, że nie widzisz, jak ustawiam budzik w komórce... Nigdy nie pamiętam, co mam nacisnąć.

Pojawił się kelner z napojami: piwem dla Chrisa i sokiem dla Reilly.

- Nawet pijesz po amerykańsku - powiedział Chris, wskazując jej szklanę. - Żaden szanujący się mieszkaniec Irlandii nie zamówi do kolacji soku.

- To znaczy, że powinnam była zamówić piwo?

- Po takim tygodniu stanowczo tak. - Uniósł butelkę. - Zdrowie.

- Czekaj. - Przywołała przechodzącego kelnera. - Może pan mi przynieść takie... Jak to się nazywa? - zapytała Chrisa.

- Chang - podpowiedział jej.

- Jedno piwo Chang - dokończyła.

- Tak, proszę pani - rzucił kelner i już go nie było.

- Teraz lepiej - pochwalił Chris. - Będziemy mogli wznieść prawdziwy irlandzki toast.

- Tajskim piwem?

- Liczą się dobre chęci.

Kelner wrócił po chwili z piwem dla Reilly, wtedy i ona wzniosła butelkę w toaście.

- *Slainte*. Tak to się u was mówi? Za co wypijesz? Chris stuknął flaszką o szkło w dłoni agentki.

- Za schwytanie złoczyńców.

Reilly kiwnęła głową i podniosła butelkę do ust.

- Za schwytanie złoczyńców - powtórzyła.

Po chwili przyniesiono im zamówione dania. Jedli z apetytem, cały czas rozmawiając o dochodzeniu. Na stole szybko przybywało butelek - Reilly z łatwością dotrzymywała kroku Chrisowi. Stopniowo też stawała się coraz swobodniejsza. W pewnym momencie Chris oznajmił:

- Musisz mi wybaczyć, natura wzywa. Piwo robi swoje.

- Odsunął krzesło i wstał, mimowolnie krzywiąc się z bólu. Najgorsze były biodra i kolana.

Po powrocie zastał na stoliku kawę.

- Skąd wiedziałaś, że będę chciał kawę? - spytał zaskoczony.

- Jesteś gliniarzem. - Pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

- Trafiony zatopiony. - Upił łyk. - Z mlekiem, ale bez cukru. Skąd wiedziałaś?

Tym razem nonszalancko wzruszyła ramionami.

- Widziałam kilka razy, że pijesz białą, a skoro dużo ćwiczysz, to znaczy, że o siebie dbasz, więc raczej nie słodzisz.

- Nie do uwierzenia. - Chris pokręcił głową. - Normalnie Sherlock Holmes. Muszę uważać, co przy tobie robię i mówię.

- Na ostrożność już za późno.

Podniósł na nią wzrok, spodziewając się zobaczyć uśmiech, tymczasem Reilly była całkiem poważna.

- Jak to?

- Wiem o tobie już wszystko, co chcę wiedzieć. - Uśmiechnęła się zagadkowo i upiła łyk kawy.

- Tak? - Chris odchylił się na krześle i założył ręce na piersi.

- No to słucham.

Reilly zerknęła na niego znad filiżanki.

- Na pewno chcesz to usłyszeć?

- Jestem duży i silny, zniosę to z godnością - rzucił lekko.

- Tylko się nie wyżywaj - dodał poważniejszym tonem.

Reilly odstawiła kawę i poprawiła się na krześle.

-Dobrze. Skoro sobie życzysz... Zacznijmy od rodziny. Zawsze była dla ciebie szalenie ważna, ale twoi rodzice już nie żyją.

Miała rację, lecz Chris nie zamierzał jej ułatwiać sprawy.

- Łatwo zgadnąć. Miałaś fart.

Według diagnozy lekarskiej ojciec zmarł na serce, ale zdaniem Chrisa przyczyna tkwiła gdzie indziej. Tom Delaney umarł z tęsknoty za ukochaną żoną, rok temu, przeżywszy ją zaledwie o rok.



- Jesteś kawalerem - podjęła Reilly - co jednak nie znaczy, że nie bierzesz małżeństwa pod uwagę, tylko że się sparzyłeś. I jeszcze liżesz rany. - Następny łyk kawy. - Mam rację?

Próbował ukryć zaskoczenie, zasłaniając się filiżanką. Tym razem miała rację tylko częściowo, ale tego też nie zamierzał jej powiedzieć.

- Interesująca teoria - powiedział ostrożnie. - Słucham dalej.

- Najważniejsza jest dla ciebie praca. Traktujesz ją bardzo poważnie, jesteś jej całkowicie oddany i podchodzisz do niej ambicjonalnie, ale na szczęście bez przesady. - Dokończyła kawę, z cichym brzdękiem odstawiła filiżankę na spodeczek. - I masz kłopoty zdrowotne, o których nie chcesz nikomu mówić.

Ostatni komentarz był najbardziej bolesny. Chris poblądł. Przez dłuższy czas w milczeniu przyglądał się Reilly. W końcu poprawił się na krześle.

- Proszę, proszę. Nieźle ci szło, a tu taka wpadka na koniec.

Reilly zmrużyła oczy.

- Powiesz mi, że nic cię nie boli? - rzuciła wyzywającym tonem.

- Czasem zaboli - przyznał - czasem strzyknie w kościach, ale to w końcu nic szczególnego.

- Opróżniłam... - policzyła na palcach - cztery piwa, ale nie jestem pijana. - Wbita w niego uparte spojrzenie. - Jak na faceta w takiej formie poruszasz się czasem wyjątkowo ostrożnie.

Chris dłuższy czas mierzył ją wzrokiem. W tle brzmiała nastrojowa muzyka.

- Jesteś bardzo pewna siebie.

- Tu i ówdzie strzelałam - przyznała - ale jeśli chodzi o ból, jestem gotowa dać w zakład własną głowę.

- Nie wiem, co powiedzieć. Czy wszyscy w jednostce już o tym wiedzą?

- Wątpię. Ewentualnie Kennedy. Wspomniał coś na ten temat?
  - Nie. Sam jest w kiepskiej formie. Pewnie rwanie w stawach przy wstawaniu z krzesła jest dla niego rzeczą najnormalniejszą pod słońcem.
  - Co się z tobą dzieje?
  - Nie wiem - przyznał. - Zaczęło się jakieś pół roku temu. Nie mam bladego pojęcia, co jest grane.
- Zamrugła mocno zdziwiona.
- I nic z tym nie robisz?
  - To nie takie proste. Jeżeli pójdę do lekarza zakładowego, wszystko znajdzie się w moich papierach. A w razie kłopotów, zanim się obejrzę, usadzą mnie za biurkiem na dobre.
- Zrozumiała. Dla człowieka takiego przekładanie papierów oznaczało wyrok skazujący.
- Jakie masz objawy?
  - Głównie ból stawów. Zwłaszcza biodra i kolana. I zmęczenie. Nie do przewyciężenia. Bywają dni, kiedy ledwo zwlekam się z łóżka. Choć czasem bywa lepiej.
  - Trudno zgadnąć, co to takiego - zamyśliła się Reilly.
  - Przyczyn może być wiele. - Coś jej zaświtało w głowie.
  - Mam dla ciebie propozycję. Przyjdź jutro do laboratorium, zrobię ci badanie krwi. Przynajmniej spróbuję się zorientować, w czym tkwi problem. Dobrze? Załatwimy sprawę po cichu, nikt nie będzie wiedział.
- Wahał się przez chwilę.
- W zasadzie chętnie...
- Nie bardzo mu się podobała jej troska. Poza tym to nie była drobna przysługa. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że Reilly jest po prostu ciekawa. Jak każdy śledczy. Tak czy inaczej, odmówić nie wypadało.
- Pod jednym warunkiem - zastrzegła Reilly.
  - Jakim?
  - Obojętne, co wyjdzie w wynikach, zrobisz z nimi coś sensownego.

Zastanowił się.

- Uczciwe postawienie sprawy.

Gdy pojawił się kelner z rachunkiem, Chris zdążył chwycić paragon, zanim go złapała Reilly.

- O nie, tym razem ja płacę - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- To może po połowie?

- Nie mam mowy. Zwłaszcza jeśli masz zamiar badać mi krew. Niech się przynajmniej tak odwdzięczę.

- Dobrze, niech będzie - odpuściła.

Chris wyłuskał z portfela trzy dwudziestki i podał je kelnerowi.

- Będiesz mógł zajrzeć koło dziesiątej? - spytała. - O tej porze w laboratorium zwykle jest pusto.

- Będę o dziesiątej - potwierdził. Chciałby mieć się z tego cieszyć. - Jesteśmy umówieni - dodał i natychmiast przeklął dwuznaczne powiedzonko.

- Skoro tak twierdzisz... - uśmiechnęła się Reilly.

## DWADZIEŚCIA

Następnego ranka Reilly jak zwykle przyszła do laboratorium wcześniej. Chciała wykorzystać chwile ciszy i spokoju, zanim ściągną inni pracownicy.

Poprzedniego wieczoru dowiedziała się od Chrisa, że ze względu na powagę sytuacji być może ktoś dojdzie do wniosku, że należy ściągnąć Jacka Gormana z urlopu. Wolała więc się upewnić, iż ma kompletne pojęcie o śledztwie, by nie zdołał jej na niczym zagiąć. A poza tym, szczerze mówiąc, zamierzała dopilnować, by Gorman nie odsunął jej od sprawy. Był miłośnikiem starych sprawdzonych metod, więc należało się spodziewać gorących protestów z powodu włączenia do śledztwa mało doświadczonych pracowników, takich jak Gary albo Lucy. Reilly doskonale wiedziała, iż jej zespół świetnie się spisuje na miejscu zbrodni, ale chciała zyskać absolutną pewność, iż nikt nie doszuka się w jej działaniu najmniejszych usterek.

W drodze do windy zatrzymał ją strażnik.

- Proszę pani!

Mężczyzna przekroczył sześćdziesiątkę, miał lekką nadwagę, a spod czapki z daszkiem wystawały siwe włosy.

Nazywał się Smithson... A może Simpson? Jakoś tak. Zwróciła na niego uwagę już wcześniej, bo zawsze okazywał jej sympatię. Typowy glina na emeryturze.

Podszedł do niej śpiesznie, wyraźnie utykając, i podał dużą żółtą kopertę.

- Kurier przyniósł dla pani z samego rana.
- Dziękuję. - Zerknęła na identyfikator. Jednak Simpson. Odwróciła się i zatopiona w myślach ruszyła ponownie w stronę windy.
- Nie ma za co. - Strażnik wrócił na swoje miejsce przy drzwiach.

Koperta była ciężka. Najwyraźniej zawierała teczkę albo gruby plik kartek. Kiedy winda się otworzyła, Reilly weszła do środka i wcisnęła guzik trzeciego piętra, po czym bez zwłoki zajrzała do koperty i wyjęła z niej zawartość. Była to książka. Na widok tytułu agentce podniosło się ciśnienie: *Wprowadzenie do teorii Freuda*. Poza nią w kopercie nie było nic, żadnego listu, pisma przewodniego, nic.

Na wpół zaintrygowana, a na wpół przestraszona Reilly przerzuciła kartki. Szybko natrafiła na zaznaczony fragment tekstu. Tytuł brzmiał *Mały Hans*. Nic jej nie mówił.

Winda dotarła na trzecie piętro. Reilly przycisnęła do siebie książkę i pośpieszyła do biura. Włączyła ekspres do kawy. Płaszcz i torebkę rzuciła na krzesło, a potem usiadła na sąsiednim i zaczęła czytać.

*Mały Hans to chłopiec poddany przez Freuda wczesnej, lecz wszechstronnej analizie psychologicznej pod kątem strachu przed kastracją oraz kompleksu Edypa.*

*Hans odczuwał tak silny lęk przed koźmi, że obawiał się wyjść z domu. Bał się odgryzienia penisa. Freud zinterpretował jego lęki jako strach przed ojcem powstały na skutek odczuć, które nazwał kompleksem Edypa.*

*Kompleks Edypa opisuje proces, w czasie którego chłopcy zyskują tożsamość płciową, świadomość, iż są rodzaju męskiego.*

*Zdaniem Freuda w fazie fallicznej między trzecim a szóstym rokiem życia u chłopców rozwija się silna miłość do matki, wyrastająca na podłożu seksualnym. W efekcie postrzegają oni ojca jako rywala, który chce się ich pozbyć.*

*Ponieważ*

*ojciec jest większy i potężniejszy, syn, który też czuje się postrzegany jako rywal, boi się pragnienia kastracji ze strony rodzica, jedynym sposobem radzenia sobie z tym strachem jest rozwinięcie mechanizmu obronnego, nazwanego przez Freuda identyfikacją z agresorem.*

*I tak chłopiec zaczyna akcentować oraz wyolbrzymiać cechy upodabniające go do ojca. Przejmuje jego nawyki, maniery i sposób zachowania. W ten sposób rozwija w sobie poczucie przynależności do rodzaju męskiego, tożsamość płciową.*

*Podobny proces u dziewczynek nosi nazwę kompleksu Elektry.*

Reilly odchyliła się na oparcie, kompletnie oszołomiona. Co to wszystko ma znaczyć? A co ważniejsze: kto jej to przysłał? Nagle uderzyła ją pewna myśl: Daniel. Na pewno Daniel.

Zerknęła na zegarek, po czym podniosła słuchawkę i wybrała numer.

Na pewno Daniel uznał, że powinni oboje poczytać o Freudzie, niezależnie od różnicy czasu. Na Wschodnim Wybrzeżu jeszcze nie wstał świt, ale on i tak pewno nie spał, szukając przez całą noc wszelkich skojarzeń z tabu. Sygnał w słuchawce buczał przez kilka ładnych sekund.

- Reilly? - odezwał się Forrest zaspianym głosem. - O co chodzi? Stało się coś?

- Nie. Nie... - Nagle straciła pewność siebie. - Przepraszam, że cię obudziłam, myślałam... Właśnie dostarczono mi tę książkę od ciebie i...

- Nie rozumiem. Jaką książkę?

Pomyłka. *Wprowadzenie do teorii Freuda* ze starannie zaznaczonym ustępem nie było od Daniela. A skoro nie od niego, to od kogo?

- Nie przysłałeś mi książki o Freudzie?

- Nie. Uznałem, że i tak masz pełne ręce roboty, więc

czytanie to raczej moja działka. A co? - Wyraźnie się zaniepokoił.

- Przed chwilą dostałam *Wprowadzenie do teorii Freuda*. Ktoś w nim zaznaczył fragment tekstu. Myślałam, że ty.

- Nie ja.

Reilly przeszły ciarki po plecach.

- O czym jest ten zaznaczony fragment? - zapytał Forrest.

- O jakimś dzieciaku. Małym Hansie.

Streściła mu pośpiesznie przeczytany tekst, chcąc jak najszybciej porozmawiać z ochroniarzem, by dowiedzieć się, kto dostarczył kopertę.

- Jasne - odezwał się Forrest po pauzie. - Zadzwoń do ciebie w ciągu dnia. Reilly - dodał jeszcze - uważaj na siebie, dobrze?

Obiecała mu ostrożność, rozłączyła się i od razu zadzwoniła do ochrony.

- Simpson, słucham - usłyszała.

- Dzień dobry panu raz jeszcze, mówi Reilly Steel.

- Miło mi.

- Dał mi pan przed chwilą kopertę. Chciałabym się dowiedzieć, kto ją dostarczył.

- Nie potrafię tego określić dokładnie. Wiem tylko, że kurier, oczywiście w kasku, z wielką szybą odblaskową. -

Westchnął ciężko. - Wisi napis, żeby zdejmowali kaski, ale kto ich tam przypilnuje... Wiecznie się śpieszą, żadnemu się nie chce. Pamiętam, któregoś razu...

- Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek na temat jego wyglądu? Czy zauważył pan logo? Nazwę firmy? Jakiś znak rozpoznawczy?

- Przykro mi, nie zwróciłem uwagi - przyznał.

- Cóż, trudno. Dziękuję. - Już miała odłożyć słuchawkę, gdy znów usłyszała głos ochroniarza:

- Ale coś pani powiem. Jednego nie zapomnę.

- Tak? Czego? - Ożyła w niej nadzieja.

- Cóż, pani wybaczy. Nie wiem, jak to ująć... Powiem prosto z mostu: kobity o takich kształtach dawno nie widziałem.

- Jak to? Przesyłkę dostarczyła kobieta?

- Właśnie tak, proszę pani. To się nie zdarza często, nawet w dzisiejszych czasach.

Rzuciła słuchawkę i pobiegła do laboratorium, gdzie Julius analizował już próbki. Podniósł wzrok znad preparatów.

- Dzień dobry.

Reilly przeszła od razu do sedna:

- Zbadaj, proszę, odciski palców. Teraz, zaraz. - Położyła książkę i kopertę na blacie. - Wyeliminuj moje, są wszędzie. Aha, i jeszcze pobierz od pana Simpsona, jest teraz przy stanowisku ochrony. Jeżeli znajdziesz jakiegokolwiek inne, natychmiast mnie zawiadom.

Gdy po dziesiątej zjawił się Chris, Reilly ucieszyła się z przerwy. Była już znużona myśleniem o ostatnich zbrodniach, a nie chciała znowu budzić Daniela. Zresztą miał się z nią później skontaktować. Szansa na rozmowę z jedyną osobą w Irlandii, która życzliwie traktowała jej teorie, dodawała sił.

Od razu zauważyła, że kiepsko wygląda, lecz nie powiedziała na ten temat słowa. Poruszał się ociężale, pod oczami miał ciemne kręgi, a jego twarz była blada i wymizerowana. Nawet gdy wzięło się pod uwagę te kilka wczorajskich piw, nie należało się spodziewać aż takiego efektu. Wyraźnie czuł się fatalnie. Oby potrafiła mu pomóc.

Zaprowadziła go do swojego biura, gdzie wcześniej przygotowała potrzebne drobiazgi. Poprosiła, by usiadł. Chris zerknął niepewnie na strzykawkę.

- Zbliża się chwila prawdy - westchnął. - Błagam, obchodź się ze mną delikatnie - zażartował, podwijając rękaw.

Mogła się tylko domyślać, co mu chodzi po głowie. Wzięła strzykawkę do ręki i wymierzyła nią w pacjenta.

- Siedź spokojnie i nie jęcz - zarządziła.



Potarła ramię, znalazła żyłę i wprawnie wbiła igłę. W czasie gdy krew napełniała probówkę, dla odwrócenia uwagi zaczęła opowiadać Chrisowi poranne zdarzenia.

- Dostałam dziś interesującą przesyłkę.

- Coś z TV Marketu? U mnie ostatnio poczta ciągle przynosi ich reklamówki.

- Moją przesyłkę przyniósł kurier. Była w niej książka o Freudzie. Nie wiem od kogo.

- Od anonima?

- Właśnie.

- Uważasz, że przysłał ci ją zabójca? Reilly podstawiała drugą probówkę.

- Bo ja wiem? W pierwszym odruchu uznałam, że to Daniel. Ale nie. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Julius sprawdza odciski palców.

- Ale nie spodziewasz się, że cokolwiek znajdzie - stwierdził Chris.

Reilly wyjęła igłę z żyły i zdezynfekowała miejsce wkłucia.

- Rzeczywiście. Do tej pory znajdowaliśmy tylko to, co morderca nam podsunął pod nos. Jeżeli książka jest od niego, nie spodziewam się zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni.

Przyłożyła do skóry gazę i przykleiła ją plastrem.

- Mimo wszystko podjął ryzyko - ocenił Chris, odwijając rękaw. Zapiął guzik w mankiecie. -1 raczej nie bez przyczyny przysłał ją akurat tobie.

Doszła do podobnych wniosków. Czy zabójca wiedział, że właśnie ona nadzorowała badania materiału dowodowego w tej sprawie? Jeżeli tak, to rzucił jej wyzwanie.

- Kilku facetów, których wsadziliśmy, próbuje nam od czasu do czasu utrudniać życie, ale reszta raczej stara się nie rzucać w oczy. Woli robić kasę, niż tracić siły na takie rzeczy.

- Mówisz o dilerach narkotykowych, szefach gangów?

- Tak. Czasem któryś chce pokazać, jaki jest ważny, ale nie w ten sposób. Uważasz, że ten nasz chce być złapany?

Reilly usiadła za biurkiem, oparła brodę na dłoni.

- Niekoniecznie. Jeżeli mamy do czynienia z seryjnym mordercą, a moim zdaniem nie ma co do tego wątpliwości, to powinniśmy założyć, że zabójstwo go podnieca. Zabija, ponieważ to dla niego, czy dla nich, jedyna metoda pobudzenia. Kłopot polega na tym, że po każdym morderstwie upojenie trwa krócej, a jedynym sposobem wywołania następnego dreszczu emocji jest podjęcie większego ryzyka.
- Na przykład zdrwienie z osób usiłujących go schwytać.
- Właśnie. Większe ryzyko to większe niebezpieczeństwo schwytania, a co za tym idzie - silniejszy dreszcz emocji. Chris włożył kurtkę.
- Powiedziałaś, że to książka o Freudzie.
- Tak. - Streściła mu zaznaczony fragment. - Subtelny go nie można nazwać.
- Co z tego wnioskujesz?
- Jeszcze nie mam pewności - przyznała - ale jestem zadowolona, że zysaliśmy pomoc najlepszego fachowca. Ciekawe, do jakich wniosków dojdzie Daniel.

## DWADZIEŚCIA JEDEN

Daniel Forrest poświęcił wiele czasu rozmyślaniom na temat mordercy tabu. Gdy w końcu zadzwonił do Reilly, miał dla niej kilka konkluzji i mnóstwo pytań. Najpierw jednak chciał jeszcze wrócić do najnowszych zdarzeń.

- Jakie wnioski wyciągnęłaś z fragmentu o małym Hansie? - zapytał.

Reilly westchnęła z głębi serca.

- Daruj mi, proszę. Znam ten ton. Nie jestem już twoją studentką i naprawdę nie musisz mnie nakłaniać do myślenia. Poza tym mam nieodparte wrażenie, że morderca traktuje nas jak kretynów, skoro podsuwa nam pod nos odpowiednie wątki. Przynajmniej ty mi tego oszczędź.

- Ten fragment jest ważny - stwierdził Daniel. - Obawiam się, że nawet bardzo.

- Rozumiem, że znasz historię małego Hansa? - W głosie Reilly brzmiała nuta znużenia.

Daniel się zaniepokoił. Czyżby wypalenie zawodowe? Przesadzała z pracą? Cała Reilly. Nie do wiary, że przeniosła się aż za Atlantyk, a tam spotkał ją następny koszmar. Gdy usłyszał o jej przeprowadzce, uznał to za dobry pomysł. Miał nadzieję, że będzie żyła spokojniej, pomyśli o sobie, skorzysta z okazji, by zacieśnić więź z ojcem, i zostawi za sobą przeszłość.

- Historia jest znana - powiedział. - W każdym razie psychologom. A w naszym przypadku, skoro ważna jest dla mordercy, istotna powinna być także dla nas. - Przerwał, ważąc

słowa. Miał świadomość, że będzie się poruszał po grząskim gruncie, na który w zasadzie wolałby nie wchodzić. - Historia małego Hansa dotyczy tożsamości płciowej i wpływu zachowania rodziców na życie ich dzieci. Milczenie Reilly było wymowne. Jak kamyk rzucony w spokojną toń rysuje na niej koła, tak słowa Forresta obudziły w umyśle Reilly wspomnienia zepchnięte w niepamięć.

- Morderca daje nam znać - podjął Forrest cicho - że jego czyny mają źródło w jakimś wydarzeniu bądź wydarzeniach z dzieciństwa. - Stanowczo wolałby rozmawiać w cztery oczy, a nie za pośrednictwem telefonu. - To ważny ślad, wiele mówi o jego *modus operandi*, sposobie myślenia, popełnianych przez niego zbrodniach.
- Jakies wydarzenie z dzieciństwa... - powtórzyła Reilly. - Dlaczego mielibyśmy je brać pod uwagę?
- Jak wiesz, seryjni mordercy zwykle nie działają racjonalnie, by nie powiedzieć, że nie są zdrowi na umyśle. Na razie wiemy na pewno, że lubi się posługiwać symboliką, stąd odniesienie do tabu. Za pomocą książki podsuwa wykorzystanie jej o krok dalej, nadaje jej znaczenie personalne. Zwraca się ku tym, którzy go ścigają, tym, których uważa za wrogów, a dokładnie ku tobie.
- Dlaczego wybrał akurat mnie?
- Nie chciałbym być nieuprzejmy w stosunku do innych członków twojego zespołu, ale najwyraźniej ciebie uznał za mózg operacji. Jesteś śledczym sądowym, to ty odkryłaś istotne wątki i skojarzyłaś je - i to zapewne szybciej, niż się spodziewał.
- A skąd miałby to wiedzieć?
- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Przesyłam ci e-mailem wstępne przemyślenia, żebyś mogła je spokojnie przeczytać w wolniejszej chwili, ale szczerze powiedziawszy, mam coraz większe wątpliwości, czy sprawcą jest, jak to zwykle bywa, samodzielnie działający biały mężczyzna.

- Twoim zdaniem ma współnika? Też do tego doszłam. Co więcej, uważam, że może nim być kobieta.
- Jeszcze za wcześnie na ugruntowane założenia, ale moim zdaniem ty się tam marnujesz. - W jego głosie pobrzmiwała duma.
- Nie zrobiłam nic wielkiego. Ludzie tutaj są naprawdę dobrze zorganizowani. Ostatnio doszliśmy do tego, że trzeba dzielić te zbrodnie na dwa etapy: przymuszenie, a dopiero potem morderstwo.
- Słuszna uwaga. Mimo wszystko nie wyciągamy pochopnych wniosków - zarządził rzeczowym tonem. - Musimy być otwarci na różne możliwości, brać pod uwagę każdą ewentualność, dopóki nie staniemy na pewnym gruncie. Reilly była rozdarta między ulgą a rozczarowaniem.
- Oczywiście - zgodziła się. - Chodzi tylko o to...
- Wiem, czas goni. Jak zwykle. Mimo wszystko musimy być cierpliwi. Zaraz ci powiem - podjął łagodniejszym tonem - do czego jeszcze doszedłem w związku z historią małego Hansa.
- Tak?
- Spodoba ci się moje odkrycie - oznajmił z uśmiechem. Chociaż prosiła go, żeby nie traktował jej jak studentki, doskonale wiedział, że między innymi właśnie ze względu na jego tendencję do przyjmowania profesorskiej pozy poprosiła go o pomoc.
- Zdaje się, że teraz wysłucham wykładu - burknęła Reilly dobrodusznie.
- Tak? - zaśmiał się Forrest. - Niekoniecznie. Raczej zyskasz szansę podziwiania mojego geniuszu.
- Czasami trudno mi odróżnić jedno od drugiego.
- Dobrze już, dobrze. Masz pod ręką akta? Usłyszał szelest dokumentów rozkładanych na biurku.
- Oczywiście. Które konkretnie?
- Ryanów. Wyjmij zdjęcia.
- Wyjęte.

Zerknął na swoje odbitki z miejsca zbrodni i odszukał tę, o którą mu chodziło.

- Doskonale. Przyjrzyj się nocnemu stolikowi.
- Temu, na którym stała książka Freuda?
- Tak. Masz pod ręką szkło powiększające?
- Daniel, mógłbyś powiedzieć, o co ci chodzi? - Była wyraźnie zaintrygowana.

Nie odpowiedział.

- Chwileczkę - rzuciła do słuchawki. - Muszę poszperać w szufladzie.

Czekał cierpliwie.

- Dobra, mam.
- Przyjrzyj się uważnie książkom.
- Patrę.

-1 co widzisz? - starał się zachować lekki ton, ale i tak było słyhać, że jest z siebie zadowolony. Oczyma wyobraźni widział, jak Reilly przygląda się zdjęciu, szukając istotnych szczegółów.

- Nie widzę niczego szczególnego. Tylko fragmenty mózgu i...

- Zdaje się, że ci drzewa las zasłaniają - zakpił.

Na moment zapadła cisza. Potem usłyszał gwałtowne westchnienie. Uśmiechnął się szeroko. Znalazła.

- Niech to licha! Jak mogłam to przegapić?
- Powiedz mi, co widzisz - poprosił.
- Książki są tej samej wielkości. Najwyraźniej starannie ułożone, a nie po prostu ustawione.
- Słusznie. Co oznacza...
- ...że albo Clare była pedantką, czego nie potwierdza stan mieszkania, albo nie tylko dzieło Freuda ustawiono tam celowo.
- Właśnie. Skoro już znalazłaś drzewa w lesie, przyjrzyj się im uważniej.
- Nic nie widzę - przyznała po chwili.
- No dobrze - zlitował się Daniel. - Książka Freuda stoi jako trzecia od lewej. Jaki ma tytuł?

- *Objaśnianie marzeń sennych.*

- Racja. Czyli zaczyna się na literę O. Przyjrzyj się pod tym kątem pozostałym tytułom. Zapisz je w słupku. -  
Czekając, aż Reilly wykona polecenie, zatrzymał wzrok na sporządzonej przez siebie liście:

*Tylko jedno życie*

*Wieczna miłość*

*Objaśnianie marzeń sennych*

*Język rosyjski dla początkujących*

*A kiedyś było tak*

*W czasach dawno zapomnianych*

*I tak człowiek natrafił na psa*

*Nad brzegiem rzeki*

*A żona dowiaduje się ostatnia*

- Zrobione - zameldowała Reilly. - Nadal nic nie widzę.

- Przecież to akronim - obwieścił Forrest niecierpliwie. - Przeczytaj.

-Jasne! „Twoja wina”... Tu jest napisane: „Twoja wina”! Och, Daniel...

- Interesujące, prawda?

- Interesujące? Jasne, że interesujące! A co to właściwie ma znaczyć?

- Moim zdaniem - powiedział Forrest - morderca mówi nam, że motywem zbrodni nie jest wyłącznie żądza krwi.

- Karze ofiary za jakieś ich czyny? Wymierza sprawiedliwość? - Zamilkła. - Wobec tego musimy przyjrzeć się bliżej przeszłości ofiar. Może coś jednak je łączy...

Daniel milczał. Na razie nie chciał dzielić się domysłami na temat trzeciej możliwości, jego zdaniem najbardziej prawdopodobnej i jednocześnie najbardziej przerażającej.

## DWADZIEŚCIA DWA

Chris wiedział, że minie jakiś czas, zanim Reilly przeprowadzi badanie krwi, i jednocześnie starał się przekonać samego siebie, że nic tam nie znajdzie. Powodem jego dolegliwości było najprawdopodobniej przepracowanie. Ale i tak robił wszystko co w ludzkiej mocy, żeby zapewnić sobie mnóstwo zajęć. Tkwił w biurze, czytając zeznania świadka dotyczące zupełnie innego dochodzenia, gdy zadzwonił telefon.

- Detektyw Delaney.

- Witam. Tu Jones z Donnybrook. Jakiś czas temu dzwoniła do mnie żona tego waszego samobójcy...

- Jima Redmonda? Czego chciała?

- Nie wiem, nie było mnie. Przekazano mi wiadomość o jej telefonie. Mogę oddzwonić, ale skoro wy prowadzicie dochodzenie...

- Nie ma sprawy, poproszę o numer, ja do niej przekreczę.

- Świetnie. - Jones przedyktował numer, zadowolony, że może zrzucić ciężar na cudze barki.

Chris rozłączył się i od razu wybrał numer Debbie Redmond.

- Dzień dobry pani. Dostałem informację, że dzwoniła pani na komendę w Donnybrook. Nazywam się Chris Delaney, aktualnie zajmuję się sprawą pani męża. W czym mogę pomóc?

- Pan De...? Myślałam... Aha. W takim razie dobrze. - Była wyraźnie zaskoczona, ale powstrzymała się od komentarzy.

- W czym mogę pomóc? - spytał Chris ponownie.



- Bardzo przepraszam, że zawracam panu głowę, ale... Zdenerwowana i ciągle zrozpaczona po śmierci męża - ocenił Chris.

- Widzi pan... Jedna rzecz nie daje mi spokoju... Jeśli chodzi o Jima. Pewnie to nic ważnego, ale... bardzo bym chciała z kimś o tym porozmawiać... Nie przez telefon.

- Dobrze. Mogę do pani zajrzeć. Dzisiaj pani pasuje? Tego mu było trzeba: wyrwać się z biura.

- Przyjedzie pan? Będę ogromnie wdzięczna.

Dom Redmondów stał w eleganckiej dzielnicy, niedaleko Haddington Road, przy alei wysadzonej drzewami. Chris odpoczął w drodze, ale wysiadając z auta, ledwo stłumił jęk. W ciągu ostatnich dwóch dni ból znacznie się nasilił.

Chryste, zaczynam się zachowywać jak Kennedy, pomyślał.

Debbie Redmond czekała na progu. Miała na sobie sztruksową spódnicę i czarną bluzkę. Idąc podjazdem, Chris stwierdził, że będzie miał do czynienia z pedantką. O czym chciała rozmawiać? Pewnie biedaczce w życiu nie przyszło do głowy, że mąż może mieć przed nią takie mroczne tajemnice.

Wpuściła go do środka, ale nie śpieszyła się z rozpoczęciem rozmowy. Najpierw zaproponowała mu filiżankę kawy, a potem oboje usiedli i dopiero wtedy przystąpiła do rzeczy:

- Chyba uzna pan, że marnuję pański czas, ale...

Chris upił łyk kawy i w milczeniu czekał na ciąg dalszy. Wolał nie zadawać pytań, chciał kobiecie dać wolną rękę.

- Muszę przyznać - podjęła - że bez przerwy myślę o tamtym dniu. Ciągle na nowo widzę tę scenę... - Głos jej się załamał. Ucichła i osuszyła oczy chusteczką. - Myślałam, że zastanę Jima przed telewizorem... Zawsze ogląda rozgrywki w golfa... To znaczy, zawsze oglądał. - Znowu otarła łzy.

Policjant czekał cierpliwie.

-Weszłam, a on... wisiał... Wtedy... Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, na co patrzę.

- Mogę się jedynie domyślać... Pani Redmond zebrała się w sobie.
  - Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak do tego doszło. On by muchy nie skrzywdził. Wspierał różne organizacje charytatywne. Był szczodry i zawsze skory do pomocy. Wystarczyło poprosić. Nie wiem, kto chciałby go zabić.
  - A tamtego dnia...? - Chris naprowadził ją na właściwy temat. - O czym chciała pani porozmawiać?
  - Widzi pan - powiedziała, walcząc z rozpaczą - wtedy nie zwróciłam uwagi... Pewnie wyjdę na wariatkę, ale naprawdę... to prześcieradło... To, na którym Jim... - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Jestem pewna, że to prześcieradło nie jest nasze. Wtedy jakoś tego nie skojarzyłam, ale teraz nie myślę właściwie o niczym innym... Ono nie jest nasze.
- Chris nie bardzo wiedział, co ma o tym myśleć.
- Nie rozumiem. Tamto prześcieradło nie należy do państwa?
  - Właśnie. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale ciągle mam ten obraz przed oczami... Wiem na pewno, że nigdy nie mieliśmy takiego prześcieradła. Przede wszystkim było całkiem białe, a my nie mamy białej bielizny pościelowej. W różnych kolorach, także we wzory, ale nie białą.
  - Jest pani pewna? Może to jakieś stare prześcieradło używane czasem jako pokrowiec? - podsunął Chris. - Leżało zapomniane na dnie bielizniarki...
  - Nie. Na pewno nie - stwierdziła Debbie Redmond z mocą. - To nie było nasze prześcieradło.
- Reilly pochyliła się nad mikroskopem. Oglądała próbkę krwi. Spodziewała się znaleźć coś zwykłego, na przykład anemię, tymczasem to, co odkryła, wykraczało poza ramy standardowych badań. Przyjrzała się preparatowi raz jeszcze i zerknęła do podręcznika medycznego rozłożonego na biurku.

- Julius - odezwała się do mężczyzny pracującego nieopodal. - Mógłbyś tu podejść na chwilę?

Podszedł natychmiast.

- Jasne.

- Pracowałeś kiedyś w laboratorium szpitalnym, prawda? Mina mu zrzedła.

- Wolę nie wspominać tamtych czasów - stwierdził i przewrócił oczami. - Dzień za dniem badania krwi, na okrągło to samo.

Reilly uśmiechnęła się. Julius nieczęsto pozwalał sobie na swobodną uwagę.

- Mógłbyś zerknąć na ten preparat pod kątem tamtych badań?

Julius pochylił się nad mikroskopem i poprawił ostrość. Jakiś czas przyglądał się próbce.

- Hm... dziwne. Czyja to krew? Nastąpiła cisza.

- Na razie to informacja zastrzeżona - powiedziała Reilly w końcu.

- Aha. - Wyprostował się i popatrzył na przełożoną z namysłem. - Rozumiem.

- Powiedz mi, co widzisz.

- Badasz zdolność wiązania żelaza. Reilly pokiwała głową.

- Co jeszcze?

- Sporo transferyny. Powiedziałbym, że za dużo.

- Tak właśnie przypuszczałam. - Zamyśliła się. - Gdybyś w szpitalu natknął się na próbkę z taką ilością transferyny w osoczu, jakie badania byś zlecił?

- Nie przypuszczałem, że dni w Queen's jednak się na coś przydadzą. Cóż, ponieważ nie można polegać wyłącznie na transferynie, pewnie zdecydowałbym się na badanie stężenia ferrytyny w osoczu. - Przyglądał się Reilly dłuższą chwilę. - Zrobić to badanie? Mogę się tym zająć po południu.

- Będę wdzięczna. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma sprawy.

Podala mu probowki z krwia.

-Aha, jeszcze jedno... .

- Tak, tak - powiedzial cicho. - Zatrzymam te informacje dla siebie.

Reilly usmiechnela sie, dziekujac silom nadprzyrodzonym za kompetentny i dyskretny zespól wspópracowników  
Wlasnie miala wrócić do swojego biura, gdy zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz. O wilku mowa...

- Co tam?

- Nie chcę ci włazić na głowę, ale tak sobie pomyślałem...

- Jeszcze nic nie wiem na pewno, ale zaryzykuję stwierdzenie że masz szansę przeżyć najbliższą dobę.

Pocieszasz mnie, ale wielkie dzięki. Dzwonię jednak w innej sprawie. Mam dla ciebie dziwną informację.

- Słucham.

Tuż była na korytarzu.

- Wlasnie wyszedłem z domu Redmondów. Debbie Redmond opowiedziała mi, że bez przerwy myśli o śmierci męża...

- Normalna sprawa.

- Jasne. Ale ona uznała, że uświadomiła sobie cos dziwnego.

- Aha? - Przystanęła.

- Mówi że prześcieradło, na którym wisiał jej mąż, me jest ich własnością. Podobno nigdy wcześniej go nie widziała  
Reilly weszła do biura, zamknęła za sobą drzwi i przysiadła na biurko.

- Skoro zakładamy, że to nie było samobójstwo, powinniśmy się spodziewać wszelkich niespodzianek.

Mogłabyś to sprawdzić? Zakładam, że to prześcieradło jest u was?

-T a k , j a s n e . Szczerze mówiąc, samego prześcieradła nie oglądałam. Znam je tylko ze zdjęć i spisu materiału dowodowego ale zaraz wyciągnę je z magazynu. Przyjrzymy mu się dokładnie. Sprawdzimy, czy nie przeoczyliśmy jakichś śladów.

- Twoim zdaniem morderca jest takim idiotą, żeby użyć własnego prześcieradła?
- Mielibyśmy ogromne szczęście. Ale nawet w takim wypadku musielibyśmy dysponować próbką porównawczą.
- Oczywiście.
- Tak czy inaczej warto spróbować - stwierdziła. - Zaraz się tym zajmę.

Do magazynu dowodowego poszły we dwie. Przystanąły w progu i Lucy sprawdziła numer sprawy w dokumentach przypiętych do podkładki.

- Tędy - powiedziała.

Ruszyły między rzędami metalowych regałów pokrytych kurzem i obrysowanych trupim światłem białych jarzeniówek.

- Po co nam to prześcieradło? - spytała Lucy.

- Pani Redmond jest przekonana, że nie należało do nich. Musimy więc mu się przyjrzeć.

- Żadna rewelacja. Przyjaciel męża pewnie przynosił swoją pościel, kiedy... no, wiadomo.

Wreszcie znalazły odpowiednie pudło. Lucy zdjęła je z półki i zanosła na stół przy końcu regału. Wyjęła z kieszeni nożyk, rozcięła taśmę klejącą, a usta jej się przy tym nie zamykały.

- Nawet jeżeli ono rzeczywiście nie należy do nich, co nam to właściwie powie?

- Pewnie nic - przyznała Reilly, podnosząc wieko. Zajrzała do pudła i szybko znalazła prześcieradło. Gdy je wyjęła, zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - zapytała Lucy, widząc jej zaskoczenie. Reilly nie odpowiedziała. Stała i wpatrywała się w tkaninę, a w głowie miała mętlik.

- Reilly? - zaniepokoiła się Lucy. - O co chodzi?

- Dziwne - mruknęła jakby do siebie. - Chyba je poznaję...

Chris odetchnął głęboko.

-Jesteś całkowicie pewna? - dobrał bardzo starannie słowa.

- Tak

Na prośbę agentki przyjechał do laboratorium jak najszybciej-

<sup>CIC</sup> - Ja nie odróżniam jednego białego prześcieradła od drugiego - przyznał.

- A ja mam świra na punkcie bielizny pościelowej i wiem, że to jest włoska tkanina o splocie sześćset nici na cal kwadratowy. Kupowałam taką w San Francisco w Scheuer Linens.

Co oznaczało, że ten konkretny materiał dowodowy powinni uznać za specyficzny, szczególny. I teoretycznie mogli spróbować określić, skąd pochodził.

- Można je dostać w Irlandii? - zapytał.

- Nie wiem. Lucy dzwoni do Brown Thomas i innych sklepów z ekskluzywną pościelą. Tak czy inaczej, jeżeli to nie jest prześcieradło Redmondów, morderca podsunął nam istotny ślad.

- Daj mi chwilę, zadzwonię do Debbie Redmond i spytam, czy jej się takie konkretne prześcieradło z czymś kojarzy.

Wyszedł z pokoju i po kilku chwilach wrócił.

- Twierdzi, że nie ma o tym bladego pojęcia. Zwykle robi zakupy w sieci domów towarowych Debenhams albo House of Fraser i kieruje się jedynie wzorem poszwy.

Akurat w tej chwili wróciła Lucy.

- Z Brown Thomas przefaksują nam swoją ofertę. Obiecują, że na popołudnie. U innych sprzedawców potrwa to trochę dłużej.

- Mimo wszystko coś mamy - powiedziała Reilly zadowolona z postępów.

Jeżeli morderca użył szczególnego rodzaju prześcieradła a nie zdawał sobie sprawy z jego wyjątkowości, może dowiedzą się o nim czegoś przydatnego. Na przykład gdzie się ukrywa.

- Co z hotelami? - zastanowił się Chris. - Mógł wziąć prześcieradło z dobrego hotelu?
- Zaczniemy od Four Seasons - podsunęła Lucy. - Jest niedaleko domu Redmondów.
- Doskonała myśl - ocenił Chris. - Potem sprawdzimy inne lepsze hotele. Jeśli w którymś używa się takich prześcieradeł, będziemy mogli wziąć się do listy gości, może coś uzyskamy.'

Lucy ruszyła do drzwi.

- Się robi.

- Laboratorium powtarza testy DNA - powiedziała Reilly - ale byłabym zdziwiona, gdyby udało się znaleźć coś poza materiałem od Redmonda.

Chris pokiwał głową.

- Fantastycznie, że skojarzyłaś fakty. Może wreszcie będziemy mieli przełom.

- Nie mnie należą się podziękowania - odparła Reilly ponuro. - Podziękuj żonie tego biedaka...

## DWADZIEŚCIA TRZY

Domek był drewniany. Przycupnął na przedmieściach San Francisco jak jeden z tysięcy takich domków. W środku panował spokój.

Reilly siedziała na kanapie. Nogi podciągnęła pod siebie, wokół niej leżały podręczniki i zeszyty. Trochę odrabiała pracę domową, trochę oglądała telewizję.

W ciemnościach podwórza skradała się tajemnicza postać przyciśnięta do ściany. Reilly przerwała w środku zdania, ściszyła telewizor i chwilę nadśluchiwała. Nic.

Ponownie włączyła dźwięk i wróciła do nauki.

Obcy na palcach wszedł na tylny ganek, bezszelestnie przesunął się ku drzwiom. Położył dłoń na gałce i obrócił ją bez przeszkód. Pociągnięte drzwi stanęły otworem. Wślizgnął się do kuchni i błyskawicznie minął żółtawą plamę światła padającą z sypialni na piętrze.

Zaczytana Reilly niczego nie zauważyła. Natręt zajrzał do salonu. Jak duch podkraść się do kanapy...

- Hałasujesz jak słoń w składzie porcelany - powiedziała Reilly, odwracając się z nienacka.

- O, szlag. Ale ty masz słuch!

Nastolatek przeskoczył oparcie kanapy i wylądował obok dziewczyny, rozrzucając podręczniki.

- Tommy, uważaj, odrabiam lekcje.

- E tam, lekcje. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Mam dla ciebie ciekawsze zajęcia.



Objął ją, a ona jego. Pocałowali się, jakby czas nie istniał. W końcu się rozdzielili.

- Kiedy wraca twój tata? Reilly wzruszyła ramionami.

- A bo ja wiem? Jak przestaną mu stawiać drinki albo jak go wyrzucą z knajpy.

- Super - uznał Tommy.

Pocałowali się znów, chłopak zaczął ściągać z Reilly sweter. Po chwili oboje byli na wpół nadzy, a świat przestał dla nich istnieć.

Nagle Reilly odsunęła się od niego. Coś usłyszała. Rozejrzała się niespokojnie dookoła.

- Co jest? - Tommy nie miał najmniejszej ochoty na przerywniki.

- Zdawało mi się, że coś słyszałam. Jess ma bardzo lekki sen.

- Kto to jest Jess?

- Moja młodsza siostra. Tommy pocałował Reilly w szyję.

- No i co? Kogo obchodzi Jess? Reilly zadrżała.

- Może nas zobaczyć...

- Co z tego? Może się czegoś nauczy. - Sięgnął do dzinsów dziewczyny i zaczął je rozpinać.

Próbowała go powstrzymać:

- Weź przestań. Nie tutaj, nie teraz.

- Daj spokój. Wiesz, że cię kocham. - Zaśmiał się. - Mamy siedemnaście lat. Nikt się po nas nie spodziewa niczego innego.

Reilly nadal nie była przekonana, ale Tommy znał jej słabe punkty, więc znów zajął się szyją.

- Kocham cię - wychrypiał, wolno zsuwając jej dzinsy z bioder.

Nie potrafiła się dłużej opierać.

- Ja ciebie też kocham - szepnęła, odchylając się, żeby mu było łatwiej ją rozebrać.

- Co robicie? - odezwał się cienki głosik. Tommy podniósł wzrok zaskoczony.

- Co, do...

Reilly obejrzała się przez ramię i zobaczyła młodszą siostrę o puszystych blond włosach ściągniętych w koński ogon. Miała bardzo dziwny wyraz twarzy.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją.

- Co on ci robi? Coś złego?

Tommy, szeroko uśmiechnięty, przyglądał się Jess z nieskrywanym zainteresowaniem.

- No, no, no! Kogo my tu mamy... Reilly, nic nie mówiłaś, że z twojej siostrzyczki taka ślicznotka.

Dziewczyna popatrzyła na niego lekko zażenowana. Co ta mała takiego w sobie ma, że każdemu facetowi, niezależnie od wieku, na jej widok miękną kolana?

- Reilly? - Jessica gapiła się na siostrę z niedowierzaniem. - Ty z nim to robisz?!

Niech to lichy.

- Nie, kochanie. To nie tak. Po prostu...

- ...bawiliśmy się - wpadł jej w słowo Tommy. Usiadł i zaczął zapinać koszulę.

Jess nadal wlepiła wzrok w starszą siostrę, jakby się czuła zdradzona. A co gorsza, Reilly też miała takie wrażenie. W dużym stopniu zastępowała małej matkę, powinna się nią opiekować...

- Właśnie. - Uczepiła się słów chłopaka jak tonący brzytwy. Podciągnęła dzinsy, wstała. - Nic złego się nie dzieje.

- Ty to z nim robiłaś! - Jess spochmurniała. - Jesteś taka sama jak ona! Jesteś puszczańska! Nienawidzę cię!

Tommy zbaraniał.

- Co jest grane?

- Jess... - odezwała się Reilly spokojnie, choć kipiała z gniewu. - Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób. A teraz idź do pokoju.

- Powiem tacie! Powiem tacie, że robisz to w naszym

salonie, chociaż miałaś się mną zajmować. Jesteś taka sama jak ona. I też nas zostawisz!

Reilly usiadła gwałtownie, kompletnie dezorientowana. Tym razem sen był tak realny, że nieomal czuła siostrę tuż obok. Rozdygotana rozejrzała się po wnętrzu pogrążonym w mroku. W kątach czaiły się groźne cienie, gotowe na nią skoczyć.

Spokojnie. Szafa w rogu, okno z firankami, żółtawe światło lamp ulicznych. Wreszcie się położyła. Zamknęła oczy, chciała się jeszcze zdrzemnąć.

- Niech to licha - mruknęła po chwili i usiadła.

Nic z tego. Nici ze spania. Wstała, włożyła miękki szlafrok, poszła do salonu. Włączyła górne światło, które natychmiast przegoniło zjawy i cienie.

Najwyraźniej dochodzenie dawało jej się we znaki bardziej, niż chciała przyznać, skoro podświadomie wracała do wspomnień i emocji uznanych za dawno okiełznane.

Jakiś czas stała w progu, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć. Nie wymyśliła nic szczególnego, więc w końcu usiadła na sofie przed niskim stolikiem i włączyła laptop. Mogła spróbować jakoś sensownie spożytkować ten czas.

Czekając, aż komputer się uruchomi, leniwie wędrowała spojrzeniem po wnętrzu. Mieszkanko było czyste i zadbane, ale bezosobowe. Przez te kilka miesięcy próbowała je jakoś oswoić, mimo to nadal nie czuła się tu u siebie. Przypomniało jej się mieszkanie w Kalifornii: blisko plaży, z wielkimi oknami w drewnianych ramach wpuszczającymi do środka ciepłe światło i chłodną bryzę. Raptem zatrzymała wzrok na półce z książkami. Coś było nie tak.

Wstała, podeszła do niej i przyjrzała się jej z bliska. Nic. Nie potrafiła odgadnąć, co ją zaniepokoiło. Czegoś brakowało? Coś stało nie na swoim miejscu? Ale co?

Pokręciła głową. To przez ten sen. Na pewno. Nic innego. Przypomniała jej się rada doktora Kyle'a: „Pamiętaj,

w razie potrzeby koniecznie znajdź sobie tam lekarza. Masz słabe punkty, jesteś podatna na zranienia, ale to nie znaczy, że słaba". Czy przez te sny czuła się bardziej podatna na zranienia? Nie. To tylko sny. Nie mogły jej skrzywdzić. Każdy miał swoje lęki, słabe punkty, skrywaną przed światem piętę achillesową. Przyszedł jej na myśl Chris z uporem ignorujący kłopoty zdrowotne.

Tak, każdy ma swoje bolączki, a ona nie jest wyjątkiem.

Wróciła na sofę, postawiła sobie laptop na kolanach, uruchomiła Google'a i wstukała słowo „tabu”.

Minęło kilka godzin. Reilly powoli wracała do świadomości. Bolały ją plecy i szyja. Słyszała jakieś popiskiwanie. W dalszym ciągu tkwiła na sofie, otumaniona. Spojrzała w dół - to laptop alarmował, że zaraz zabraknie mu prądu.

Zamknęła komputer, usiadła, przeczesała włosy palcami.

W szarym świetle poranka wszystko wyglądało zwyczajnie, całkiem niegroźnie. A ona od jakiegoś czasu usiłowała pojąć tok myślenia osoby obciążonej poważną dewiacją psychiczną, człowieka, który torturował swoje ofiary, zmuszając je do łamania społecznie przyjętych zasad. Samo odbieranie życia mu nie wystarczało.

Spojrzała na zegarek. Siódma piętnaście! Miała być w biurze wcześniej, by przygotować się na popołudniowe zebranie międzywydziałowe, a także nieuniknione pytania O'Briena.

Wstała z wysiłkiem, poszła do łazienki. Po drodze ściągnęła szlafrok. Ustawiła niezbyt ciepłą wodę, chciała oprzytomnieć.

Ubrała się szybko, ściągnęła włosy w koński ogon. Śniadanie później, zawsze można coś przekąsić w firmowej stołówce. Chwyciła torebkę, komórkę i klucze leżące na stoliku przy drzwiach, po czym znieruchomiła zdeorientowana. Gdzie identyfikator? Zawsze kładła go razem z kluczami od razu po wejściu do mieszkania. Zeszłego wieczoru pewnie zrobiła

to samo. A może nie? Czy w ogóle wróciła do domu z identyfikatorem? Trudno powiedzieć, dzień podobny do dnia... Pewnie został przypięty do laboratoryjnego fartucha. Wyszła.

- A pani skąd się tu wzięła?

Tego ranka znów miał zmianę Simpson. Obrzucił rozbawionym spojrzeniem Reilly wchodzącą do budynku. Przystanąła zaskoczona.

- Jestem spóźniona - ruszyła do wind.

- Jak to: spóźniona? - zdziwił się Simpson. - Przyszła pani wcześniej niż ja.

Reilly obróciła się na pięcie.

- Jak to? Nie rozumiem. - Zbliżyła się do stanowiska ochrony. Simpson spojrzął na nią ze zdziwieniem, po czym obrócił

w jej stronę duży niebieski zeszyt - książkę wejść i wyjść.

- Tu jest pani zapisana.

Spojrzała i rzeczywiście - o godzinie siódmej odnotowano jej wejście. Podniosła wzrok na ochroniarza.

- Nie wiem, kogo pan zapisał, ale z pewnością nie mnie. Simpson zdjął czapkę z daszkiem i podrapał się po głowie.

- Wskoczyła pani na kawę? - Był wyraźnie zmieszany.

- Nie. Dopiero przyjechałam.

- Wobec tego kto to był wcześniej?

Nagle przypomniała sobie o zagubionym identyfikatorze. Ciarki przeszły jej po plecach.

- Potrafi pan opisać osobę, która tu przyszła o siódmej?

- spytała jak najspokojniej. - Tę, którą pan wziął za mnie.

- Już mówiłem, mnie wtedy nie było. Przyszedłem na zmianę pół godziny temu. Musiał panią zapisać Murray. -

Pomyłka tego rodzaju mogła ściągnąć na ochronę niemałe kłopoty.

- Wszystko się wyjaśni - dorzucił. - Nie ma się czym przejmować.

Reilly już go nie słuchała, bo biegła do wind.

- Na terenie budynku jest intruz, prawdopodobnie morderca! - zawołała przez ramię. - Proszę wezwać pomoc! Kilkakrotnie wdużyła przycisk, jakby dzięki temu winda mogła przyjechać szybciej. Zdawało jej się, że upłynęła wieczność, zanim odezwał się przytłumiony dzwonek. Wpadła do kabiny.

- Jeśli zobaczy pan kogoś podejrzanego - rzuć jeszcze - niech pan nie próbuje go sam zatrzymać.

Winda ruszyła, a Reilly przeklęła fakt, że nie znajduje się w Stanach. Nie miała przy sobie broni. Nawet jeśli morderca już dawno zbiegł i tak lepiej by się czuła, gdyby ją miała. Co więcej, całe jej szkolenie opierało się na wykorzystaniu broni palnej. Ale ponieważ teraz była bezbronna, musiała, pamiętając o radach Daniela, wykorzystać to, co się da.

Wychodząc z windy, zerknęła pośpiesznie najpierw w prawo, potem w lewo. Nic. Żadnego ruchu, tylko zimne, rozedrgane światło jarzeniówek. O tej porze w korytarzu zawsze panowała martwa cisza. Personel schodził się między ósmą czterdzieści a dziewiątą.

Gdzie najpierw? Do biura czy do laboratorium?

Zaczerpnęła głęboko powietrza i postanowiła najpierw sprawdzić biuro. Przestrzeń bardziej prywatną, osobistą, a co za tym idzie - bardziej interesującą dla mordercy. Jeśli to rzeczywiście był on. Zsunęła buty, wzięła je w lewą rękę i ruszyła korytarzem.

Starła się panować nad oddechem i zachować spokój. Uczono ją radzić sobie w takich sytuacjach. Zerknęła na czarne pantofle. Instruktorzy w Quantico nie wiedzieliby, czy się śmiać, czy płakać, gdyby ją teraz zobaczyli, szykującą się do ujęcia niebezpiecznego podejrzanego i uzbrojoną jedynie we włoskie pantofle.

Dochodząc do biura, zwolniła. Przystanąła pod drzwiami i nasłuchiwała przez chwilę z nadzieją, że wychwyci jakiś dźwięk, otrzyma jakąkolwiek wskazówkę, która by jej zdradziła,

czy intruz jest w pokoju. Budynek pomrukiwał cicho, centralne ogrzewanie bulgotało od czasu do czasu, poza tym z biura nie wydobywał się najmniejszy szmer. Wreszcie z jednym butem w uniesionej ręce Reilly wpadła do środka. Od razu się zorientowała, że ktoś tu był. Wystarczyło spojrzeć na biurko. W nocy, gdy przyglądała się półce w mieszkaniu, nie mogła odgadnąć, co się na niej zmieniło, teraz zaś miała dowód przed oczami. Teraz wiedziała. Na środku biurka tkwił album ze zdjęciami. Jej album.

Chryste! To znaczy, że morderca był u niej w mieszkaniu!

Jak się tam dostał? A co istotniejsze: po co? Przypomniała sobie nocne zdenerwowanie i dziwne wrażenie, które tak łatwo od siebie odsunęła. Serce waliło jej w piersi. Co tu się dzieje?

Żeby sprawdzić, na której stronie otwarto album, musiała obejść biurko. Zobaczyła fotografię zrobioną co najmniej piętnaście lat temu. W innych czasach, w dawnym życiu. Widniała na niej rodzina Steelów - nieskalana, zadowolona. Mama wtedy zniknęła na dobre. Już zmiany pukały do ich drzwi, ale jeszcze byli szczęśliwi, we trójkę, Mike i dwie dziewczynki.

To było w Halloween. Reilly opiekuńczym gestem obejmowała Jess, a mała była w nią wpatrzona jak w obrazek. Najbardziej jednak wzrok przyciągały kostiumy. Reilly nigdy nie przepadała za przebierankami, nie bawiły jej te wszystkie wiedźmy, diabły i wampiry, które inne dzieci tak uwielbiały, wobec czego jak zwykle miała na sobie strój, który sama sobie wymyśliła: na wpół wróżki, na wpół aniołka z przejrzystymi skrzydłami. Każdy terapeuta miałby tutaj niezłe pole do popisu, pomyślała.

Jess zaś uwielbiała się przebierać. Cała rozpromieniona, wystrojona na różowo, w swój ulubiony kolor. W rękę ścisnęła bukiet kwiatków.

Na zdjęciu przyklejono karteczkę z napisem: „Szczęśliwa rodzinka”. Reilly przyglądała się jej przez dłuższy czas, niepomna, że w budynku nadal może się znajdować szaleniec. Nagle zatęskniła za tamtymi czasami, kiedy była pewna siostrzanej miłości, ojciec nie pił, najważniejszym obowiązkiem

było odrabianie lekcji, a największym zmartwieniem - pryszcz na twarzy, gdy wychodziła na randkę w sobotni wieczór.

Z ociąganiem oderwała wzrok od fotografii. Myślami wróciła do ponurej teraźniejszości. Co to wszystko miało znaczyć? Czy morderca postanowił ją prześladować? Czy wiedział o Jess? O tym, co się z nią stało? Niemożliwe. Nikt o tym nie wiedział. Nikt poza nią, ojcem i oczywiście osobami związanymi z tamtymi wydarzeniami.

Próbowała myśleć trzeźwo. Morderca był u niej w mieszkaniu i w biurze, co do tego nie było wątpliwości. A gdzie znajdował się teraz?

Rozejrzała się za jakąś bardziej odpowiednią bronią. Omiotła spojrzeniem książki i gazety. W końcu na półce dostrzegła butelkę wina, zapomniany prezent bożonarodzeniowy.

Zostawiła buty przy biurku, wzięła butelkę. Chwyciła ją za szyjkę i zamachnęła się kilka razy. Lepiej, znacznie lepiej. Przynajmniej czuć ją było w dłoni.

Nadstawiła uszu, po czym wyszła z biura i skierowała się do laboratorium.

Korytarz nigdy wcześniej nie był tak przerażający. Nie wiadomo, za którymi drzwiami mogło się czaić niebezpieczeństwo. Za każdym razem, gdy otwierała kolejne, miała serce w gardle. Najlżejsze skrzypnięcie przyprawiało ją o paraliż. Lada sekunda mógł na nią wyskoczyć kryminalista... I co wtedy?

Raptem uświadomiła sobie, że nie rozumie, dlaczego morderca w ogóle fatygował się tutaj. Przecież był u niej w mieszkaniu. Już samo to wystarczyło, by obudzić w niej strach, mógł zupełnie spokojnie urządzić wystawę właśnie tam. Efekt byłby równie dramatyczny, a ryzyko znacznie mniejsze.

I wtedy zrozumiała. On się popisывał. Udowadniał policji, że jest bezsilna i nie zrobi nic bez jego wiedzy. Co oznaczało, że miał dostęp także do akt i materiału dowodowego...

Oby Simpson rzeczywiście wezwał pomoc.

Wreszcie stanęła przed wejściem do laboratorium. Zaczerpnęła głęboko powietrza. Odtworzyła w myślach rozkład



pomieszczenia i zastanowiła się, gdzie może czekać na nią morderca. A także czego mógłby szukać. Laboratorium było dość obszerne i kryjówek można było w nim znaleźć bez liku. Stały tam ławki, biurka, szafki, urządzenia... Do diabła, schowałyby się tam cały oddział komandosów. Raz jeszcze wyteżyła słuch, wyczulona na najlżejszy szmer, najcichszy ruch. Nic. Oddychając głęboko, schyliła się i ruszyła naprzód, kryjąc się za długim drewnianym stołem i wtapiając w nieregularne cienie wszelkich sprzętów.

Dotarłszy do końca stołu, natychmiast zyskała pewność, że morderca wdarł się i tutaj. Kilka szufald w szarych szafkach na dokumenty było pootwieranych, a akta spraw związanych z mordercą tabu rozłożono na biurku. Wydawało jej się jednak, że intruz już się ulotnił. Wyprostowała się powoli, odstawiła na blat butelkę z winem, swoją jedyną broń. Uważniej rozejrzała się po wnętrzu, a potem spojrzała na akta. Zdjęcia zostały ułożone w rzędzie, dokumenty wały się bez ładu i składu.

Czy morderca czegoś szukał, czy raczej zostawił wiadomość? A może coś zabrał albo zmienił? Trzeba się przyjrzeć uważniej. Myśleć logicznie.

Raptem od strony drzwi dobiegł ją jakiś dźwięk. Obróciła się błyskawicznie i zdążyła spostrzec postać uciekającą na korytarz. Niech to lichy! Był tu cały czas. Obserwował ją! Co za bezmyślność, oglądać zdjęcia, zamiast sprawdzić całe wnętrze...

Gnana adrenaliną i gniewem skoczyła za mordercą. W samych rajstopach ślizgała się na gładkiej podłodze, ale jakoś dotarła do drzwi. Wypadła na korytarz w ostatniej chwili, by dostrzec uciekiniera znikającego na klatce schodowej. Ruszyła za nim, przeklinając brak walkie-talkie, broni, wsparcia - wszystkiego, co w Ameryce uważała za normalne. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że morderca także wie, jaka jest bezsilna.

Dotarła do drzwi prowadzących na klatkę schodową, szarpnęła je energicznie i tuż przed twarzą zobaczyła kolbę pistoletu kaliber trzydzieści osiem.

## DWADZIEŚCIA CZTERY

Chris pchnął podwójne drzwi budynku PLK i wszedł do środka. Natychmiast powitał go niespokojny Simpson.

- To tyle? - spytał ochroniarz.

- Słucham? - nie zrozumiał Chris.

- Pan stanowi wsparcie?

- Jakie wsparcie? - Chris spojrzał na niego jak na szaleńca.

- Przyszedłem do pani Reilly Steel.

- Właśnie ona kazała mi wezwać posiłki - pośpieszył Simpson z wyjaśnieniami. - Powiedziała, że w budynku jest intruz. Podobno to niebezpieczny osobnik. Miałem go sam nie zatrzymać.

Chrisowi serce podeszło do gardła.

- Gdzie ona jest?

- Pani Steel? Pojechała na górę.

Co to ma właściwie znaczyć? Bez sensu.

- Idę na górę. Sprawdzę, co tam się dzieje - zdecydował błyskawicznie i ruszył do wind, ale jeszcze zapytał ochroniarza:

- Wezwał pan to wsparcie, mam nadzieję?

- Oczywiście. Obiecali wysłać patrol jak najszybciej. Oby nie dali na siebie zbyt długo czekać, pomyślał Chris.

Prawdopodobnie ani patrol, ani Simpson nie zdawali sobie

sprawy z powagi sytuacji. Budynek PLK był stosunkowo nowy, mało kto się spodziewał, że przyjdzie tu komuś ścigać niebezpiecznego podejrzanego. Jeśli jednak obawy Reilly były uzasadnione, pozostawało mieć nadzieję, że kawaleria zjawi się wcześniej niż później.

- Niech pan im powtórzy wszystko to, co mnie. - Wsiadł do windy. -1 proszę pamiętać, on jest naprawdę niebezpieczny.

Na trzecim piętrze wysiadł z kabiny powoli i rozejrzał się na boki. Cisza. Spokój. Wyjął broń z kabury i ruszył korytarzem. Jeżeli intruzem faktycznie był ścigany przez nich morderca, to z pewnością ma przy sobie broń i będzie zdecydowany jej użyć.

Szedł teraz w kierunku biura Reilly. Po drodze zerknął przez okienko w drzwiach prowadzących na schody i zamarł. Na stopniach przyczała się jakaś kobieta. Zaczerpnął głęboko powietrza i pociągnął za drzwi.

- Ręce do góry! - krzyknął.

Ani drgnęła. Leżała na boku, skulona, włosy zasłaniały jej twarz.

- Trzeci raz nie powtórzę!

Żadnej reakcji. Pewien, że to nie zmyłka, pochylił się i trącił leżącą. Zsunęła się z kilku stopni. Odgarnął jej włosy z twarzy.

- O, Chryste... Reilly.

Odwrócił ją na plecy. Była bezwładna, blada jak ściana i wyglądała na martwą. Przycisnął palce do jej szyi, szukając pulsu, po czym przysunął twarz do ust w nadziei, że wyczuje oddech. Wreszcie, tak, wychwycił ledwo wyczuwalne tętno.

- Reilly! Reilly, słyszysz mnie?

Chciał ją ocucić, ale nic z tego nie wychodziło. Mimo rwących stawów objął ją więc ramieniem i podniósł. Co tu się stało?

Reilly tonęła. Woda podnosiła się szybko, a ona nie mogła uciec, bo miała unieruchomione stopy. Walczyła, siłowała się, wrywała, lecz nie mogła ich oswobodzić.

Woda podnosiła się już ku twarzy. Reilly zadarła brodę wysoko, byle jak najdalej od mętnej cieczy, lecz walka ta była

z góry skazana na przegraną. Chlupotała jej już wokół szyi, zakrywała brodę, sięgała uszu i warg.

Reilly nigdy nie bała się wody. Zawsze czuła się w niej dobrze, traktowała jak miłą towarzyszkę. Tym razem było inaczej. Ta była zimna, ciemna, mętna, mroziła do szpiku kości.

Trzeba zamknąć usta. Po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, jak bezcenne jest powietrze. Oddychając tylko przez nos, patrzyła na złowrogie niebo i groźne chmury atakujące jej uniesioną twarz ulewnym deszczem. Zasnuły całe niebo, czarnym płaszczem odcięły od świata jej życie, plany i marzenia. I już tylko na jedną chwilę, tuż przed tym, nim woda zamknęła się nad jej nosem i oczami, zobaczyła w chmurach szczelinę, przez którą przedarł się nikły promyczek, wyzwanie dla bezkresnej ciemności.

Potem woda zawirowała, a Reilly się poddała, rozluźniła i pogrążyła w mrocznym chłódzie. Pozwoliła unieść się mętnemu żywiołowi.

Nastał spokój. Otworzyła oczy. Nie widziała nic, więc je zamknęła. W miarę jak w płucach przybywało dwutlenku węgla, czuła coraz większy ucisk. Ciało domagało się powietrza. Nie pozwoliła mu jednak na to. Pokonała chęć zaczerpnięcia oddechu, nakazała sobie spokój. Woda była miękka, kojąca, opływała całe ciało, unosząc je, pomagając w odprężeniu. Już nie ma o co walczyć, już będzie tylko lepiej.

- Reilly? Reilly. Otwórz oczy.

Ciemność kusiła. Ot, po prostu zasnąć... Zapomnieć o pracy, o zmartwieniach, o...

- Reilly.

Znowu rozbłysło światło, tym razem jaśniejsze. Zburzyło spokój, wytrąciło z długiego upragnionego snu.

- Reilly, kochanie, proszę cię, otwórz oczy.

Jak liść szarpany wiatrem czuła dwie przeciwstawne siły: z jednej strony cichy, ciemny i przytulny spokój, z drugiej

- uparty głos, silne światło.

Powieki drgnęły, oczy się otworzyły. Popatrzyła dookoła zdumionym wzrokiem. Nie napotkała nic znajomego, nic sensownego. Poczowała ukłucie w rękę. Chciała ją zabrać, cofnąć, uciec od bólu, ale ktoś ją przytrzymał. Powoli, walcząc o odzyskanie kontroli nad każdym mięśniem, skupiła wzrok. Zobaczyła ratownika przytwierdzającego jej do ręki wenflon.

-Co...?

Jakoś nie potrafiła sformułować pytania. Usta nie słuchały poleceń, oczy żyły własnym życiem, wędrując dookoła i patrząc, gdzie chciały.

Ambulans pędził ulicami miasta.

Za duży wysiłek. Znacznie milej było w wodzie. Zamknęła oczy. Spaaać. Wrócić do chłodnej, mrocznej otchłani.

- Reilly, proszę cię, nie zasypiaj.

Coś w tym głosie było znajomego. Aż otworzyła oczy z ciekawości. Tuż nad sobą ujrzała jakąś twarz. Niby nie obcą, ale czyją? Różne imiona kotłowały jej się w głowie, odległe wspomnienia: Jess... Mike... Tommy... Nie, żadne nie pasowało. A właściwie co to za ludzie? I nagle pojęła.

- Chris. - Wyciągnęła do niego rękę. Na jego twarzy rozlał się uśmiech.

- Jesteś dzielna.

Oczy znowu chciały patrzeć w ciemność, ale Chris na to nie pozwolił.

- Skup się na mnie, proszę.

Odetchnęła głęboko i w końcu wróciła do rzeczywistości. Nie bez trudu, ale odzyskała panowanie nad zmysłami.

Uniosła lekko głowę. Znajdowała się w ambulansie, to jasne. Nie wiedziała jedynie dlaczego.

- Co się stało?

- Znalazłem cię na klatce schodowej w PLK - wyjaśnił Chris cicho. - Simpson powiedział mi, że podejrzewałaś obecność intruza.

Wtedy przypomniało jej się wszystko. Morderca. Tam był morderca.

Jak film puszczony w przyspieszonym tempie zobaczyła serię obrazów: album fotograficzny w biurze, zdjęcie jej i Jess w kostiumach na Halloween, rozrzucone na laboratoryjnym stole akta i w końcu klatkę schodową. Potem pistolet, zimny, twarde błysk metalu, a później... Zaraz... Ta część wspomnień uciekła.

- Co się tam stało? - spytała, z trudem układając słowa wyschniętymi ustami.

- Znalazłem cię nieprzytomną - powiedział Chris zatroskany. - Pewnie będą musieli zrobić badania, by sprawdzić, co ci...

Raptem ostatnia scena wróciła na swoje miejsce. Zastrzyk.

- Pentobarbital - szepnęła.

Chris patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Oblizła usta. Mówienie sprawiało ogromną trudność.

- On tam był. Chciał zajrzeć do akt, ja mu przerwałam. Wstrzyknął mi pentobarbital.

Chris nie krył zdumienia.

- Jakim cudem dostał się do laboratorium?

- Włamał się do mojego mieszkania, ukradł identyfikator. Rano nie mogłam go znaleźć, a potem Simpson powiedział...

No właśnie. Jakim cudem ochroniarz mógł ją pomylić z osobą, która wcale nie jest do niej podobna? Z kimś całkiem obcym? A do tego z mężczyzną?

- Już wiem - wykrztusiła. - To nie był mężczyzna. Mieliśmy rację. Jest ich dwoje.

## DWADZIEŚCIA PIEC

Reilly leżała w szpitalnym łóżku, a przy niej krzątała się młoda pulchna pielęgniarka pachnąca jaśminem i miętą. *Jo Malone*, uznała Reilly. Marka dość popularna w tej części świata.

Przez cały dzień to przysypiała, to znowu się budziła, ale czuła się znacznie lepiej. Pielęgniarka zmieniła worek kroplówki, poprawiła poduszki, podciągnęła świeże prześcieradło Reilly pod pachy. W końcu odstaąpiła o krok i przyjrzała się pacjentce.

- Jak samopoczucie?

Miała cudowny mocny akcent z północnego Dublinu, który natychmiast wywołał na twarzy agentki uśmiech.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Która godzina? Pielęgniarka spojrzała na zegarek przyczepiony do kieszonki na piersi.

- Prawie czwarta.

- Czwarta? Przespałam cały dzień. - Znów uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Dawno tyle nie leżałam.

Opiekunka pokiwała głową.

- Jakiś przystojniak czeka na korytarzu. Już dość długo... Damy radę przyjąć gościa?

- Tak, tak. Przyda mi się trochę rozrywki.

- Zaraz go poproszę. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Naprawdę niczego sobie.

Żwawym krokiem wyszła z sali, a po chwili zjawił się Chris z bukietem tygrysich lilii w dłoniach. Trzymał go jak trofeum, nie do końca pewien, co powinien z nim zrobić.

- Jak leci? - zapytał. - Proszę, to dla ciebie.

- Prześliczne. Wielkie dzięki. Połóż na szafce, poproszę pielęgniarkę, żeby wsadziła do wody.

Chris posłusznie odłożył bukiet, po czym przystawił do łóżka krzesło. Usadowił się na nim i rozejrzał po sali. Leżeli w niej najróżniejsi pacjenci, i starzy, i młodzi. Jedni drzemali, inni oglądali telewizję.

- Jak się czujesz? - zapytał w końcu. - Wystraszyłaś nas.

- Aha - zachichotała. - Na przykład Kennedy na pewno bardzo się o mnie martwił.

- Przesyła ci pozdrowienia - poinformował ją Chris. - No i, jeśli mam być szczery, to on mi powiedział, żebym się nie ważył pokazywać tu bez kwiatów. - Mówił lekkim tonem, lecz na jego twarzy widać było troskę. Wpatrywał się w Reilly, jakby w jej oczach szukał jakichś niepokojących sygnałów.

Wzruszył ją ten przejaw opiekuńczości.

- Jestem zmęczona, ale w dobrej formie - stwierdziła. - Z tego, co mówiła pielęgniarka, rozumiem, że powinnam ci podziękować za szybką reakcję...

- Nie będę ukrywał: kiedy cię zobaczyłem na schodach, nie byłem pewien, czy nie powinienem cię tam raczej zostawić. Przez to całe pływanie i surfowanie rozwinęłaś niezłe mięśnie. Ważysz pewnie z tonę...

Reilly naprężyła mięśnie.

- Aha. Waga ciężka to ja.

- Ale jakoś zdołałem dotaszczyć cię na parter. Podziękowała mu ciepłym uśmiechem.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna. Zdawała sobie sprawę z jego kondycji.

- Gdy przejęli cię paramedycy, wróciłem do twojego biura, rozejrzeć się za jakimś tropem. No i długo nie szukałem.

- Album na biurku?



Prawie o nim zapomniała. Chris pokiwał głową.

- Wzięto go z mojego mieszkania - wyjaśniła. - Pewnie ma to być jakaś wiadomość.

- Jaka? Obejrzałem zdjęcie... Nic szczególnego, zwykła fotka rodzinna.

- Naprawdę nie wiem.

I rzeczywiście nie wiedziała. Morderca włamał się do jej mieszkania, zabrał stamtąd rzecz dla niej ważną i umieścił ją w biurze. Otworzył album na konkretnym zdjęciu. Pewnie coś chciał przez to powiedzieć, tylko co?

- Nie daje mi to spokoju - przyznał Chris. - Nie wolno tego lekceważyć. Ktoś się do ciebie włamał, ukradł twój identyfikator, mógł cię nawet zabić, cholera. A teraz jeszcze bawi się w zgadywanki.

- Właśnie.

- Napijesz się herbatki, kochanieńka?

Oboje zaskoczeni podnieśli wzrok na starszą panią rozwożącą napar po szpitalu.

- Nie, dziękuję.

Ubrana w fartuch starszka przywodziła na myśl ukochaną babcie i najwyraźniej uważała, że każdy pacjent powinien się napić ciepłej herbatki przynajmniej trzy razy dziennie. Reilly nie rozpoznała jej zapachu. Jakaś mieszanka kwiatowa, może balsam do ciała albo krem do twarzy.

- A twój mąż, słoneńko? - spytała kobieta, odwracając się do Chrisa. - Jak tam, kochanieńki, wypijesz herbatkę?

- Ja nie... To znaczy... - Chris zerknął na Reilly i zobaczył, że agentka z trudem tłumi śmiech. - Bardzo chętnie, proszę pani - odpowiedział w końcu.

W milczeniu czekali, aż starszka napełni ich kubki, a gdy przeszła do następnego pacjenta, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Czy ja naprawdę wyglądam jak człowiek żonaty? Statecznie?

- Ona cię nie zna - zakpiła Reilly.

- Mniejsza o większość. Herbata się przyda.

- Smacznego. W amerykańskich szpitalach nie ma staruszek rozdających gratisowy napój.

- Aha, obilo mi się o uszy. Zdzierają z was za wszystko, nawet za aspirynę.

Reilly umilkła. Pogaduszki miały tylko odwlec powrót do przykrew rzeczywistości. Chris popijał herbatę i czekał na jej słowa. Usiadła i podciągnęła prześcieradło.

- To zdjęcie - zaczęła - przedstawia mojego tatę, mnie i młodszą siostrę. Mama odeszła od nas, kiedy byliśmy małe. Jess dopiero co skończyła trzy latka, więc na dobrą sprawę to ja ją wychowywałam.

- Jaka jest między wami różnica wieku?

- Pięć lat.

- Dość wcześnie zostałam zastępczą matką.

- Tata ciągle siedział w pracy. Nie miał kto się nią zająć.

- Nie było ci łatwo.

Odniosła wrażenie, że Chris wie na temat jej sytuacji rodzinnej więcej, niżby się mogło wydawać. Niech to lichy.

- Czyli ty opiekowałaś się siostrą?

- Tak. Tata... cóż, najpierw dużo pracował, a potem zaczął pić.

- Wspomniałaś, że teraz mieszka w Dublinie. Pokiwała głową.

- A co z siostrą? Utrzymujecie kontakt?

Podniosła na niego wzrok pewna, że to pułapka, ale nie. Spojrzenie miał szczere, jak zawsze.

- Nie - powiedziała cicho.

- Nadal nie wiem, o co chodzi, chociaż bardzo chciałbym zrozumieć. Dlaczego facet tak interesuje się tobą i twoją rodziną? W jaki sposób to się wiąże z morderstwami?

Reilly wbiła spojrzenie w wenflon.

- Jeszcze nie wiem. - Odszukała pielęgniarkę zajęętą innym pacjentem. - Siostro!

Kobieta gestem dała jej znać, że zaraz podejdzie.

- O co chodzi? - spytał Chris, zdziwiony nagłą zmianą nastroju.

- Masz absolutną rację. Musimy się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi. Straciliśmy dzisiaj stanowczo zbyt dużo czasu. - Odrzuciła prześcieradło.

- Co ty wyprawiasz? - zaprotestował Chris. - Zostałaś otruta, musisz wydobrzeć, potrzebujesz odpoczynku.

- Już się naodpoczywałam. Na całe życie. - Wyciągnęła wenflon z ręki. - A teraz muszę porozmawiać z Danielem. Ale na rozmowę z Danielem musiała poczekać. Nie zastała go w biurze, więc nagrała mu wiadomość, która gwarantowała szybką reakcję.

- Nasz morderca włamał się do laboratorium i mnie napadł. Musimy pogadać. - Odłożyła słuchawkę. - Jeśli po takiej informacji nie oddzwoni, to już nic go nie ruszy - powiedziała Chrisowi.

Gdy stało się jasne, że mimo mądrych rad i tak wyjdzie ze szpitala, Chris uparł się, by jej towarzyszyć. Jeszcze nie oswoił się z widokiem Reilly leżącej bez życia na schodach ani z tą przerażającą chwilą w ambulansie, gdy się bał, że zmarła.

Natychmiast po tym, jak po laboratorium rozeszła się wieść o jej powrocie, współpracownicy stawili się w komplecie. Wszyscy mieli do niej pytania. Ostatni przyszedł Julius. Najpierw powiedział to, co w takiej sytuacji należało, a potem wręczył jej najnowszy raport dotyczący materiału dowodowego zebranego w domu pani Miles.

- Mamy całkiem przyzwoity ślad - oznajmił z nieskrywaną radością. - Próbki, które znaleźliśmy również u Clare Ryan i na miejscu zgonu Watsona, tylko tam w mniejszych ilościach.

Reilly zaczęła czytać.

- Coś nam to da?

- Możliwe. Piąta pozycja od góry.

- Siarczan wapnia - przeczytała głośno. - Czyli gips.

- A konkretnie? - spytał Chris.

Chciał wiedzieć wszystko, zwłaszcza że zabójca nie tylko pozwalał sobie na coraz więcej, ale i był coraz śmielszy. Nie trzeba było być wielkim psychologiem kryminalnym, by pojąć, że włamanie do Reilly i napaść w laboratorium były demonstracją siły albo, co gorsza, dowodem na całkowite panowanie nad sytuacją.

- Technicznie rzecz biorąc - wyjaśniła Reilly - to minerał występujący w naturze, mający wiele zastosowań w życiu codziennym, choćby jako kreda do tablicy, cement, gładź szpachlowa...

- Doszedłem do wniosku - wpadł jej w słowo Julius - że gips plus pentobarbital i jeszcze sierść zwierzęca dość stanowczo wskazują na powiązania z weterynarią.

- Poszukiwany jest weterynarzem? - spytał Chris. Julius spojrział na Reilly pytająco.

- Oczywiście istnieje taka możliwość. Ale jednocześnie może to być kreda, a wtedy wskazywałaby na jakiegoś nauczyciela lub wykładowcę albo nawet pracownika laboratorium...

- zamilkła, rozważając inne możliwości. - Bardzo ci dziękuję

- zwróciła się do Juliusa. - Mamy nad czym myśleć.

- Proszę uprzejmie. - Nadal tkwił w miejscu. Zerknął na Chrisa.

- Coś jeszcze? - spytała Reilly.

- Zrobiłem badania krwi do... tej drugiej sprawy - stwierdził oględnie i przełożył z ręki do ręki drugą kartkę. - Myślałem, że będziesz chciała rzucić na nie okiem. Ale mogę przynieść później.

Reilly wzięła od niego wyniki.

- Świetnie. Zaraz przeczytam. Dziękuję.

- Em... proszę. Naprawdę wszyscy się cieszymy, że doszłaś do siebie. - Kiwnął głową, odwrócił się i odszedł.

- Badania krwi - powiedział Chris. - Czyżby...?

- Mógłbyś zamknąć drzwi? - poprosiła cicho.

Zrobił to, po czym usiadł. Czekał w milczeniu. Sam nie wiedział, co by mu bardziej odpowiadało: jasna diagnoza i walka o poprawę stanu zdrowia czy wiara w to, że to tylko zwykłe

zmęczenie albo coś innego, co samo minie. Próbował wyczytać coś z twarzy Reilly, która studiowała wyniki. Nic z tego. Widział tylko, że jest skupiona.

- I co jest? - odezwał się w końcu. Skończyła mu się cierpliwość. - Mam raka albo coś takiego?

- Chris... szczerze mówiąc, nie wiem. W pierwszym badaniu otrzymałam wyniki świadczące o tym, że coś jest nie w porządku, dlatego zleciłam drugie. Ale...

- Co takiego?

- Niektóre parametry przekraczały granicę normy, natomiast w drugim teście już tego nie widzę. - Pokręciła głową. - Nie jestem lekarzem, nie mam też takich możliwości jak w szpitalu... Musisz iść do specjalisty, który weźmie pod uwagę wszystkie objawy. Trzeba pamiętać, że badanie krwi to tylko strzelanie na ślepo.

Oboje próbowali ukryć rozczarowanie.

- Jestem ci wdzięczny za pomoc. Naprawdę.

- Przykro mi, że nie mogę cię uspokoić. I mam do ciebie ogromną prośbę: nie zostawiaj tego tak. Idź do lekarza. Nie możesz bez końca udawać, że nic się nie dzieje.

- Masz rację. Chociaż jak słyszę to od kogoś, kto właśnie wbrew zaleceniom zwił ze szpitala...

Uśmiechnęła się słabo.

- To co innego. Mamy mnóstwo pracy. A skoro już o tym mowa... - Wstała. - Dzięki za poranne wsparcie, ale teraz już czas na ciebie. Mam pełne ręce roboty. Muszę przeczytać najnowsze raporty, zapoznać się z efektami badań, sprawdzić, czy się da...

- Niestety, nic z tego. - Chris złożył kartkę ze swoimi wynikami i schował ją do kieszeni.

Reilly podniosła na niego zdziwione spojrzenie.

- Słucham?

- Rozumiem, że przesłaś nad porannymi wydarzeniami do porządku dziennego, ale musisz pamiętać, że doszło tu do poważnego przestępstwa, więc powinniśmy cię przesłuchać.

- Kto: my?

Jak na sygnał rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł nieśmiało uśmiechnięty Kennedy.

- Gotowi? Chętnie bym już zaczął.

Chociaż nie miała ochoty opowiadać o ostatnich doświadczeniach, rozumiała konieczność właściwego postępowania. I dopiero gdy usiadła naprzeciwko dwóch detektywów, uświadomiła sobie, że jest roztrzęsiona.

W ciągu dnia, gdy ona spała w szpitalu, jej zespół zbierał ślady na miejscu zdarzenia - w laboratorium i w biurze. I choć sprawa dotyczyła jej osobiście, musiała na spokojnie i chłodno ocenić materiał dowodowy. Teraz już zapadał wieczór, a ona była rzeczywiście zmęczona. Faktycznie, lepiej to zostawić na następny dzień.

Kennedy był w wyjątkowo ugodowym nastroju. Wyraźnie rozumiał, że nie czas na forsowanie własnego zdania.

Skrupulatnie przedstawił jej scenariusz zdarzeń od momentu, gdy weszła do budynku, do chwili utraty przytomności.

- Nie pamięta pani napastnika.

- Nie - przyznała rozdrażniona. - Oberwałam po głowie zaraz po wejściu na klatkę schodową. Zdążyłam zauważyć tylko broń. Pamiętam jeszcze zastrzyk i na tym koniec. Jestem natomiast gotowa się założyć, że to była kobieta.

Inaczej jak by przeszła przez ochronę z moim identyfikatorem?

- Na razie nie możemy się niczym sugerować - stwierdził Chris. - Zwłaszcza że w budynku nie ma monitoringu.

- Ciekaw jestem, co za mądrała podjął taką decyzję - mruknął Kennedy.

- Poruszyłam tę sprawę, gdy podejmowałam tu pracę, ale powiedziano mi, że nie należy to do priorytetów. Wtedy uznałam, że to zabawne. Gdybym wiedziała...

Kennedy z trzaskiem zamknął notes i usiadł wygodniej na krześle.

- Podsumujmy, czegośmy się dzisiaj dowiedzieli.

- Przede wszystkim morderca jest cyniczny - rzucił Chris.
  - Porusza się po naszym terenie jak u siebie.
  - O czym to świadczy? - drażył Kennedy. - Pani jest w tej dziedzinie ekspertem.
- Reilly opadła ciężko na oparcie krzesła, nagle zmęczona i wyzuta z sił.
- Poproszę o inny zestaw pytań.
  - Niech będzie - zgodził się Kennedy. - Zaczniemy od łatwiejszego. Niezależnie od tego, czy był to nasz zbrodniarz, czy też jego pomocnik, powinniśmy ustalić, po co właściwie tutaj przyszedł. W jakim celu podjął tak ogromne ryzyko.
  - Ponieważ go to bawi i w dodatku my powinniśmy wiedzieć, co mu sprawia przyjemność - zaproponował Chris.
  - Rzeczywiście - poparła go Reilly. - Chce, żebyśmy o nim stale myśleli. Dzięki temu jest ważny, czuje się wyróżniony, szczególnie i wyjątkowy...
  - Chce zwrócić na siebie uwagę? - upewnił się Kennedy.
  - Jak dzieciak... - Pokręcił głową. - Całkiem jak dzieciak.
- Chris spojrział na niego ze zdziwieniem.
- Nie rozumiem.
  - Bo nie masz dzieci. - Odwrócił się do Reilly. - Pani będzie wiedziała, o co chodzi, bo pani zna cały ten psychologiczny żargon.
  - Słucham.
  - Kiedy córki szły do szkoły, do pierwszej klasy, nauczyciele uczyli nas, jak pomóc im przystosować się do nowego środowiska. Żeby się go nie bały i tak dalej. Mieliśmy im dawać dowody na to, że cały czas o nich myślimy. - Przerwał, lecz po chwili dzielnie podjął wątek: - Robiliśmy, co kazali. Głupoty takie... Rano, jak wysadzałem dziewczynki pod szkołą, zawsze im przypominałem, że mam w portfelu ich zdjęcie. Jakoś działało...
  - Czuły, że w pewnym sensie są cały czas z rodzicami - podsumowała Reilly w zamyśleniu.
  - Aha, no właśnie.
- Podniosła na niego wzrok, wyduła usta.
- Naprawdę musimy pogadać z Danielem.

## DWADZIESCIA SZESC

Reilly zbudziła się z głębokiego snu. Rozejrzała się wokół lękliwie, bo miała wrażenie, że ktoś na nią czyha ze strzykawką w rękę. Ostry dzwonek telefonu ściągnął ją do rzeczywistości. Zerknęła na zegarek. Dwadzieścia pięć po drugiej.

Chwyciła słuchawkę.

- Cześć, Danielu.

- Witaj. Obudziłem cię?

Ciepły baryton z miękkim akcentem z Wirginii - balsam na niespokojną duszę.

- Obudziłeś, ale nie ma sprawy.

- Nie było mnie w biurze. Akurat wróciłem i odebrałem twoją wiadomość. - Głośno wypuścił powietrze z płuc. -

Niezły dzień masz za sobą. Cała jesteś?

Reilly usiadła na łóżku, otuliła się kołdrą i odgarnęła włosy z twarzy. Była już zupełnie przytomna.

- Cała i zdrowa.

- W e-mailu przesłałaś mi informacje na temat wydarzeń, ale - odchrząknął znacząco - ton listu jest dość suchy.

Zaśmiała się niewesoło.

- A co, spodziewałeś się dowodu, że płakałam, stukając w klawisze?

- Jak się czujesz? Powiedz szczerze.

Zastanowiła się uczciwie. Wcześniej była zbyt zajęta, żeby faktycznie ocenić, na ile ucierpiała. Po prostu musiała wziąć się w garść i już.



-Jestem... - przerwała. - Chyba jeszcze nie rozumiem, co to miało znaczyć.

Daniel zaśmiał się serdecznie.

- Cała ty.

- Jak to?

- Ja cię pytam o emocje, a ty mi mówisz o wnioskach. Reilly popatrzyła na ciemne niebo.

- Nie zamierzałam unikać odpowiedzi. Rzeczywiście chciałabym zrozumieć, co się dzieje. Co ma znaczyć ta fotografia? Dlaczego akurat ona? Po co ta karteczka na albumie? Odnoszę wrażenie, że zabójca mnie zna, wie o Jess. Tylko niby skąd? Obawiam się, czy sprawa nie jest przypadkiem znacznie bardziej skomplikowana, niż nam się wydaje.

Całkiem niespodziewanie opadła z niej zbroja, pękła skorupa profesjonalizmu, który prezentowała całemu światu. Po policzkach stoczyły się łzy. Daniel, oddalony o pięć tysięcy kilometrów, usłyszał cichy szloch i od razu domyślił się, co on oznacza. Siedział więc tylko i czekał, bo pocieszenie jej miało taki sens, jakby znajdował się o pięć tysięcy lat świetlnych od niej. Reilly musiała się najzwyczajniej w świecie wyplakać.

-Dobrze już, dobrze... - od czasu do czasu powtarzał cicho.

Reilly przyciskała słuchawkę do ucha. Wystarczało jej, że ktoś ją rozumie, że z nią jest, choć tylko przez telefon. Pamięć podsuwała obrazy z dzieciństwa, wspomnienie Jess. Prawdopodobnie nikt lepiej niż Daniel nie wiedział, jak ogromny wpływ wywarły na nią tamte zdarzenia, jak bardzo pragnęła się od nich uwolnić, zakończyć koszmar. Ale one wracały, prześladowały ją, dręczyły i tam, i tutaj...

W końcu łzy obeschły. Z pudełka na szafce nocnej wyciągnęła chusteczkę. Wytarła oczy i wydmuchała nos.

- Strasznie mi wstyd - powiedziała drżącym głosem.

- Daj spokój. Martwiłem się tylko, żeby nam nie przerwało połączenia z powodu nadmiaru wilgoci.

Zaśmiała się cicho. Naprawdę poczuła się lepiej.

- Dziękuję ci. Poważnie. Tylko z tobą mogę porozmawiać szczerze. Ci, z którymi tutaj pracuję, o niczym nie wiedzą. Tak przynajmniej sędzę. - Zastrzegła się, bo właśnie przypominała sobie rozmowę z Chrisem na temat jej rodziny.

- To w tej chwili mniej ważne. Ważniejsze jest to, co nasz zbrodniarz wie i czy wykorzysta swoją wiedzę, żeby ci zaszkodzić. Musimy pamiętać, że w dzisiejszych czasach wcale nietrudno jest zdobyć podstawowe informacje o konkretnej osobie. Wystarczy przeglądarka internetowa czy coś w tym stylu.

Rzeczywiście. Jeżeli ktoś chciał się o niej czegoś dowiedzieć, wystarczyło, by przejrzał stare gazety. A gdy się szuka słabego punktu...

- Właśnie - zgodził się Daniel. - Wiemy na pewno, że istotny element jego *modus operandi* stanowi gra psychologiczna. Podniecają go potyczki umysłowe z jedną z najlepszych agentek FBI. Irlandzki gliniarz w średnim wieku z ciekącym nochem raczej nie stanowi tak kuszącego wyzwania, prawda?

Uśmiechnęła się, słysząc własne słowa, którymi swego czasu opisała Kennedy'ego.

- Przyjmijmy wobec tego, że obrał mnie sobie za przeciwnika, a Jess uznał za mój słaby punkt. Co z tym zrobić?

- Postępuj tak samo jak w każdym innym przypadku. Nie traktuj sprawy osobiście, dzięki temu wytrącisz mu broń z ręki. Nie przyznawaj mu szczególnego statusu.

Reilly odniosła wrażenie, że Daniel ma jeszcze coś w zanadrzu.

- Naprawdę jest taki prymitywny? - spytała. - Chce zyskać przewagę, uderzając we mnie?

- To najbardziej prawdopodobna teoria. Brzytwa Ockhama...

- A ta mniej prawdopodobna? Znam cię wystarczająco długo. Wiem, że rozważasz inną możliwość, o której mi nie mówisz.

- Co ci każe tak sądzić? - zapytał ostrożnie. - Morderca daje nam wyraźne sygnały. Wyszukał informacje z twojej przeszłości i za ich pomocą chce cię wytrącić z równowagi. Koniec, kropka.

Aha, czyli nie zamierzał się dzielić przemyśleniami. Pewnie do czasu, gdy się przekona, że mają sens. Ale z pewnością rozważał jakąś inną opcję. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że w myśl tej drugiej teorii nie będzie zmuszona odgrzebywać smutnej przeszłości i na nowo przeżywać tamtego bólu.

Reilly niecierpliwie oczekiwała powrotu do pracy. Na polecenie przełożonych wzięła dzień wolny, by wypocząć po napaści. Wcale nie miała na to ochoty, ale nie było dyskusji.

Nie chciała siedzieć beczynnie, gdy morderca grasował na wolności, toteż większość czasu spędziła przy komputerze, czytając o Freudzie i tabu. Wreszcie pojawiła się w PLK. Nie mogła się doczekać, kiedy dostanie zebrane przez jej zespół informacje na temat dowodów związanych z nieuprawnionym wejściem do budynku. Najpierw jednak musiała się spotkać z O'Brienem. Ostatnie wydarzenia w miejscu jej pracy oraz znaczenie dobrych stosunków między służbami zaangażowanymi w śledztwo sprawiały, że nie miała szans się od tego wykręcić. Tajemnicą poliszynela była przyjaźń O'Briena ze starszym śledczym Jackiem Gormanem. Reilly spodziewała się więc, że inspektor odniesie się do jej metod pracy z podobnym brakiem entuzjazmu. Miała tylko nadzieję, że w rozmowie wezmą udział Kennedy i Chris, którzy może zechcą ją wesprzeć.

Uzbrojona w mocną kawę oraz stos teczek z dokumentami ruszyła do izby zgłoszeń. W progu zmarszczyła nos zdegustowana. Chociaż od dwóch lat palenie w miejscach publicznych było zabronione, w tym pomieszczeniu przez całe dekady dym zdążył się zagnieździć w wykładzinie oraz meblach i jeszcze poplamił sufit na żółto. Cuchnęło.

Zgodnie ze swoim zwyczajem przyszła pierwsza. Do wyznaczonej godziny spotkania zostało jeszcze dobre dziesięć minut, więc mogła wybrać sobie miejsce - daleko od wejścia - i przygotować dokumenty.

Kilka minut po wpół do dziewiątej wkroczył O'Brien, a tuż za nim Chris i Pete Kennedy. Reilly przyjrzała się inspektorowi. Na oko dała mu pięćdziesiątkę z niewielkim haczykiem. Włosy miał gęste, ciemne, przeplatane siwizną i odrobinę za długie jak na jego wiek. Pewnie nie zmienił fryzury od lat siedemdziesiątych. Okrągła twarz nadawała mu wygląd sympatycznego wiejskiego chłopaka, lecz Reilly wiedziała, że to pozory. O'Brien musiał być bystry, bo przecież nie zaszedłby tak daleko bez umiejętności odpowiedniego rozgrywania kart podsuniętych mu przez los. Musiał też mieć grubą skórę i dobre rozeznanie w polityce, bo tylko tak można się wspiąć na szczyt. Przywitał ją czarującym uśmiechem.

- Słyszałem, że ma pani za sobą tydzień pełen wrażeń. Jak się pani czuje?

- Dobrze. Całkiem dobrze.

- Jak tam - zwrócił się do detektywów - mamy coś konkretnego w sprawie napaści?

- Nie. - Kennedy pokręcił głową. - Facet rozpłynął się w powietrzu jak jakiś cholerny duch.

- Jest coś z kamer na ulicy?

-Mniej więcej dwadzieścia sekund - oznajmił Chris. - Intruz opuścił budynek i wszedł do kawiarni naprzeciwko. Na tym ślad się urywa.

- Był odpowiednio przygotowany - wtrąciła Reilly. O'Brien obrócił się w jej stronę.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Zakładamy, że to nasz podejrzany. A ten działa metodycznie. Wizytę w PLK musiał planować ładnych kilka dni.

Wobec tego schował pewnie gdzieś w kawiarni ubranie na zmianę albo zorganizował sobie inną drogę ucieczki.

- Sprawdziliśmy tę kawiarnię - potwierdził Chris. - Rzeczywiście jest tam tylne wyjście, tuż obok toalet. Rano w lokalu panował duży ruch, ludzie jedzą śniadanie. W tych warunkach łatwo się dyskretnie nim wymknąć.

- Dokąd ono prowadzi? - spytał O'Brien.

- Na alejkę za budynkiem. Tam w ogóle nie ma kamer. Można iść, dokąd dusza zapragnie.

Inspektor sapnął zde gustowany.

- Nie do wiary! Mieliśmy podejrzanego pod samym nosem, na wyciągnięcie ręki! I pozwoliliśmy mu zniknąć.

- Szefie, litości - jęknął Kennedy. - Był uzbrojony, doskonale znał teren i wykorzystał element zaskoczenia...

Nie dokończył, bo O'Brien z hukiem rzucił na blat plik gazet. Sądząc po krzykliwych nagłówkach, media na dobre zajęły się zabójstwami, przypisując je już seryjnemu mordercy.

- Patrzcie! - zagrział inspektor. - Morderca tabu! Już zdążyli ochrzcić tego drania! Jedno wam powiem. Jeżeli do publicznej wiadomości przedostanie się informacja, że doszło do nieuprawnionego wejścia do PLK, będziemy po uszy w gównie, bo ludzie uznają, że nie mamy szans z tym zbiorem!

- Szefie...

- A co z ofiarami?! - Zamaszystym gestem wskazał umieszczone na pierwszej stronie zdjęcia Gerry'ego Watsona i Clare Ryan.

Oboje byli młodzi i atrakcyjni w przeciwieństwie do Sarah Miles i jej ciotki. O Jimie Redmondzie nikt nie wspominał, więc media albo jeszcze nie skojarzyły jego zgonu z tamtymi przypadkami, albo jego sposób zejścia z tego świata uznały za mało efektowny.

- Dlaczego te, a nie inne? Jak je wybiera? Reilly zerknęła na Chrisa.

- Tego nadal nie wiemy. Materiał dowodowy sugeruje, że sprawca może pracować w branży weterynaryjnej albo w jakimś laboratorium.

- Bo znaleźliśmy pył kredowy? - prychnął inspektor. - Państwo wyłożyło na wyrafinowane wyposażenie PLK grube miliony, a w efekcie mamy kredę albo gips?

- Z całym szacunkiem, szefie - odezwał się Kennedy.

- Gdyby nie pani Steel, nie połączylibyśmy z sobą nawet dwóch pierwszych ofiar.

Reilly obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, a on dyskretnie puścił do niej oko.

- W tej sytuacji wychodziecie na jeszcze większych idiotów. Nie myślę się? - Rzucił długopis na stertę gazet. -

Powiedzcie mi - odezwał się nagle bardziej szorstkim tonem - skoro tyle wiemy o tym wariacie, dlaczego jeszcze go nie złapaliśmy?

- Zmierzył spojrzeniem detektywów, ale wzrok zatrzymał na Reilly.

Spodziewała się tego.

- Rzeczywiście wydaje się, że wiemy o sprawcy niemało...

- Wydaje się?! Za konsultacje temu psychologowi, którego chciała pani włączyć w dochodzenie, płacimy fortunę! Ile jeszcze informacji nam potrzeba?

Nie dała się zbić z tropu.

- Profil stworzony przez Daniela Forresta powinniśmy otrzymać dzisiaj pod koniec dnia. - Taką przynajmniej miała nadzieję. - Chcę natomiast podkreślić, że tylko nam się wydaje, iż mamy dużo informacji o sprawcy. Wiemy jedynie to, co pozwala nam odkryć. Ani mniej, ani więcej. On nie popełnia błędów, nie potknął się ani razu. Ślady kryminalistyczne stanowią naszą największą szansę, by się o nim rzeczywiście czegoś dowiedzieć: gdzie pracuje, gdzie bywa, gdzie się ukrywa... Wszystkie pozostałe informacje są efektem jego rozmyślnych działań. Jak już wspomniałam, czekamy na oficjalny profil psychologiczny, ale proszę pamiętać, że niezależnie od tego mój zespół pracuje nad materiałem dowodowym dosłownie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

O'Brien patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na detektywów.

- Laboratorium na razie nie przedstawiło nam żadnych użytecznych informacji - stwierdził. - A do czego wy doszliście, panowie?

Kennedy, zrezygnowany, wzruszył ramionami.

- Pracujemy nad kilkoma wątkami - powiedział. - Zwłaszcza w związku z rodzinami ofiar. Ale...

- Rozumiem, że jesteśmy równie daleko od rozwiązania sprawy jak w dniu zabójstwa Ryanów - podsumował inspektor.

- Niezupełnie, szefie... - odezwał się Chris.

- Doprawdy? - wpadł mu w słowo O'Brien. - Wobec tego, detektywie Delaney - nazwisko ociekało pogardą - słucham uważnie: kim jest sprawca? W kogo uderzy następnym razem? Potrafi pan powiedzieć?

Zapadła cisza. O'Brien siorbnął kawę i przyszpilił wzrokiem najpierw jednego, potem drugiego podwładnego.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że przy takich sprawach nie liczy się nic prócz efektów. Nie obchodzi mnie, jak wysokie macie o sobie mniemanie ani co mówią wam wyniki badań czy inne cholerne profile. Chcę zobaczyć tego drania w kajdankach! A na razie to on pluje wam w twarz, a wy mówicie, że pada deszcz. Ja zaś wpadłem z deszczu pod rynnę!

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. O'Brien wstał, zgromił ich wzrokiem.

- Czekam na wyniki, i to szybko! Nie podoba mi się sposób prowadzenia tego śledztwa. Moim zdaniem nic nie wskazuje na to, żeby się w najbliższym czasie cokolwiek zmieniło. - Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Pozostali w pokoju popatrzyli po sobie. Stanowczo trudno było nazwać to spotkanie zwykłą odprawą. Wyraźnie na coś się zanosilo.

- W najbliższym czasie nic się nie zmieni? - powtórzył Chris. - Co on chciał przez to powiedzieć?

- Coś mi się zdaje, że ten występ był na pokaz - stwierdził Kennedy.

Zza drzwi dobiegły ich przytłumione głosy. Inspektor nadal był wyraźnie zdenerwowany, ale starał się mówić spokojnie. W końcu drzwi się otworzyły i za nim do gabinetu weszło jeszcze dwóch mężczyzn. Zachowanie O'Briena nie pozostawiało wątpliwości: mieli do czynienia z jego zwierzchnikami. Zaczekał, aż usiądą, i podał im kawę.

Jednego, w skromnym ciemnym garniturze, z krótko przyciętymi siwymi włosami, Reilly rozpoznała: nadinspektor policji Armstrong, który uczestniczył w jej przenosinach ze Stanów. Był człowiekiem potężnym, muskularnym, o ogromnych dłoniach i silnie zarysowanej szczęce i równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt, jak i sześćdziesiąt lat. Drugi mężczyzna - z pewnością starszy, w eleganckim, doskonale skrojonym szarym garniturze i z idealnie dopasowanym do niego krawatem oraz chusteczką w butonierce - był niewielkiego wzrostu. Strzygł się u świetnego fryzjera, a na jego twarzy malował się wyraz niezłomnej pewności siebie.

Armstrong przywitał obu detektywów skinieniem głowy i O'Brien wreszcie usiadł.

- To panowie Kennedy i Delaney - przedstawił ich - oraz pełniący obowiązki szefa PLK Reilly Steel. A to komisarz Patrick Moloney.

Komisarz przywitał się spojrzeniem z każdym z osobna. Odrobinę zbyt długo zatrzymał wzrok na Reilly.

- Słyszałem o pani same dobre opinie. Reilly nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Miło mi - wydusiła w końcu. Moloney upił łyżeczek kawy.

- Na pewno się państwo ze mną zgodzą - zaczął cicho, starannie dobierając słowa - że niefortunna sprawa, którą wszyscy jesteśmy zainteresowani, przybrała ostatnio nieoczekiwany obrót.

Nikt nie odpowiedział.

- Groźny przestępca zaatakował przedstawiciela prawa w policyjnym laboratorium - znów upił łyżeczek - a to oznacza,



że sprawy wymykają nam się spod kontroli, jeśli wolno mi się tak wyrazić. - Westchnął, jakby chciał podkreślić, że jest mu wyjątkowo przykro. - Po takim zdarzeniu sprawa przestaje być kwestią lokalną.

Reilly zrozumiała, że Kennedy miał rację. Najwyraźniej dochodzeniem zainteresowały się grube ryby, a O'Brienowi wcale nie było to na rękę.

- Radzimy sobie - mruknął inspektor. - Jeden z naszych najbardziej doświadczonych śledczych wraca wcześniej z urlopu. Będzie koordynował działania.

Reilly mało nie podskoczyła. Jack Gorman! Niech to licha.

Moloney uśmiechnął się wdzięcznie jak krokodyl do swojej zdobyczy.

- Oczywiście, panie inspektorze. Niemniej - objął spojrzeniem zebranych, by skupić na sobie ich uwagę - jak powiedziałem, dochodzenie zyskało priorytet krajowy.

- Ważniejsze i tak już być nie może - stwierdził Kennedy, a O'Brien zgromił go wzrokiem.

- W Dublinie grasuje morderca - podjął Moloney - który jest coraz śmielszy i stanowi coraz większe zagrożenie dla naszych obywateli, co - naturalnie - budzi zatroskanie społeczeństwa, ministra oraz całego rządu. - Zatrzymał wzrok na Reilly. - Nie chcemy oczywiście podważać wartości krajowych ekspertyz, ale uznaliśmy, iż przy śledztwie o tak ogromnym znaczeniu rozsądnie będzie skorzystać z doświadczenia osoby specjalizującej się w sprawach o podobnej wadze.

Teraz cieszył się niepodzielną uwagą wszystkich obecnych. Do czego dążył? Reilly spojrzała na O'Briena.

Wyglądał, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

- Jeśli się nie mylę, od jakiegoś czasu współpracuje pani z panem Danielem Forrestem z FBI - ciągnął Moloney.

Reilly przytaknęła bez słowa.

- Jego przełożeni doszli do wniosku, iż w celu jak najskuteczniejszego działania prowadzącego do rychłego pojmania

groźnego mordercy najkorzystniej będzie, gdy pan Forrest zacznie działać na naszym terenie.

- Tutaj? - zdziwiła się Reilly. - W Dublinie?

- Tak. Z pewnością nie muszę podkreślać, że i minister, i ja dołożymy wszelkich starań, by... doprowadzić sytuację do satysfakcjonującego rozwiązania.

Innymi słowy, ludzie domagają się krwi i władze zostały przyciśnięte do muru, stwierdziła Reilly w duchu. Z trudem przełknęła ślinę. Daniel na pewno nie dałby się ruszyć z Quan-tico wbrew własnej woli, niezależnie od nacisków rządowych i okoliczności. Raczej sam sprowokował swoje przeniesienie, prawdopodobnie ze względu na wtargnięcie mordercy do laboratorium, a może także z powodu jej załamania w czasie ostatniej rozmowy. Przeklęła siebie za to, że się rozkleiła i uległa emocjom.

Tak, z pewnością Daniel sam zdecydował o przyjeździe do Dublina. Nie wiedziała tylko, czy przybywał z pomocą, czy raczej po to, żeby ją chronić.

## DWADZIESCIA SIEDEM

Po spotkaniu Reilly poszła prosto do laboratorium sprawdzić, co jej zespół znalazł w materiale dowodowym zebranych w PLK.

- Cześć - powitała ją Lucy. - Jak się czujesz? Agentka powiodła wzrokiem po otaczających ją twarzach, wzruszona troską współpracowników. Pozwoliła sobie nawet na lekki uśmiech, ale zaraz spoważniała i przeszła do rzeczy:

- Nic mi nie jest, miło jednak, że pytacie. A teraz mówcie, co mamy.

Pierwszy odezwał się Gary:

- Jak najdokładniej zbadaliśmy piętro. Lucy sprawdzała twoje biuro, Rory - laboratorium, a ja - klatkę schodową.

- Doskonale.

Naprawdę była z nich dumna. Bez jej nadzoru zatroszczyli się o wszystko.

- W twoim biurze najistotniejszy okazał się album. - Lucy podała Reilly kilka kartek papieru. - Uznaliśmy, że od ciebie dowiemy się, jakie znaczenie ma wybrane zdjęcie.

Agentka ciągle widziała w myślach przylepioną do niego kartkę: „Szczęśliwa rodzinka”.

- Niestety, nie bardzo wiem, ale można chyba przyjąć, że niezależnie od treści przekazu morderca położył nacisk na wątek osobisty.

- Zbadałam papier z notką - podjęła Lucy. - To najzwyklejsza

karteczka samoprzylepna z tych, które są dostępne wszędzie. Morderca mógł ją wziąć choćby z twojego biurka, więc tu ślad się urywa.

Reilly nie spodziewała się niczego innego.

- Co jeszcze?

- Ja sprawdzałem laboratorium - powiedział Rory. - Sprawca szukał akt. Rozłożył je na stole, pewnie widziałaś.

Pamiętała to aż nazbyt dobrze.

- Tak. Właśnie się im przyglądałam, kiedy uciekł.

Rory wysunął z teczki zdjęcie o wymiarach dwadzieścia na trzydzieści centymetrów.

- Doszliśmy do wniosku, że zdjęcia ułożył w określonym porządku.

- Chronologicznie? -Tak.

Przyjrzała się odbitce. Zdjęcia były ułożone równo w rzędzie: od Ryanów począwszy, przez Redmonda i Watsona, a na Sarah i Verze Miles skończywszy. Między paniami Miles a Watsonem została luka. Reilly podniosła wzrok.

- Co o tym myślicie?

- Pierwsze morderstwo, Ryanów - odezwał się Gary

- musiało wzbudzić sensację. Mógł ich zabić w dowolny sposób, ale wybrał pistolet - broń hałaśliwą, ściągającą uwagę. Dzięki temu zyskał pewność, że pierwsza zbrodnia zostanie odkryta nieomal natychmiast.

- Słusznie - zgodziła się z nim Reilly. - Co dalej?

- Z Jimem Redmondem było właściwie tak samo. Wiemy, że morderca obserwował ofiary, więc znał plan dnia jego żony, wiedział, kiedy wróci do domu i odkryje ciało.

- Dlatego o tej zbrodni też dowiedzieliśmy się szybko

- stwierdziła Lucy.

- Właśnie. A kiedy zorientowaliśmy się, że jego wizytówką są odniesienia do Freuda - wskazał kolejny raport na zdjęciu

- przypisaliśmy mu również zabójstwo Watsona i pań Miles. Obie zbrodnie zostały popełnione w taki sposób, żebyśmy

ich nie odkryli natychmiast. Watson stracił życie na odludziu, a panie Miles - w domu, w którym poza nimi mało kto bywał.

- I dlatego - odezwał się Rory - kiedy zobaczyliśmy tę lukę między fotografiami, domyśliliśmy się, że musi ona mieć jakieś znaczenie.

- Nie odkryliśmy jeszcze jednego morderstwa - dokończyła Reilly z sercem w gardle.

- Właśnie. - Rory odchrząknął. - Panie Miles zostały zabite... - zajrzał do notatek - ...dwudziestego ósmego. Wobec tego uznaliśmy, że policja powinna sprawdzić doniesienia o osobach zaginionych złożone przed tą datą.

- Gratuluję - powiedziała Reilly.

Zapisała sobie w pamięci, by przekazać tę informację Kennedy'emu i Chrisowi.

- Ty badałeś klatkę schodową? - zwróciła się do Gary'ego, który zawsze miał śmiertelnie poważną minę niezależnie od tego, czy dyskutował o niesmacznej kanapce z barku, czy o przerażającym morderstwie. Ceniła w nim tę cechę. Wiedziała, że kiedyś będzie doskonałym śledczym.

- Tak, ja.

- Co znalazłeś?

- Sprawca właściwie nic nie zostawił. Żadnych śladów broni, tylko to. - Uniósł przejrzystą torebkę na dowody.

- A niech to licho! - Reilly wzięła torebkę w rękę i obróciła ją powoli. W środku znajdował się włos. Długi, prosty włos koloru blond. - Prawdziwy czy sztuczny? - zapytała, zastanawiając się, czy przestępca włożył perukę lub przebrał się za kobietę, by minąć ochronę.

- Na sto procent naturalny - odparł Gary. - Sprawdziłem od razu.

Reilly dłuższą chwilę przyglądała się włosowi. Skoro napastnik interesował się aktami, zapewne był związany z morderstwami. Czy wobec tego trzymała w ręku kolejny dowód

podłożony po to, by zmylić trop, czy też faktycznie osoba, której szukali, była kobietą?

Gdy Reilly skończyła pracę, ruszyła w kierunku centrum. Najwyższy czas złożyć spóźnioną wizytę ojcu.

W głębi duszy bała się kolejnego spotkania. Po ostatniej rozmowie dzwoniła do niego kilkakrotnie, lecz ani razu nie odebrał telefonu. I chociaż właśnie tego należało się spodziewać - w końcu Mike nie trzeźwiał; zaledwie bywał przytomny i nie przywiązywał wagi do takich subtelności jak utrzymywanie kontaktu z córką - to nie potrafiła zwyczajnie założyć, że wszystko jest w porządku, i dać sobie spokój.

Powiodła wzrokiem po smutnej ulicy. Do miasta nieśmiało zaglądała wiosna. W Phoenix Park pokazały się zonkile, natomiast w ponurym centrum dominowała szarość, wilgotne betonowe chodniki i sine niebo.

Zadzwoniła do drzwi. Nic. Żadnych oznak życia. Jak zwykle. Wsunęła w zamek zapasowy klucz i nacisnęła klamkę. - Tato?! - zawołała, wchodząc do środka. - To ja!

Cisza.

Stała w przedpokoju, czujna i spięta. W mieszkaniu panowały bezruch i odpychający smród. Zmarszczyła nos, po czym weszła do saloniku.

Widok, jaki tam zastała, wcale jej nie zaskoczył. Mike spał albo był nieprzytomny. Leżał na podłodze. W kałuży wymiocin. Naliczyła dziewięć puszek, do tego kilka butelek po wódce. Najwyraźniej poprzedniego wieczoru urządził sobie solidną popijawę, która skończyła się, dopiero gdy stracił przytomność.

Przeszła nad nim i rozsunęła zasłony. Przytłumione światło ulicznych lamp niewiele zmieniło. Otworzyła okna.

Zaduch ustępował powoli. Chociaż była silna i w dobrej kondycji, z ogromnym trudem przeciągnęła go po podłodze i oparła o jeden z foteli. Jak, u licha, miała go zawlec do łazienki?

Stała i przyglądała się nieprzytomnemu ojcu. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, swego czasu o godnej pozazdroszczenia muskulaturze. Wciąż daleko mu było do chucherka, ważył na pewno ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. A przeniesienie dziewięćdziesięciu bezwładnych kilogramów wymagało niemałego wysiłku. Nagle coś jej przyszło do głowy. Wyjęła z kieszeni płaszcza telefon komórkowy, pstryknęła pokrywą i wybrała numer.

- Chris, to ja. Jesteś jeszcze w komendzie?

- Niestety tak. O co chodzi? Na moment straciła pewność.

- Jak by to... Wiem, że masz pełne ręce roboty, ale chciałabym cię prosić o przysługę.

- Nie ma sprawy. W czym ci pomóc?

Jeszcze raz zerknęła na głośno chrapiącego ojca.

- Powierzyłeś mi swoją tajemnicę. Teraz chyba czas, żebyś poznał jedną z moich.

Chris należał do ludzi, na których można zawsze polegać. Zjawił się w obskurnym mieszkaniu Mike'a w niecałe pół godziny. Teraz stał i rozglądał się po pokoju. Puste butelki rzucały się w oczy.

- Lubi sobie chlapać, co?

- Mało powiedziane.

Popatrzył na chrapiącego mężczyznę.

- Co robimy?

- Chciałabym go zaciągnąć do łazienki i wsadzić pod prysznic. Obudzi się i przy okazji będzie czystszy.

- Można spróbować.

Chwycili go pod ramiona, dźwignęli i powlekli do mikroskopijnej łazienki. Tam z niemałym trudem oparli o brodzik. Reilly klapnęła na sedes, a Chris, też wyraźnie zmachany, oparł się o ścianę.

- Przykro mi, że cię w to wciągnęłam. Zwłaszcza że nie jesteś u szczytu formy.
- Nie ma o czym mówić, naprawdę.
- Umówiłeś się z lekarzem?
- Nie dało się. Może jak skończymy dochodzenie... Obrzuciła go spojrzeniem pełnym powątpiewania.
- Nie powinieneś zwlekać. - Ale też nie było sensu go zmuszać. Zrobiła, co mogła. Teraz jego kolej. Nie mogła się angażować zbyt mocno. - Spróbujmy go wciągnąć do środka
- powiedziała, wskazując ojca.

Znowu chwycili go pod pachy i bezceremonialnie usadzili w brodziku. Reilly odkręciła zimną wodę.

Mike drgnął gwałtownie, zakaszłał, po czym usiadł sztywno i potrząsnął głową.

- Co do cholery...?! - wrzasnął. Raptem dostrzegł córkę.
  - No, kurna żeż, jasna sprawa.
  - Nie ma za co - odparła Reilly ze stoickim spokojem.
  - A ty coś za jeden? - spytał, zobaczywszy Chrisa. - Nowy kochaś czy jak?
  - Kolega z pracy - wyjaśniła Reilly gniewnie. - Pomógł mi zawlec cię pod prysznic.
- Mike nadal siedział w brodziku, nogi wystawały mu za krawędź. Popatrzył na córkę z wyrzutem.
- Człowiek nie może się nawet spokojnie zapić na śmierć.
  - Płasnął dłonią o wodę. - Zakręć ten cholerny prysznic! Już oprzytomniałem!
- Reilly chwilę przyglądała mu się badawczo, po czym wolno zakręciła wodę.
- Przyniosę ci suche ubranie i ręcznik. - Wyszła z łazienki, a Chris za nią.
  - Wstaw wodę na kawę! - krzyknął ojciec. - Przynajmniej tyle jesteś mi winna, skoro już mnie wyrwałeś z błogostanu.

Kilka minut później agentka i policjant, przysiadłszy na brzeżku foteli, popijali kawę. Reilly zdążyła ogarnąć pokój: sprzątnęła wymiociny, pozbierała puste butelki i puszki,



wyrzuciła śmieci, poustawiała meble na właściwych miejscach

- gdy w jego drzwiach stanął Mike. Był blady, roztrzęsiony i miał mokre włosy, ale przynajmniej się ubrał i stał o własnych siłach.

- Tu masz kawę. - Reilly wskazała stolik.

- Widzę.

Zrobił niepewny krok, potem drugi. Chris wstał.

- Ja już chyba pójdę.

- Świetna myśl - zgodził się Mike.

- Tato, zachowuj się.

Mike ostrożnie sięgnął po kawę, zamknął kubek w dłoniach i wolno podniósł do ust.

- To on powiedział, że chce iść - stwierdził, zanim upił pierwszy łyk - więc się uprzejmie zgodziłem. Nie chciałbym go zatrzymywać na siłę.

- Naprawdę powinienem się zbierać - powtórzył Chris.

- Zaczekaj chwilę - poprosiła Reilly. - Ja też już idę. Tato, przyszedłam, żeby cię ostrzec. Coś dziwnego...

- Mnie? Ostrzec? - Ojciec prychnął w kawę. - Przed czym? Że mi gorzałka zaszkodzi?

- Na to już za późno. Chciałabym, żebyś potraktował moje słowa poważnie. Razem z detektywem Delaneyem pracuję nad pewnym szczególnym przypadkiem. Sprawca, którego ścigamy, jest naprawdę groźny.

- A co to ma ze mną wspólnego?

- Widzi pan - przejął pałeczkę Chris - ten człowiek zasadził się na Reilly... na pańską córkę. Doszliśmy do wniosku, że i pan powinien zachowywać ostrożność.

Mike przekrzywił głowę.

- Synku... w swoim czasie dałem radę niejednemu obwiesiowi. A i dzisiaj żaden irlandzki diler mi nie podskoczy. - Każde jego słowo ociekało drwiną.

- Tato, on nie jest dilerem. To nie obwieś. To morderca. I stanowczo za dużo wie o mnie, o nas... o naszej rodzinie.

- Zerknęła badawczo na Chrisa. Uznała, że tyle może przy

nim powiedzieć. Przy odrobinie szczęścia ojciec zrozumie, o czym mowa, a o Jess na pewno nie wspomni ani słowem. Nie potrafił nawet myśleć, a co dopiero mówić o tym, co się przed laty przydarzyło młodszej córce.

- Jak to? - Zdziwił się, jakby w końcu ją usłyszał. - A co on ma z nami wspólnego?

- Jeszcze nie wiem - przyznała Reilly, ale zaczynała żałować, że w ogóle poruszyła ten temat. - Po prostu miej oczy szeroko otwarte. Uważaj na siebie, kiedy wychodzisz z domu. Bądź ostrożny w pubie. Ten człowiek jest niebezpieczny. Boję się, że cię skrzywdzi.

- Spóźniona troska, córeńko moja kochana - wycodził Mike i skrzywił się niemiłosiernie.

Atmosfera zgęstniała. Chris dźwignął się z fotela i stanął w oknie. Niech sobie pogadają.

- Aż, cholera... - prychnął Mike, machnąwszy ręką. - Niech ci będzie. Skoro tak ci zależy, będę miał oczy dookoła głowy. - Spojrzał na córkę. Wzrok miał przytomny i skupiony jak przed laty. - Tylko ty też się pilnuj. Jedno dziecko straciłem. Jeśli stracę drugie, to już nie przeżyję.

## DWADZIEŚCIA OSIEM

Reilly nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie minęły dwie doby od decyzji o przyjeździe Daniela Forresta, a ten już stał we własnej osobie w sali konferencyjnej i rozmawiał z policjantami. Z początku podszedł do tego pomysłu z rezerwą. Nie chciał, by poczuli się odsunięci. Ale zapewniła go, że w tym wypadku najlepszy jest skok na głęboką wodę.

Daniel miał miękki, ciepły głos i mówił cicho, bo stosował pewien trik, którego Reilly się od niego nauczyła: jeżeli człowiek mówi głośno i bojowo, słuchacze odruchowo się od niego odsuwają. Jeśli natomiast ściszy głos, zyskuje uwagę, choćby dlatego, że rozmówcy muszą się skoncentrować, żeby go usłyszeć.

Chris i Kennedy słuchali w skupieniu. Chociaż z początku mieli złe przeczucia co do włączania do śledztwa obcej osoby, rozumieli, że ten konkretny profiler, wyjątkowa postać w światowej kryminalistyce, stanowił dla nich najlepszą szansę na naukę postrzegania zależności między wydarzeniami, co miało prowadzić do rozwiązania problemu. Kennedy siedział, co prawda, jak zwykle z kwaśną miną, ale też robił notatki. Inspektor O'Brien również milczał, udając obojętność, lecz nie uronił ani słowa. Chris, najspokojniejszy, słuchał uważnie i zdaniem Reilly szykował się do zadawania pytań.

- Natura tego przypadku - mówił Daniel - zmieniła się z definicji w chwili, gdy sprawca wdarł się do laboratorium.

Do tego momentu mieliśmy do czynienia z podejrzanym z obsesją na punkcie Freuda, ale szukaliśmy po omacku. - Odchrząknął. - Po zaistnieniu bezpośredniego kontaktu - mam tutaj na myśli skierowanie działań przeciw Reilly i zasygnalizowanie braku akt jednej zbrodni - gonimy za cieniem. - Zamilkł, by słuchacze pojęli znaczenie ostatniej uwagi. A także czekał, czy ktoś się odezwie.

Oczywiście pierwszy zabrał głos Kennedy:

- Bardzo kiepsko to brzmi. Jakby się pan już poddał.

- Pan Kennedy? - uśmiechnął się Daniel. - Tak.

- W pewnym sensie ma pan rację, bo powinniśmy zawsze mieć nadzieję na schwytanie zabójcy. Trzeba się jednak także zastanowić, dlaczego normalne metody łapania przestępców nie skutkują. - Przesunął wzrokiem po twarzach zebranych. Zauważył, że Chris potakuje w zamyśleniu. - Do czego pan doszedł? - zapytał. - Odnoszę wrażenie, że pan się ze mną zgadza.

- Nasz sprawca nie jest jeszcze gotów na schwytanie. Daniel wymienił szybkie spojrzenie z Reilly.

- Właśnie.

- Wszystkie ślady, jakie do tej pory zebraliśmy, sam nam podsunął.

- Zgoda.

- Ale też dopuścił, żeby pani Steel go nakryła - wtrącił się O'Brien - a to był błąd. Może oceniamy go zbyt wysoko?

- Wyglądał na zawiedzionego, że wspaniała Daniel Forrest nie podał im mordercy na tacy.

- Kto wie? - odparł Daniel. - Na pewno jednak zdawał sobie sprawę z istnienia takiego ryzyka i świadomie się na nie zdecydował. Pamiętajmy: nie musiał stawić czoła nowoczesnemu systemowi zabezpieczeń ani uzbrojonej ochronie. Z tego, co wiemy o przestępcach zorganizowanych tak dobrze jak morderca tabu, należy sądzić, że bardzo trudno będzie go odszukać. Jak panowie na pewno wiedzą, tacy ludzie nie przestrzegają

tych samych reguł co my. Ogólnie mówiąc, seryjni mordercy cierpią na zaburzenia przystosowania społecznego. Czyli, po pierwsze - zaczął wyliczać na palcach - nie przestrzegają norm społecznych, co objawia się popełnianiem czynów zagrożonych aresztowaniem. Po drugie, nie są godni zaufania, gdyż bez skrupułów kłamią, chętnie ukrywają się za pseudonimami, wykorzystują innych dla własnych korzyści lub przyjemności. - Przerwał. - Czy to brzmi znajomo?

Wszyscy słuchający zgodzili się z nim w milczeniu.

- Charakteryzuje ich również lekceważący stosunek do bezpieczeństwa własnego i cudzego, a także brak wyrzutów sumienia. Uznają za uzasadnione złe traktowanie innych oraz wyrządzanie im krzywd.

- Czyli nasz sprawca dąży po trupach do celu - zauważył Kennedy.

- Jak najbardziej. Biorąc pod uwagę, że nie tylko zabija, ale także doprowadził do bezpośredniego kontaktu z agentką, nie pokazał nam jeszcze, na co go stać. Dla niego wszystkie chwytły są dozwolone - podsumował Daniel ze smutkiem.

- Przerazające - powiedziała Reilly.

- Rzeczywiście. I oto znaleźliśmy się w konkretnym punkcie śledztwa - podjął. - Mamy teraz przed sobą dwa cele. Po pierwsze, musimy odgadnąć jego zamierzenia. - Odwrócił się do Reilly. - A po drugie, sądząc po tym, co mi powiedziałaś o ułożeniu fotografii, należy rozumieć, że nie odkryliśmy jeszcze jednej zbrodni.

O'Brien wstał.

- Do roboty. Delaney i Kennedy sprawdzą zgłoszenia osób zaginionych. Wygląda to na szukanie igły w stogu siana, ale na razie nic innego nie mamy.

- Mamy - sprzeciwił się Chris. - Na numer alarmowy zadzwonił dziś rano mężczyzna, który twierdzi, że rozpoznał na zdjęciach w gazecie zarówno Clare Ryan, jak i Gerry'ego Watsona.

- Oboje? - upewniła się Reilly.

- Tak.

Serce zaczęło jej walić. Jeżeli informacje od tego człowieka okażą się wiarygodne, zyskają potwierdzenie domysłów, że między ofiarami istnieje jakiś związek.

- Czego tu jeszcze siedzicie? - jęknął O'Brien. - Jedźcie go przesłuchać.

- Właśnie mieliśmy to zrobić, ale zostaliśmy wezwani na spotkanie z agentem Forrestem - odparł Kennedy, wstając.

- Więc jeśli to wszystko...

- Ruszajcie się, panowie. - O'Brien przeniósł spojrzenie na Reilly. - A pani przejrzy wszystko, co mamy na temat tych zbrodni, i wdroży swojego przyjaciela. Sprawdźcie, czy czegoś nie przegapiliśmy.

- A co ze współnikiem? - spytała Reilly, która wcześniej zdążyła opowiedzieć im o blond włosie i swoich podejrzeniach, że morderca nie działa sam.

- Tego rodzaju spekulacje leżą w gestii agenta Forresta, jeśli dobrze rozumiem - odparł inspektor szorstkim tonem.

- My możemy pracować tylko z tym, co wiemy nie pewno.

- Dziękuję, że panowie zechcieli mnie wysłuchać - powiedział Daniel. - Będę robił wszystko co w mojej mocy, żeby doprowadzić sprawę do szczęśliwego zakończenia.

Reilly zebrała swoje rzeczy. Z jednej strony cieszyła się z obecności Daniela, z drugiej - nie bardzo sobie wyobrażała, jak przy takiej liczbie trupów może wyglądać szczęśliwe zakończenie.

## DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Chris i Kennedy nie bardzo wiedzieli, jak interpretować słowa Micka Kavanagha, pięćdziesięcioletniego alkoholika przemieszkującego w schronisku St Vincent de Paul.

- Mówi pan, że byli dla pana mili - powtórzył Kennedy zawieszony.

- Ano tak. Nie każdy jest miły, wiadomo - stwierdził Kavanagh, mierząc detektywów podejrzliwym spojrzeniem.

Chris, szczerze powiedziawszy, nie mógł wyjść z zadziwienia, że taki człowiek w ogóle postanowił się z nimi skontaktować. Bezdomni zwykle trzymali się od władzy jak najdalej, byli nieufni wobec prawa i niezwykle rzadko umieli odpowiedzieć na podstawowe pytania, nie mówiąc już o proponowaniu pomocy w sprawie, która bezpośrednio ich nie dotyczyła. Chociaż o tych morderstwach mówili już wszyscy.

- Normalnie to ja bym się w to nie mieszał - podjął Kavanagh - ale naprawdę, takie rzeczy... A to zwykli ludzie, nie jacyś gangsterzy... Straszna sprawa.

- Rzeczywiście - zgodził się Kennedy. - Proszę nam opowiedzieć o Clare Ryan.

- A, ta czarnulka. Ona to jak siostra miłosierdzia... No już taki typ człowieka. Chciała, żebym koniecznie wrócił do rodziny i odstawił gorzałkę... Takie tam rzeczy. Biedna mała, o prawdziwym świecie to ona za dużo nie wie. To znaczy się teraz to już wie - dodał. - Miły z niej był dzieciak, lubiłem sobie z nią pogadać. Przypominała mi moją córcię z dawnych czasów.

- A Gerry Watson? - spytał Chris, stukając palcem w gazetowe zdjęcie turysty.  
- Ten to nigdy nie gadał dużo, ale jak mnie spotkał z rana na O'Connell Street, to mi zawsze dawał kawę.  
Chris pamiętał, że Watson był studentem politechniki. Uczęszczał na wydział usytuowany tuż przy głównej arterii miejskiej.

- Ale grosza to mi nigdy nie dał, co to, to nie - dokończył Kavanagh.

- Czyli Clare Ryan starała się pana ratować, a Watson przynosił panu kawę? - powtórzył Kennedy bezbarwnym głosem.

Chris nie miał wątpliwości: partner uważał całą tę wycieczkę za całkowitą stratę czasu.

- Ano tak. Ja tam bym wolał brzęczącą monetę, jasna sprawa, ale jak się nie ma, co się lubi... Takich ludzi się zapamiętuje. Mało kto jest miły dla takiego jak ja, a oni byli mili. Normalnie to mnie ludzie w ogóle nie widzą. Czasem ktoś rzuci trochę drobnych, ale to raczej dlatego, żeby się nie czuć winnym. A inni to w ogóle udają, że człowieka nie widzą, i uciekają, jakby się mieli czym zarazić albo co.

- Rozumiem. - Chris wyjął zdjęcia Jima Redmonda oraz obu pań Miles. - Rozpoznaje pan kogoś? - zapytał.

Kavanagh przyglądał się długo i uważnie, lecz po wyrazie twarzy od razu było widać, że nie.

- Jakoś mi się nie wydaje - ocenił w końcu.

- Na pewno? - naciskał Kennedy. Kavanagh wzruszył ramionami.

- Tyle ludzi w mieście... Może ich nawet spotkałem, mogli mi coś tam wcisnąć w rękę, ale twarzy to nie pamiętam. Wcale.

W rezultacie zyskali informację, że Gerry Watson i Clare Ryan byli dobrymi ludźmi, na tyle współczującymi, by pomagać komuś, komu w życiu powiodło się gorzej. Niestety nie posunęli się ani o krok w poszukiwaniach elementów łączących tych



dwoje z innymi ofiarami. Mimo to podziękowali Kavanaghowi i opuścili schronisko.

- I co ty na to? - spytał Kennedy, zapalając papierosa, gdy tylko znaleźli się na ulicy. - Możemy się tu pokręcić, pokazać zdjęcia kilku osobom, sprawdzić, czy zamordowani jeszcze jakoś inaczej angażowali się w dobroczynność...

Dobroczynność... Myśli kłębiły się Chrisowi w głowie.

O dobroczynności wspominała żona Jima Redmonda. Mówiła, że mąż był dobrym człowiekiem. Szczodrym. A skoro Sarah Miles była pielęgniarką, to także w pewnym sensie angażowała się w działalność dobroczynną. Mało tego, przecież sam Kennedy wspominał o sąsiadach starszej pani Miles, którzy podkreślali, że była serdeczna, wszystkim przychylna i... szczodra. Bardzo chwiejna teoria, ale na razie jedyna, która zawierała jakiś rys łączący wszystkie ofiary.

- Warto się nad tym zastanowić - ocenił Kennedy, wysłuchawszy pomysłu. - Ale nawet gdyby wszystkie nasze ofiary zajmowały się dobroczynnością, nadal nie wiem, jak miałyby nam to pomóc w złapaniu tego psychola. - Głęboko zaciągnął się dymem. - Chyba że w dzisiejszych czasach pomaganie innym stało się tabu.

Wrócili do schroniska. Chris powłóczył nogami. Cholera, Reilly ma rację. Najwyższy czas się sobą zająć, bo inaczej przekręci się

i nawet tego nie zauważy. Postanowił, że następnego dnia z samego rana, jeśli będzie trochę spokojniej, wyskoczy do lekarza. Poda fałszywe dane i wreszcie uzyska informacje, co się właściwie dzieje. Wcale mu się nie podobał ten plan, ale nie widział innego wyjścia, jeżeli chciał nadal pracować w swoim zawodzie. Bez tej pracy, bez zajęcia, które nadawało jego życiu sens, mógłby wkrótce sam skończyć na łasce organizacji charytatywnych.

Daniel Forrest z lupą w dłoni pochylił się nad zdjęciami miejsc zbrodni. Oglądał je powoli, metodycznie, nie śpiesząc się i zwracając uwagę na każdy szczegół.

Reilly z kolei przyglądała się jemu, zachwycona jego dokładnością, cierpliwością i niezłomnym tropieniem detali. Wiedziała, że sama dobrze wywiązuje się ze swoich zadań i także jest sumienna, ale w porównaniu z nim robiła wrażenie rozkojarzonej nowicjuszki. Na szczęście brak cierpliwości nadrabiała intuicją i wyczuciem, które pozwalały jej dostrzegać prawidłowości tam, gdzie inni widzieli jedynie chaos.

Forrest podniósł wzrok.

- Jeśli dobrze pamiętam, zawsze cię to irytowało. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy nie pojmę, jak ty to robisz, że potrafisz się skupić na tak długi czas.

Agent odwrócił jedno ze zdjęć w jej stronę. Była to fotografia zrobiona w mieszkaniu Jima Redmonda.

- Trzeba ożywić materiał dowodowy. Za każdym razem, kiedy się na niego patrzy, spoglądać na nowo. Spróbuj. Na przykład - obrócił odbitkę ponownie - przyjrzyj się jej do góry nogami.

Reilly pochylała się nad nią ze szkłem powiększającym w ręku. Obejrzała ją uważnie pod nowym kątem.

- Dlaczego pokazujesz mi akurat tę?

- Bo mnie intryguje - przyznał. Wyprostowała się, odłożyła lupę.

- Mnie się wydaje najmniej zajmująca.

- Właśnie.

- Ech... - westchnęła Reilly. - Czy popełniliśmy błąd, przyjmując, że wiemy, co widzimy?

Daniel wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Rzeczywiście ta fotografia różni się od innych. Głównie ze względu na to, czego na niej brakuje.

Morderca dowiódł już dwukrotnie, że potrafi zapanować nad dwiema osobami równocześnie. Dlaczego więc nie zaskoczył pana Redmonda razem z jego kochankiem? Nie zrobił z tego podwójnego samobójstwa?

Reilly zastanowiła się.

- Może nie wiedział o nim?

- E, tam.

- Kto wie? Najwyraźniej Redmondowi udało się faktycznie zataić tę znajomość. Domyśliliśmy się tego dopiero przy autopsji.

Chris i Kennedy przeprowadzili bardzo solidne dochodzenie w tej sprawie. Sumiennie sprawdzili wszystkich znajomych ofiary i z pełnym poświęceniem szukali kandydata pasującego do roli kochanka. Nie znaleźli.

Oczywiście mogła to być przelotna znajomość, nawiązana w jakimś barze dla gejów, ale przeszukiwanie mrocznych zaułków miasta również niczego nie dało. A przecież jeśli morderca znał intymne szczegóły z życia Jima Redmonda, dysponował idealną metodą perswazji, pozwalającą doprowadzić ofiarę do samobójstwa.

Daniel ciągle przyglądał się fotografii.

- Bije w oczy pustka - powiedział. - W pokoju także. Jakby morderca chciał coś wyeksponować. Samotność? Samotność człowieka odbierającego sobie życie?

Reilly pozwoliła mu snuć przypuszczenia. To on decydował o sposobie szkicowania profilu psychologicznego.

- A co myślisz o istnieniu współnika? - Chętnie by usłyszała potwierdzenie swojej teorii.

- Osobiście uważam tę możliwość za mało prawdopodobną - oznajmił. - Co rodzi pytanie o włos. Cóż... Czy myślałaś o tym, że on może być twój?

Poczula się jak skarcony uczeń.

- Niech to licha... - Tak się skupiła na dowodzie rzeczowym, że zapomniała o własnym udziale w zdarzeniu. Ciężka idiotka. - Raczej nie należy do mnie, ale poproszę laborantów, żeby porównali go z moimi danymi - wymamrotała.

Każdy pracownik PLK był zobowiązany dostarczyć próbki swojego DNA.

- Dobry pomysł.

Czy jej się zdawało, czy lekki ton był jednak udawany? Na pewno rozczarowała Daniela. Zawstydzona zajęła się bezcelowym przekładaniem papierów na biurku.

- Jak ci się żyje w Dublinie? - spytał Forrest, najwyraźniej gotowy odejść od kwestii zawodowych.

- Nie jest źle. A już na pewno mam więcej pracy, niż się spodziewałam. - Starła się utrzymać swobodny ton. - Z początku nadepnęłam kilku osobom na odcisk...

- Na przykład detektywowi Kennedy'emu?

- Tak. - Uśmiechnęła się odruchowo. - Ale okazał się całkiem w porządku.

- A ten młodszy? Wygląda na bystrego.

- I jest bystry. - Czy dotrzymał słowa i poszedł do lekarza?

- Przy okazji, gdybyś tak...

Przerwało jej ciche pukanie do drzwi.

-Przepraszam, że przeszkadzam... - Julius uklonił się Danielowi. - Odkryłem coś ciekawego w związku z sierścią z preparatów.

- Chętnie się dowiem.

Skinęła na Daniela i we trójkę poszli do laboratorium. Na miejscu Julius wskazał jej odpowiedni mikroskop. Nachyliła się nad próbką.

- Co widzę? - spytała.

- *Sus scrofa* - oznajmił laborant. - Oto nasze tajemnicze zwierzę.

- Minął już jakiś czas, od kiedy miałam styczność z łaciną...

- Dzik - wyjaśnił krótko. - Nie od razu go rozszyfrowałem, bo sierść nie jest w normalnym stanie.

- Nie? - Od pierwszej chwili wiedziała, że nie jest to włos kota ani psa, mimo wszystko spodziewała się, że jakiegoś zwierzęcia domowego, chomika czy innej świnki morskiej.

- Jakim sposobem nasz podejrzany wszedł w kontakt z sierścią dzika?

Rozejrzała się za Danielem, chciała, żeby usłyszał najnowsze wieści. Ale Forrest w drugim końcu pomieszczenia rozmawiał z Lucy, która wpatrywała się w niego z podziwem graniczącym z uwielbieniem. Reilly знаła to spojrzenie. Swego czasu sama tak na niego patrzyła. Dla młodej pracownicy laboratorium

kryminalistycznego działania pod okiem człowieka tak utalentowanego i doświadczonego bliskie było ekstazie religijnej. Zostawiła ich w spokoju.

- Mówiłeś, że sierść nie jest w normalnym stanie...

- Dlatego tyle czasu minęło, zanim ją zidentyfikowałem. Nie umiałem dojść, co mi nie pasuje. W końcu jednak mi się udało. To jest sierść poddana obróbce, oczyszczona w trakcie procesu produkcji. - Włożył okulary i poprawił je jednym palcem.

- Jakiej produkcji?

- Włosie dzika jest używane do produkcji pędzli. Zwłaszcza do farb olejnych czy lakieru.

- Innymi słowy, nasze próbki pochodzą z pędzla?

- Tak uważam. A ponieważ jednocześnie znaleźliśmy też plamki farby, na dodatek olejnej, którą można kupić w każdym sklepie...

- ...powinniśmy uznać, że morderca albo odnawia mieszkanie, albo bywa w miejscu, gdzie jest prowadzony remont.

- Tak sobie właśnie pomyślałem, ale chciałem to jeszcze omówić.

Przypomniał jej się gips. O'Brien uznał, że to kreda, ale do teorii remontu bardziej pasowała gładź szpachlowa. Brzytwa Ockhama.

Daniel nadal rozmawiał z Lucy.

- Dobra robota - pochwaliła Juliusa. - Kto wie, może dzięki twojemu odkryciu dowiemy się, gdzie pracuje sprawca? Albo nawet gdzie mieszka?

- Proszę uprzejmie.

Zauważyła, że Daniel przywołuje ją gestem.

- Co tam? - zapytała, podchodząc do stanowiska pracy Lucy.

- Najwyraźniej twój nieoceniony zespół znowu doszukał się czegoś interesującego.

Lucy spiekła raka i spuściła wzrok.

- Co takiego? - popędziła ją Reilly odrobinę zniecierpliwiona. Stanowczo bardziej interesowały ją nowe fakty niż pochwały.

- Ach, tak, no tak. Właśnie opowiadałam panu w związku z tą... próbką mięsa pobraną w miejscu zgonu Watsona... Mam nadzieję, że nie będziesz mi tego miała za złe, ale pozwoliłam sobie skontaktować się w tej sprawie z biurem doktor Thompson.
- Mówisz o ludzkim mięsie?
- Tak. Zastanawiałam się, skąd morderca je miał. Na początku założyłam, że mógł to być fragment ciała sprawcy, ale w ten sposób zostawiłby nam swoją krew, DNA i tak dalej. A więc, skoro nie było to ciało mordercy, to czyje?
- Słusznie.
- Przeprowadziłam jeszcze kilka analiz, przyjrzałam się mu bliżej i znalazłam coś, co wyglądało mi na ślady po włóknach krystalicznych.
- Tak?
- Właśnie. Okazało się, że tak jak podejrzewałam, mięso nie było świeże. Wcześniej zostało zamrożone.
- Doskonale spostrzeżenie! - pochwalił Daniel.  
Reilly kiwnęła głową. A najbardziej podobało jej się to, że Lucy doszła do tego sama, bez konsultacji ze zwierzchnikiem. Dobrze to rokowało funkcjonowaniu PLK.
- Poprosiłam biuro patologa o zerknięcie pod tym kątem w raporty z autopsji Ryanów i Redmonda na wypadek, gdyby sprawca w ten sposób uzyskał mięso i zamroził do czasu jego wykorzystania. - Oczy jej błyszczały. - Zawsze powtarzasz, żeby nie odrzucać żadnych pomysłów, nawet najbardziej zwariowanych.
- Dobra rada - uśmiechnął się Daniel.
- Doskonały pomysł - pochwaliła ją Reilly. - Czy biuro patologa okazało się pomocne? Rzeczywiście próbka pochodziła od innej ofiary?
- Tak, właśnie tak. Tylko nie od naszej. Doktor Thompson dzwoniła dziś rano. Miałam ci zaraz powiedzieć, ale chciałam najpierw wszystko umieścić w raporcie...
- Jak to: nie od naszej?

- Wspomniałam w prośbie o włóknach krystalicznych - Lucy była wyraźnie zadowolona z siebie - i kiedy pani Thompson później do mnie zadzwoniła, wyjaśniłam jej, czego szukam.

-I...?

- Dzisiaj rano powiedziała, że poprosiła swoich współpracowników o poszerzenie zakresu poszukiwań i rzeczywiście znaleźli pasującą próbkę w materiale pobranym od ofiary, w której sprawie prowadzone jest odrębne dochodzenie. Z niezidentyfikowanego korpusu znalezionego dwa tygodnie temu. Zdaje się, że nad tym przypadkiem pracują detektywi Delaney i Kennedy.

Reilly oniemiała.

- Fantastycznie! Chyba będą cię nosić na rękach.

- Nie będę protestować - uśmiechnęła się dziewczyna. - Najwyraźniej jednak mamy jeszcze jedną ofiarę mordercy tabu... - dodała nagle zasmucona.

- Tak czy inaczej spisała się pani doskonale - stwierdził Daniel.

- To prawda - poparła go Reilly. - Zawiadomię detektywów o twoim odkryciu. A ty pracuj dalej. - Ruszyła do wyjścia, lecz przystanęła w progu. - Nie idziesz? - spytała Daniela.

- Zaraz przyjdę - rzucił rozkojarzony. - Chcę porozmawiać z twoimi ludźmi, może mi podrzucą coś do profilu.

- Jasne.

Poszła do swojego biura. Przede wszystkim należało zawiadomić Chrisa i Kennedy'ego o zwrocie w sprawie.

Chociaż nie stanowił on prawdziwego przełomu, rzucił nieco światła na świat mordercy.

O'Brien się mylił. Wiedzieli o sprawcy coraz więcej. Reilly miała ogromną nadzieję, że gdy skończą analizować materiał dowodowy, morderca już się przed nimi nie ukryje.

## TRZYDZIEŚCI

Chris oddzwonił następnego ranka.

-Wybacz, wczoraj wróciłem do domu w środku nocy i dopiero wtedy odsłuchałem twoje wiadomości.

Wydawał się zmęczony. Ciekawe, co też tak długo go zajęło. Może wybrał się z Kennedym do baru? Chociaż wspominał, że niewiele pije. Pewnie jest wyjątkiem w Wydziale Zabójstw i wśród Irlandczyków. Zaraz jednak skarciła siebie za myślenie stereotypami.

- Mam dla ciebie informacje na temat waszego niezidentyfikowanego korpusu. A dzięki nim dowiedzieliśmy się czegoś więcej o naszym sprawcy.

-Właśnie miałem ci powiedzieć - przerwał jej Chris - że znaleźliśmy brakującą ofiarę.

- Gdzie? Kiedy?

- Dzisiaj z samego rana dwóch mundurowych zameldowało, że natrafili na coś niedaleko lotniska. Kennedy jest w drodze, a ja mam... coś innego do załatwienia. Przyjadę trochę później.

Z krótkiego zawahania wywnioskowała, że postanowił w końcu wybrać się do lekarza.

- Rozumiem. Powodzenia. - Kątem oka zobaczyła wchodzącego do pokoju Daniela. - My się tu błyskawicznie zbierzemy i jedziemy na miejsce. Do zobaczenia.

- Niestety, świadek, z którym muszę porozmawiać, ma czas tylko dzisiaj. - Chris niepotrzebnie się usprawiedliwiał.



- Rób, co trzeba. Kennedy na pewno da sobie radę. Możesz mi w dwóch słowach streścić, czego mam się spodziewać na miejscu zdarzenia?

Daniel uniósł brwi.

- Jest tam dwóch nastolatków - powiedział Chris. - Ślad po nich zaginął przynajmniej dwa tygodnie temu. Wszyscy przyjęli, że uciekli do Londynu albo na drugi koniec świata.

- Powinni byli to zrobić.

- Ano. Reilly, muszę się zbierać. Zobaczymy się na miejscu zdarzenia, a jeśli nie, to później jakoś się złapiemy.

- Sekundkę - poprosiła, bo Daniel dawał jej znaki. - Agent Forrest chce z tobą zamienić słowo.

- Daj go.

- Proszę pana - odezwał się psycholog - właśnie kończę oficjalny profil mordercy i chciałbym z panem przedyskutować kilka szczegółów. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, ale może znalazłby pan dla mnie kilka chwil.

- Dobrze. Do jedenastej mam czas, więc gdyby pan teraz podjechał...

- Oczywiście.

Reilly wiedziała, że Daniel umawia się z detektywem głównie po to, by policjanci nie czuli się zmarginalizowani z powodu jego przyjazdu. Choć rzeczywiście często rozmawiał ze śledczymi, zanim przedstawił gotowy profil przestępcy, to przecież w tym wypadku wszelkie niezbędne informacje dostawał od niej. Zawsze jednak warto dbać o właściwe układy w zespole, a to był wyjątkowo trafny ruch. Co więcej, Chris na pewno doceni ten gest i Daniel zyska chętnego do współpracy współnika.

- Wobec tego do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

- Niezłe zagranie, panie agencie - stwierdziła Reilly.

- Pojęcia nie mam, o co ci chodzi - odparł z uśmiechem. - Robię, co do mnie należy. I chcę mieć pewność, że wszyscy gramy do tej samej bramki.

Miejsce kolejnego zdarzenia robiło równie odpychające wrażenie jak każda inna scena zbrodni. Dwóch chłopców siedziało w poobijanym niebieskim wanie marki Ford Transit, który stanowił własność jednego z nich. Nie żyli już od jakiegoś czasu, więc mimo wiosennych chłódów rozkład ciał był zaawansowany na tyle, że do auta trudno było wejść.

Gdy przyjechała Reilly, Karen Thompson akurat kończyła rozmowę z Kennedym.

- Leżą tu jakiś czas - stwierdziła, przywitawszy się z agentką.

- Da się określić czas zgonu?

- Na razie nie. Ciała są w złym stanie. Jeśli zaś chodzi o przyczynę, to chociaż trudno powiedzieć coś pewnego, znaleźliśmy ślady po igłach, co by wskazywało na naszego miłośnika pentobarbitalu. Potwierdzę lub zweryfikuję po badaniach toksykologicznych.

- Hura - mruknął Kennedy.

Karen Thompson podniosła swoją torbę.

- Będę się śpieszyła. Zawiadomię was natychmiast, jak tylko czegoś się dowiem.

- Bardzo dziękujemy - powiedziała Reilly, a odwróciwszy się do Kennedy'ego, dodała: - Wchodzimy?

Van miał za sobą ze trzydzieści lat ciężkiej służby. Pokryty rdzą, poznaczony dziurami, a gdzieniegdzie plamami świeższego lakieru przedstawiał żalostny widok. Idealny samochód dla dwóch nastolatków. Kennedy postanowił najpierw obejść go dookoła i Reilly wzięła z niego przykład.

- Sądzi pani, że to dzieło naszego zbrodniarza? - spytał cicho.

- Pani Thompson chyba popiera tę teorię. Zatrzymali się. Za pękniętą szybą na lusterku wstecznym wisiły dwie brudne futrzane, białe-czarne kostki do gry.

-Dzieciaki, biznesmen, starsza kobieta z siostrzenicą... Gdzie tu jakaś zbieżność? - Westchnął ciężko, po czym przekazał Reilly informacje uzyskane od bezdomnego. - Czy morderca zna swoje ofiary? - zastanowił się głośno na koniec.

- Nie przypuszczam - stwierdziła, zapisując w pamięci, by przekazać te ustalenia Danielowi. - Moim zdaniem po prostu wyszukuje kogoś, kto spełnia odpowiednie warunki. Agent Forrest uważa, że jest baczny obserwatorem.

- Fantastycznie. W takim razie może nawet teraz znajduje się w pobliżu i ma nas na oku?

W przedniej szybie Reilly dostrzegła odbicie sąsiednich budynków. Znajdowali się w zniszczonej przemysłowej części miasta pełnej opuszczonych magazynów o oknach z powybijanymi szybami, przywodzących na myśl bezzębne usta włóczęgi.

- Oby nie - odparła, kładąc dłoń na klamce. - Zajrzyjmy. Na miejsce dotarł zespół PLK. Jego członkowie czekali cierpliwie, bo zdążyli się nauczyć, że nie należy przeszkadzać Reilly, gdy rozmawia z policją.

- Lucy, ty zbadaj teren wokół vana - poleciła po chwili Reilly. - Gary, rozejrzyj się po okolicy. - Bezwiednie podniosła wzrok na puste okna. - Weź z sobą mundurowego. Sprawdź, czy da się wejść do któregoś z tych budynków.

- Czego szukamy?

- Miejsca, skąd widać vana. Jeśli takie znajdziesz, sprawdź, czy ktoś tam był.

- Jasne.

Gary podszedł do policjantów i wyjaśnił, co zamierza. Reilly nie zdołała powstrzymać uśmiechu, gdy po chwili zobaczyła, że towarzyszyć mu będzie największy z nich. Tymczasem Lucy otworzyła skrzynkę z narzędziami i zaczęła robić zdjęcia.

- Świetnie ich pani ustawiła - zauważył Kennedy cicho. Obróciła się, zaskoczona pochwałą z jego ust.

- Stanowią dobry zespół.

- Mają dobrego nauczyciela.

- Wystarczyło dać im nieco swobody i zachęcić do korzystania z intuicji - odparła lekko.

Zajrzeli do wozu. Chłopcy byli nadzy, ułożeni jeden na drugim. Z pewnością była to robota mordercy i tym razem nie pozostawił wątpliwości, do czego nakłonił ofiary.

- Rany boskie, jak on ich do tego zmusza? - Kennedy oddychał ustami. - Spotkałem w życiu kilku przekonujących facetów, ale ten naprawdę na wiele sobie pozwala.

- Groźba śmierci może działać cuda - oznajmiła Reilly i weszła do samochodu.

Kennedy zatrzymał się na progu.

- Chce pani rozejrzeć się sama? Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Chętnie. Pan też powinien spróbować czegoś nowego. Może będzie pan mile zaskoczony.

- Żona mi bez przerwy powtarza to samo - stwierdził, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby.

Reilly zamknęła oczy. Chciała sobie wyobrazić, co tu się działo.

Morderca jest w tylnej części samochodu z dwoma chłopcami. Leży tam stary materac, dwa brudne koce, do dachu przykręcono głośniki. Wtedy...

- Coś pani znalazła? - spytał Kennedy, tym razem bez drwiny w głosie.

Otworzyła oczy.

- Przypuszczam, że miał współniczkę. Mogła poderwać chłopaków i mogła wiedzieć, że mają vana. - Wskazała materace, koce, głośniki. - Na pewno zapraszali tu dziewczyny. Do łamania tabu pasowali mu dwaj chłopcy bez skłonności homoseksualnych. W przeciwnym razie gra nie byłaby warta świeczki.

- Słusznie. Co jeszcze?

Reilly odtwarzała w wyobraźni scenę zbrodni.

- Poderwała ich, skusiła obietnicą trójkąta czy czymś w tym rodzaju. Potem, kiedy zabawa zaczęła się rozkręcać, pewnie pozwoliła im na chwilę radości, bo wiedziała, że panuje nad sytuacją. W końcu zjawił się on...

- I zabawa zmieniła charakter.

- Właśnie. Mamy w tym i zaspokojenie potrzeby ryzyka, i podniecenie, i panowanie nad sytuacją, i oczywiście samo tabu.

Kennedy rozejrzył się po wnętrzu vana.

- Tym razem nic nam nie zostawił?

- Najwyraźniej. I trochę mnie to martwi.

- Dlaczego? Po prostu już wie, że i tak rozpoznamy jego sposób działania. Po co miałby jeszcze zostawiać jakiś znak?

- Bo do tej pory tak robił. Przyjrzał się jej bacznie.

- Sądzi pani, że czegoś nie dostrzegamy?

- Pewnie i tak to znajdziemy. - Uważnie przyglądała się każdemu szczegółowi. - Trzeba pamiętać, że według wskazówki zostawionej w laboratorium zabił ich przed zamordowaniem pań Miles, a tam zostawił bardzo wyraźne przesłanie freudowskie.

Kennedy zapalił latarkę.

- Nie ma tu miejsca, żeby coś schować.

- Istnieje wiele sposobów na ukrycie czegoś, co nie od razu ma być znalezione.

Nagle zadzwonił telefon Reilly. Zerknęła na wyświetlacz. Gary. Wyszła z vana, powiodła wzrokiem po najbliższych budynkach. W którym był teraz?

- Co tam?

- Jestem w magazynie naprzeciwko - wydyszał. - Musisz coś zobaczyć.

- Zaraz będę.

W oczach Kennedy'ego błysnęła nadzieja.

- Znalazł coś?

- Najwyraźniej. Chyba nie jest pan zaskoczony?

- Zostanę tutaj.

Kilka minut później Reilly pchnęła wyłamane drzwi prowadzące do opuszczonego magazynu. Znajdował się zaledwie kilka metrów od ulicy, a z jego okien z pewnością roztaczał się doskonały widok na najbliższą okolicę, w tym także na sfatygowanego niebieskiego forda. Zakurzonymi drewnianymi schodami dotarła na drugie piętro, gdzie czekał na nią mundurowy.

- Tutaj - powiedział niepotrzebnie, wskazując otwarte drzwi.

Weszła do przestronnego pomieszczenia. Na podłodze walały się puste kartony, segregatory i jakieś papierzyska. Spod nóg czmychnął przestraszony szczur. Podeszła do okna, przy którym stał Gary.

- Co mamy?

- Zobacz sama.

Wyrzła przez nie i zobaczyła niebieskiego vana, a potem starannie wypisane litery na dachu wozu. Krew zastygła jej w żyłach: „Strata jednego z rodziców to nieszczęście. Obojga - niedbalstwo”.

Boże drogi! Wyrwała telefon z kieszeni, wybrała numer ojca. Jeden sygnał, chłodny, beznamiętny, drugi, trzeci... I następne. I ciągle bez odpowiedzi.

- Cholera jasna!

Wypadła z hali jak błyskawica. Serce podeszło jej do gardła. Wzbijając obłoki kurzu, gnała na parter, a potem wyskoczyła na ulicę i... znalazła się twarzą w twarz z ostatnim człowiekiem na świecie, jakiego by teraz chciała spotkać. Drogę zastąpił jej Jack Gorman. Szef laboratorium kryminalistycznego. Nie wyglądał na uszczęśliwionego skróceniem urlopu.

- Co tu się dzieje, do jasnej cholery?!

Był niski i zachowywał się buńczucznie, jak większość mężczyzn starających się zamaskować brak pewności siebie.

- Pan...? - Reilly nie wiedziała, czy jest bardziej zdumiona, czy zaskoczona. - Nie wiedziałam, że już pan wrócił.

- Nie miałem wyboru! - prychnął. - Jakież niestworzone rzeczy się tu dzieją pod moją nieobecność. - Dźgnął palcem w stronę vana PLK. - Przyjeżdżam i co zastaję? Lucy na miejscu zbrodni, a Gary biega jak żywcem wyjęty z cholernej *Miami Vice* - Jego twarz o ostrych rysach była teraz wściekle purpurowa. Wyglądał, jakby miał lada moment eksplodować. - Wystarczyło, że wyjechałem, a wszyscy powariowali! Nie tak tu pracujemy, droga pani!

Słyszac tę tyradę, inni ludzie zaczęli się przyglądać scenie: Lucy wyjrzała zza vana, Gary z magazynku, a Kennedy z forda. Reilly zakłęła w duchu. Tylko tego było jej trzeba.

- Przepraszam, ale teraz muszę...

- Zapewniam panią, nie dałbym się ściągnąć z drugiego końca świata bez przyczyny. Chcę się natychmiast dowiedzieć, na czym stoimy. - Karaibska opalenizna zamaskowała kolejne kolory na jego twarzy. Trudno też było ocenić, co go denerwuje bardziej: poszukiwania chyba najgorszego seryjnego mordercy, z jakim miał do czynienia jego kraj, czy też fakt, że odwołano go z rejsu dookoła świata. - Lucy... Co ty tu w ogóle robisz? W tej chwili wracaj do laboratorium.

Dziewczyna stała jak słup soli, najwyraźniej niepewna, co robić.

- Jest tutaj na moje polecenie - wyjaśniła Reilly spokojnie.

- Lucy, ogłuchłaś, czy jak? Kazałem ci...

- Przepraszam pana, nie ma pan prawa odzywać się w ten sposób do członka zespołu...

- Reilly... - przerwała jej Lucy. - Nie ma problemu. - Zerknęła na Gormana. - Już idę, tato.

Agentka mało nie usiadła z wrażenia. Tato? Genialnie. Rewelacja. Nie miała bladego pojęcia, że Gorman jest ojcem Lucy. Nikt jej o tym nie powiedział. Teraz wiele spraw wyglądało inaczej. Jakby jeszcze mało było atrakcji.

- Dobrze - sapnął Gorman. - Pozostali niech robią swoje. Pani natomiast stawi się natychmiast w moim biurze.

Musimy porozmawiać o dochodzeniu. - Najwyraźniej byt zdecydowany pokazać, kto tu rządzi.

Reilly przyglądała się przez chwilę jego twarzy wykrzywionej gniewem.

- Bardzo mi przykro, ale teraz naprawdę nie mam na to czasu - oznajmiła i wyminęła go, nie czekając na odpowiedź.

Gorman jakoś wytrzyma godzinę. Najpierw musiała się upewnić, czy ojciec jest bezpieczny.

- Czy ja się nie przesłyszałem?!!!

Chyba po raz pierwszy ktoś nie zastosował się do jego polecenia.

- Muszę załatwić bardzo pilną sprawę.

- Przypominam pani, że jestem szefem tego zespołu - ciągnął, wypinając klatkę piersiową - a co za tym idzie: pani przełożonym.

Reilly zrezygnowana kiwnęła głową, po czym podeszła do Kennedy'ego, który obserwował scenę z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Potrzebuję pomocy.

- Mnie proszę w to nie mieszać - uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Nie chodzi mi o Gormana. Widzi pan, obawiam się, że mój ojciec jest w niebezpieczeństwie. - Pośpiesznie opowiedziała mu o odkryciu Gary'ego.

- O, niedobrze... - Kennedy zerknął na Gormana, który właśnie zbliżał się do nich gniewnym krokiem.

- Pani ma czelność mnie ignorować?! - wrzeszczał z daleka. - Nie pozwolę się traktować w taki sposób!

- Bardzo pana proszę - podjęła Reilly cicho. - Niech pan do niego pojedzie i sprawdzi, czy nic mu się nie stało.

- Sądzi pani, że zagrożenie jest realne? -Tak.

- Proszę pani! - wycedził Gorman. - Czy pani mnie w ogóle słucha?

- Może to nie jest najlepsza chwila... - odezwał się do niego Kennedy.

- Proszę bardzo - wściekł się Gorman. - Widzę państwa u siebie w biurze. Natychmiast. Oboje.

Kennedy podjął decyzję w mgnieniu oka. Wyciągnął z kieszeni telefon.

- Poślę tam patrol. Gdzie mieszka pani ojciec?

- W Liberties. - Coś jej przyszło do głowy. - Chris wie, gdzie go szukać. Może by zechciał...

- Na pewno zechce - stwierdził Kennedy, wybierając numer.



## TRZYDZIEŚCI JEDEN

- Nie do końca rozumiem - przyznał Chris. - Nie zgadza się pan z teorią Reilly dotyczącą współnika? Siedzieli z Danielem Forrestem po przeciwnych stronach biurka.

- Rzeczywiście. - Twarz agenta nie zdradzała nic.

- A co z podrywem, co z blond włosom?

- Proszę pozwolić mi wytłumaczyć. - Profiler zaczerpnął powietrza, lecz w tym momencie rozmowę przerwał dźwięk telefonu Chrisa.

- Przepraszam na moment - rzucił detektyw. - Witaj, Kennedy. Co się stało? - Przez jakiś czas słuchał w milczeniu, tylko marszczył brwi. - Jest pewna? Jasne, wiem. Już jadę. - Rozłączył się, podniósł wzrok na Forresta. - Reilly znalazła na miejscu zdarzenia wskazówkę świadczącą o tym, że kolejnym celem mordercy jest jej ojciec. Ten nie odbiera telefonu, a ona nie może do niego teraz pojechać, więc poprosiła mnie o pomoc.

Z tonu Kennedy'ego domyślił się, że Reilly szaleje z niepokoju. W tej sytuacji wizytę u lekarza, zaplanowaną na jedenastą trzydzieści, trzeba będzie przełożyć.

Daniel Forrest sięgnął po płaszcz.

- Jadę z panem.

- Nie jestem pewien, czy...

- Proszę pana, jeżeli Reilly uważa, że jej ojciec znalazł

się w niebezpieczeństwie z powodu naszego śledztwa, wręcz powinniśmy tam pojechać obaj. Zgadza się pan ze mną?

Nie mieli czasu na sprzeczki. Skoro facet chciał jechać, niech jedzie.

- Nie wierzy pan, że morderca faktycznie zagraża ojcu Reilly? - spytał Forresta, zrecznie prowadząc w przedpołudniowych korkach.

Amerikanin od wyjścia z komendy milczał. Chris zaś kilkakrotnie już wybierał numer komórki Reilly, lecz od razu włączała się poczta głosowa.

- Czy Kennedy zdradził, dlaczego Reilly w to wierzy? - spytał agent jak zwykle spokojnym tonem.

Jego zachowanie momentami przyprawiało Chrisa o gęsią skórę.

- Nie, poprosił mnie tylko, żebym tam jak najszybciej pojechał. Reilly chciała to zrobić sama, ale najwyraźniej czas jest szalenie istotny. A poza tym musi się teraz zająć inną sprawą.

Kennedy wspomniał coś o powrocie Gormana, a biorąc pod uwagę okoliczności ściągnięcia go z urlopu, Chris łatwo sobie wyobraził, co się mogło zdarzyć. Żał mu było Reilly, na pewno martwiła się o ojca. On sam nie miał pewności, czy rzeczywiście istniał ku temu powód, ale chętnie spełnił jej prośbę, by ją uspokoić. Czy morderca rzeczywiście zasadził się na Mike'a Steela? Czy też Reilly przestraszyła się jakiejś częściej groźby, kolejnej psychologicznej zagrywki mającej na celu wytrącenie jej z równowagi?

Daniel Forrest w zamyśleniu pokiwał głową.

- Musiała coś odkryć. Coś istotnego - powiedział do siebie.

Tym razem to Chris milczał. Właściwie spodziewał się znaleźć ojca Reilly nieprzytomnego na kanapie.

W mieszkaniu panowała cisza. Jakiś czas stukali do drzwi, kilka razy zawołali Steela. W końcu Chris wyciągnął zapasowy

klucz ze skrytki, o której powiedziała im Reilly. Weszli. W salonie żywego ducha. W sypialni także. Łazienka również świeciła pustkami.

- Dzień dobry! - zawołał Chris na wszelki wypadek.

W dużym pokoju światła były zapalone, zasłony zaciągnięte. Daniel stanął w progu. Przyglądał się zarówno wnętrzu, jak i policjantowi, a Chrisowi ciarki chodziły po plecach.

W mieszkaniu panował idealny porządek. Poduszki na kanapie ułożono starannie, dywan odkurczono, a buty w przedpokoju ustawiono w równym rzędzie.

- Inaczej to wyglądało, kiedy byłem poprzednim razem. - Tak?

- Mniej więcej jak po wybuchu bomby. Nawet gdy Reilly z grubsza ogarnęła ten pokój. Teraz jest stanowczo za czysto.

- Uświadomiłem to sobie zaraz po wejściu - przyznał Forrest. - Nawet pachnie środkiem do czyszczenia. - Pociągnął nosem. - Sosnowym.

- A powinno śmierdzieć gorzałą, resztkami żarcia i papierosami. - Chris przeciągnął palcem po gzymsie kominka. Ani odrobiny kurzu.

- Zanim zaczniemy wyciągać pochopne wnioski, przyjrzyjmy się mieszkaniu dokładniej - zaproponował agent. - Biorę sypialnię, pan kuchnię - zarządził i zniknął w sypialni już całkowicie skupiony na zadaniu.

Chris odprowadził go wzrokiem. Wolałby pracować z kimś znajomym, zaufanym, lecz rozumiał, że w tych okolicznościach nie ma wyboru. Niech więc Forrest robi swoje. Może faktycznie coś z tego będzie. A na pewno nikomu nie zaszkodzi.

Wszedł do kuchni. Często narzekał na własną, małą i nie-ustawną, ale w porównaniu z tą była wręcz przestronna. Ta przypominała raczej kambuz, i to też nieduży. Wąska, ciasna, z wysokimi szafkami, mikroskopijną kuchenką elektryczną i krótkim blatem. No ale na co człowiekowi kuchnia, skoro jego dieta składa się prawie wyłącznie z płynów?

Podobnie jak w innych pomieszczeniach, tutaj też panował wzorowy porządek. Chris przypomniał sobie poprzednią wizytę w tym mieszkaniu, zaledwie kilka dni temu, gdy na dobrą sprawę obawiał się tu czegośkolwiek dotknąć. Teraz kuchnia lśniła czystością, naczynia zostały umyte, szafki wypucowane, wypolerowano nawet chromowane krany. Wydało mu się to bardzo dziwne, choć z pewnością istniało jakieś całkiem rozsądne wytłumaczenie. Wyjął telefon i właśnie miał po raz kolejny zadzwonić do Reilly, gdy za plecami usłyszał jakiś hałas.

- A co pan tu robi?! - przyszpilił go żeński głos. Obrócił się. Przed nim stała kobieta w średnim wieku z włosami wspartymi na biodrach. Minę miała wojowniczą. Pewnie sąsiadka, sądząc po pęku kluczy w ręku.

- Jestem przyjacielem Mike'a - zaryzykował. - W zasadzie raczej jego córki...

-Jego córki... - Kobieta nieco złagodniała. - Myślałam, że się pan włamał.

Ciekawe, czy często wdawała się w dyskusję z włamywaczami, ryzykując życie, zamiast wezwać policję. Choć w tej sytuacji dobrze się stało, bo uniknęli niepotrzebnego zamieszania.

- Nie, skądże! - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Czy pani może wie, kiedy Mike wróci? Pewnie prosił panią, żeby miała pani oko na jego mieszkanie...

Kobieta znów nabrała podejrzeń.

- To pan tego nie wie? Przyjaciół córki?

- Cóż...

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, za plecami sąsiadki ukazał się Amerykanin.

- Dzień dobry pani. Nazywam się Daniel Forrest, jestem starym przyjacielem Mike'a, jeszcze z Kalifornii. Miło mi panią poznać. Jak się do pani zwracać?

- Kelly - przedstawiła się krótko.

- Bardzo mi miło. Mike powinien panią nosić na rękach

za takie sprzątanie - stwierdził, roztaczając przed nią cały swój urok.

Kobieta lekko się zaczerwieniła.

- Przydało się tutaj trochę kobiecej ręki... Będzie mu miło wrócić.

- Jest pani bardzo uprzejma i ogromnie pracowita. Naprawdę podziwiam pani dzieło. Chyba powinienem panią zaprosić do siebie... - zażartował.

Tym razem kobieta spiekła raka na całego, a Chris zaczął podejrzewać, że Mike Steel chętnie korzystał z jej pomocy w niejednej sprawie. Sądząc po kokieteryjnym zachowaniu sąsiadki w stosunku do profilera, nie była nieczuła na męskie wdzięki.

- E, tam, pewnie nawet nie zauważy - zaświergotała. - Wie pan, jacy są mężczyźni. Mimo to będzie mu milej wrócić. Chociaż nie powiedział, kiedy ona ma go odwiedzić.

- Ona? - powtórzył Chris.

- Tak, tak. - Na twarzy kobiety odmalowała się dezaprobata. - Rozumiem, pamiętam, jest pańską przyjaciółką, ale i tak uważam, że córka powinna zrobić dla ojca znacznie więcej. Nie wystarczy zajrzeć raz na sto lat i zabrać go na kilka dni. Przecież ten człowiek jest ciągle sam. Kto ma się o niego troszczyć?

Policjant i psycholog wymienili spojrzenia.

- Skąd pani wie, że wyjechali na kilka dni? - zapytał Chris.

- Pewnie go zabrała na jakąś wycieczkę, dlatego obiecałam zająć się mieszkaniem. Ale o panach to chyba nic mu nie powiedziała.

- Poznała pani córkę Mike'a? - spytał Forrest. Chciał zyskać choć pobieżny rysopis.

- Właściwie nie do końca - przyznała sąsiadka.

Chris domyślił się, że zagięła parol na Mike'a i go obserwowała.

- Przez chwilę widziałam ją w samochodzie - podjęła. - I zaraz

pojechali. Pierwszy raz ją zobaczyłam. Nawet się trochę zdziwiłam, bo wcale nie jest do niego podobna. Nie to co ta druga.

- Druga? - podłapał Chris, zaalarmowany.

- Ta starsza. Ta, co pracuje w policji. Ta to po prostu skóra zdjęta z Mike'a. Ale ta młodsza...

- Proszę pani, czy Mike powiedział pani wyraźnie, że wyjeżdża z córką?

Słyszając napięcie w głosie Chrisa, straciła pewność siebie.

- Właściwie... zdawało mi się, że pan powiedział...

- Ogromnie pani dziękujemy - przerwał jej Forrest. - Bardzo nam pani pomogła. - Gładko podprowadził ją do wyjścia. - Mike będzie pani niewymownie wdzięczny. - Zamknął za nią drzwi.

Chris przeciągnął dłonią po włosach. Nie bardzo wiedział, co myśleć. Jeśli wierzyć sąsiadce, Steel wyjechał na kilka dni z jakąś krewną, a przynajmniej znajomą. Innymi słowy, Reilly nie miała powodu do zmartwienia. Ale co z tą młodszą siostrą?

- Czy pan coś z tego rozumie? - spytał agenta. - Może Reilly nie ma się czym przejmować.

Psycholog był zamyślony.

- Wręcz przeciwnie - powiedział w końcu z ciężkim sercem.

- Jak to? Przecież słyszał pan, co powiedziała. Steel wyjechał z kimś znajomym, a nie z groźnym mordercą.

Forrest przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Z kimś znajomym, zgoda. Ale jeżeli się nie mylę, to Reilly ma większy powód do zmartwienia, niż obaj sobie wyobrażamy.

## TRZYDZIEŚCI DWA

W siedzibie PLK Reilly słuchała tyrady Jacka Gormana na temat swoich działań pod jego nieobecność, ale słowa starego Irlandczyka nie mogły przebić się przez jej blokadę. Zdażyła się już oswoić z odkryciem na temat Lucy i wreszcie mogła się skupić na tym, co najistotniejsze. Oby Chris znalazł ojca...

Ta wiadomość... To zdanie na dachu samochodu było skierowane do niej. Czowała to w kościach, wiedziała, że dotyczy Mike'a Steela. Daniel miał rację. Morderca tabu otwarcie groził jej i jej rodzinie. Tylko skąd tyle o nich wiedział?

„Strata jednego z rodziców to nieszczęście...”.

Wróciła myślami do tamtego straszego dnia. Do dnia, który z początku nie różnił się od innych, ale zmienił jej życie na zawsze.

Mama zniknęła ładnych kilka lat wcześniej. Ani Reilly, ani Jess nie miały pojęcia, gdzie jej szukać albo dlaczego odeszła. Już jako małe dzieci przywykły do jej kaprysów, do tego, że znikwała i nikt nigdy nie wiedział, co się z nią działo lub kiedy wróci. Ale wtedy już nie wróciła i chyba to przeczuwali. Zgadywali, że tym razem będzie inaczej. Mike nie poruszał tematu, wszyscy troje spuścili na tę sprawę zasłonę milczenia.

W miarę jak siostry dorastały, zaczęły w nich kielkować pytania. Zwłaszcza Jess chciała wiedzieć, co się stało z matką,

a Reilly, choć nigdy ojca o nic nie pytała, była niemal przekonana, że Cassie odeszła z innym mężczyzną. Duchy przeszłości, by nie powiedzieć: potwory, trudno utrzymać w zamkniętej szafie, zwłaszcza przy niezmordowanej w zaspokajaniu swojej ciekawości młodszej siostrze, która postanowiła się dowiedzieć, dlaczego matka porzuciła rodzinę. „Daj spokój”, napominała ją Reilly, „odpuść sobie”. Ale jej rady nie przynosiły żadnych efektów. Marnowała słowa. Jeśli Jess się przy czymś uparła, nie było mocnych.

Tamtego dnia Reilly akurat jechała własnym samochodem, który dostała od ojca na osiemnaste urodziny. Wiedziała, że ciężko pracował, żeby na niego oszczędzić, tym bardziej cieszyła się z prezentu. Co prawda była to zaledwie dwudrzwiowa mazda, gruchot od żółtków, jak mawiał tata, na dodatek jasnoczerwona, ale własna i ukochana. Akurat zaczęły się popołudniowe korki, bo wszyscy jechali na obiad, i Reilly zwolniła przed czerwonym światłem. Wtedy zadzwonił telefon.

- Reilly?! To ja! - Jess niepotrzebnie krzyczała w słuchawkę. - Jestem u mamy!

- Co? Gdzie? U mamy?! - Reilly zbaraniała. - Jess, czyś ty zwariowała? Jakim cudem...? Jak...? Gdzie...? - Myśli kłębiły jej się w głowie, nie mogła ich uporządkować. Jess odszukała matkę? W jaki sposób? A co ważniejsze: gdzie ją znalazła?

- Reilly, jesteś mi potrzebna. Przyjedź. - W jej głosie brzmiała desperacja. Tego tonu Reilly nie słyszała u siostry od czasów przedszkolnych.

- Jak to? Gdzie jesteś? Dokąd mam przyjechać? Jess, nic nie rozumiem.

- Po prostu przyjedź. - Głos się zmienił. Stał się płaski, bez wyrazu. Co w jakimś sensie było bardziej przerażające niż nerwy, z jakimi zaczęła rozmowę.

Coś się stało. Coś złego. Fakt, Cassie zawsze była nieprzewidywalna, nigdy nie pasowała do roli kury domowej, więc Reilly podejrzewała, że długo wyczekiwane spotkanie matki z córką mogło się potoczyć niezgodnie z planem tej drugiej.



- Dobrze, kochanie, zaraz będę. Tylko powiedz mi, jak dojechać.

Z szeroko otwartymi oczami wysłuchiwała wskazówek. Jess znajdowała się dosłownie kilka kilometrów od domu.

Czyżby Cassie przez cały czas mieszkała tak blisko nich?

Nie wiedzieć czemu Reilly przyjęła, że matka wyprowadziła się daleko, na przykład na wschód, skąd pochodziła. A ona przez te wszystkie lata żyła obok nich i nigdy się z nimi nie skontaktowała? Cóż, właściwie, znając Cassie, nie była to znowu taka niespodzianka.

Reilly skrzyła na odpowiedni wjazd i po chwili znalazła się na autostradzie.

Jak Jess odszukała matkę? Nie do pojęcia. Choć rzeczywiście, jeśli sobie coś postanowiła, nie dało się jej od tego odwieść.

Reilly gnała autostradą, serce miała w gardle. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co ją czeka na miejscu ani, co gorsza, dlaczego Jess była tak zdenerwowana. Najwyraźniej Cassie nie miała zamiaru odnawiać więzi z córkami i odgrywać wspólnie szczęśliwej rodziny.

Zjechała z autostrady. Jakiś czas kluczyła po wąskich uliczkach przedmieścia, wreszcie trafiła pod adres podany przez Jess. Zaparkowała przed domem w stylu hiszpańskim, o ścianach z blad różowego stiuku, na ulicy, wzdłuż której stały budynki w podobnym stylu.

Nie wysiadła od razu. Najpierw musiała się uspokoić. W tym domu mieszkała jej matka... czy raczej kobieta, która ją urodziła, a gdy Reilly miała osiem lat - porzuciła. Spokojna okolica, taka zwykła, taka normalna, że aż się nie mieściło w głowie. Chociaż... niby dlaczego? Czego innego powinna się spodziewać?

Wyskoczyła z samochodu, zaczęła się śpieszyć. Zatrzęsła drzwiczki, zamknęła na kluczyk, po czym ruszyła w stronę ganku, szukając wzrokiem Jess. Na zewnątrz nie było żywego ducha. Ostrożnie zbliżyła się do budynku.

Ciągle miała wrażenie, że stało się coś złego.

Weszła po szerokich schodach prowadzących na ganek. Jak w wielu domach w tej okolicy wisiała na nim poblakła od słońca drewniana ławka, lekko kołysząca się na wietrze. Obok niej znajdował się biały stolik, na nim - dwie szklanki z jakimś napojem, obie częściowo opróżnione. Lód stopniał, po ściankach ściekały krople wody, tworząc na blacie kałuże.

Poszła dalej. Któraś deska zatrzeszczała jej pod stopą. Nie wiedzieć czemu ulica trwała w śmiertelnej ciszy, której nie zakłóciły ani warkot samochodu, ani śpiew ptaka, ani okrzyki dzieci. Dotarła do drzwi, stanęła. Nie było dzwonka. Postanowiła zastukać. Gdy dotknęła drzwi, same się otworzyły, ukazując ładny pokój z błyszczącą drewnianą podłogą i kilkoma barwnymi dywanikami. Pośrodku stała duża kanapa.

Wtedy poczuła ten zapach, jedyny w swoim rodzaju. Woń matki. Tak boleśnie znajoma, tak rozpoznawalna, że aż jej się zakręciło w głowie. Nigdy nie doszła, co to właściwie było. Choć przetrząsnęła rzeczy matki wielokrotnie, nigdy nie odgadła, skąd się brała. Na pewno nie z perfum i raczej nie z balsamu do ciała. Nuta kwiatowa, lecz także wątek korzenny. Całość kojarzyła się jej z beztróskim latem na plaży, leniwymi rodzinnymi wieczorami w ogrodzie. Ze spokojem i szczęściem, za którymi zawsze tęskniła.

Weszła do środka.

- Halo?! - zawołała. - Jest tu ktoś?! Odpowiedziały jej cisza i bezruch. Może faktycznie nikogo nie było?

- Jess! To ja, Reilly! Przyjechałam po ciebie.

Popołudniowe słońce wdzierało się przez drewniane okiennice, rysując na podłodze i ścianach długie pręgi żółtego blasku. Gdy wzrok jej przywykł do półmroku, w drugim końcu pokoju dojrzała ciemny ślad - rozsmarowane na podłodze podłużne plamy. W powietrzu unosił się mocny zapach, który miała poznać aż nazbyt dobrze.

Z sercem w gardle przecięła pokój. Oczy miała szeroko otwarte, wyteżyła słuch. Zwierzęcy instynkt kazał jej uciekać. Mimo to szła dalej i jedynie szmer jej kroków mącił ciszę.

Bała się o siostrę, jeszcze miała w uszach jej błagalny głos. I tylko dlatego szła w głąb obcego domu.

Gdy dotarła do drugiego końca salonu, zorientowała się z przerażeniem, że ciemny ślad, na który patrzy, to krew. Długa, szeroka smuga ciągnąca się przez część pokoju do kuchni. Nie do wiary, ale chyba ktoś się czołgał, krwawiąc. Przystanąła. Sparaliżowało ją przerażenie. Nie chciała iść dalej, lecz musiała. Każdy nerw, każda tkanka kazały jej zawracać, wzywać policję, ustąpić miejsca fachowcom.

Nie mogła. Dopóki sądziła, że jest tam Jess. Młodsza siostra, którą opiekowała się przez większą część życia.

Dlatego nie mogła uciec, choć bardzo chciała.

Krwawy ślad prowadził do kuchni. Minęła róg. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi. W głębi duszy wiedziała, że to, co się teraz stanie, odmieni jej życie.

Na podłodze, twarzą do dołu, leżał w kałuży krwi jakiś mężczyzna. Ktoś pchnął go nożem, dwa albo i trzy razy, a on doczołgał się tutaj. Pewnie chciał... Reilly przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc krzyk. Zrobiło jej się niedobrze.

W drugim końcu kuchni leżała matka. Na pewno ona, choć nie widziały się tyle lat. Twarz jej się prawie wcale nie zmieniła. Ta miękka twarz, która nawiedzała Reilly w snach, te same blond włosy.

W snach zawsze uśmiechała się do córki. Ale dzisiaj nie. Usta jej zastygły w groteskowym grymasie przerażenia, a z brzucha wystawała rękojeść dużego noża kuchennego. Dłonie miała ułożone na ranie, jakby chciała zatrzymać uciekające przez nią życie. Boże drogi!

- Wiedziałam, że przyjedziesz.

Reilly podskoczyła. W końcu dostrzegła i siostrę. Jess siedziała na piętach, głowę matki położyła na kolanach i delikatnie gładziła ją po włosach.

- Jezu Chryste, co tu się stało? - wychrypiała Reilly, choć wcale nie to chciała powiedzieć. Z trudem przepychała słowa przez krtań, więc dobrze, że w ogóle udało jej się coś wykrztusić.

Jess na moment spojrzała na siostrę, ale zaraz opuściła wzrok na twarz matki.

- Była okropnie zdenerwowana. I było jej strasznie wstyd. - Rozmazywała na czole Cassie krwawy ślad. Nie była oszołomiona ani smutna, ten powtarzany gest wydawał się po prostu dziwny.

- Trzeba wezwać policję - zdecydowała Reilly.

- Była dziwką - rzuciła Jess. Jej twarz zmieniła się gwałtownie. Zniknął spokój, a na jego miejscu wykwitło niehumanne okrucieństwo. - Ciągle nas zostawiała, ciągle odchodziła. Wredna, podła dziwka! Dostała, na co zasłużyła!

-Co???

Czy to sufit zwałił się Reilly na głowę? Nie. Jednak nie.

Jess spojrzała na nią prowokacyjnie. Czyżby była w to zamieszana? A może w jakimś stopniu odpowiedzialna?

Reilly z trudem przełknęła ślinę. Usiłowała zebrać myśli. Czy powinna wierzyć własnym oczom? Jak stawić czoło temu okrutnemu potworowi, w którego raptem zmieniła się młodsza siostra?

W pierwszym odruchu postanowiła uspokoić Jess i zyskać kontrolę nad biegiem zdarzeń. Jak to starsza siostra.

Ostrożnie postąpiła do przodu jeszcze jeden krok. Zobaczyła krew na rękach Jess.

- Kochanie, co się stało? - zapytała miękko. - Nic ci nie jest? Jess podniosła na nią wzrok, uśmiechnęła się promiennie.

- Nic mi nie jest - zapewniła.

Rozejrzała się po kuchni, a gdy jej spojrzenie padło na martwego mężczyznę, jej twarz zmieniła się nie do poznania, w jednej sekundzie, jak za naciśnięciem guzika.

- Dostał to, na co zasłużył - warknęła.

Reilly stała jak wrośnięta w ziemię. W oczach wezbrały jej łzy. Nadal nie mogła ogarnąć umysłem, co się stało.

Jess ponownie spojrzała na matkę. -**1** mama też.

Wróciła do rozsmarowywania krwi na jej czole. Raptem poderwała głowę, jakby sobie o czymś przypomniała.

- Nie spotkamy jej w niebie. Tam nie ma miejsca dla zakłamanych dziwek. - Schyliła się, złożyła pocałunek na krwawej plamie. - Reilly, pożegnaj się z nią teraz, bo więcej jej nie zobaczysz.

Reilly stała jak sparaliżowana, serce ciążyło jej w piersiach, wielkie łzy stoczyły się po policzkach.

- Dobry Boże... - szepnęła. - Jess, coś ty zrobiła... Młodsza siostra delikatnie zsunęła ze swoich kolan głowę matki i wstała. Przyjrzała się trupowi, jakby szukała defektów, w końcu podjęła decyzję i skrzyżowała ręce Cassie na piersi. Potem wyprostowała się, podeszła do starszej siostry i objęła ją zakrwawionymi ramionami.

- Teraz już będzie dobrze - szepnęła jej w ucho. - Zrobiłam, co było trzeba. Wszystko naprawiłam.

### TRZYDZIEŚCI TRZY

Gdy Gorman wreszcie skończył wywód pełen pretensji, których w większości wcale nie słyszała, Reilly uciekła z jego biura i natychmiast sprawdziła wiadomości w poczcie głosowej. Od Chrisa ani słowa. Tylko jedno nieodebrane połączenie z samego rana.

Niech to licho, dlaczego nie zadzwonił? Nawet jeśli nie było się czym przejmować, to powinien mieć tyle przyzwoitości, żeby ją o tym zawiadomić.

Pospiesznie wybrała jego numer, ale od razu włączyła się automatyczna sekretarka. Zadzwoniła więc do Kennedy'ego, który wyszedł z gabinetu Gormana nieco wcześniej i zapewne był już na komendzie. Ale on także nie otrzymał żadnych nowych informacji.

- Proszę się nie martwić - powiedział. - We dwóch z agentem Forrestem na pewno dadzą sobie radę.

- Pojechał z Danielem?

Nie potrafiłaby wytłumaczyć dlaczego, lecz zaczęła się bać jeszcze bardziej.

- Tak mi tu chłopaki zameldowali. Wyjechali jakieś półtorej godziny temu. Niechże pani się nie zamartwia. Na pewno wszystko będzie dobrze. W przeciwnym razie Chris dałby znać, przecież oboje o tym wiemy.

Chciała mu wierzyć, naprawdę, bardzo chciała, ale jeżeli wiadomość od mordercy była rzeczywiście do niej adresowana,

z pewnością nie powinna niczego zakładać z góry. Skąd wiedział o Cassie? Skąd wiedział o jej młodszej siostrze? Jess była wtedy niepełnoletnia, więc gazety nie podawały jej imienia ani nazwiska.

A skoro wiedział, miał powód do radości. Racja była po stronie Daniela. Świadomość, że jedna z osób usiłujących go schwytać miała osobiste powody, by wyjątkowo dobrze rozumieć jego ulubiony *modus operandi*, oraz wiedziała o tabu wszystko, sprawiała zabójcy przyjemność. Ciekawe, od jak dawna Daniel to podejrzewał. Kiedy zrozumiał, że zbrodniarz zyskuje przewagę dzięki eksponowaniu smutnej przeszłości Reilly i jej mrocznych sekretów rodzinnych? Poza tym, skoro już wiedział, co zamierzał z tym zrobić?

Reilly nie miała wielkiego wpływu na bieg spraw. Podobnie jak wówczas, gdy musiała oddać zdruzgotaną czternastoletnią siostrę w ręce policji.

Kiedy Jess odszukała matkę, przekonała się, że Cassie faktycznie zostawiła rodzinę dla innego mężczyzny. I jak się tego można było spodziewać przy jej temperamencie, ich spotkanie przebiegło w burzliwej atmosferze, pełnej pretensji i gniewu. Gdy do dyskusji wtrącił się partner Cassie, rozgorączkowana nastolatka chwyciła za nóż. Jeszcze teraz, po latach, Reilly słyszała błagania Jess:

- Reilly, ja nie chciałam, naprawdę. Nie wzywaj policji. On się podkradł, to była samoobrona, przysięgam!

- Zabiłaś go... I mamę też zabiłaś.

- Naprawdę nie chciałam! Wcale nie miałam zamiaru! Ona krzyczała, ciągle się na mnie wydzierała, nawet kiedy jej powiedziałam, że okropnie za nią tęskniłam. Ja i my wszyscy, tata też. Przecież ją znasz, wiesz, że to nie moja wina!

- Chwyciła Reilly za ramię, w oczach miała szaleństwo. - Uciekajmy! Nikt nas nie widział, nikt się nie dowie!

- Jess, nie możemy tak po prostu zniknąć. Zabiłaś dwoje ludzi. - Nawet gdyby chciała, i tak nie mogła się ruszyć z miejsca. - Zadzwonimy do taty, on będzie wiedział, co...

- Nie! Reilly, nic mu nie mów! Nikomu nie mów, przecież jesteś moją siostrą, masz się mną opiekować! Musisz mi pomóc... - mówiła niezwykle rzeczowym tonem, jakby nie brała pod uwagę innej możliwości. Jakby wiedziała, że Reilly nie ma innego wyjścia - musi się podporządkować, musi jej pomóc.

- Jess, to nie tak. To poważna sprawa. Bardzo poważna. Z trudem zrobiła krok w stronę telefonu. Jess uczepliła się jej ramienia. Jej twarz wykrzywiła wściekłość.

- Nie ważysz się - stwierdziła lodowatym tonem.

Reilly zamarła. Jakim cudem nastolatka w mgnieniu oka zmieniła się z rozdygotanej dziewczyny w zimną morderczynię?

- Uważaj, co robisz - przestrzegła ją Jess - bo możesz dołączyć do mamuśki szybciej, niż ci się wydaje.

Okrutna groźba, surowy szantaż... Czy do śmierci tamtych dwojga rzeczywiście doszło w afekcie? Ta twarz ściągnięta nienawiścią, to przerażające, nieludzkie spojrzenie, takie samo jak wówczas, gdy Jess rzuciła kamieniem w Randy'ego Reynoldsa. Powiedziała wtedy: „Złych ludzi trzeba karać”.

Reilly nie zdążyła podjąć decyzji, bo po chwili zjawiała się policja. Ktoś wezwał pomoc, prawdopodobnie któryś z sąsiadów zaalarmowany odgłosami awantury. Każdą z dziewcząt osobno wyprowadzono z domu. Reilly pamiętała spojrzenie Jess, wiedziała, że siostra nigdy jej nie wybaczy. Bo przecież miała ją chronić. I takie samo spojrzenie posłała jej w sądzie tego dnia, gdy została skazana na piętnaście lat w kalifornijskim więzieniu. Śledztwo wykazało, że to Mike mimowolnie zdradził miejsce pobytu Cassie. Reilly prawie go wtedy znienawidziła. Tyle lat czekała, tak długo żyła nadzieją, że matka któregoś dnia wróci, a on przez cały ten czas wiedział, co się działo z Cassie. Czuli się zdradzona.

Teraz, gdy siedziała przy biurku, wspomnienia znowu wróciły. Oparła głowę na dłoniach.

Ostatni raz widziała siostrę właśnie wtedy, w sądzie. Później Jess konsekwentnie odmawiała spotkania z rodziną.

Nie



przyjmowała wizyt. Czas mijał, Mike pił coraz więcej, a Reilly zainteresowała się psychologią kryminalistyczną. W końcu jednak uznała, że studiowanie zabójczych umysłów pogrążonych w mroku jest dla niej zbyt trudne do udźwignięcia i wybrała zawód związany raczej z pracą na miejscu zdarzenia oraz materiałem dowodowym. Kilka lat temu Mike przeszedł w końcu na emeryturę i postanowił wyrwać się ze szponów nałogu. Wrócił do ojczyzny. Reilly go w tym wspierała, miała nadzieję, że uda mu się rozpocząć nowe życie. Ale szybko okazało się, że zmiana miejsca nie przyniosła mu spokoju ducha. Wrócił do starych nawyków.

Przyjechała więc do Dublina. Myślała, że będąc blisko, zdoła ojcu pomóc. Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że mu zaszkodziła - ściągnęła na niego niebezpieczeństwo.

- Reilly?

Podniosła głowę. Nie słyszała delikatnego pukania. W drzwiach stała Lucy.

- A, to ty. Zamyśliłam się. Wejdz.

- Nie przeszkadzam? Chciałam tylko powiedzieć... Przykro mi, że tak wyszło z moim ojcem.

- Wiedziałaś, że nie orientuję się w sytuacji. Dziewczyna spuściła wzrok.

- Właściwie to nie do końca. Wszyscy wiedzą, ta informacja jest w moich aktach... A ja staram się tego nie podkreślać w pracy.

- Lucy, jeśli kiedykolwiek zachowałam się wobec ciebie nieuprzejmie...

- Słucham? Jak to? No, nie... Jesteś zawsze taka miła... A mój ojciec... dobrze wiem, jaki potrafi być wkurzający.

- Mimo wszystko.

- Nasz układ się nie zmienia? - spytała Lucy niepewnie. - Mogę nadal pracować w twoim zespole?

Reilly najchętniej by ją przytuliła.

- Oczywiście. W życiu nie pracowałam z nikim, kto by się uczył tak szybko jak ty.

Lucy odetchnęła.

-Wielkie dzięki! Bardzo dużo się od ciebie nauczyłam i uwielbiam z tobą pracować. Zresztą, nie tylko ja, cały zespół.

- I ja lubię pracować z wami - przyznała Reilly wzruszona. - A o układy się nie martw. W pewnym sensie doszliśmy z twoim tatą do porozumienia.

- Poważnie? Niesamowite. Wściekły był jak osa.

- Co ty powiesz...

Jeszcze jej brzęczały w uszach wyrzuty zwierzchnika, chociaż przy kakofonii ponurych myśli szybko bladły.

- Chciałam powiedzieć - Lucy zrobiła dwa kroki do przodu - że z badań wtargnięcia wyłowiliśmy kilka drobiazgów.

- Położyła na biurku Reilly plik dokumentów. - W większości prowadzą donikąd. Na przykład ten włos, który Gary znalazł na schodach. Zbadaliśmy DNA, jak prosiłaś, i rzeczywiście to najwyraźniej twój włos. Powinniśmy byli o tym od razu pomyśleć - zaczęła się usprawiedliwiać, bo Reilly ściągnęła brwi.

- Mój? Na pewno? - Przerzuciła kilka kartek, szukając odpowiedniego raportu.

- Raczej tak. Profil genetyczny pasował do zarejestrowanej próbki prawie w stu procentach.

Reilly miała nadzieję, że włos znaleziony na klatce schodowej należał do napastnika. Na tej podstawie zbudowała teorię o wspólnicze zbrodniarza. Potarła czoło. Najwyraźniej Daniel miał rację, a ona się myliła.

Znalazła właściwy raport, przebiegła go wzrokiem. Rzeczywiście, próbki pasowały do siebie nieomal w stu procentach, ale zastanowił ją komentarz od laboratorium.

- Zaraz, chwileczkę... - Wstała. - Kto badał preparat? - spytała, idąc do drzwi.

Lucy deptała jej po piętach.

- Chyba Julius, a dlaczego pytasz?

Reilly nie odpowiedziała. W laboratorium podeszła od razu do niego. Pochylony nad mikroskopem z uwagą studiował jakiś preparat.

- Jakie anomalie? - spytała bez wstępów.

- Słucham?

- Napisałeś, że mimo anomalii dotyczących alleli istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż w obu próbkach występuje moje DNA.

- A, tak.

Po raz pierwszy w życiu Reilly zobaczyła na jego twarzy wyraz niepewności.

- Przeprowadziłem test dwukrotnie. -I...?

- Muszę ci coś wyjaśnić. - Wskazał konkretne miejsce na wydruku. - Na pierwszy rzut oka mamy bardzo przyzwoitą zbieżność z twoim DNA, na tyle solidną, by uznać włos za twój. Ale gdy się trochę podraży i sprawdzi allele...

Reilly przyjrzała się analizie porównawczej obu próbek. Wyniki nie były identyczne. Allele wykazywały ogromne podobieństwo, lecz różniły się miejscem w genie. Miała mętlik w głowie, nie do końca rozumiała, co widzi.

- O co chodzi? - zainteresowała się Lucy. - Wydawało mi się, że wszystko gra.

- Nie do końca. - Julius odchrząknął. - Geny się zgadzają, oczywiście, ale... jest różnica, niewielka, taka, której można by się spodziewać...

- ...u rodzeństwa - dokończył Daniel Forrest, wchodząc do laboratorium.

Tuż za nim szedł Chris.

- Reilly, chodźmy do twojego biura - zaproponował agent. - Powinniśmy spokojnie porozmawiać.

## TRZYDZIEŚCI CZTERY

- Jess? - Reilly pokręciła głową z niedowierzaniem. - Uważacie, że Jess jest w Dublinie? - Nie mieściło jej się to w głowie.

Daniel i Chris opowiedzieli, co zastali w mieszkaniu Mike'a i o kobiecie przekonanej, że jej sąsiad wyjechał z córką. Reilly odetchnęła z ulgą, ponieważ ojcu jednak nic złego się nie stało, ale nie bardzo pojmowała, co się właściwie dzieje.

- Tylko... jak to? Przecież ona może wyjść na warunkowe dopiero... - Spłoszona zerknęła na Chrisa. Najwyraźniej rodzinna tajemnica wkrótce wyjdzie na jaw. - Nie wiem, czy Daniel ci mówił...

- Nie musisz niczego wyjaśniać - wpadł jej w słowo. - Wiem, co się stało.

- Uznałem, że warto go wprowadzić - oznajmił Daniel cicho.

- Nie widziałam jej całe lata. Po tym, jak... - nadal nie potrafiła ubrać tamtych wydarzeń w słowa. - Skryła twarz w dłoniach, próbowała wziąć się w garść.

- Wyszła wcześniej - powiedział Daniel. - W zeszłym roku uzyskała zwolnienie warunkowe, a od ładnych kilku tygodni nie melduje się u kuratora.

Reilly spojrzała na niego oskarżycielsko. Daniel Forrest wytrzymał jej wzrok.

- Pozwoliłem sobie wykonać kilka telefonów.

- Do kogo?

Oszłomiła ją informacja, że młodsza siostra nie tylko została zwolniona z więzienia, ale w dodatku według wszelkich znaków na niebie i ziemi zdołała przyjechać do Dublina. Pytanie: jak tego dokonała? I jeszcze ważniejsze: po co?

- Rozmawiałem z jej kuratorem. Dowiedziałem się, że zniknęła z horyzontu. Nie widziano jej od miesiący. Kurator starał się ciebie odszukać, ale nie wiedział, że wyjechałaś. }

- A ty uważasz, że ona przyjechała tu za mną. Daniel usiadł naprzeciwko niej.

- Szczerze mówiąc, podejrzewałem to od pewnego czasu.

- Na jakiej podstawie? A nawet jeśli faktycznie tu przyjechała, co za różnica... O mój Boże... - szepnęła. - Jak to...? Uważasz, że to ona... - Przeniosła wzrok z Daniela na Chrisa, czekając, by któryś zaprzeczył, lecz oni patrzyli na nią w napięciu. Jess jest podejrzaną? Zbrodniarką? Morderczynią? Niemożliwe.

- Nie powinniśmy odrzucać takiej ewentualności - powiedział Daniel, ale jego słowa nie przebiły się przez rozedrgane emocje Reilly.

Nie dawała sobie rady z teoretycznymi następstwami tej nowej teorii, choć przecież gdzieś w głębi duszy zgadzała się z Danielem. Włamanie do jej mieszkania, fotografia rodzinna, incydent w laboratorium i jeszcze ten włos...

Dobrze, zgoda, może należało te zdarzenia przypisać Jess, ale żadne z nich nie wskazywało na powiązanie z morderstwami, prawda? Chyba że...

-Wiedziałaś - powiedziała, obracając się gwałtownie do Daniela. - Domyśliłaś się, że ona może być w to zamieszana. Dlatego tu przyjechałaś. Dlatego tak ci zależało, żeby nam pomagać na miejscu. - Wstała, jej twarz poczerwieniała z gniewu. - Jak mogłaś to przede mną ukrywać? Jak mogłaś świadomie narazić na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi? I mojego ojca?

Chris położył jej rękę na ramieniu.

- Reilly, uspokój się.

- Nie przyszło mi do głowy, że coś grozi Mike'owi - odparł Daniel cierpliwie. - Bałem się o ciebie. W końcu to ciebie Jess obarcza winą za swój los. Nigdy w życiu nikogo nie naraziłbym świadomie na niebezpieczeństwo. Miałem przecucie, owszem, ale niczego nie wiedziałem na pewno. I nie chciałem takich spraw załatwiać z tobą przez telefon. Dlatego doszedłem do wniosku, że powinienem tu przyjechać. Na miejscu łatwiej się zorientować w sytuacji i pomóc w razie potrzeby.

- Reilly, to prawda - poparł go Chris. - Nikt nie mógł przewidzieć, co się wydarzy, a zresztą i tak wszystkie morderstwa zostały popełnione przed jego przyjazdem. Nie mógł żadnemu zapobiec. A musisz przyznać, że tylko dzięki niemu mamy podejrzaną. Jess.

Czy to naprawdę możliwe? Czy jej młodsza siostra jest mordercą tabu? Była to myśl nie do zniesienia. Druzgocąca. Nagle usłużna pamięć podsunęła akronim ułożony z tytułów książek znalezionych u Clare Ryan: „Twoja wina”.

-Muszę stąd wyjść - stwierdziła Reilly i ruszyła do drzwi.

Musiała sobie to wszystko poukładać w głowie, zrozumieć, przywyknąć. Na razie czuła się przytłoczona i zagubiona. A co z ojcem? Czy faktycznie był w niebezpieczeństwie? Czy stanowił element planu Jess, która najwyraźniej chciała się zemścić?

- Reilly, dokąd idziesz?! - zawołał za nią Daniel.

Zignorowała go. Na razie nie chciała mieć z nim do czynienia. Od dawna wiedział, że Jess wyszła wcześniej z więzienia, a nie wspominał o tym ani słowem.

- Zaczekaj! - Chris dogonił ją na korytarzu. - Reilly, naprawdę musimy spokojnie porozmawiać. I to nie tylko z twojego powodu - podkreślił.

Od razu zrozumiała, co miał na myśli. Musiała odsunąć na bok osobiste pretensje, bo toczyło się śledztwo, w którym jej siostra była podejrzaną, a ojciec potencjalną ofiarą. Znajdowała się między młotem a kowadłem.

- Masz rację, wiem. - Przeciągnęła dłońmi po włosach. - Po prostu... muszę się przewietrzyć. Daniel powinien mi powiedzieć, czego się domyśla.

- Żeby mu oddać sprawiedliwość, muszę powiedzieć, że niczego nie był pewien aż do spotkania z sąsiadką twojego ojca. Wtedy opowiedział mi o Jess i zaczęliśmy składać wszystko w całość. Rzeczywiście od początku miał podejrzenia, że symbolika morderstw jest bardzo osobista i z każdą sprawą coraz wyraźniej wskazuje na ciebie. Dlatego martwił się o ciebie i tyle. Dopiero gdy usłyszeliśmy w laboratorium waszą rozmowę na temat próbek DNA, uświadomił sobie, iż właściwie nie ma wątpliwości. Twoja siostra jest zamieszana w sprawę. Nie wiemy tylko, do jakiego stopnia. Może sama popełniła te zbrodnie, może ma współnika - trudno ocenić. Ale niezależnie od tego, czy mamy ochotę, czy nie, musimy się tego dowiedzieć.

Reilly pokręciła głową.

- Widzisz... ja po prostu... muszę się z tym oswoić.

- Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co czujesz. Mimo wszystko postaraj się myśleć logicznie. Chociażby ze względu na ojca.

Reilly przygryzła wargę.

- Rozumiem.

Chris delikatnie objął ją za ramiona.

- Zdaniem Forresta Jess nie ma zamiaru skrzywdzić Mike'a. Raczej chce go wykorzystać jako przynętę, by za jego pośrednictwem zwrócić na siebie twoją uwagę.

- Pewnie ma rację - przyznała Reilly. - W końcu to mnie Jess nienawidzi, to ja ją zawiodłam.

W ustach jej zaschło, wargi miała sklejone, z oczu nagle popłynęły łzy. Poleciały po policzkach i brodzie, skapnęły na bluzkę, zostawiając mokre plamki. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Czuła na barkach ogromny ciężar. W końcu wyrwał się jej z gardła pierwotny głuchy jęk, a potem szloch. Kolana się pod nią ugięły. Gdyby nie Chris, byłaby upadła.

Podtrzymał ją, wprowadził do pustego biura.

Osunęła się na krzesło. Była mu wdzięczna za pomoc, za milczenie, za zrozumienie. Pochyliła się, ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się niepohamowanym płaczem. Łzy płynęły bez przeszkód nieprzerwanym strumieniem. Przed oczami wykwitły jej obrazy z dawnych lat: maleńka Jess z puszystymi blond włoskami ściągniętymi na czubku głowy w kucyk przypominający fontannę, Jess z szerokim, radosnym uśmiechem na twarzy. Promienna matka bawiąca się z dziewczynkami w berka. Szczęśliwy Mike z butelką piwa w dłoni. A potem mama zamknięta w sobie, milcząca, ukryta w swoim pokoju... I w końcu leżąca w kałuży krwi.

Usiadła prosto, otarła łzy. Chris puścił ją, odsunął się bez słowa. Pociągnęła nosem, wyjęła chusteczkę, osuszyła twarz.

- O rany, ale wstyd...

- Nie ma się czego wstydzić.

Wyjrzała przez okno. Spokojną ulicą szła jakaś kobieta otulona płaszczem. W drugą stronę maszerowało dwóch chłopaków. Najzwyklejsza scena pod słońcem, oddalona o lata świetlne od tego, przed czym stała Reilly, od wylzań, jakim musiała sprostać.

Jeszcze raz przetręła twarz chusteczką, po czym wsunęła wilgotny kawałek materiału do kieszeni. Wreszcie uporała się z emocjami, które narastały w niej od miesięcy. A może nawet od lat.

- Dlaczego ona cię nienawidzi? - spytał Chris niepewnie. - Dlaczego się na ciebie uwzięła?

- Uważa, że ją skrzywdziłam. Miałam się nią opiekować. Obiecałam jej nie opuścić w potrzebie. A w rezultacie zdradziłam ją tak samo jak matka.

- W jaki sposób? Bo nie pomogłaś jej uciec z miejsca zbrodni? W imię czego miałabyś to zrobić?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nie do końca to wszystko rozumiem. Wiem tylko, że mama... miała kłopoty psychiczne.



A potem Jess... ona zawsze rozumowała inaczej niż większość ludzi. Roztrząsaliśmy to z Danielem tyle razy... I doktor Kyle, mój psychiatra w Kalifornii... Obaj uważali, że Jess ma wszystkie objawy klasycznej socjopatki. Chyba po prostu nie chciałam im wierzyć. Wolałam sądzić, że do zabójstwa mamy doszło przypadkiem, że była to zbrodnia w afekcie. Teraz jednak, gdy myślę o tym, co Jess zrobiła tym ludziom... jeśli to ona...

- Jak się zachowywała, kiedy została aresztowana? Miała wyrzuty sumienia? Wyjaśniała, dlaczego zabiła dwoje ludzi?

Reilly zeszywniała.

- Nie wiem. Nie chciała mnie widzieć. Stałam się jej wrogiem numer jeden.

Trudno zliczyć, ile razy prosiła o widzenie, opowiedzieć, jak bardzo starała się porozmawiać z siostrą, wytłumaczyć jej, że niezależnie od wszystkiego nadal ją kocha. Ale Jess ani razu nie przystała na spotkanie.

- Myślałam, że ją przetrzymam... przeczekam, dopnę swego - przyznała się Chrisowi - ale nie miałam szans. Zawsze była... i jest... W życiu nie widziałam nikogo bardziej upartego. - Westchnęła ciężko. - Z początku jeździłam do więzienia co tydzień. Chciałam być na miejscu na wypadek, gdyby zmieniła zdanie. Nie doczekałam się. Potem wyjechałam do college'u i dałam sobie spokój. Zrezygnowałam.

- Zakładam, że zabójstwo matki też jest związane z obsesją tabu?

- Owszem. Pamiętam, jak Daniel mówił kiedyś na wykładzie, że ojcobójstwo, a w tym wypadku matkobójstwo, jest bezwzględnie uznawane za tabu, najwyższą formę deprawacji. - Twarz jej stężała. - Gdy teraz patrzę wstecz, widzę, że Jess zawsze trochę przypominała mamę. Łatwo popadała w skrajne emocje, lubiła przekraczać granice i łamać reguły. Mimo wszystko nie potrafię sobie wyobrazić, że byłaby zdolna do takich czynów.

Chris wstał.

- Reilly, władze zażądają odsunięcia cię od śledztwa.

W sytuacji, gdy twoja siostra jest podejrzana, a ojciec potencjalną ofiarą, mamy do czynienia z konfliktem interesów.

- Wiem, ale nie mogę siedzieć beczynn timer, gdy mój ojciec jest w niebezpieczeństwie. Poza tym muszę znaleźć Jess i spróbować ją powstrzymać. - Podniosła wzrok na policjanta. - Nikt nie zna jej tak dobrze jak ja. A na dodatek ona najwyraźniej morduje ze względu na mnie.

- Rozumiem cię doskonale, ale musisz mieć na względzie konsekwencje, myśleć o rodzinach ofiar. Nie możesz dłużej pracować nad tym przypadkiem.

- Przecież...

- Posłuchaj. Jeśli to twoja siostra, jeżeli to faktycznie ona, możemy ją złapać i złapiemy. Ale nie możemy ryzykować zaprzepaszczenia szans oskarżenia jej w procesie sądowym. Przecież każdy fragment materiału dowodowego jest oznaczony konkretnym nazwiskiem i doskonale wiesz, że jeśli będziesz nadal pracowała nad tą sprawą, wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy, zda się psu na budę. Możesz nawet stracić pracę.

- Wiem.

Chętnie by walnęła pięścią w ścianę. Chris miał rację, oczywiście, tylko jak się z tym pogodzić? W grę wchodziła jej rodzina. Czy naprawdę nie było innego wyjścia? Miała siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy ktoś inny będzie się starał posprzątać cały ten bałagan?

- Porozmawiam z O'Brienem - oświadczyła ponuro.

Chris odetchnął z ulgą. Najwyraźniej spodziewał się większego oporu. Ale Reilly nie była głupia i doskonale zdawała sobie sprawę, o jaką stawkę toczy się gra.

- Najpierw jednak - dodała - muszę zajrzeć do mieszkania ojca. Może znajdę jakąś wskazówkę, może domyślę się, dokąd pojechali czy też... dokąd go zabrała...

- Przykro mi, na to również nie mogę pozwolić.

- Jak to? Przecież to mieszkanie mojego ojca.

- Które teraz jest istotne w dochodzeniu kryminalnym - uciał Chris.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Niestety, wiedziała doskonale, że miał związane ręce. Chciało jej się wyć.

- Posłałem tam ludzi. Mają je przeczesać, szukać czegoś przydatnego, a konkretnie czegoś, czego nie posprzątała nieoceniona sąsiadka. Może nawet bezużytecznego jako materiał dowodowy, lecz przydatnego jako podpowiedź. Albo przynajmniej ocenić, czy Jess rzeczywiście namówiła Mike'a do wyjazdu, dokończyła Reilly w duchu.

- Czy sprawę będzie prowadził Gorman? - spytała. - Bardzo bym tego nie chciała.

- Nie mamy wielkiego wyboru. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Wiem, jakie masz o nim zdanie jako o człowieku, ale bezsprzecznie jest dobrym śledczym. No i nie będzie działał sam.

Miał na myśli zespół ludzi, któremu Reilly poświęciła tyle czasu i wysiłku.

Odwróciła wzrok, bezradna jak nigdy wcześniej. Musiała siedzieć beczynnym, polegać jedynie na ludziach, dla których sprawa nie miała charakteru osobistego.

- Stanowią naprawdę dobry zespół - powiedział Chris. - Wiesz o tym doskonale.

Niechętnie przyznała mu rację.

- Po prostu im zaufaj - podjął Chris. - Co więcej: zaufaj nam, że doprowadzimy sprawę do końca.

- Ufam wam - powiedziała ochryple, chociaż bardzo trudno jej było pogodzić się z odsunięciem od śledztwa. - Powiedziałam ci już: porozmawiam z O'Brienem... pod jednym warunkiem.

Chris spojrział na nią pytająco.

- Daj mi trochę czasu - poprosiła. - Chcę przejrzeć akta. -Reilly...

- Chris, proszę cię. Nie jako gliniarza, ale jako przyjaciela. Potrzebuję najwyżej kilku godzin. Nie będę więcej pracowała przy tym dochodzeniu, nie ma innego wyjścia.

Ale też pamiętaj, że zostanę odsunięta jedynie w przypadku, gdy Jess zostanie oficjalnie uznana za podejrzaną, a na razie jedynie rozważamy takie domniemanie. Daj mi trochę czasu. Najwyżej do wieczoru.

- Reilly, doskonale zdajesz sobie sprawę...

- Czasami trzeba odstąpić od zasady. - Znacząco popatrzyła na lewe ramię Chrisa, nie pozostawiając wątpliwości, że miała to być aluzja do jego choroby. Chwył poniżej pasa, jasne, lecz była zdesperowana.

Detektyw długi czas mierzył ją wzrokiem. W końcu westchnął zrezygnowany. Miała go w garści.

- Nadal uważam to za bardzo zły pomysł.

- Daj spokój, nie jest taki fatalny. Ostatni raz przejrzy materiał dowodowy. Od jutra dochodzenie to nie będzie mnie dotyczyło.

Na długi czas zapadła cisza.

- Proszę cię, jesteś mi to winien.

- Możemy przez to oboje wylecieć z roboty.

- Ależ skąd. Ty o niczym nie wiesz. Daniel słowa nie piśnie, jeśli się nie odezwiesz, a poza nami trojgiem nikt nic nie wie, prawda?

- Właśnie miałem dzwonić do Kennedy'ego...

- Proszę cię o kilka godzin, o nic więcej. Potem znikam, przysięgam.

Chris prawie niedostrzegalnie skinął głową, a Reilly w duchu odetchnęła z ulgą.

- Masz czas do jutra, do ósmej rano - oznajmił. - Na porannej odprawie wszyscy pogadamy z O'Brienem. - Ruszył do drzwi. - A tej rozmowy nigdy nie było.

- Jasne, oczywiście. Ale będziesz mnie na bieżąco informował, dobrze? Przecież zawsze mogę okazać się pomocna... Oczywiście nieoficjalnie...

- Reilly, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić - stwierdził Chris. - A teraz muszę wracać do pracy, pilnować, żeby nie stało się coś złego.

## TRZYDZIEŚCI PIEC

- Masz rację - przyznał Daniel Forrest. - Powinienem był ci powiedzieć.

Zapadł już wieczór. Siedzieli oboje w mieszkaniu Reilly, przeglądali akta spraw, szukając czegokolwiek, co by im pomogło odnaleźć Jess, a co za tym idzie - Mike'a.

- Po pierwsze, nie chciałem cię denerwować. A po drugie, wpływać na twoje działania w śledztwie. Nie miałem żadnej pewności. Musiałem traktować ten przypadek jak każde inne zlecenie i odsunąć na bok powiązania osobiste.

-I oczywiście właśnie dlatego tak chętnie przyjechałeś do Irlandii. -Tak.

Chociaż z zawodowego punktu widzenia teoretycznie rozumiała racje Daniela i nawet się z nimi zgadzała, nadal czuła się pokrzywdzona i w pewnym sensie zdradzona. Powinien był przynajmniej zawiadomić ją o wyjściu Jess z więzienia.

Jako wykładowca w Akademii FBI znał historię jej rodziny. Gdy z czasem zyskał jej zaufanie, zdarzało im się w Quantico rozpatrywać tę złożoną sytuację. Reilly bardzo chciała zrozumieć, co się takiego stało, że młodsza siostra okazała się osobą zdolną do popełnienia potwornej zbrodni. Profilerka natomiast fascynowała historia rodzinna uczennicy oraz wpływ tamtych wydarzeń na jej dalsze życie.

Co więcej, Reilly, pamiętając o słabej kondycji psychicznej matki, obawiała się, że i ona sama może mieć predyspozycje genetyczne do zaburzeń, jakie ujawniły się u młodszej siostry. Prześladowała ją ta obawa bez przerwy i nie pomagały zapewnienia doktora Kyle'a ani Daniela, że jeśli chodzi o ludzką psychikę, nic nie jest z góry przesądzone.

Zawsze utrzymywała, że młodsza siostra nie jest z gruntu złym człowiekiem, a jej osobowość doznała uszczerbku na skutek przykrych wydarzeń z dzieciństwa i traumy spowodowanej porzuceniem przez matkę rodziny. Tymczasem Daniel z uporem maniaka powtarzał: ludzie ze skłonnościami socjopatycznymi lub psychopatycznymi się rodzą i ulegają im niemal zawsze, niezależnie od sytuacji rodzinnej czy środowiska. Mimo wszystko ciągle się bała.

Wstała, przeciągnęła się. Nie chciała teraz o tym myśleć.

- Nie wiem, o co jej chodzi - wyznała. - Co chce osiągnąć. Forrest spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Daj spokój, przestań się oszukiwać. Naprawdę nie wiesz, o co chodzi? Przecież to klasyczne przeciąganie liny.

Siostra rzuciła ci wyzwanie.

- Na pewno obwinia mnie o śmierć mamy i jej przyjaciela. O to, co sama zrobiła. I chce mnie za to ukarać. „Twoja wina”.

Wróciła na sofę. Świadomość, że Jess może być w pobliżu, obserwować ją, a może nawet śledzić, nie była miła, mimo to nie potrafiła sobie wyobrazić, by siostra chciała ją skrzywdzić lub nawet zabić. Gdyby naprawdę nosiła się z takim zamiarem, miała wiele możliwości, by go wprowadzić w czyn. Woląla jednak rzucić Reilly wyzwanie na polu zawodowym. Najwyraźniej zamierzała ją ukarać jakoś inaczej.

- Sama kiedyś przyznałaś - odezwał się Daniel - że Jess ma bardzo prymitywne wyobrażenie o tym, co dobre, a co złe. Oko za oko...

- A teraz wywiozła tatę i chce, żebym ich znalazła. Na jakiś czas zapadła cisza.

- Co będzie dalej? - spytał Daniel.
  - Naprawdę nie mam pojęcia.
  - Obsesja na punkcie tabu... - zamyślił się. - Biorąc pod uwagę jej historię, jako psycholog kryminalny zaryzykowałbym stwierdzenie, że ten aspekt jest szczególnie istotny.
  - Na pewno. Od małego lubiła przeciągać strunę, nakłaniała innych do łamania reguł. Jakby sprawiało jej to wyjątkową przyjemność. Nie mogłam przewidzieć, do czego to doprowadzi.
  - Oczywiście. Kto by się tego spodziewał? Opowiedz mi o jej relacjach z rodzicami. Wszystko, co pamiętasz.
  - Od małości zawsze obserwowała ludzi. Dostrzegała różne szczegóły, które innym umykały. - Zapatrzyła się w dal. - Tatę zawsze uwielbiała. Dlatego trudno mi uwierzyć, by mogła go skrzywdzić. Istniała między nimi szczególna więź, zupełnie inna niż między nami, zwłaszcza po odejściu mamy. Ona była jeszcze małym dzieckiem, więc oboje się nią zajmowaliśmy. Zawsze byłam przekonana, że właśnie dlatego zabiła mamę... Ją i jej przyjaciela. Jej zdaniem Cassie skrzywdziła Mike'a.
- Taką miała nadzieję, tego się trzymała, gdy usiłowała doszukać się w tej zbrodni jakiegoś sensu. Przyjęła, że Jess popełniła straszliwy czyn z miłości i lojalności w stosunku do ojca zdruzgotanego po odejściu żony. Ale zarówno ona, jak i Mike bronili się w ten sposób przed myślą, że w rzeczywistości nie o to chodziło. Sprawa była znacznie bardziej skomplikowana.
- Więc dlaczego teraz go wywiozła? - spytał Daniel. - Po co go wciągać w wir zdarzeń?
- Zwróciła uwagę na zmianę tonu głosu. Najwyraźniej agent próbował ją naprowadzić na jakiś ślad.
- Twoim zdaniem wykorzystuje go jak pionek w rozgrywce?
  - Zobacz, co zrobiła do tej pory. Przy każdym morderstwie zmuszała ofiary do czynów najbardziej dla nich nienawistnych. Pomyśl. Co jest najbardziej odrażające dla Mike'a i dla ciebie?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Nie umiała nawet ogarnąć rozumem odpowiedzi na to pytanie, bo takie myślenie było jej całkowicie obce. Jak zresztą wszystko, co Jess zrobiła do tej pory.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Naprawdę nie wiem, ale tak czy siak już się boję.

- Oczywiście - zgodził się Daniel. - A twój strach sprawia jej przyjemność. Jest dla niej szalenie istotny.

- Rzuca mi wyzwanie? Chce być zauważona?

- Tak. Najprawdopodobniej wie, że zdążyłaś się zorientować w sytuacji i starasz się dociec, co będzie dalej. Właśnie to sprawia jej przyjemność.

W myślach przebiegła po wydarzeniach z ostatnich dni. Obrazy goniły jeden za drugim.

- Włamanie do mieszkania, wtargnięcie do laboratorium, mieszkanie taty... Obserwuje mnie od dłuższego czasu, prawda?

- Tak mi się wydaje.

Chociaż zdaniem Daniela Mike'owi nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo, jak dla niej wszystko zapowiadało następne morderstwo. Tylko kto miał zginąć tym razem? Jess już udowodniła, że potrafi dotrzeć do Reilly wszędzie i o każdej porze: w domu, w pracy - obojętne. Jeśli więc to ją zamierzała zabić, miała ku temu niejedną sposobność. Nie o to chodziło. Każde morderstwo było jak obraz, jak wyjątek ze sztuki teatralnej. Upozowane ofiary miały ukazać Jess jako artystkę tworzącą ponure dzieło opowiadające jej historię. Ale co dalej? Ani nowe informacje, ani cały zgromadzony do tej pory materiał dowodowy nie przybliżały ich do odgadnięcia jej zamiarów. Nadal to ona miała całkowitą kontrolę nad sytuacją.

Reilly wstała, podeszła do ekspresu do kawy.

- Muszę sobie zrobić przerwę.

Była bardzo zmęczona. Po wydarzeniach z ostatnich godzin, a właściwie dni, nie dawała sobie rady z emocjami. Dla dobra ojca jednak, a także przez wzgląd na inne osoby, które Jess



mogłaby obrać sobie za cel, przekonywała siebie, że najzwyczajniej w świecie rozwiązuje kolejną sprawę. I tak właśnie musi ją traktować.

- O czym myślisz? - zapytał Daniel, biorąc od niej kubek z kawą.

Usiadła naprzeciwko, zapatrzyła się w przestrzeń.

- Jeśli to rzeczywiście Jess i jeżeli robi to wszystko po to, by rzucić mi wyzwanie, żeby mnie ukarać, dlaczego zabija ludzi z nami niezwiązanych?

- Ze względu na twoją pracę. Chce cię osłabić. Twoim zadaniem jest szukanie fragmentów łamigłówek i pomoc policji w ułożeniu całego obrazu. Dla osoby takiej jak Jess to wyłącznie współzawodnictwo. Moralność nie ma żadnego znaczenia. A dlaczego wybiera te, nie inne osoby... Cóż, mam pewną teorię

- Tak?

- Detektyw Delaney streścił mi rozmowę z pewnym świadkiem, bezdomnym mężczyzną, który rozpoznał tę młodą dziewczynę z pierwszego morderstwa oraz turystę.

- Zgadza się. Zdaniem policji wszystkie ofiary może łączyć motyw dobroczynności.

- Jess po przyjeździe do Irlandii musiała się ukryć, przynajmniej na pewien czas, póki nie zorganizowała sobie jakiejś mety. Kryminaliści przebywający w obcym kraju często wchodzą w środowisko bezdomnych. Zyskują dzięki temu wyżywienie i dach nad głową, a ponadto stają się kompletnie niewidzialni.

Rzeczywiście. Ciekawe, gdzie się przyczaiła Jess. Gdzie siedziała, gdy budowała plan.

- Przynajmniej dwie, a raczej trzy spośród ofiar miały zwyczaj pomagać ludziom w potrzebie - ciągnął Daniel. - Jess mogła się z nimi zetknąć. To bardzo prawdopodobne. Młoda ładna dziewczyna między ulicznymi żebrakami na pewno przyciągała większą uwagę niż pijący albo narkomani.

- Twoim zdaniem Jess wybrała tych ludzi na swoje ofiary, ponieważ jej pomogli?

Koszmar. Jeszcze gorszy, niż gdyby ich wybrała losowo.

- Cóż, dla wielu osób pomoc innym, a zwłaszcza ludziom w poważnych kłopotach, stanowi tabu. Większość z nas nie lubi przekraczać akurat tej granicy podziału społecznego zwykle ze strachu. W głębi serca nie chcemy mieć styczności z przykrą rzeczywistością, ponieważ podobny los teoretycznie może spotkać każdego. Niektórzy jednak, jak nasz student Watson albo biznesmen Redmond, nie tylko zdają sobie sprawę z istnienia życiowych wzlotów i upadków, ale idą jeszcze krok dalej i starają się pomagać innym. Obalają więc społeczne tabu, w tym wypadku pozytywnie.

- Mogła ich wybrać z tego powodu - zgodziła się Reilly. - Ostatnie dziesięć lat spędziła głównie w towarzystwie osób, które starały się jej pomóc, prowadziły rehabilitację.

- Właśnie. A znając jej losy, mogę zaryzykować stwierdzenie, że taka cecha charakteru ją intryguje. Z pewnością rzuca to nieco światła na sprawę i może wyjaśnić, dlaczego z rąk jednego mordercy zginęły tak różne osoby. Może Jess z nimi rozmawiała, raz albo często, i w taki sposób uzyskiwała informacje o ich życiu. Potrafi to robić, jeśli chce, wiemy o tym oboje.

Reilly musiała się zastanowić. Rzeczywiście, najwyraźniej ludzie, którym Jess odebrała życie, starali się jej pomóc. A ona im pięknie odpłaciła za troskę.

- Zgaduję, o czym myślisz - powiedział Daniel. - Zapewniam cię, dla osób takich jak twoja siostra moralność nie ma najmniejszego znaczenia. Nie istnieje.

I dlatego zginęły osoby, których jedynym przewinieniem była chęć niesienia pomocy. Reilly odstawiła pusty kubek po kawie.

- Jak uważasz, czy ona w dalszym ciągu obraca się w tym środowisku? Może zabrała tatę do schroniska dla bezdomnych?

- Nie - stwierdził Daniel zdecydowanie. - Schronisko było dobre na dwa, góra trzy tygodnie, zanim wyszukała sobie jakąś kryjówkę.

Tylko gdzie? Powiodła wzrokiem po aktach. Między nimi musiała się znajdować wskazówka, gdzie szukać Mike'a. Daniel zauważył jej spojrzenie.

- Nie jestem pewien, czy mamy odpowiedź w zasięgu ręki. Raczej Jess dorzuci nam kilka okruchów informacji w dogodnym dla niej momencie. Tak działa od samego początku.

Reilly martwiło głównie to, że ona już tych okruchów nie będzie zbierała.

- Skonstruowała szczegółowy plan - podsumował Daniel

- i bez wątpienia będzie go realizowała dopóty, dopóki jej nie złapiesz. Powinniśmy się więc wysilić i pomóc policji jak najszybciej ją znaleźć.

Reilly spojrzała na zegarek. Druga nad ranem. A spotkanie z O'Brienem było umówione na ósmą. Czas uciekał.

- Będę nad tym siedziała całą noc, jeśli trzeba - powiedziała. - Ale ty powinieneś już wracać do hotelu. Zapomniałam, gdzie mieszkasz.

- W Merrionie. Jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie zostanę. Najwyżej zdrzemnę się w salonie.

- Daj spokój, nie ma takiej potrzeby.

- Ależ owszem, jest. Raczej przeszkadzam policji, niż pomagam, a teraz wreszcie zacząłem widzieć światelko w tunelu.

- Dobrze, jak chcesz. - Wstała i podeszła do bielizniarki.

- Zaraz przygotuję ci spanie.

W zasadzie była zadowolona z towarzystwa. Nie chciała tej nocy zostawać w domu sama. Przecież Jess ją obserwowała, miała dalsze plany. Kto wie jakie? Otworzyła bielizniarkę i zmartwiała.

- Nie przejmuj się mną - zaprotestował Daniel. - Naprawdę nie ma potrzeby. Zdarzało mi się sypiać z głową na biurku...

- przerwał, zaskoczony jej bezruchem. - Co się stało?

Reilly była blada jak ściana.

- Boże drogi...

## TRZYDZIEŚCI SZESZ

Spotkanie rozpoczęło się zgodnie z planem o ósmej, a kwadrans później Reilly nadal nie było. Chris zaczął się denerwować. Przecież zgodziła się, chociaż niechętnie, przekazać śledztwo w inne ręce. Czyżby zmieniła zdanie i postanowiła, nikomu nic nie mówiąc, prowadzić sprawę dalej po swojemu? Tylko tego mu było trzeba. Już żałował, że umożliwił jej dostęp do akt i materiałów dowodowych. Dał się podejść jak jaki głupi, wziąć pod włos. Podjął nieprofesjonalną decyzję, bo wzruszyła go troska Reilly o ojca. No i uległ wymówce, że wcześniej ona nieformalnie mu pomogła.

Oby przyszła. Oby się pokazała. Byle odparła przynajmniej niektóre zarzuty, a może i pomogła nieco uspokoić O'Briena, który jeździł na nim i Kennedym jak na łysej kobyle.

- Panowie! Media już mają z mordercą tabu używanie na całego, a wy mi jeszcze mówicie, że w sprawę jest zamieszany jeden z naszych pracowników?! - grzmiał inspektor.

- Niezupełnie naszych - sprzeciwił się Gorman gładko.

Chris gotów był postawić duże pieniądze w zakład, że staruszek w duchu śpiewa z radości. Podobały mu się najświeższe informacje.

- Od początku byłem zdania - ciągnął Gorman - że pani Steel nie należy ufać. Już te jej metody...

- Przestań chrzanić - warknął Kennedy.

Chris podniósł na niego zdumiony wzrok. Owszem, już od jakiegoś czasu partner traktował Reilly z szacunkiem, choć nadal bez entuzjazmu, ale też wyraźnie się rozpromienił na wieść, że siostra agentki jest podejrzaną w sprawie, a co za tym idzie, nie było mowy, by Reilly Steel nadal pracowała przy dochodzeniu.

- Gdyby nie jej skojarzenia i przeczucia, daleko byśmy nie zaszli - dokończył starszy detektyw.

- A skąd możemy wiedzieć, czy te tak zwane skojarzenia i przeczucia nie są wytworem wyobraźni pani Steel? - Zdennerwował się Gorman. - Może mają za ceł głównie zmylenie śladów? Nie mamy pewności, czy amerykańska agentka sama nie jest uwikłana w sprawę. Kto wie, czy nie chroni siostry?

- Przepraszam - nie wytrzymał Chris. - Przecież akta pani Steel, a w tym historia jej rodziny, nie stanowią tajemnicy. Jeżeli nasi przełożeni skierowali ją do tej pracy, na jakiej podstawie my mamy negować ich decyzję? Prawda, szefie?

- Muszę przyznać, że z początku zgadzałem się z Jackiem, ale owszem, ja również znałem sytuację rodzinną pani Steel, zanim została włączona do zespołu PLK. Powiedziano nam również, że jej młodsza siostra siedzi za kratkami.

- Wyszła dopiero pół roku temu - powiedział Daniel Forrest, który do tej pory się nie odzywał.

Ciekawe, czy Reilly wybaczyła mu milczenie w tej sprawie, zastanowił się Chris.

- I co w związku z tym, panie agencie? - spytał inspektor. - Pan jest ekspertem. Czy młodsza siostra może być w to zamieszana?

- Tego się obawiam. Jessica Steel to klasyczna socjopatka. Znam jej charakterystykę psychologiczną i potwierdzam: tak, moim zdaniem jest zdolna do gwałtownych czynów. Prawdopodobnie to ona jest naszym mordercą.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego morduje - stwierdził kwaśno O'Brien. - Bo już odsuwam na bok kwestię, jak się dostała do Irlandii. To sprawa pańskich ludzi w Stanach.

- Nie rozumiem, po co w ogóle się nią zajmujemy - powiedział Gorman. - Przeczytałem wszystkie akta i nie znalazłem nic, ani strzępka dowodu na poparcie tezy pana Forresta, że Jessica Steel jest związana z morderstwami, o których mowa. Na razie wygląda mi to na osobistą rozgrywkę między członkami rodziny i zaciemnia prawdziwy obraz. Zajmuje nam czas i przeszkadza schwytać prawdziwego sprawcę!

Chris w duchu przyznawał mu rację. Rzeczywiście ani włamanie do mieszkania Reilly, ani wtargnięcie do laboratorium, ani blond włos na klatce schodowej nie świadczyły o powiązaniu Jessiki Steel z morderstwami i mogły być postrzegane jedynie jako incydent rodzinny. Przeczyła jednak temu opinia Daniela Forresta, który uważał młodszą siostrę Reilly za zbrodniarkę.

- Rozumiem punkt widzenia pana Gormana - odezwał się agent - ale dysponujemy pewnymi domysłami...  
O'Brien przewrócił oczami.

- Domysły! Całe to cholerne dochodzenie opiera się na domysłach! - Powiódł wzrokiem po obecnych. - Czy mamy jakikolwiek dowód? Prawdziwy, solidny dowód świadczący o udziale pani Jessiki Steel w morderstwach? -  
Przerwał. - Czy ktokolwiek ma cokolwiek? I gdzie, do cholery, jest pani Reilly Steel?!

Dobre pytanie, pomyślał Chris, spoglądając na drzwi.

- Spodziewałem się zastać ją tutaj! - grzmiał inspektor. - Powinna odpowiedzieć na nasze pytania, powinna się czuć odpowiedzialna!

- Kwestionuje pan lojalność pani Reilly? - zapytał Daniel Forrest z niedowierzaniem.

- Proszę pana. - O'Brien bardzo starał się utrzymać spokojny ton. W końcu ustosunkowany najlepszy amerykański agent to nie byle kto. - Znam pana opinię o pani Steel. Był pan jej nauczycielem.

- Zgadza się.

- Mimo to nawet pan musi przyznać, że mamy bardzo słabe przesłanki, by wystosować międzynarodowy list gończy.

W najlepszym razie Mike Steel pije w jakimś barze. W najgorszym jest ze swoją córką.

- Która zabiła dziewięć osób - przypomniał mu Daniel.

- Właśnie! - przyłączył się Gorman. - Wspaniała rodzinka! Mamy podejrzaną o morderstwo, której siostra należy do śmietanki PLK! - Wyszła z niego cała gorycz nagromadzona od ostatniego spotkania z Reilly. - A teraz ta pani insynuuje, opierając się na bardzo kruchych podstawach, że jej młodsza siostra porwała ojca i zamierza go zabić. Daniel wstał wolno.

- Już pan wychodzi? - spytał O'Brien jadowitym tonem. - Będzie nam pana brakowało.

Agent pochylił się, opierając dłonie na blacie stołu.

- Reilly Steel jest jednym z najlepszych śledczych, z jakimi miałem okazję pracować. Powinniście być dumni, że znalazła się w waszym zespole. W tym departamencie stanowi atut nie do przecenienia. Wyłącznie dzięki niej poczyniliście postępy w śledztwie.

- Jeśli się opierać na pana słowach, to jest również przyczyną całego tego bałaganu! - huknął Gorman. - Gdyby siedziała u siebie, dziewięciu niewinnych Irlandczyków nadal by się cieszyło życiem!

- Wini pan Reilly o śmierć tych ludzi? - wyrwało się Chrisowi z niedowierzaniem. - Czyli jednak uważa pan jej siostrę za morderczynię?

Gorman zorientował się, że sam sobie przeczy. Wzruszył ramionami i na tym poprzestał.

- Tu musimy się zgodzić - przytaknął O'Brien. - Rzeczywiście, gdyby pani Steel nie przyjechała do Dublina, nie byłoby tu również jej młodszej siostry. Jakbyśmy mało jeszcze mieli na głowie...

- A co z moim ojcem? - odezwał się kobiecy głos. Chris odetchnął z ulgą. Wreszcie przyszła.

Reilly wślizgnęła się do sali niezauważona i dopiero teraz zwróciły się na nią wszystkie oczy. Twarz miała kredowobiałą.

- Czy spróbujemy go znaleźć, zanim Jess zabije po raz kolejny?
- Żąda pani, żeby pół departamentu biegło za pani ojcem? - zadrwił Gorman. - Może pani go szukać sama. Radzę zacząć od barów przy Capel Street.
- Racja - poparł go O'Brien. - Przykro mi, nie mamy wolnych ludzi. Sprawy rodzinne proszę rozwiązywać we własnym zakresie. - Spojrzał na Delaney'a i Kennedy'ego. - Z tego co widzę, w kwestii mordercy tabu jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu, więc dopóki nie pojawi się coś konkretnego, dopóty mają panowie pamiętać o istnieniu mniej więcej setki innych nierozwiązanych spraw...
- Pojawiło się coś konkretnego - przerwała mu Reilly. Chris spojrział na nią zaintrygowany.
- Spóźniłam się, bo musiałam coś sprawdzić w laboratorium. Chciałam mieć pewność.
- Tak? Słuchamy. - O'Brien tracił cierpliwość. Reilly spojrzała Chrisowi w oczy.
- Mamy dowód łączący moją siostrę z morderstwami. Prześcieradło, którym uduszono Jima Redmonda. Jest moje.



## TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Spotkanie wkrótce się skończyło. Zgodnie z przewidywaniami Reilly została odsunięta od sprawy.

Zajrzała do biura spakować osobiste drobiazgi. Już kończyła, gdy wszedł Daniel z kamiennym wyrazem twarzy.

Dokładnie zamknął za sobą drzwi.

- Poszło jak po maśle - stwierdził i uśmiechnął się kpiąco.

- Przynajmniej w końcu traktują nas poważnie i uznali Jess za główną podejrzaną.

Chociaż w poszukiwaniach ojca Reilly nie zaszli daleko, przynajmniej zrobili krok we właściwym kierunku. Chris i Kennedy pojechali przesłuchać sąsiadkę Mike'a i rozpytać się w okolicy, czy ktokolwiek cokolwiek widział lub słyszał. Zespół PLK z Jackiem Gormanem na czele szukał w materiale dowodowym jakichś wskazówek na temat miejsca pobytu Jess i jej dalszych planów.

Reilly źle znosiła tę sytuację. Z niecierpliwością liczyła godziny pozostałe do momentu, gdy będzie mogła wejść do mieszkania ojca i spokojnie się tam rozejrzeć.

Daniel rzucił jej na biurko plik dokumentów.

- Kopia oficjalnego profilu - powiedział, patrząc jej w oczy. - A także raport z kalifornijskiego więzienia dla kobiet. Interesująca lektura. Zaznaczyłem fragmenty moim zdaniem najistotniejsze, między innymi listę książek o tematyce psychologicznej, które Jess wypożyczała, a także sprawozdania psychologa więziennego. - Wskazał kilka

wyjatków zaznaczonych żółtymi karteczkami samoprzylepnymi i opatrzonych odręcznymi komentarzami. - Swoją drogą, wszystko to straciło teraz na znaczeniu, bo kto zna Jess lepiej niż ty?

- Chciałabym, żeby to była prawda.

- Nie będę ci już potrzebny - powiedział Daniel z uśmiechem.

Reilly zamierzała zaprotestować, ale ją powstrzymał.

- W zasadzie w ogóle mnie nie potrzebowałeś. Przyjechałem tu poczynić obserwacje, a przy okazji...

- ...skierować mnie na właściwą drogę? - uśmiechnęła się Reilly.

- Sama byś do wszystkiego doszła. Martwiłem się tylko, że... No, wiesz, najciemniej pod latarnią. Tak samo jak poprzednio.

Reilly przygryzła wargę. Nie lubiła wracać myślami do dnia śmierci matki.

- Wtedy w żaden sposób nie mogłam jej powstrzymać, ale teraz może mi się uda.

- Pamiętaj, nie byłaś i nie jesteś odpowiedzialna za czyny siostry. Podkreślałem to wtedy i podkreślam znowu.

Wbrew temu, co ci się wydaje, jesteście różne jak biel i czern.

Łatwo powiedzieć, pomyślała Reilly.

- Jess na ciebie czeka - ciągnął Daniel. - Ojciec jest przynętą, więc chociaż zostałeś wykluczona z udziału w śledztwie, nadal możesz okazać się pomocna.

- Jestem kompletnie bezradna - wyznała. - Nie wiem, od czego zacząć.

- Wierzę w ciebie. Tylko nie rób głupstw. Reilly skrzywiła się paskudnie.

- Czułabym się znacznie lepiej, gdybym miała broń.

- Trzeba czasu - powiedział Daniel miękko - żeby przywyknąć do jej braku. - Poklepał się po żebrach. - Ja mam wrażenie, że jestem goły.

Zapadła cisza. Nagle Reilly zrozumiała.

- Wracasz do Stanów. Daniel pokiwał głową.
  - Dlaczego? - spytała, nie kryjąc rozczarowania. Nie powinien wyjeżdżać teraz, w kluczowym momencie.
  - Muszę. Jest przełom w sprawie, nad którą pracuję. Potrzebują mnie w kraju. Zresztą i tak nie zamierzałem tu siedzieć długo, najwyżej kilka dni, by się upewnić, że nic ci nie grozi. Teraz to wiem.
  - Tak sądzisz? - Reilly zaśmiała się głośno.
  - Nie sądzę, tylko wiem. Pochylił się, cmoknął ją w policzek.
- Smutno jej było, że Daniel wyjeżdża, lecz musiała przyznać mu rację. Sama jego obecność podtrzymywała ją na duchu, a niektóre wskazówki równały się olśnieniu, lecz rzeczywiście prowadzenie sprawy należało do Chrisa, do niej i jej zespołu.
- Mam zamówiony samochód do hotelu. Jeszcze się po południu pożegnam z twoimi ludźmi... Swoją drogą, wykonałaś kawał dobrej roboty. Twój zespół świadczy o twoich umiejętnościach.
  - Uważaj na Lucy - zażartowała niewesoło. - Oby cię nie dopadła.
  - Która to Lucy? - spytał, mrużąc oko.
  - Chcesz powiedzieć, że nie zwróciłeś uwagi na śliczną blondynę o wielkich niebieskich oczach? - uśmiechnęła się szeroko.
- Uścisnęli się na pożegnanie. Mocno, serdecznie, przyjaźnie i z szacunkiem.
- Bądź ostrożna - powiedział Daniel w końcu. - Twoja siostra jest równie bystra jak ty, ale nie ma zahamowań. Jak oboje wiemy, nie istnieją dla niej żadne ograniczenia.

## TRZYDZIEŚCI OSIEM

Następnego dnia Reilly wreszcie stanęła w progu mieszkania ojca. Przyjechała z Chrisem. Miejsce zostało dokładnie przeszukane, teraz ona mogła się tu swobodnie rozejrzeć.

Niezależnie od śledztwa musiała znaleźć ojca. A skoro potencjalnie łączyło się to z odnalezieniem głównej podejrzanej o serię morderstw, Chris chętnie dotrzymał jej towarzystwa.

Pociągnęła nosem.

- W życiu tu tak nie pachniało.

- Fakt. Sąsiadka się napracowała.

- Głupia baba - wycodziła Reilly przez zęby.

Pani Kelly bardzo skutecznie zatarła wszystkie ślady. Ponieważ Jess miała zwyczaj zostawiać wskazówki, Reilly ciągle żywiła nadzieję, że znajdzie coś, czego nie dostrzegli śledczy, którzy przecież nie mieli osobistych związków z podejrzaną. Coś, czego znaczenie tylko ona mogła ocenić. Rozmawiała wcześniej z panią Kelly, chciała się dowiedzieć czegoś więcej na temat wyjazdu ojca.

- Czy dobrze wyglądał? - spytała, nie kryjąc obaw. - Nic mu nie dolegało?

Sąsiadka preraźliwie cuchnęła papierosami.

- Wyglądał normalnie - odparła, przyglądając się agentce z ciekawością. - A bo co?

- Ciekawe, czy sobie chlapnął przed podróżą - rzucił Chris niezobowiązującym tonem.

Reilly od razu odgadła jego intencje: chciał się zorientować, czy Jess wstrzyknęła ojcu pentobarbital.

- Chyba tak - odparła sąsiadka. - Ale teraz, jak pan spytał, to tak się zastanawiam, czy on faktycznie był całkiem zdrow?

- W jakim sensie?

- O, normalnie to on nie jest zbyt rozmowny. Trudno z niego wyciągnąć słowo. A wtedy jak się rozgadał, to mu się usta nie zamykały. Ze córka przyjechała z Ameryki, wróciła do korzeni i takie tam w ten deseń. - Przeniosła wzrok na Reilly. - Właściwie dlaczego policja mnie wypytuje o pani ojca? Stało się coś złego?

Reilly zignorowała pytanie.

- Powiedział może, dokąd się wybierają?

- Nie, nie powiedział i w ogóle właściwie tobym nic nie wiedziała o jego wyjeździe, gdybym na nich przypadkiem nie wpadła. - Zaciśnęła wargi. - Niczego sobie chłop z tego pani ojca, ale wylewny to on nie jest.

Reilly pokiwała głową.

- W sumie to ja napomknęłam, że mogę zerknąć na mieszkanie pod jego nieobecność, a on powiedział, że będzie wdzięczny, i potem już wsiedli auta.

- Naprawdę pani nie pamięta, jaki to był samochód? - zapytał Chris.

- Nic więcej sobie nie przypomniałam. Był duży i chyba czarny, ale mu się nie przyjrzałam.

Ludzie w ogóle nie wiedzą, na co patrzą, pomyślała Reilly. Z minuty na minutę była coraz bardziej zirytowana.

Rozmowa z sąsiadką prowadziła donikąd. Chociaż tylko dzięki tej kobiecie dowiedzieli się o wizycie Jess.

We dwójkę weszli do salonu.

- Czego szukamy? - zapytał Chris.

- Chciałabym wiedzieć. Pewnie czegoś, co tu nie pasuje. Dokumentów, fotografii, skrawków papieru... Czegoś, co by nam podpowiedziało, dokąd go zabrała. - Przypomniała

sobie słowa Daniela: „Dorzuci nam kilka okruchów informacji w dogodnym dla niej momencie”. - Bawi ją zostawianie zaszyfrowanych wskazówek, choćby się na pierwszy rzut oka wydawały niejasne i mało ważne. Naszkicowała sobie w wyobraźni Jess w tym mieszkaniu. Co mówiła? Co robiła? Jak Mike zareagował na jej widok? Przecież on również nie miał pojęcia, że Jess została warunkowo zwolniona z więzienia. Na pewno jej się tu nie spodziewał. Ucieszył się? Czy przestraszył? Co powiedziała Jess? Czy w ogóle coś powiedziała? Czy zrobiła mu zastrzyk, żeby był jej posłuszny, czy poszedł z nią z własnej woli? W takim wypadku jak go przekonała i dokąd pojechali?

Zostawiła Chrisa w salonie, przeszła do sypialni.

Wnętrze urządzone po spartańsku. Stało tam wąskie łóżko, nocna szafka i szafa. Żadnych dekoracji, ozdób, niczego osobistego, tylko nad wezgłowiem brzydka tabliczka z napisem: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Pokój kompletnie bezosobowy. Zatrzymała wzrok na tabliczce. Trudno o bardziej jaskrawy przykład ironii. „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Dobrze sobie. Tyle wyszło z wielkich marzeń o powrocie do miejsca narodzin.

Czuła się winna, za rzadko zaglądała do ojca, nie zajęła się nim, jak należy. A teraz, jeśli Jess dopnie swego, może się już nie trafić okazja do nadrobienia zaległości. Czego chciała Jess? Czy rzeczywiście uprowadziła ojca po to, by zyskać przewagę nad Reilly? Czy naprawdę był jedynie pionkiem w grze?

Westchnęła ciężko i usiadła na łóżku. Oby tacie nie stało się nic złego. Sama nie wiedząc dlaczego, wyciągnęła się na wznak. Poduszka nadal pachniała ojcem. Znajoma woń przeniosła Reilly do czasów dzieciństwa, gdy było jej dobrze i czuła się bezpieczna. Pamiętała, jak siadała mu na kolanach, a on zamykał ją w uścisku silnych ramion. A gdy Cassie przeżywała trudne chwile, kiedy znikwała z domu, a Reilly miała koszmary i budziła się w środku nocy zlaną zimnym potem, wpadała w otchłań czarnej rozpacz, Mike zawsze był przy niej,

tulił ją i głaskał dopóty, dopóki groźna ciemność nie odpłynęła w niebyt.

- W porządku? - Chris stanął w progu. Usiadła gwałtownie, otarła łzy.

-Jakoś tak... - Objęła gestem smutne wnętrze. - Takie to wszystko zimne, bezosobowe. Ojciec wiązał z powrotem do Irlandii ogromne nadzieje. Kiedy byliśmy małe, często nam o tym kraju opowiadał. I to, jak pięknie... O soczystej zieleni pól, o morzu... stalowoszarym... Tak nazywał ten kolor.

Chris uniósł brwi.

- Dlaczego więc zamieszkał w podłej okolicy w centrum Dublina?

- Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. Może nie było go stać na nic lepszego? Pewnie Irlandia też się zmieniła. Rzeczywistość nie sprostała jego wspomnieniom.

- To się zdarza - stwierdził Chris. - Rozumiem, że twój ojciec jest romantykiem.

- Kiedyś był - powiedziała smutno. - Zanim... no wiesz... Potem utopił romantyzm w butelce.

- Ale przekazał ci miłość do morza - zauważył Chris cicho.

- Chyba tak - uśmiechnęła się lekko. Wstała, poprawiła pościel. - Tak czy inaczej nic tu nie znalazłam.

- A ja owszem. W salonie. Przysiadłem sobie na stoliku i zobaczyłem coś, czego tu chyba nie było podczas naszej pierwszej wizyty.

- Co takiego?

Razem przeszli do salonu. Chris usiadł na kanapie, wziął w rękę niezbyt gruby wolumin oprawiony w skórę.

- Album fotograficzny - powiedział. Reilly zajęła miejsce obok niego.

Otworzył go mniej więcej w połowie i wskazał starą fotografię. Widniały na niej dwie dziewczynki siedzące na huśtawkach w jakimś zapomnianym parku. Jess miała może siedem lat. Uśmiechała się rozbrajająco, a blond włosy okalały jej

twarz aureolą. Reilly miała włosy ściągnięte w koński ogon. Tata nie umiał czesać córek inaczej. Na jej twarzy brakowało uśmiechu, patrzyła prosto w obiektyw. Nie była smutna, ale i nie promieniała szczęściem.

- Pamiętam tę sukienkę - westchnęła, przesunąwszy kciukiem po zdjęciu.

Chris przyjrzał się odbitce, po czym przeniósł wzrok na Reilly. - Wcale się nie zmieniłaś - zauważył. - Masz ten sam poważny wyraz twarzy.

- Musiałam szybko dorosnąć.

- Ile tu masz lat? Dwanaście?

- Owszem. Mama odeszła na dobre, kiedy miałam osiem.

- Przekrzywiła głowę. - Wtedy nastąpił koniec mojego dzieciństwa. Zwaliło się na mnie mnóstwo obowiązków i doskonale wiedziałam, pamiętam to jak dziś, że nie mam kogo poprosić o pomoc. Opiekowałam się Jess, gotowałam, dbałam o dom...

- Ciągle żałowała straconego dzieciństwa. Zapatrzyła się w tanie zasłony, przez które sączyło się światło latarni. - Zostałam matką zastępczą Jess, a ona i tak tęskniła za prawdziwą.

- Miała ci to za złe?

- Chciała mieć siostrę, z którą mogłaby się bawić, i mamę potrzebną do wszystkiego, do czego potrzebna jest mama. Tymczasem miała siostrę, która nią dyrygowała i ledwo dawała sobie radę z obowiązkami matki. Reasumując: tak. Raczej miała mi to za złe. Nie miałam szans zastąpić jej mamy, a siostrę także straciła. - Przeniosła się myślami do odległych czasów, do dzieciństwa, do mrocznych dni, które splotły się z koszmarem teraźniejszości.

- O, to chciałem ci pokazać. - Chris otworzył album na jednej z pierwszych stron.

Reilly nie bez trudu wróciła do rzeczywistości. Fotografie, które zainteresowały Chrisa, były znacznie wcześniejsze, jeszcze czarno-białe. Widnieli na nich starsi ludzie ustawieni w sztywnych pozach, elegancko ubrani, specjalnie na tę okazję.



- To krewni taty - powiedziała. - Nigdy ich nie poznałam. Wiem tylko, że to są jego rodzice, a tam to pewnie dziadkowie.

- Wyglądają na szczęśliwą rodzinę, prawda?

- Prawda.

Ich twarze promieniały radością, szczęściem i miłością. Taką twarz ojca pamiętała Reilly z czasów jego młodości, zanim Cassie odeszła.

Chris odwrócił stronę i Reilly nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- To jest tata. - Z odbitki patrzyło na nich pulchne niemowlę. - Oczy zawsze miał niesamowite.

- Tu też on? - spytał Chris z nagłym zainteresowaniem.

Kolejna czarno-biała fotografia przedstawiała mniej więcej siedmioletniego chłopca. Stał na nabrzeżu z wielką rybą w rękach, a na twarzy miał wyraz triumfu.

- Aha, to on - potwierdziła Reilly. - Uwielbiał wędkować. Często wspominał, że chodzili z ojcem na ryby dosłownie przy każdej okazji.

- Wspomniałaś kiedyś, że twoja rodzina pochodzi z wioski rybackiej.

- Tak, a co?

- Wiem, gdzie to jest. - Chris stuknął palcem w fotografię. - Ojciec zabierał mnie tam na wakacje. - Przyjrzał się zdjęciu uważniej. - Tak, na pewno. To Greystones. Nadal zdarza mi się tam zajrzeć. To wcale nie jest daleko, dosłownie dwadzieścia minut drogi. Tyle że wioska jest już całkiem sporym przedmieściem. Nad samą przystanią jednak zostały stare domy... Przysiągłbym, że większość zdjęć została zrobiona właśnie tam.

- Greystones - powtórzyła Reilly z zastanowieniem. - Faktycznie, brzmi znajomo.

Chris usiadł prosto.

- Może trochę przesadzam... ale Mike podobno wspominał, że jego córka chce...

- ...wrócić do korzeni - dokończyła Reilly.

Zatrzasnęła album. Co to miało znaczyć? Czy to była wskazówka od Mike'a, który wiedział, że przyjazd Jess oznacza dla niego kłopoty? Czy miał nadzieję, że starsza córka zauważy jego nieobecność i zacznie o niego rozpytywać? Innymi słowy, był na tyle przytomny, by chcieć zostawić taki ślad? A więc najwyraźniej Jess zmusiła go do wyjazdu. Nagle przypomniało jej się coś jeszcze.

-Ta tabliczka...

Zerwała się z kanapy, pobiegła do sypialni.

- Jaka tabliczka? - Chris stanął za jej plecami. Wskazała napis nad łóżkiem.

- Tego tu wcześniej nie było.

Jeszcze niedawno uznała napis nad łóżkiem za przejaw ironii. Teraz zdała sobie sprawę, że może mieć ogromne znaczenie. Może stanowić okrucieństwo informacji.

-Chętnie bym wyskoczyła za miasto. Na przykład na ryby.

## TRZYDZIEŚCI DZIEWIEC

Jechali na południe w sznurze pojazdów. Chris prowadził. Na Nil mimo popołudniowego szczytu nie było korków. Reilly z przyjemnością wyglądała przez okno. Tyle zieleni. Od przyjazdu do Irlandii była tak zajęta, że ani razu nie wybrała się za miasto. Ledwo znalazła czas, by się zapoznać z ważniejszymi punktami Dublina.

Myślała o tym, dokąd jada i co mogą tam zastać. Nie dalej jak wczoraj żartowali sobie z Danielem, że bez broni człowiek czuje się nagi. Dla niego musiało to być jeszcze trudniejsze doświadczenie, bo nosił ją bez przerwy przez trzydzieści lat służby w FBI. „Słuchaj intuicji”, mówił. Wpajał tę mantrę wszystkim agentom. Wiele by teraz dała, by móc wesprzeć ją ulubioną trzydziestkąósemką.

- Grosik za twoje myśli.

Drgnęła zaskoczona. Zapomniała o Chrisie.

- Przypomniało mi się coś, co Daniel powiedział tuż przed wyjazdem.

- Pewnie wolałabyś, żeby to on był teraz z tobą?

- Akurat nie.

Chris się rozpromienił.

- Nie zrozum mnie źle - ciągnęła Reilly. - Jest naprawdę doskonałym śledczym... właściwie najlepszym. I bardzo się cieszę, że przyjechał nam pomóc. Mimo wszystko... - zawahała się. - Mimo wszystko to nasza sprawa. My musimy ją zamknąć.

Nie chciała mówić o tym, co mogła zastać na miejscu, ale myśli nie potrafiła przepędzić. Pomijając już strach o ojca, nie była gotowa na spotkanie z Jess twarzą w twarz.

Chris spoważniał, jakby słyszał jej wątpliwości.

- W razie czego wezwiemy wsparcie.

- Jasne - prychnęła Reilly. - I komandosi z Greystones zjawią się na miejscu zdarzenia w mgnieniu oka.

- Raczej niekoniecznie - zaśmiał się Chris. - Ale niedaleko stamtąd, w Bray, mają całkiem przyzwoicie obsadzony posterunek. A już poza wszystkim innym Kennedy wie, dokąd jedziemy, i czeka na moje meldunki. Więc jeśli ją znajdziemy, a sprawy by się wymknęły spod kontroli...

- Jakoś nie przypuszczam, żeby to się tak potoczyło - wpadła mu Reilly w słowo.

- Nie rozumiem.

- Pomyśl tylko. Nie chcę być pesymistką, ale Jess nie straciła panowania nad sytuacją nawet na sekundę. Każdy drobiazg, dzięki któremu udawało nam posunąć śledztwo naprzód, dostawaliśmy od niej w prezencie. I nadal tak jest.

- Innymi słowy - westchnął Chris - Jess się nas spodziewa. I niezależnie od tego, gdzie ją znajdziemy...

- ...będziemy tańczyli, jak nam zagra.

Chris przyśpieszył, wyminął długą ciężarówkę.

- Co wobec tego proponujesz?

- To, co mi podsunął Daniel tuż przed wyjazdem - stwierdziła ponuro. - Nie robić głupstw.

Kilka chwil później Chris skręcił z drogi szybkiego ruchu w podrzędną, prowadzącą do Greystones.

- Chyba całkiem nieźle znasz tę miejscowość, skoro rozpoznałeś ją na starych fotografiach - powiedziała Reilly.

- Bardzo lubiłem tu przyjeżdżać - przyznał. - Dorastałem w Enniskerry, kawałek stąd i nie nad wodą. Ojciec przywoził mnie tu prawie w każdy weekend, jeśli tylko pogoda pozwalała.

- Lubisz wędkować... Pogadaliśmy sobie o surfingu, a ty nie zająknąłeś się słowem na temat swojej pasji.
- Bo właściwie nie przepadam za łowieniem ryb - odparł Chris. - To ojciec był zapalonym wędkarzem, a ja bardzo lubiłem spędzać z nim czas. Gdy tu zajrzeliśmy ostatnim razem, był już poważnie chory na serce, więc nawet nie łowiliśmy, tylko siedzieliśmy na ławce w przystani i podziwialiśmy widoki. Umarł kilka tygodni później.
- Bardzo mi przykro.
- Tak to już jest. Akurat ostatni wypad do Greystones wspominam bardzo sympatycznie.
- Jak tam jest?
- Przez lata wiele się zmieniło. Wyrosło mnóstwo nowych domów.
- Na całym świecie to samo.
- Racja. Miasteczko przyciąga tłumy turystów. Wabi ich urokami tradycyjnej irlandzkiej miejscowości nadmorskiej. Jest tam piękny port, barwne statki, morze, doki, co tylko zechcesz. Ostatnio rozbudowuje się przystań.
- Idylla po prostu.
- Naprawdę. Sporo dublińczyków przeprowadza się w te okolice.
- Czyli Jess mogła się łatwo ukryć między nowymi mieszkańcami - zauważyła Reilly.
- Jak najbardziej. - Zerknął na agentkę. - Masz informacje o swojej rodzinie?
- Pod ręką - odpowiedziała, klepiąc torbę.
- To dobrze. Są tu miejsca, gdzie można spotkać potomków rodzin o kilkusetletnich korzeniach. Znają każdego od czasu przybycia wikingów. Roztoczę swój irlandzki wdzięk i dowiem się wszystkiego. Reilly nie wyglądała na przekonaną.
- Szukamy igły w stogu siana.
- Może tak, a może nie. Poza tym powinniśmy pamiętać, że Jess chce, żebyśmy ją znaleźli.

Gdy wjechali do miasteczka, Reilly mimo nerwów zachwyciła się jego urodą. Urzekły ją wiktoriańskie domy w drodze do przystani, a potem szare chmury kłębiące się nad głową i popędzane wiatrem. I tłoczny port, a w nim błękitne, czerwone i białe motorówki kołyszące się na wodzie burta w burtę z porzewiałymi kutrami. W górę i w dół, do przodu i do tyłu, w rytm fal oraz wiatru.

- Nie przesadziłeś - powiedziała. - Naprawdę tu pięknie. Patrz, te domy mają przynajmniej po sto lat!

- No tak, zapomniałem - Chris uśmiechnął się kpiąco. - Przecież dla was, Amerykanów, wszystko co sprzed Ronalda Reagana, to prehistoria.

Skręcił do przystani, znaleźli miejsce na niewielkim parkingu. Reilly od razu wysiadła z samochodu. Musiała rozprostować nogi. Odetchnęła głęboko świeżym powietrzem, znad morza wionęła ciepła bryza.

- Fajnie, co? - uśmiechnął się Chris.

Poszli nadbrzeżem. Łódki podskakiwały lekko na falach, liny klaskały o maszty, a mewy krążyły nad głowami, szukając pożywienia.

- Teraz rozumiem, dlaczego lubiliście tu przyjeżdżać. Zrozumiała też, dlaczego Mike chciał tu wrócić. A jeśli wszystko poprzekrecała? Jeżeli siostra nie sprowadziła go tu w złych zamiarach, tylko z miłości? Ach, nie, to nie w stylu Jess. Nigdy nie była sentymentalna. Zawsze ją niecierpliwiły opowieści taty o dawnych dobrych czasach. Skoro go tutaj przywiozła, to na pewno nie dla jego dobra, lecz w celu zaspokojenia własnych kaprysów.

Reilly zamknęła oczy. Pozwoliła, by wiatr dmuchał jej prosto w twarz. Bardzo chciała, żeby to wszystko nareszcie się skończyło. Tęskniła za spokojem, ciszą, za wolnym czasem, odpoczynkiem i prawdziwym relaksem. Nie przez pół minuty, tylko co najmniej przez cały dzień, a nawet tydzień. Raptem wstrząsnął nią dreszcz. Widok był piękny, ale zrobiło się chłodno. No i kto wie, co ich tu czeka?

Zerknęła na Chrisa. On też poczuł zimno. Ciśniej owinął się kurtką.

- Gdzie zaczynamy? - spytała.

-Tutaj. - Ruchem głowy wskazał budynek na wprost. Pub o bladożółtych ścianach i dachu pokrytym łupkiem. - To Domek na Plaży, który kiedyś był najważniejszy w całej wsi. Trochę się zmienił od czasu, kiedy go ostatnio widziałem... Pewnie i piwo podrożało...

- Co robimy?

- My? - Spojrzał na nią z ukosa. - My nic nie robimy.

- Jak to?

- Ty się tutaj z nikim nie dogadasz.

- A to niby dlaczego? - zapytała urażona.

- Bo jesteś zbyt amerykańska. - Mrugnął do niej łobuzersko i otworzył przed nią drzwi. - Wystraszysz miejscowych na śmierć. - Zdjął wiatrówkę, powiesił ją na oparciu krzesła, następnie poluzował krawat i rozpiął górny guzik koszuli. - Tymczasem Chris Delaney, prosty człowiek, który przyjeżdżał tu z ojcem na ryby, z łatwością zdobędzie zaufanie miejscowych, a wraz z nim niezbędne informacje, ponieważ otworzą się przed nim jak świeża ostryga. Reilly uniosła brwi. Nie zamierzała się sprzeczać.

- W porządku. Zatem niechże Chris Delaney, zwykły człowiek, idzie ich czarować swoim nieodpartym irlandzkim urokiem - powiedziała i usiadła przy stoliku.

Chris uśmiechnął się.

- Zrobię, co w mojej mocy - oznajmił, odwracając się powoli. - Trzymaj kciuki.

## CZTERDZIEŚCI

Chris rozejrzał się dookoła. Wnętrze przywodziło na myśl muzeum morskie. Ściany pubu udekorowano najróżniejszymi przedmiotami związanymi z morzem. Niejeden został wydobyty z wraku czy to przez samego właściciela lokalu, czy przez zaprzyjaźnionych z nim nurków.

Detektyw skupił się na odszukaniu stałych bywalców. Najpierw dostrzegł przy barze kilku hałaśliwych dublińczyków. Raczylili się koktajlami i głośno opowiadali dowcipy. Jakaś spokojna para siedziała przy stoliku, popijając cappuccino, a w najdalszym kącie nad kuflami z piwem tkwiło trzech staruszków.

Rozejrzawszy się, podszedł do baru, zamówił piwo dla siebie i przez jakiś czas obserwował wypatrzonych tubylców z daleka. Byli pogrążeni w rozmowie, śmiali się, wyraźnie zaprzyjaźnieni. Wszyscy mieli około siedemdziesiątki, mogli znać rodzinę Steelów, a może nawet samego Mike'a. Sączył piwo przez jakiś czas, wyczekując na odpowiedni moment, gdy w ich szklankach zacznie być widać dno. Wreszcie nastąpiła odpowiednia chwila. Leniwym krokiem przeszedł na ich koniec baru.

- Co tam dobrego, panowie?

Podnieśli na niego wzrok, podejrzliwi i nieufni. Któryś pokiwał głową, inny coś odmruknął. Chris przeszedł od razu do rzeczy:

- Swego czasu przyjeżdżałem tu z ojcem na ryby. Odwiedzaliśmy wtedy znajomych. Chciałbym znaleźć ich dom, powspominać... Może by mi panowie pomogli?



Mężczyźni popatrzyli po sobie niezdecydowani. Chris musiał działać szybko.

- Widzę, że piwo się kończy. Mogę zaproponować powtórkę?

- Niech będzie - zgodził się najstarszy, a w każdym razie wyglądający na najstarszego. Miał rzadkie siwe włosy i brakowało mu zębów, nawet na przedzie. Pchnął kufel w stronę Chrisa. - Może być to samo, skoro pan stawia...

Chris gestem ściągnął na siebie uwagę barmana. Na razie nieźle mu szło.

- Dla panów to samo co wcześniej - zamówił.

Reilly bębniła palcami po blacie. Nie umiała czekać. Sprawiało jej to kłopot nawet wtedy, gdy była w najlepszej kondycji. Teraz zaś okazywało się wręcz nie do zniesienia. Usiłowała się czymś zająć. Na przykład odgadnąć tok myślenia siostry. Zrozumieć, o co jej chodzi. Bo na przewidzenie następnego ruchu i tak nie miała szans. Nie udało jej się to ani razu w ciągu całego śledztwa.

Jess wywiozła Mike'a z Dublina, by ściągnąć na siebie uwagę starszej siostry, to jasne. Wyjechała z nim gdzieś, może właśnie do Greystones, bo powinno to być raczej jakieś miejsce znaczące. Tam, gdzie tkwiły rodzinne korzenie. „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej” . Zaraz, chwileczkę, pomyślała niespokojnie.

A jeśli się mylą i wcale jej tutaj nie znajdą? Co w takiej sytuacji zrobi Jess? Zabije ojca i przyjdzie po Reilly? Czy raczej zniknie bez śladu, zostawiając za sobą trupy? Nie, na pewno nie. Znaleźli się tutaj nie bez przyczyny. Jess chciała, by odszukali Mike'a, a równocześnie i ją.

Gdzie go przetrzymuje? Czy tam, gdzie sama się ukryła? Z Greystones do Dublina nie było daleko, więc jeśli Jess tutaj znalazła sobie kryjówkę, była w doskonałej sytuacji: łatwo jej było zniknąć i równie łatwo śledzić skutki swoich działań, a także reakcje Reilly. Ale nawet jeśli mieli rację i Jess

faktycznie przywiozła Mike'a właśnie tutaj, a nawet tutaj się ukrywała, to jak, u licha ciężkiego, mieli ją znaleźć?

- Co podać?

Przy Reilly zatopionej w myślach wyrósł jak spod ziemi kelner.

- Poproszę kawę - odparła odruchowo.

- Proszę bardzo.

Kelner odszedł, a Reilly rozejrzała się po pubie. Cóż, nawet jeśli nie uda się znaleźć Mike'a ani Jess, może przynajmniej Chris zdobędzie jakieś informacje na temat rodziny Steelów. Zerknęła w stronę baru, gdzie czterech mężczyzn popijało piwo.

Pośpiesz się, panie detektywie. Czaruj szybciej tym swoim irlandzkim wdziękiem, pomyślała.

Barman wrócił z piwami dla trzech stałych bywalców i ci natychmiast pociągnęli po długim łyku, jakby w ramach przypieczętowania układu, po czym odwrócili się do Chrisa.

- O co konkretnie chodzi? - zapytał najstarszy.

Skórę miał pomarszczoną, spaloną słońcem i więcej włosów w nosie oraz w uszach niż na głowie.

- Nazywam się Chris Delaney. - Wyciągnął rękę i z każdym z trzech rozmówców wymienił uścisk dłoni.

- Patrick Riordan.

- James Murphy.

- Peter O'Callahan.

- Jakiej rodziny pan szuka? - zapytał Riordan o błyszczących niebieskich oczach.

- Chodzi mi o nazwisko Steel - powiedział Chris, szybko przeglądając w pamięci informacje na temat historii rodziny, jakie otrzymał od Reilly. - Syn nazywa się Michael Patrick Steel, jego ojciec tak samo. Ojciec był cieślą, podobnie jak dziad. Nazywał się Connor Michael Steel.

Trzej miejscowi popatrzyli po sobie.

- Mieszkali tu kiedyś Steelowie - odezwał się Murphy. Był młodszy od pozostałych, nadal miał zęby. Nosił granatowy sweter wydziergany na drutach.

- A, mieszkali, mieszkali - potwierdził O'Callahan. Chris przyjrzał się jego dłoniom, ogromnym i gruzłowatym. Stary Peter na pewno był z zawodu mechanikiem. Detektyw skłonny byłby postawić na to niemałą gotówkę. Tylko Riordan milczał i popijał piwo głęboko zamyślony.

- Czy wiedzą panowie, gdzie mieszkali? Wyprowadzili się do Ameryki, kiedy byłem jeszcze chłopcem. W oczach O'Callahana zapalił się błysk. Pochylił się do przodu, odsłaniając przetarcia na łokciach wyblakłej wełnianej marynarki.

- A to się zgadza, jak najbardziej. Mieszkali tu Steelowie, co się wynieśli aż do Ameryki. Steel był cieślą. To on, na pewno.

Chris nabrał otuchy.

- Czy pan wie, gdzie mieszkali?

O'Callahan podrapał się po brodzie z kilkuniedniowym zarostem.

- Gdzie dokładnie, to ja nie wiem. - Zastanowił się. - Warsztat to on chyba miał przy starej Bray Road.

Murphy zgodnie pokiwał głową.

- Teraz to i ja go pamiętam, dobrze grał w nogę.

- Za bramkarza robił. Stał na bramce.

- Każdą piłkę zatrzymał, lepszego nie było.

- Smutny to był dzień, kiedy wyjechali - podsumował O'Callahan.

- Tak, tak, smutny dzień.

Riordan nie odezwał się dotąd słowem, lecz nagle pochylił się ku pozostałym.

- Ja to myślę, że oni mieszkali w tych nowych domach przy Cliff Road. W bungalowach.

- W nowych domach? - zdziwił się Chris.

Co prawda, to prawda, w Greystones wybudowano bardzo wiele nowych domów, głównie dla przybyszów z Dublina.

- No, nowe to one były wtedy - uśmiechnął się Riordan. - Jak tak porównać z innymi. Postawili takie... parterowe...  
Chyba gdzieś w latach pięćdziesiątych, tak mi się wydaje.

To już coś.

- Sądzi pan, że Steelowie mieszkali w jednym z tych domów?

- Bo ja wiem? Ale na pewno gdzieś tam, w tamtej okolicy.

- A dokładniej? Gdzie to jest?

- Na wzgórzu. To się nazywa Windgates. Będzie tak z kilometr od Bray Road - powiedział Riordan, wskazując mniej więcej właściwą stronę.

Chris uznał, że dostał, czego mu było trzeba, więc dokończył piwo i wyciągnął rękę.

- Panowie, bardzo mi pomogliście, dziękuję. Jeden po drugim uścisnęli mu dłoń. Ruszył do wyjścia.

- Proszę pana?

Odwrócił się do Riordana z zaciekawionym, jakież to istotny szczegół przypomniał się staruszkowi.

- A dla jakich służb pan pracuje? - spytał miejscowy z błyskiem w oku.

## CZTERDZIEŚCI JEDEN

- Bungalowy.. - powtórzyła Reilly. Chris włożył kurtkę.

- Tak, całkiem niedaleko, tuż za miastem, w tę stronę, z której przyjechaliśmy. Twierdzą, że tam mieszkała rodzina twojego ojca.

Za drzwiami uderzył w nich podmuch wiatru. Ciepła bryza zdażyła zmienić się w silny wichur, siekący po twarzy irlandzką mżawką. Reilly ciaśniej otuliła się płaszczem. Chris spojrzął na pociemniałe niebo, po którym chmury gnały jak szalone. Szybkim krokiem poszli do samochodu.

Chociaż według miejscowych cel ich podróży miał się znajdować zaledwie kilometr drogi na wzgórze, jakoś nie mogli tam trafić. Reilly w pewnej chwili zorientowała się, że zacisnęła dłonie tak mocno, aż jej kłykcie pobiełały. Otworzyła je, rozluźniła, kilka razy odetchnęła głębiej, żeby uspokoić rytm serca. Ale niewiele to dało. Teraz już nie opierali się wyłącznie na przeczuciach. Jej ojciec rzeczywiście dorastał w tej okolicy. Tutaj tkwiły korzenie jej rodziny.

Chris wypatrywał parterowych domów z lat pięćdziesiątych lub czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że znaleźli właściwe miejsce. Trudno bowiem było znaleźć je wśród mnóstwa nowocześniejszych. W końcu osiedla zaczęły się przeredzać i dotarli do luźniej zabudowanej części miasta.

- Cholera by to wzięła! - zirytował się Chris. Uderzył dłonią w kierownicę. - Cliff Road! Po prostu pięknie! Już jesteśmy prawie w Bray, a nie widziałem nic, co by pasowało, a ty?

Reilly tylko pokręciła głową. Też była zdenerwowana.

- Pojadę jeszcze kawałek, znajdę miejsce do nawrotki. Może w powrotnej drodze coś wypatrzymy.

- Niech będzie. - Reilly miała wrażenie, że zaraz eksploduje, jeśli nic nie znajdą.

Jakieś trzysta metrów dalej zobaczyli idącego poboczem mężczyznę o lasce. Wyglądał na jeszcze starszego niż tamci trzej z pubu, więc Chris zatrzymał przy nim samochód i opuścił szybę.

- Przepraszam pana!

Reilly przyjrzała się staruszkowi. Dałaby mu dobrze po osiemdziesiątce, może nawet dziewięćdziesiąt lat. Jak wielu starszych ludzi skurczył się z upływem czasu, ale też wyglądał na takiego, który nigdy nie był szczególnie rostry.

Mierzył pewnie niewiele ponad metr pięćdziesiąt, a brzemień wieku pochyliło go jeszcze ku ziemi. Wydawał się zmęczony i sterany życiem. Miał na sobie sztruksową kurtkę oraz ciemnoszary beret naciągnięty na oczy.

- Przepraszam, nie znamy okolicy. Może pan zdołałby nam pomóc.

Minęła dłuższa chwila, nim staruszek podniósł wzrok. Spojrzenie miał żywe, oczy błyszczące, jasnoniebieskie.

- Szukamy bungalowów z lat pięćdziesiątych - ciągnął Chris. - Mają być w Windgates.

- Jak minęła podróż? - spytał nieznajomy. Zbił Chrisa z pantałyku.

- Słucham?

- Przyjechali państwo z Dublina.

- Tak... Rzeczywiście. To widać?

- Od razu - potwierdził staruszek. - Eleganckie ubrania, akcent, pośpiech...

- Nie chcę panu zawracać głowy, ale sprawa jest istotna.

- Istotna, mówi pan.

Reilly przechyliła się do okna.

- Moja rodzina mieszkała w tej okolicy. Chcemy znaleźć dom dziadków.

Staruszek przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Najwyraźniej wziął ją za kolejną jankeskę szukającą korzeni.

- A to bardzo miło - powiedział wolno.

Reilly miała ochotę nim solidnie potrząsnąć. Zamierzał im pomóc czy nie?

- Mój ojciec nazywa się Michael Steel - podjęła. - Jego ojciec tak samo. Był cieślą. Przeprowadził się do Kalifornii na początku lat sześćdziesiątych.

- Aaa, pamiętam Steela cieślę. Dobry był z niego rzemieślnik.

- Właśnie o niego nam chodzi - potwierdził Chris gorliwie.

- Czy pan wie, gdzie mieszkali?

Staruszek nie odrywał wzroku od Reilly.

- A pamiętam, pamiętam. - Odsunął się o krok, wsparł na lasce. - Wiecie państwo, jak mnie tu ludzie nazywali?

Reilly bała się, że zaraz zacznie wyć. Nie mieli czasu na pogaduszki, do licha ciężkiego!

- Nie, nie wiemy - powiedział Chris, hamując zniecierpliwienie.

- Wędrowniczek - wyjął stary. - Od małego lubiłem chodzić. I po mieście, i za miastem... Czasami to nawet do Wic-klow. Ładnych kilka lat już tam nie byłem - zachichotał. - Ale ciągle wędruję. A to do miasta, a to po drogach w tę i z powrotem...

Nie był taki ograniczony, jak się Reilly z początku zdawało. Wręcz przeciwnie, był wyjątkowo pojętny.

- Widział pan coś ciekawego? - zapytała cicho.

- ...i na Cliff Road... - ciągnął, jakby nie usłyszał pytania.

- Pamiętam jeszcze, jak tu wszędzie były pola. - Podrapał się po brodzie. - **1** dzisiaj tam spokojnie, to dobre miejsce na spacer. Dużo tam się rodzin wprowadziło. I dzieci jest dużo...

- Tam mieszkali Steelowie?

- Kawalek od głównej drogi - potwierdził. - Jak się już wjedzie do Windgates, na końcu ślepej uliczki. Kiedyś to chodziłem tam, aż na sam koniec, i patrzyłem sobie na przystań,

na mewy, jak w sztormowy dzień pikują na wodę, porywają ryby z kutrów. - Odetchnął pełną piersią. - Ostatni dom po lewej należał do Steelów. Potem ze trzydzieści lat mieszkała tam pani McGovern. Żyła sobie po swojemu, ale o dom to nie dbała.

- I co potem? - Chris mało nie wybuchnął. Reilly milczała. Stary musiał się wygadać.

- Już trochę czasu minęło, jak się pani McGovern wyprowadziła. Do domu opieki. Mnie tam one się nie podobają, ale ona chyba była zadowolona.

- Czy teraz dom stoi pusty? - spytała Reilly. Bała się głębiej odetchnąć. To musiał być ten dom. Bo jeśli nie, to który?

- Pusty? Nieee. Słyszałem, jak mi się zdaje, że go kupiła jakaś rodzina z Dublina.

- Och... - wyrwało się Reilly.

- Ale po sąsiedzku to nikt nie mieszka. - Z niebieskich oczu bił blask. - Teraz tam remontują. Jeszcze się nikt nie wprowadził. Państwo wiedzą, jak to jest w dzisiejszych czasach. Ludzie wolą przyjść na gotowe. Już jakiś czas nikt tam nic nie robi, pewnie pieniądze się skończyły. Nic nowego w dzisiejszych czasach.

Reilly zmartwiała. Dom w remoncie. Plamy farby, zaprawa gipsowa, włosie z pędzla... To ten dom. To kryjówka Jess.

- Powiedział pan, że dom jest kawałek od głównej drogi. - Zerknęła na Chrisa.

- Ano tak. Jak państwo pojedą z kilometr w tamtą stronę, co państwo przyjechali, to trzeba skrócić w lewo zaraz za weterynarzem.

- Za weterynarzem?! - Reilly o mało nie podskoczyła z radości.

To tam Jess zaopatrywała się w pentobarbital. Fragmenty układanki pasowały do siebie coraz lepiej.

- Bardzo nam pan pomógł, dziękujemy - powiedział Chris i nie czekając na odpowiedź, zawrócił na trzy.

- Powiedział, że dom jest od jakiegoś czasu pusty. Ona się



tam ukryła. Chris, jestem tego pewna. - Reilly zacisnęła usta. - I przypuszczam, że tam zabrała tatę.

- Tutaj - powiedziała cicho.

Skęcili z Cliff Road i szybko natrafili na rząd niskich budynków bez charakteru. Przed jednym z nich rozłożono materiały budowlane; najwyraźniej był w remoncie.

Chris nie wjechał w alejkę, zaparkował na poboczu. Reilly spojrzała na niego zdziwiona.

- Musimy ustalić, co robić - oznajmił. - Moim zdaniem powinniśmy wezwać wsparcie.

- Rób, co chcesz, ja tam idę.

- Reilly, naprawdę...

- Co? Przecież chyba rozumiesz, że nie przyjechałam tu po to, by siedzieć w samochodzie i czekać na wsparcie?

- No dobrze. Skoro nie wzywamy wsparcia, to co robimy?

Reilly popatrzyła przez okno. Taka zwykła okolica. Dziwne miejsce na zakończenie koszmaru. Jakiś mężczyzna minął ich śpiesznym krokiem. Kołnierz miał postawiony wysoko, ciągnął za sobą psa na smyczy.

- Muszę załatwić to sama. Jess jest moją siostrą i nie pozostawiła żadnych wątpliwości, że to o mnie jej chodzi.

Chris spojrzał na nią zdumiony.

- Chyba żartujesz. Przecież to morderczyni i psychopatka. Zabiła przynajmniej dziewięć osób...

- Wiem. Ale jest tam też mój ojciec. Nie możemy wpaść do środka z odbezpieczoną bronią, mogłaby mu zrobić krzywdę. To znaczy, gdybyśmy mieli broń.

- Ty nie masz, ale ja mam. I od razu powiem, że ci jej nie oddam. Wyleciałbym z roboty, zanim bym się obejrzał.

Bogiem a prawdą Reilly nadal nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Wiedziała natomiast z absolutną pewnością, że jeśli Jess faktycznie czekała w tym domu, powinny się spotkać we dwie.

Chris miał rację: Jess była zbrodniarką, lecz w tej chwili chodziło o sprawę rodzinną. Może uda im się spokojnie porozmawiać, może przemówi młodszej siostrze do rozumu, a jeśli nie, to przynajmniej nie pozwoli skrzywdzić taty. Wyjaśniła swój punkt widzenia Chrisowi, lecz nie zdołała go przekonać.

- To nie jest dobry pomysł. Nie możesz tam pójść sama. Nawet nie wiesz...

- Wobec tego niech przynajmniej wygląda na to, że jestem tu sama - weszła mu w słowo. - Chris, nie mamy czasu na pogaduszki! Tam jest mój tata. Kto wie, co się z nim dzieje. Muszę iść. - Położyła dłoń na kłamce. - Wezwij wsparcie. A zanim przyjadą, rozejrzyj się. Może znajdziesz inne wejście i będziesz miał oko na sytuację. Jeśli coś pójdzie nie tak, wtedy będziemy się martwić.

Chris pokręcił głową.

- Nie jest to najlepszy plan, jaki w życiu poznałem.

- Wskakuj - rozkazała. Nie chciała czekać dłużej. - Dalej idziesz pieszo.

Chris zwolnił zatrask.

- Reilly, życzę ci...

- Cicho! - przerwała mu. - Nic nie mów, bo to przynosi pecha. Widzimy się niedługo.

- Bądź ostrożna i nie rób głupstw.

Otworzył drzwiczki. Do samochodu wpadł poryw zimnego powietrza. Detektyw zniknął w pobliskich krzakach.

Reilly przesiadła się na fotel kierowcy. Nie sięgała do pedałów, musiała przesunąć siedzenie. Już miała uruchomić silnik, gdy nagle dopadły ją wątpliwości. Zniknęła gdzieś pewność siebie. Jakoś przestało jej się śpieszyć.

Poczuła się, jakby była bezbronnym dzieckiem, a nie doskonale wyszkoloną agentką FBI. Wszystko robiła źle.

Daniel pewnie by wpadł w szal, gdyby się dowiedział. A teraz zamierzała wejść do domu podejrzaney na ślepo, bez rekonesansu, bez

broni, w zasadzie bez wsparcia; zdać się na łaskę i niełaskę morderczyni i na bieżąco podejmować decyzje.

Tymczasem odezwał się w jej głowie jeszcze inny głos, spokojniejszy. Przecież robiła to, do czego zawsze nakłaniał ją jej najlepszy nauczyciel Rob Crichton. Słuchała intuicji. Rob do znudzenia powtarzał, że intuicja to efekt pracy umysłu nieświadomego, który dysponuje zasobami dziesięciokrotnie większymi niż umysł świadomy. Ma dostęp do takich zbiorów informacji, o jakich umysł świadomy może tylko pomarzyć. „Słuchajcie intuicji”, powtarzał, „bo ona zwykle wskazuje nam odpowiedni kierunek działania”.

Teraz intuicja podpowiadała Reilly, że nie ma innego sposobu uporania się ze sprawą. Że Jess na nią czeka, zrobiła z ojca zakładnika i jeśli do domu wtargnie policja, zabije ojca i znowu zniknie.

Uruchomiła silnik i podjechała do remontowanego budynku. Nie ma innej drogi. Muszą się spotkać twarzą w twarz. Dom był niewielki i znajdował się przy końcu ślepej uliczki. Reilly odruchowo wykręciła i zaparkowała auto przodem do kierunku jazdy. Kilka razy odetchnęła głębiej, by uspokoić bicie serca, po czym wyłączyła silnik. W nagłej ciszy krew zadudniła jej w uszach. Wiatr chłostał szyby deszczem. Ciekawe, gdzie był Chris? Cóż, tak czy siak, z pewnością był przemoczony do suchej nitki.

Włożyła kluczyki za osłonę przeciwsłoneczną, także z nawyku, i otworzyła drzwiczki. Lało jak z cebra. Gdy wyszła z auta, wiatr cisnął jej w twarz ciężkie krople i pogonił ją ścieżką w stronę budynku. Niewiele widziała, bo zalało jej oczy. Mrużąc powieki, spojrzała na wejście. Gdzie jest dzwonek?

Ale nie musiała dzwonić. Drzwi natychmiast otworzyły się szeroko. Na wpół ukryta za nimi kobieta powitała ją miłym uśmiechem.

- Okropna pogoda - powiedziała Jess. - Wejdz, nie moknij.

## CZTERDZIEŚCI DWA

Reilly weszła do środka, strząsnęła wodę z włosów. Jess zamknęła za nią drzwi i zabezpieczyła je łańcuchem. W rękę trzymała trzydziestkęósemkę. Luźno, wcale nie celowała w Reilly, ale nie zmieniało to faktu, że broń stanowiła groźbę i milczące przypomnienie, kto tu rządzi.

W powietrzu unosił się zapach świeżej farby. Korytarz prowadził prosto do kuchni, po lewej znajdował się salon, po prawej jakieś drzwi.

- Gdzie tata? - spytała Reilly.

- Nic mu nie jest. Zaraz go zobaczysz. - Jess szturchnęła siostrę pistoletem. - Idź do salonu.

Wnętrze okazało się również niewielkie. Na podłodze leżała wykładzina, ale meble były tylko dwa: na środku stała zniszczona sofa, a pod oknem - stół roboczy z laptopem na blacie. Przez salon wchodziło się pod łukiem do jadalni.

W półmroku dostrzegła stolik i cztery krzesła.

- Siadaj.

Wykonała polecenie i wreszcie mogła przyjrzeć się siostrze.

Dawno jej nie widziała. Ostatni raz w sądzie, gdy Jess została wyprowadzona w kajdankach. Teraz oczywiście była starsza, ale poza tym niewiele się zmieniła, nie przybrała na wadze, wciąż miała delikatne rysy.

Zmienił się natomiast wyraz jej twarzy. Jess zawsze miała tysiąc pytań, była najbardziej ciekawskim i najbardziej

dociekliwym dzieciakiem pod słońcem, a przy tym pełnym słodyczy. I tak wyglądała. Teraz w zimnych niebieskich oczach próżno by szukać ciepłych uczuć. Zastąpiło je wyrachowanie, a bezduszne spojrzenie świadczyło o tym, że Jess wyłącznie ocenia i kalkuluje - szuka słabości, które mogłaby przekuć w swoje atuty.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła. Reilly zaśmiała się z goryczą.

- Trudno się dziwić. Ostatnio nie wiem, w co ręce włożyć.

- Naprawdę? Masz jakieś interesujące zajęcie? Starsza siostra zajrzała młodziej głęboko w oczy.

- Pewien psychol zabija niewinnych ludzi. Jess uniosła brwi.

- Ciekawe. Zrobiłaś jakieś postępy?

- Jasne. Wiemy, kto to jest. Tylko nie rozumiem, dlaczego to robi.

- Aha, to zawsze najtrudniejsze - uśmiechnęła się Jess kącikiem ust. - Zrozumieć cudze motywy postępowania. Czy w ogóle można pojąć, co czuje inny człowiek, czego doświadcza?

Reilly miała dosyć gier. Postanowiła przejść do sedna:

- Jess, po co to wszystko? Po co te zbrodnie? Dlaczego zabiłaś niewinnych ludzi? I dlaczego tutaj?

Jess wzruszyła ramionami.

- Dwanaście lat to dużo czasu. Zwłaszcza w towarzystwie świrów. Z początku człowiek patrzy na nich z niedowierzaniem i myśli: ja tu nie pasuję, ja jestem inna. Ale z czasem przestaje się dostrzegać różnice, a zaczyna zauważać podobieństwa.

Niech mówi, pomyślała Reilly. Im dłużej mówi, tym lepiej. Chris będzie miał więcej czasu na znalezienie jakiegoś sposobu, by wejść do środka.

- Nie byłaś szalona - powiedziała. - Byłaś jeszcze dzieciakiem, tylko posunęłaś się za daleko.

- Z początku pewnie tak. - Jess posmutniała, jakby

zateśniła za osobą, którą była przed laty. - Ale jak człowiek ma trochę rozumu w głowie, to się przystosowuje, żeby przeżyć. - Podniosła wzrok na Reilly. - Przystosowałam się, przeżyłam i sporo się nauczyłam o ludziach, zwłaszcza o rodzicach i o tym, co mogą zrobić własnym dzieciom, jak mogą spartolić im życie.

- Wyszłaś. Przetrwiałaś. Po co to ciągnąć? Najwyższy czas skończyć z zabijaniem.

- I co dalej? - rzuciła Jessica zaczepnie.

- Nie mogę cię puścić wolno - przyznała Reilly. Gadała, co jej ślina na język przyniosła, musiała za wszelką cenę skupić na sobie uwagę siostry. - Za daleko to wszystko zaszło. Ale wiesz, tutaj nie ma kary śmierci...

- O, ho, ho! - W głosie Jess zabrzmiała gorycz narastająca w niej przez dwanaście lat. - Więc powinnam wrócić do więzienia... na resztę życia?

- Jesteśmy tu z tatą. Moglibyśmy cię odwiedzać... Jess zaśmiała się głośno.

-1 bylibyśmy szczęśliwą rodziną... - Pokręciła głową. - Matka świruska, córka wariatka za kratkami, a tatuś i starsza siostrzyczka przychodzą do niej co niedziela, z gazetami i keksem, cali pachnący światem wolności? Eee, tam.

Uprzejmie dziękuję. - Zrobiła krok do tyłu, zerknęła na ekran laptopa.

- Wobec tego, co dalej? - spytała Reilly. - Po co to wszystko? Jak ma się skończyć? - Zaczynała mieć dosyć. Gdzie tata? I gdzie Chris? Pochyliła się, by zerknąć, co robi Jess przy komputerze. - Czego szukasz?

- Fantastyczny wynalazek taki komputer - stwierdziła Jess od niechcena. - Czy wiesz, że można śledzić czyjeś posunięcia przez całą dobę siedem dni w tygodniu tylko dzięki komórce? Mówię ci, nie do pomyślenia, jak to dobrze móc wreszcie wykorzystać umiejętności zdobyte na tych wszystkich kursach za kratkami...

- Tak mnie znalazłaś... - pojęła wreszcie Reilly.

Jess obróciła laptop, żeby siostra mogła spojrzeć na ekran.

- Sporo to cudeńko potrafi - stwierdziła.

Reilly wstała. Ekran był podzielony na cztery części, zawierające widok na cztery strony świata wokół domu.

Fantastycznie. Tak się skupiła na tym, co zastanie w środku, że zapomniała sprawdzić, czy zamontowano system alarmowy! Trzy obrazy pozostawały nieruchome, gdy tymczasem na czwartym, obejmującym tylne drzwi, widniał Chris usiłujący włamać się za pomocą jakiegoś narzędzia ogrodniczego.

- Ach, no właśnie. Byłam ciekawa, gdzie się podział twój chłopak - powiedziała Jess.

- On nie jest moim chłopakiem.

Reilly postanowiła przysunąć się bliżej, skupić na sobie uwagę siostry, może nawet odebrać jej broń?

- O, już prawie wszedł. Czas się przywitać. - Jess uniosła pistolet. - Obróć się.

-Jess...

- Ale już!

Nie było sensu się sprzeczać, więc Reilly wykonała polecenie.

- Jess, ja...

Młodsza siostra obróciła pistolet w dłoni i wprawnym ruchem uderzyła starszą kolbą w głowę tuż za uchem. Pałący ból, jaskrawy błysk pod powiekami, fala mdłości. Reilly osunęła się na podłogę.

- Zaraz wracam - oznajmiła Jess z uśmiechem.

### CZTERDZIEŚCI TRZY

Chris bardzo dokładnie sprawdził dom od strony podwórka. Nie dało się wejść po cichu. Wszystkie okna starannie zamknięte, tylne drzwi również. Uznał, że najłatwiej pójdzie mu z drzwiami. Były stare, drewniane, pewnie dadzą się łatwo otworzyć. Potrzebował tylko odpowiedniego narzędzia. Musiał działać po cichu i mieć nadzieję, że Reilly uda się czymś zająć siostrę. Wcześniej zawiadomił Kennedy'ego oraz jednostkę w Bray. Przy odrobinie szczęścia powinni się zjawić lada minuta.

Otarł deszcz z twarzy, rozejrzał się dookoła. Zupełnie już przemókł i zmarzł, lecz nie zwracał uwagi ani na jedno, ani na drugie. W głowie miał tylko to, że Reilly jest w środku razem z nieobliczalną, niebezpieczną siostrą.

Rozejrzał się za czymś, czego by mógł użyć do wyważenia drzwi, lecz na podwórku nic nie znalazł. U sąsiadów dostrzegł szopę. Starając się robić jak najmniej hałasu, przeskoczył niski drewniany płotek i wylądował na klombie. Stawy odezwały się boleśnie. Podkradł się do szopy. Nie była zamknięta na kłódkę, więc wszedł bez trudu. W półmroku dostrzegł różne narzędzia ogrodnicze ustawione pod ścianą. Łopata, motyka, widły. Coś się przyda. Chwycił widły i łopatę i wrócił pod remontowany dom. Podkradł się do tylnych drzwi, przez kuchenne okno zajrzał do środka. We wnętrzu panował półmrok. Zobaczył białe szafki, drabinę i stół, a na parapecie skrzynkę z narzędziami. Spróbował wsunąć widły w szparę między drzwiami a framugą. Raz,



drugi, trzeci. Nareszcie się udało. Teraz wziął łopate, wsunął konczę w szparę i nacisnął. Nic.

Lało ciągle jak z cebra, woda spływała mu na oczy. Otarł twarz ręką. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Jeżeli się nie uda, będzie musiał stłuc szybę. Narobi hałasu, ale trudno, jakoś musiał się dostać do środka.

Poprawił łopate, napał jeszcze raz z całej siły.

Drzwi ustąpiły. Mało nie wpadł razem z nimi do kuchni. Wyciągnął broń, wszedł, zatrzymał się i jakiś czas nasłuchiwał. W domu panowała cisza. Żadnych głosów, kompletnie żadnych dźwięków. Na palcach ruszył w stronę korytarza.

Nagle w przejściu pojawił się cień.

- Cześć, detektywie.

Nie zdążył zareagować. Rozległ się huk i palący ból przeszył mu bark. Siła wystrzału pchnęła go do tyłu. Potknął się o próg i wyładował w biocie.

- To prywatne przyjęcie - oznajmiła Jess lodowatym tonem. - Włamywaczom bez zaproszeń dziękujemy.

Próbował się obrócić, ale przez przedziurawione płuco uciekało z niego życie. Jess podniosła jego pistolet.

- I tak by ci się nie ułożyło z Reilly - poinformowała go. Stała nad nim, wycelowała w niego z jego broni. Oddech mu się rwał, ból zalewał całe ciało. Tracił przytomność.

- Ona chce ci pomóc - wycharczał.

- Wiem.

Padł drugi strzał.

Reilly powoli odzyskiwała świadomość. Ostry ból promieniował z tylnej części głowy na kark. Gdy spróbowała usiąść, zalała ją fala mdłości. Pochyliła się i zwymiotowała.

Wbiła wzrok w wykładzinę. Z czymś jej się kojarzyła. Tylko z czym? Nie wydawała się istotna. Było coś znacznie ważniejszego... ale co?

- Mam nadzieję, że posprzątasz - usłyszała.

Nie mogła się skupić, przed oczami wirowały jej gwiazdy. W końcu udało się jej, powoli i ostrożnie, usiąść. Tym razem zdołała opanować mdłości. Kilka razy głęboko odetchnęła. Ból usadowił się za uchem. Dotknęła tego miejsca, ale zaraz cofnęła dłoń, gdyż zabolalo jeszcze bardziej. Na palcach zobaczyła lepka krew.

- Siostrzyczko droga, weź ty się w garść.

Reilly rozejrzała się dookoła samymi oczami. Niewielki salon, zapach farby... Nagle wróciła jej pamięć. Przekręciła głowę, znów karuzela.

Jess siedziała spokojnie na zniszczonej sofie, a obok niej na krześle tkwił Mike. Był nieprzytomny, w pozycji siedzącej utrzymywały go zwoje taśmy izolacyjnej, którymi został przylepiony do oparcia. Głowa zwisała mu na piersi.

- Tato... - szepnęła Reilly.

Dźwignęła się na nogi. Z każdą chwilą odzyskiwała siły. Już stała, z trudem chwytając oddech.

Jess siedziała bez ruchu, przyglądając się siostrze. Wydawała się całkiem spokojna, nawet pogodna. Reilly jej takiej nie pamiętała.

- Czy on...? - wychrypiała.

- Czy żyje? - Jess uśmiechnęła się smutno. - Żyje, żyje. Zaopatrzyłam go w butelkę whisky. Osuszył ją do ostatniej kropli.

Jakby na potwierdzenie jej słów Mike poruszył się i zachrapał. Reilly odetchnęła. Przynajmniej był cały i zdrow. Co więc planowała Jess? Ach, i jeszcze...

- Co z Chrisem?

Młodsza siostra nie straciła zimnej krwi.

- Uświadomiłam mu, że to prywatne spotkanie rodzinne i nie ma tu nic do roboty.

Reilly zmartwiała. Czy Jess zraniła Chrisa? Czy może go...? W takim wypadku rzeczywiście musiała wziąć się w garść, bo została sama. Nikt jej nie pomoże.

Nagle dostrzegła coś, na co do tej pory nie zwróciła uwagi: w przejściu do jadalni stało drugie krzesło, a na nim leżał pistolet. Natychmiast odwróciła wzrok, żeby nie zaalarmować Jess. Jeśli zdoła odwrócić jej uwagę rozmową, czymkolwiek, przysunąć się bliżej do broni...

Wolno podniosła rękę, dotknęła bolącej głowy, zrobiła pół kroku w kierunku przejścia.

- Co teraz? - spytała.

- To dla ciebie.

Reilly zastygła w bezruchu. Uświadomiła sobie, że Jess mówi o broni. Spojrzała na siostrę pytająco.

- To dla ciebie - powtórzyła Jess. - Weź.

Agentka ponownie spojrzała na broń, po czym na siostrę, jakby prosiła ją o pozwolenie. W końcu zrobiła kolejny krok, ostrożnie, powoli, cały czas napięta jak struna, spodziewając się jakiegoś podstępu.

Nic podobnego. Jess siedziała całkiem spokojnie. Nawet nie drgnęła.

Reilly chwyciła pistolet. Był lekki. Spuściła głowę rozczarowana.

- Nie ma amunicji.

- Jest. Jedna kula.

- Przecież...

- Jedna kula.

Nie potrafiła odgadnąć, o co chodzi. Zajrzała do magazynka i przekonała się, że Jess mówi prawdę. Została w nim jedna kula. Złożyła broń, odruchowo wycelowwała w siostrę. Poszło dziwnie łatwo.

- Wstawaj.

Jess pokręciła głową.

- To nie tak.

- Powiedziałam: wstawaj. Zastrzele cię, jeśli będę musiała.

- Oj, proszę cię, nie psuj efektu - uśmiechnęła się Jess. Szybkim ruchem przycisnęła do szyi Mike'a strzykawkę.

- Nie waż...
- Zakładam, że wiesz, co to jest.
- Pentobarbital.

Reilly oddychała z trudem. Zrobiła krok naprzód.

- Ani centymetra dalej.

Igła wniknęła w skórę, Mike drgnął.

- To śmiertelna dawka - poinformowała Jess. - Nie jakaś tam marna próbka, którą potraktowałam ciebie i resztę.

Reilly zadrżała. Zbyt dobrze pamiętała, przez co przeszła po zastrzyku z trucizny.

- Albo odłożysz strzykawkę, albo cię zabiję. Ręce jej się trzęsły.

- Czy wiesz, dlaczego wtedy pojechałam do mamy? - zapytała Jess, jakby siedziały przy herbatce.

Reilly wciąż czuła mdłości, nadal była słaba. Wszystkie siły zużywała na to, by utrzymać się na nogach. Trudno jej było się skupić.

-Nie.

- Zadzwoiła do mnie i mnie zaprosiła.

- Nie wiedziałam. Myślałam...

- A wiesz, czego chciała? Poinformować mnie, że Mike nie jest moim ojcem. - Skrzywiła się szkaradnie. -

Powiedziała mi, że Mike nie jest moim ojcem. Że jest nim ten pierdoła, z którym się puściła. - Obejrzała swoje paznokcie, jakby się zastanawiała nad manikiurem.

Reilly nie bardzo wiedziała, czy ma siostrze wierzyć. Może to kolejny element gry? W sumie wszystko jedno.

- Musiałaś przeżyć koszmar. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

-Wyobrazasz sobie - ciągnęła Jess, jakby nie słyszała pytania - co poczuła zagubiona nastolatka, kiedy usłyszała coś takiego? - Przygwoździła Reilly lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu, które dawniej miały tyle ciepłego blasku.

- Potrafisz to sobie wyobrazić?

- Raczej nie. Jess, bardzo mi przykro.

Przysunęła się jeszcze odrobinę.

- Po co mi to powiedziała? Oto jest zagadka. Co jej dało, że straciła mnie na dno rozpacz i złamała mi serce... Cała mamuśka, cała ona. - Jess roześmiała się chrapliwie. - Wiesz, dała mi wybór. Mogłam zdecydować, czy chcę zamieszkać z nimi, z moimi prawdziwymi rodzicami, jak to ujęła, czy wolę zostać z wami. - Pokręciła głową. - Miałam czternaście lat, sama nie wiedziałam, czego chcę. Jakim cudem miałam wybrać?

- Znalazłaś się w fatalnej sytuacji - przyznała Reilly cicho.

Jess podniosła na nią wzrok. Na jej twarzy zaczął wykwitać uśmiech.

- Próbujesz mnie zrozumieć, siostrze?

- Zawsze chciałam cię zrozumieć - potwierdziła Reilly. - Próbowałam sobie wyobrazić, przez co musiałaś przejść, jak to jest...

- ...zabić własną matkę - dokończyła Jess. - Tak.

- To bezdyskusyjne tabu, prawda? Przynajmniej według Freuda. Na temat tabu przeczytałam chyba wszystko. Zabójstwo matki... obojga rodziców to tabu. Jak ci się wydaje, teraz rozumiesz?

- Rozumiem. - Reilly pokiwała głową. Przysunęła się jeszcze ciut bliżej. - Proszę cię, odłóż strzykawkę.

- Jeżeli ja jestem zdolna do takich czynów, to może ty też?

Jakaś dziwna nuta w jej głosie zmroziła Reilly. Niespodziewana miękkość szybko zniknęła przykryta chłodnym tonem. Wróciła Jess zimna i wyrachowana. Bawiła się niepewnością Reilly, dźgała w słabe punkty.

- Nadszedł czas, żebyś i ty dokonała wyboru. - Wbiła igłę głęboko w szyję Mike'a.

Wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Nie, Jess, nie! - krzyknęła Reilly.

Młodsza siostra położyła kciuk na tłoczku.

- Chcesz mnie powstrzymać? Reilly miała łzy w oczach.

- Tak, proszę, nie zabijaj go.

- Zabij mnie. -Co?

- Masz jedną kulę. Jeśli zabijesz mnie, uratujesz ojca. Obie wiemy, że dla mnie jest obcym facetem. Mam gdzieś, czy będzie żył, czy nie. Decyduj. Sprawdź, jak to jest. Przekonaj się, co potrafisz.

- Jess, nie chcę cię zabijać. Jesteś moją siostrą. I zawsze będziesz.

Jessica Steel roześmiała się gardłowo, a Reilly przeszły ciarki po grzbiecie.

- Rany, ale ty jesteś nudna. Nadal zagrywasz kartą pod tytułem „szczęśliwa rodzinka”? - Poprawiła uchwyt na strzykawce. - To jak będzie: on czy ja?

Reilly zachwiała się. Mdłości, strach, nerwy... ledwo stała na nogach.

- Nie mogę, nie mogę... -Wybieraj!

Reilly pamiętała tę minę z dzieciństwa.

- Czas ucieka! Twój ukochany policjant leży za progiem i nadal krwawi. Pewnie byłby ci wdzięczny, gdybyś podjęła decyzję raczej wcześniej niż później.

Musiała się wziąć w garść. Wszystko już rozumiała. Pojęła, do czego Jess zmierzała od samego początku - poprzez tabu, morderstwa, porwanie Mike'a... Wszystko to miało doprowadzić do tego spotkania, do momentu, gdy ona także stanie twarzą w twarz z tabu i będzie musiała zabić kogoś ze swojej rodziny, przekonać się na własnej skórze, że też jest zdolna do popełnienia czynu niewyobrażalnego.

- Czas się skończył - oznajmiła Jess nagle. Kciuk na tłoczku pobielał.

Wyuczone odruchy, lata treningu w akademii przestały mieć znaczenie, gdy palec wskazujący dotknął zimnego spustu.

- Błagam cię, na litość boską...

Kula trafiła Jess tuż nad oczami i odrzuciła ją do tyłu. Ciało zsunęło się na ziemię.

Reilly odwróciła się ogłuszona. Za nią stał mokruteńki Pete Kennedy z pistoletem w ręku.

- Zdążyłem - odetchnął z pobladłą twarzą.

Mike poruszył się, wymamrotał coś pod nosem, uniósł głowę. W jego szyi nadal tkwiła strzykawka. Reilly dopadła go w trzech krokach i wyrwała igłę z ciała. Serce miała w gardle.

- Tato, w porządku? Jak się czujesz?

Mike wydał z siebie dziwaczny bulgot, ale na moment otworzył oczy. Wyraźnie miał problemy ze skupieniem wzroku, lecz Reilly zdołała stwierdzić, że nie został otruty. Zaraz jednak powieki mu opadły i chyba stracił przytomność. Złożyła to na karb alkoholu.

Czuła ogromną ulgę i taki sam ból. Upuściła broń, opadła na kolana. Znalazła się twarzą w twarz z Jess. Młodsza siostra wpatrywała się w nią niewidzącym wzrokiem. Nad szeroko otwartymi błękitnymi oczami widniała dziura po kuli. Strumyk krwi spływał między miękkie blond włosy. Odruchowo pogładziła ją po policzku.

- Tak mi przykro, kochanie - szepnęła. - Bardzo żałuję, że to się skończyło w taki sposób. - Zamknęła siostrze oczy.

Usiadła na piętach. Nadal miała mdłości i kręciło jej się w głowie. Oparła się o sofę i odwróciła do Kennedy'ego, ale go nie było. Podniosła się z niemalym trudem i chwiejnym krokiem poszła do kuchni. Tam znalazła starszego detektywa, który tuż za progiem pochylał się nad Chrisem. Delaney mocno krwawił. Najwyraźniej Jess nie kłamała. Rzeczywiście go postrzeliła, chyba nawet dwa razy.

- Boże drogi... - Reilly zasłoniła usta dłonią. - Czy on...

- Nie jest dobrze - oznajmił Kennedy z twarzą stężałą ze zmartwienia. - Całkiem nie jest dobrze. Karetka już w drodze, ale on mocno krwawi.

- Chris... - Reilly trąciła go lekko.

Głowa mu się zakolebała na boki, z kącika ust popłynął czerwony strumyczek. Potrząsnęła nim jeszcze raz.

- Chris, błagam cię, teraz się nie poddawaj - wyszeptała zrozpaczona. - Jesteś mi potrzebny. Właśnie teraz, kiedy wszystko dobrze się skończyło.



## EPILOG

### PÓL ROKU PÓŹNIEJ

Zatoka szeroko otwarta na morze opierała się na niskich wydmach. Piasek lśnił złotem. Na plażę przyszło zaledwie kilka rodzin, dzieci skakały na falach. Wyższe grzywacze wyrastały nieco dalej. Reilly z deską pod pachą biegła po piasku. Oceniała je spojrzeniem znawcy. Odwróciła się do swojego towarzysza.

- Wiatr mamy z północy, więc woda będzie szła z prawej do lewej. - Odsłoniła w uśmiechu wszystkie zęby. - Wymiarzone warunki dla początkujących.

Chris osłonił dłonią oczy. Mimo najlepszych chęci nie dostrzegął nic z tego, o czym mówiła Reilly. Z wielką deską pod pachą czuł się i wyglądał niezdarnie. Na jego tułowi, na bladej skórze o ziemistym odcieniu wyraźnie odcinała się jaskrawoczerwona blizna.

- A, te fale... - załapał w końcu. - Strasznie wielkie - zauważył nerwowo.

- Wielkie? - zdziwiła się Reilly przekornie. - Maleństwa! Falunie! Mikroskopijne!

Na próbę włożyła stopę do wody.

- Zimna - oceniła. - Powinieneś być ubrać się w kombinezon.

- Jestem Irlandczykiem z krwi i kości! Nie boję się odrobiny chłodnej wody.

Twardo wkroczył do morza. Reilly stała zanurzona po pas, deska kołysała się obok niej.

- Gotów na pierwszą lekcję? Niepewnie przełknął ślinę.

- Raczej możliwe, że w zasadzie tak.

- Panie Delaney, chyba się pan nie boi? Tym razem Chris uśmiechnął się szeroko.

- Ależ skąd, przecież mam Kennedy'ego za partnera. A poza tym, jak to mówią, co cię nie zabije, to cię wzmocni. Słusznie. Nie zabił go ogromny upływ krwi po ataku Jess. Lekarze zachodzili w głowę, jakim cudem przeżył. Co więcej, ustały bóle stawów i Chris czuł się jak nowo narodzony. Oczywiście uznał, że jest po sprawie, lecz Reilly nie podzielała jego optymizmu. W końcu przecież coś spowodowało jego kłopoty zdrowotne. Sądziła, że to tylko kwestia czasu, gdy dolegliwości wrócą. Tak czy inaczej na wyraźne żądanie Chrisa nie drażyła tematu. Miał prawo zająć się własnymi kłopotami, gdy uzna to za stosowne i w sposób, który wyda mu się właściwy. Póki ból nie przeszkadzał mu w pracy, Reilly mogła tylko omijać temat.

Podobnie miały się sprawy ze wspomnieniami Mike'a z pamiętnej nocy w Greystones. Ponieważ był tak pijany, że nie miał pojęcia o tym, co się wtedy zdarzyło, Reilly również ten temat omijała łukiem. Nie wiedział nawet, że Jess użyła go jako przynęty. Nie było sensu wtajemniczać go w szczegóły.

Na szczęście władze zaakceptowały rolę Reilly w schwytaniu seryjnej morderczyni. Po długim i żmudnym śledztwie wewnętrznym, które wykazało dobitnie, iż agentka nie popełniła żadnych błędów, została przywrócona do pracy w PLK, choć Jack Gorman nie był tym zachwycony.

Chris położył deskę na wodzie, rzucił się na nią i zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami zaczął z całej siły wiosłować rękami. Płynął w stronę fal.

- Rusz się, ty urodzona surferko! - zawołał. - Pokaż, co potrafisz!

Reilly jeszcze przez chwilę przyglądała mu się z uśmiechem, po czym szybko go dogoniła i oboje wypłynęli na głębokie wody.